

JACK REACHER. INTELIGENTNY, NIEBEZPIECZNY, SEKSOWNY.

Lee

CHILD

Bez litości





## LEE CHILD

Jack Reacher jest bohaterem jedenastu bestsellerowych thrillerów Lee Childa, przetłumaczonych na 30 języków. Niebezpieczny i inteligentny twardzielec, obdarzony poczuciem humoru. Bez wahania używający siły. Facet, któremu nie należy wchodzić w drogę. Człowiek niezależny, typ samotnika, który nigdzie nie może zagrać miejsca. Pojawia się, rozwiązuje problem i odchodzi. Kobiety za nim szaleją, mężczyźni chętnie weszliby w jego skórę. Po raz pierwszy czytelnicy zetknęli się z Reacherem w powieści *Poziom śmierci*. Teraz do grona jego największych fanów zaliczają się m.in. Stephen King i były prezydent USA Bill Clinton.

Edward Lane ma pieniądze – kieruje firmą wynajmującą byłych żołnierzy jednostek specjalnych do niebezpiecznych, często nielegalnych zadań w miejscach globu. Najlepszych z najlepszych, twardych, pozabawionych skrupułów profesjonalistów. Lane jest gotów zapłacić nawet kilka milionów dolarów, by odzyskać porwaną żonę i pasierbicę. Czy ktoś chciałby takiemu człowiekowi wchodzić w drogę? – jedynie samobójca. Wiedziony ludzkim odruchem Jack Reacher przyjmuje zlecenie wytropienia porywaczy, ale w miarę rozwoju wypadków ogarniają go coraz większe wątpliwości. Czy rzeczywiście chodzi tu o okup? To już druga żona Lane'a, która została porwana – pierwsza zginęła tragicznie. Im więcej dowiaduje się o swoim pracodawcy, tym wyraźniej uświadamia sobie, że na wycofanie się jest już za późno...

ISBN 978-83-7359-552-1



9 788373 59552 1

*Tego autora*

JEDNYM STRZAŁEM  
ECHO W PŁOMIENIACH  
BEZ LITOŚCI

*Wkrótce*

WRÓG BEZ TWARZY  
ELITA ZABÓJCÓW  
GOŚĆ

*Oficjalna strona internetowa Lee Childa:*  
[www.jackreacher.co.uk](http://www.jackreacher.co.uk)

Lee  
**CHILD**

**Bez litości**

Z angielskiego przełożył  
ANDRZEJ SZULC



WARSZAWA 2007

Tytuł oryginału:  
THE HARD WAY

Copyright © Lee Child 2006  
All rights reserved

Copyright © for the Polish edition  
by Wydawnictwo Albatros A. Kuryłowicz 2007

Copyright © for the Polish translation by Andrzej Szulc 2007

Redakcja: Jacek Ring

Ilustracja na okładce: Craig Aurness/Corbis

Projekt graficzny okładki i serii: Andrzej Kuryłowicz

I S B N 978-83-7359-552-1

*Dystrybucja*

Firma Księgarska Jacek Olesiejuk  
Poznańska 91, 05-850 Ożarów Maz.  
t./f. 022-535-0557, 022-721-3011/7007/7009  
[www.olesiejuk.pl](http://www.olesiejuk.pl)

*Sprzedaż wysyłkowa - księgarnie internetowe*

[www.merlin.pl](http://www.merlin.pl)  
[www.empik.com](http://www.empik.com)  
[www.ksiazki.wp.pl](http://www.ksiazki.wp.pl)

WYDAWNICTWO ALBATROS  
ANDRZEJ KURYŁOWICZ  
Wiktorii Wiedeńskiej 7/24, 02-954 Warszawa

Wydanie I  
Skład: Laguna  
Druk: OpolGraf S.A., Opole

## **Jack Reacher: CV**

**Imiona i nazwisko:** Jack Reacher (drugiego imienia nie ma)

**Narodowość:** USA

**Urodzony:** 29 października 1960 roku

**Charakterystyczne dane:** 6 stóp 5 cali; 220-250 funtów, 50 cali w klatce piersiowej

**Ubranie:** Kurtka 3XLT, długość nogawki mierzona od kroku 95 cm

**Wykształcenie:** Szkoły na terenie amerykańskich baz wojskowych w Europie i na Dalekim Wschodzie; Akademia Wojskowa West Point

**Przebieg służby:** 13 lat w żandarmerii armii Stanów Zjednoczonych;  
**w** 1990 zdegradowany z majora do kapitana, zwolniony do cywila  
**w** randze majora w 1997

### **Odnaczenia służbowe:**

**Wysokie:** Silver Star, Defense Superior Service Medal, Legion of Merit

**Ze środkowej półki:** Soldier's Medal, Bronze Star, Purple Heart

**Z dolnej półki:** „Junk awards”

**Matka:** Josephine Moutier Reacher, ur. 1930 we Francji, zm. 1990

**Ojciec:** Zawodowy żołnierz, Korpus Piechoty Morskiej, służył w Korei i Wietnamie

**Brat:** Joe, ur. 1958, zm. 1997; 5 lat w wywiadzie armii Stanów Zjednoczonych; Departament Skarbu

**Ostatni adres zamieszkania:** Nieznany

### **Czego nie ma:**

Prawa jazdy; prawa do zasiłku federalnego; zwrotu nadpłaconego podatku; dokumentu ze zdjęciem; osób na utrzymaniu

/

# 1

Jack Reacher zamówił podwójne espresso, bez mleczka i bez cukru, nie w porcelanowej, lecz styropianowej filiżance, i nim podano mu je do stolika, ujrzał, jak zmienia się bezpowrotnie czyjeś życie. Nie dlatego, że tak długo czekał na kelnera, lecz dlatego że to, co się stało, stało się tak szybko. Tak szybko, że Reacher nie miał w ogóle pojęcia, na co patrzy. To była jedna z owych miejskich scen, które zdarzają się na świecie miliardy razy w ciągu jednego dnia: facet otwiera drzwi samochodu, wsiada i odjeżdża. To wszystko.

Ale wystarczyło.

Kawa była niemal idealna, więc dokładnie dwadzieścia cztery godziny później Reacher wrócił do tej samej kafejki. Nie spędzał na ogół dwóch wieczorów w tym samym miejscu, ale uznał, że dla wspaniałej kawy można zmienić ustalone zwyczaje. Kafejka znajdowała się po zachodniej stronie Szóstej Alei w Nowym Jorku, pomiędzy Bleeker i Houston Street. Zajmowała parter przeciętnego czteropiętrowego budynku. Na wyższych piętrach mieściły się anonimowe mieszkania na wynajem. Sama kafejka wyglądała, jakby przeniesiono ją z jakiegoś zaułka w Rzymie. Wewnątrz były nisko zawieszony lampy, pokancerowane drewniane ściany, kontuar oraz powgniatany chromowany ekspres do kawy, wielki i długi niczym

lokomotywa. Na chodniku stały w rzędzie metalowe stoliki ogrodzone niskim płóciennym parawanem. Reacher usiadł przy tym samym — ostatnim w rzędzie — stoliku co poprzednio i wybrał to samo krzesło. Przeciągnął się, rozsiadł wygodniej i przechylił do tyłu. Jego krzesło oparło się o zewnętrzną ścianę kafejki. Siedząc w tej pozycji i patrząc na wschód, miał widok na chodnik i drugą stronę ulicy. Latem uwielbiał nowojorskie ulice. Zwłaszcza wieczorem. Lubił rozświetlony elektrycznością mrok, gorące brudne powietrze, uliczny zgiełk, wyjące wściekle syreny i ludzką ciżbę. Samotny mężczyzna mógł się tutaj poczuć częścią większej całości i zarazem kimś zupełnie anonimowym.

Został obsłużony przez tego samego kelnera co poprzedniego wieczoru i zamówił takie samo podwójne espresso w styropianowej filiżance, bez cukru i bez łyżeczki. Zapłacił za nie zaraz po podaniu i zostawił resztę na stoliku. Dzięki temu mógł wstać i odejść dokładnie wtedy, kiedy chciał, nie obrażając kelnera, nie oszukując właściciela i nie kradnąc porcelanowej filiżanki. Reacher zawsze aranżował wszystko tak, by móc w ułamku sekundy ruszyć dalej. Taką miał obsesję. Nic nie miał i niczego nie nosił. Był potężnym mężczyzną, lecz rzucał mały cień i zostawiał po sobie niewielki ślad.

Pijąc powoli kawę, czuł, jak z chodnika bije wieczorny żar. Obserwował samochody i przechodniów. Patrzył na jadące na północ taksówki i zatrzymujące się przy krawężniku śmieciarki. Widział grupki zmierzających do klubów dziwnych młodych ludzi. Obserwował podążające chwiejnym krokiem na południe dziewczyny, które kiedyś były chłopcami. Zobaczył zatrzymujący się w pobliżu granatowy samochód niemieckiej marki. Patrzył, jak wysiada z niego krępy mężczyzna w popielatym garniturze, jak idzie na północ, przeciska się między dwoma stolikami na chodniku i podchodzi do grupki stojących na zapleczu kelnerów. Patrzył, jak zadaje im pytania.

Facet był średniego wzrostu, nie za młody i nie za stary, zbyt solidnie zbudowany, by można go nazwać chudym, i zbyt szczupły, by można go nazwać ciężkim. Miał krótko przycięte włosy przyprószone siwizną na skroniach. Balansował na piętach i palcach stóp. Jego usta prawie się nie poruszały, gdy



mówił. W odróżnieniu od oczu, które niezmordowanie zerkały w lewo i w prawo. Reacher zgadywał, że facet ma koło czterdziestki i dożył tego pięknego wieku dzięki temu, że zawsze wiedział, co się wokół niego dzieje. Reacher widywał to samo spojrzenie u weteranów elitarnych jednostek piechoty, którzy przetrwali długie walki w dżungli.

A potem kelner odwrócił się nagle i wskazał Reachera. Krępy mężczyzna w popielatym garniturze zerknął w jego stronę przez szybę. Reacher popatrzył na niego przez ramię. Nawiązany został kontakt wzrokowy. Utrzymując go, mężczyzna w garniturze podziękował bezgłośnie kelnerowi, po czym ruszył z powrotem tą samą drogą, którą przyszedł. Wyszedł na ulicę, skręcił w prawo i ocierając się o parawan, podszedł do Reachera, który pozwolił mu przez chwilę stać bez słowa przy stoliku.

— Tak — powiedział w końcu, podejmując decyzję. Zabrzmiało to jak odpowiedź, nie jak pytanie.

— Co tak? — zainteresował się facet.

— Cokolwiek — odrzekł Reacher. — Tak, dobrze się bawię, tak, może się pan przysiąść, tak, może mnie pan zapytać o to, o co chce pan zapytać.

Facet odsunął krzesło i usiadł tyłem do jezdni, zasłaniając widok Reacherowi.

— Rzeczywiście mam do pana pytanie — przyznał.

— Wiem — odparł Reacher. — O zesłą noc.

— Skąd pan wie? — Facet miał niski, cichy głos i płaski, rwany brytyjski akcent.

— Pokazał mnie panu kelner — powiedział Reacher. — A od innych gości odróżnia mnie to, że ja byłem tutaj zeszłej nocy, a oni nie.

— Jest pan tego pewien?

— Niech pan się odwróci. I obserwuje ruch uliczny.

Facet odwrócił się w drugą stronę. I obserwował ruch.

— A teraz niech pan powie, jak jestem ubrany — poprosił Reacher.

— Zielona koszula — zaczął Brytyjczyk — bawełniana, workowata, tania, raczej nie nowa, podwinięte rękawy, pod spodem zielony podkoszulek, również tani i nie nowy, trochę

obcisły, niewciśnięty w brezentowe spodnie, angielskie półbuty, bez skarpetek, brązowe, nie nowe, ale i niezbyt stare, raczej drogie. Postrzępione sznurowadła, tak jakby ciągnął je pan zbyt mocno, kiedy pan je zawiązuje. Może to wskazywać na obsesyjną samodyscyplinę.

— W porządku — podsumował Reacher.

— Co w porządku?

— Dużo pan widzi — stwierdził Reacher. — Ja też dużo widzę. Jesteśmy do siebie podobni jak dwie krople wody. Ze wszystkich gości tylko ja byłem tutaj również zeszłego wieczoru. Jestem tego pewien. I o to właśnie pytał pan personel. Musiał pan pytać. Kelner mógł mnie wskazać wyłącznie z tego powodu.

Facet ponownie odwrócił się do niego twarzą.

— Widział pan wczoraj samochód? — zapytał.

— Widziałem wczoraj mnóstwo samochodów — odparł Reacher. — Siedzimy przy Szóstej Alei.

— Chodzi o mercedesa. Parkował tam.

Facet ponownie się odwrócił i wskazał pusty odcinek krawężnika przy hydrancie przeciwpożarowym po drugiej stronie ulicy.

— Srebrny czterodrzwiowy sedan — powiedział Reacher. — Typ S-czteryście dwadzieścia, zamawiana indywidualnie nowojorska rejestracja, zaczynająca się od liter OSC. Dużo mil na liczniku. Brudna karoseria, zdarte opony, obdrapane felgi, wgniecenia i rysy na obu zderzakach.

Facet popatrzył na niego.

— Rzeczywiście pan go widział.

— Stał tam — Reacher pokazał.

— Widział pan, jak odjeżdża?

Reacher pokiwał głową.

— Tuż przed dwudziestą trzecią czterdzieści pięć wsiadł do niego jakiś facet i odjechał.

— Nie nosi pan zegarka.

— Zawsze wiem, która jest godzina.

— To musiało być bliżej północy.

— Może — odparł Reacher. — Niewykluczone.

— Przyjrzał się pan kierowcy?

- Mówiłem już panu. Widziałem, jak wsiadł i odjechał. Facet wstał od stolika.
- Chcę, żeby pan ze mną gdzieś pojechał. — Wsadził rękę do kieszeni. — Zapłacę za pańską kawę.
- Już za nią zapłaciłem.
- W takim razie chodźmy.
- Dokąd?
- Do mojego szefa.
- Kim jest pański szef?
- Nazywa się Lane.
- Nie jest pan gliniarzem — powiedział Reacher. — Tak sądzę. Na podstawie tego, co zaobserwowałem.
- Co pan zaobserwował?
- Pański akcent. Nie jest pan Amerykaninem, tylko Brytyjczykiem. Nowojorska policja nie jest aż tak zdesperowana.
- Większość z nas to Amerykanie — odrzekł Brytyjczyk. — Ale ma pan rację, nie jesteśmy gliniarzami. Jesteśmy prywatnymi obywatelami.
- Jakimi dokładnie?
- Takimi, co na pewno się odwdzięczą, jeżeli poda im pan opis osobnika, który odjechał tym samochodem.
- W jaki sposób?
- Finansowo — odparł facet. — Czy jest jakiś inny?
- Mnóstwo — poinformował go Reacher. — Chyba tutaj zostanie.
- To bardzo poważna sprawa.
- Jaka sprawa?
- Facet w garniturze z powrotem usiadł.
- Nie mogę panu tego powiedzieć — oświadczył.
- W takim razie żegnam.
- To nie moja decyzja — wyjaśnił facet. — Pan Lane zaznaczył, że kluczowe dla całej misji jest to, by nikt o niczym nie wiedział. Z bardzo ważnych powodów.
- Reacher przechylił filiżankę i sprawdził jej zawartość. Zostało w niej niewiele kawy.
- Ma pan jakieś nazwisko? — zapytał.
- A pan?

— Pan pierwszy.

W odpowiedzi facet wsunął kciuk do kieszonki na piersi i wyjął z niej wizytownik z czarnej skóry. Otworzył go, wysunął pojedynczą wizytówkę i podał ją nad stolikiem. Była dość elegancka. Ciężki czerpany papier, wypukłe litery, tusz, który nadal wyglądał na mokry. Na górze widniał napis Operational Security Consultants, Konsultanci Ochrony Operacyjnej.

— OSC — powiedział Reacher. — Tak jak na rejestracji. Brytyjczyk nie odezwał się.

Reacher uśmiechnął się.

— Jesteście konsultantami do spraw ochrony i daliście sobie ukraść samochód? Rozumiem, jakie to może być kłopotliwe.

— Nie chodzi nam o samochód.

Niżej na wizytówce było nazwisko: *John Gregory*. Pod nazwiskiem dopisek: *były żołnierz armii brytyjskiej*. Pod dopiskiem sprawowana funkcja: *wicedyrektor wykonawczy*.

— Kiedy pan odszedł? — zapytał Reacher.

— Z armii brytyjskiej? — upewnił się Gregory. — Przed siedmiu laty.

— Gdzie pan służył?

— W SAS.

— Nadal wygląda pan na wojskowego.

— Pan też — stwierdził Gregory. — Kiedy pan odszedł?

— Przed siedmiu laty — odrzekł Reacher.

— Gdzie pan służył?

— Głównie w wydziale kryminalnym żandarmerii.

Gregory podniósł z zainteresowaniem wzrok.

— Był pan oficerem śledczym?

— Na ogół.

— W jakim stopniu?

— Nie pamiętam — odparł Reacher. — Od siedmiu lat jestem cywilem.

— Niech pan nie będzie taki skromny. Na pewno dosłużył się pan co najmniej stopnia podpułkownika.

— Majora — powiedział Reacher. — Wyżej nie udało mi się awansować.

— Problemy z przełożonymi?

- Zdarzały się.
- Ma pan jakieś nazwisko?
- Ma je większość ludzi.
- Jak brzmi?
- Reacher.
- Co pan teraz robi?
- Próbuję wypić w spokoju kawę.
- Potrzebuje pan pracy?
- Nie — odparł Reacher. — Nie potrzebuję.
- Byłem sierżantem — powiedział Gregory.
- Domyśliłem się. Ludzie z SAS są na ogół sierżantami.

I wygląda pan na sierżanta.

— To jak, pojedzie pan ze mną i porozmawia z panem Lane'em?

— Powiedziałem panu, co widziałem. Może pan mu to przekazać.

— Pan Lane będzie to chciał usłyszeć bezpośrednio od pana. Reacher zajął ponownie do filiżanki.

— Gdzie to jest?

— Niedaleko. Dziesięć minut drogi.

— Sam nie wiem — mruknął Reacher. — Przyjemnie mi się pije kawę.

— Niech pan ją ze sobą weźmie. Jest w styropianowej filiżance.

— Lubię ciszę i spokój.

— Chodzi tylko o dziesięć minut.

— Za bardzo się przejmujecie skradzionym samochodem, nawet jeżeli to był mercedes.

— Nie chodzi o samochód.

— Więc o co chodzi?

— To sprawa życia i śmierci — odparł Gregory. — Chociaż w tym momencie bardziej śmierci niż życia.

Reacher jeszcze raz sprawdził filiżankę. Została w niej nie więcej niż jedna ósma cala letniej, gęstej od fusów kawy. Odstawił ją.

— Dobrze — powiedział. — Chodźmy.

## 2

Granatowym samochodem niemieckiej marki okazało się nowe bmw z serii siódemek. Jego numer rejestracyjny również zaczynał się od liter OSC. Gregory otworzył auto pilotem. Reacher usiadł bokiem na fotelu pasażera, znalazł dźwignię i przesunął go do tyłu, żeby mieć miejsce na nogi. Gregory wyciągnął małą srebrną komórkę i wystukał numer.

— Jadę ze świadkiem — powiedział ze swoim rwanym brytyjskim akcentem, po czym zatrzaskał klapkę telefonu, zapalił silnik i włączył się do ruchu.

Dziesięć minut przedłużyło się do dwudziestu. Gregory przejechał Szóstą Aleją przez całe Midtown, skręcił na zachód w Pięćdziesiątą Siódmą, po dwóch przecznicach ponownie na północ w Ósmą Aleję, na Columbus Circle w Central Park West, potem w Siedemdziesiątą Drugą i zatrzymał się przy Dakota Building.

— Niezła chata — ocenił Reacher.

— Dla pana Lane'a wszystko co najlepsze — odparł Gregory bez śladu ironii w głosie.

Wysiedli razem z samochodu i stanęli na chodniku. Z półmroku wyłonił się kolejny krępy facet w popielatym garniturze, wsiadł do samochodu i odjechał. Gregory wszedł wraz z Reacherem do budynku i podeszli do windy. Utrzymane w mrocznej tonacji korytarze urządzone były z takim samym przepychem jak wejście.

— Widział pan kiedyś Yoko? — zapytał Reacher.

— Nie — odparł Gregory.

Wysiedli na czwartym piętrze. Gregory skrzył w boczny korytarz i otworzyły się przed nimi drzwi apartamentu. Portier musiał zatelefonować z dołu. Ciężkie dębowe drzwi były w kolorze miodu, podobnie jak ciepłe światło, które padało zza nich na korytarz. Apartament był wysoki i solidny, i panował w nim chłód. Z małego kwadratowego przedpokoju wchodziło się do obszernego kwadratowego salonu. Salon miał żółte ściany, niskie lampy stołowe oraz obite drukowaną tkaniną wygodne fotele i sofy. Przebywało w nim sześciu mężczyzn. Żaden z nich nie siedział. Wszyscy stali w milczeniu. Trzej byli ubrani w popielate garnitury podobne do tego, który nosił Gregory, trzej pozostali w czarne dżinsy i czarne nylonowe kurtki. Reacher natychmiast zorientował się, że wszyscy byli kiedyś żołnierzami. Tak jak Gregory. Wszyscy mieli w sobie to coś. Sam apartament przypominał bunkier dowodzenia oddalony o wiele mil od miejsca, w którym kończyła się klęską dobrze zapowiadająca się bitwa. Panowała w nim ta sama atmosfera cichej desperacji.

Kiedy Reacher wszedł do środka, wszyscy odwrócili się i zmierzyli go wzrokiem. Żaden się nie odezwał. Ale potem pięciu mężczyzn spojrzało na szóstego i Reacher domyślił się, że to jest pan Lane. Szef. Był o pół pokolenia starszy od swoich ludzi. Ubrany w popielaty garnitur, szczupły, trochę więcej niż średniego wzrostu, miał przystrzyżone do samej skóry siwe włosy i bladą zatroskaną twarz. Stał sztywno wyprostowany, spięty, dotykając opuszkami rozpostartych palców blatu stołu, na którym spoczywał staroświecki aparat telefoniczny oraz oprawiona w ramkę fotografia ładnej kobiety.

— To jest świadek — powiedział Gregory.

Żadnej odpowiedzi.

— Widział kierowcę — dodał Gregory.

Stojący przy stole mężczyzna zerknął na telefon, a potem podszedł do Reachera i przyjrzał mu się od stóp do głów, badając go wzrokiem, oceniając. Zatrzymał się i wyciągnął do niego dłoń.

— Edward Lane — przedstawił się. — Bardzo mi miło pana poznać. — Miał amerykański akcent pochodzący z jakiegoś wygwizdowa oddalonego o całe lata świetlne od Manhattanu, być może z Arkansas albo wiejskich terenów Tennessee, lecz wygładzony przez długie lata służby wojskowej. Reacher podał swoje nazwisko i uściśnił dłoń Lane'a. Była sucha, nie za ciepła i nie za zimna.

— Niech mi pan powie, co pan widział — poprosił Lane.

— Widziałem, jak facet wsiada do samochodu i odjeżdża — odparł Reacher.

— Chcę poznać szczegóły.

— Reacher pracował kiedyś w amerykańskim wojskowym biurze śledczym — odezwał się Gregory. — Opisał w idealny sposób mercedesa.

— Proszę opisać kierowcę — powiedział Lane.

— Lepiej widziałem samochód niż kierowcę — wyjaśnił Reacher.

— Gdzie pan się znajdował?

— W kafejce. Samochód stał na północny wschód ode mnie, po drugiej stronie Szóstej Alei. Pod kątem mniej więcej dwudziestu stopni, w odległości mniej więcej dziewięćdziesięciu jardów.

— Dlaczego pan mu się przyjrzał?

— Był źle zaparkowany. Nie pasował do tego miejsca. Domyśliłem się, że stoi koło hydrantu.

— Bo stał — rzekł Lane. — I co dalej?

— Potem ten facet przeciął ulicę, idąc w jego stronę. Nie na przejściu dla pieszych, ale wyszukując przerwy między jadącymi samochodami, na ukos. Pod kątem zbliżonym do mojej linii widzenia, około dwudziestu stopni. Dlatego w gruncie rzeczy przez cały czas widziałem jego plecy.

— I co dalej?

— Wsadził kluczyk w drzwi, wsiadł do środka i odjechał.

— Oczywiście na północ, skoro to była Szósta Aleja. Czy zawrócił?

— Nie widziałem.

— Może go pan opisać?



— Niebieskie dzinsy, niebieska koszula, niebieska czapeczka baseballowa, białe tenisówki. Ubranie było stare i wygodne. Facet średniego wzrostu, średniej wagi.

— W jakim wieku?

— Nie widziałem jego twarzy, tylko głównie plecy. Ale nie poruszał się jak chłopak. Musiał mieć co najmniej trzydzieści lat. Może czterdzieści.

— W jaki sposób się poruszał?

— Był skoncentrowany. Szedł prosto do samochodu. Niezbyt szybko, ale nie było wątpliwości, dokąd zmierza. Sądząc po tym, jak trzymał głowę, przez cały czas wpatrywał się w samochód. Tak jakby to było jego miejsce przeznaczenia. Cel. I sądząc po ramionach, trzymał kluczyk w wyciągniętej ręce. Niczym małą lancę. Skoncentrowany i zdecydowany. Nietracący czasu. Tak właśnie się poruszał.

— Z której strony przyszedł?

— Praktycznie zza mojego ramienia. Mógł iść na północ, a potem zejść z chodnika przy kafejce i przeciąć ulicę w kierunku północno-zachodnim.

— Rozpoznałby go pan?

— Niewykluczone — odparł Reacher. — Ale tylko po ubraniu, chodzie i sylwetce. To by nikogo nie przekonało.

— Skoro przechodził przez ulicę, musiał zerknąć na południe, żeby sprawdzić, czy nie wpadnie pod samochód. Przynajmniej raz. Powinien pan wtedy zobaczyć prawą stronę jego twarzy. A potem, kiedy siedział za kółkiem, powinien pan zobaczyć lewą.

— Ostre kąty i nie najlepsze światło.

— Musiał pan go zobaczyć w świetle reflektorów samochodowych.

— Był biały. Bez zarostu. To wszystko, co zauważyłem.

— Biały mężczyzna — stwierdził Lane. — W wieku od trzydziestu pięciu do czterdziestu pięciu lat. To eliminuje chyba osiemdziesiąt procent populacji, może nawet więcej, ale nam nie wystarczy.

— Nie ubezpieczyliście tego mercedesa? — zapytał Reacher.

— Nie chodzi o mercedesa — powiedział Lane.

- Był pusty.
- Nie — odparł Lane.
- Co w nim było?
- Dziękuję, panie Reacher. Bardzo nam pan pomógł.

Odwrócił się i podszedł do stołu, na którym był telefon i fotografia. Stał przy nim sztywno wyprostowany, rozpostarł ponownie palce i oparł je o polerowane drewno tuż przy telefonie, jakby potrafił wykryć dotykiem, że zadzwoni, zanim jeszcze impuls elektryczny uruchomi dzwonek.

— Potrzebuje pan pomocy — powiedział Reacher. — Prawda?

— Dlaczego miałyby to pana obchodzić? — zapytał Lane.

— Z przyzwyczajenia. Pod wpływem odruchu. Z zawodowej ciekawości.

— Mam ludzi do pomocy — rzekł Lane, zataczając krąg dłonią. — Z Navy SEALs, z Delta Force, z Recon Marines, z zielonych beretów, z brytyjskiego SAS. Najlepszych na świecie.

— Potrzebuje pan innego rodzaju pomocy. Ci ludzie potrafią rozpętać wojnę z facetem, który ukradł pański samochód, to nie ulega wątpliwości. Ale najpierw trzeba go odnaleźć.

Lane milczał.

— Co było w tym samochodzie? — zapytał Reacher.

— Niech pan mi opowie o przebiegu swojej służby.

— Skończyła się dawno temu. To najważniejszy dotyczący jej fakt.

— W jakim stopniu pan odszedł?

— Majora.

— Ile lat spędził pan w wojskowym biurze śledczym?

— Trzydzieści.

— Jako oficer śledczy?

— W zasadzie tak.

— Dobry?

— Dość dobry.

— W sto dziesiątej jednostce specjalnej?

— Przez jakiś czas. A pan?

— W rangerach i Delta Force. Zacząłem w Wietnamie,

skończyłem na pierwszej wojnie w Zatoce. Zacząłem jako podporucznik, skończyłem jako pułkownik.

— Co było w samochodzie?

Lane uciekł w bok wzrokiem. Przez dłuższy czas milczał, w ogóle się nie poruszając. A potem spojrzał z powrotem na Reachera, tak jakby podjął decyzję.

— Musi mi pan coś obiecać.

— Co takiego?

— Żadnych glin. Od razu by mi pan poradził, żebym zwrócił się do policji. Ale ja nie zamierzam tego robić i musi mi pan **dać** słowo, że nie zrobi pan tego za moimi plecami.

Reacher wzruszył ramionami.

— W porządku — powiedział.

— Niech pan to powie.

— Żadnych glin.

— Jeszcze raz.

— Żadnych glin — powtórzył Reacher.

— Budzi to u pana jakieś etyczne opory?

— Nie — odparł Reacher.

— Nie angażujemy w to FBI, w ogóle nikogo. Załatwiamy to sami. Rozumie pan? Jeśli złamie pan słowo, wyłupię panu oczy. Oślepię pana.

— W zabawny sposób próbuje się pan zaprzyjaźnić.

— Szukam pomocy, nie przyjaciół.

— Dotrzymuję słowa.

— Proszę powiedzieć, że rozumie pan, co zrobię, jeśli pan je złamie.

Reacher omiół wzrokiem pokój. Wszystko ogarnął. Atmosferę cichej desperacji oraz niemal jawną wrogość sześciu weteranów sił specjalnych, którzy spoglądali na niego twardym wzrokiem, lojalni wobec swoich i nieufni w stosunku do obcych.

— Wyłupi mi pan oczy — rzekł.

— Lepiej niech pan w to uwierzy.

— Co było w samochodzie?

Lane odsunął rękę od telefonu i podniósł oprawioną w ramki fotografię. Trzymając ją oburącz, przysunął do piersi i Reacher miał przez chwilę wrażenie, że patrzą na niego dwie osoby.

Wyżej blada i zatroskana twarz Lane'a. Niżej, pod szkłem, kobieta o zapierającej dech klasycznej urodzie. Ciemne włosy, zielone oczy, wystające kości policzkowe, rozkwitające usta, wszystko to sfotografowane z pasją i znanstwem i po mistrzowsku wywołane.

— To moja żona — wyjaśnił Lane.

Reacher w milczeniu pokiwał głową.

— Ma na imię Kate — dodał Lane.

Nikt się nie odezwał.

— Zaginęła wczoraj rano — powiedział Lane. — Po południu dostałem telefon. Od jej porywaczy. Chcieli pieniędzy. I to one były w samochodzie. Widział pan, jak jeden z porywaczy mojej żony odbierał okup.

Nikt się nie odezwał.

— Obiecali, że ją uwolnią. Minęły już dwadzieścia cztery godziny. Nie zadzwonili ponownie.

### 3

Edward Lane trzymał oprawioną w ramki fotografię niczym ofiarę składaną bóstwu. Reacher zrobił krok do przodu, wziął ją do ręki i przechylił do światła. Kate Lane była piękna, bez dwóch zdań. Nie można było od niej oderwać wzroku. Młodsza od męża o jakieś dwadzieścia lat, miała około trzydziestki. Dość, by być dojrzałą kobietą i jednocześnie olśniewać nieskazitelną urodą. Na fotografii patrzyła na coś, co znajdowało się tuż za skrajem odbitki. W jej oczach płonęła miłość. Usta już za chwilę miały rozchylić się w szerokim uśmiechu. Fotograf uchwycił jego pierwszy ślad, dzięki czemu poza wydawała się dynamiczna. Postać była nieruchoma, ale wyglądała, jakby miała się zaraz poruszyć. Ostrość, ziarnistość i wszystkie szczegóły były bez zarzutu. Reacher nie znał się zbyt dobrze na fotografii, ale wiedział, że trzyma w ręku produkt wysokiej jakości. Sama ramka mogła kosztować tyle, ile zarabiał kiedyś miesięcznie w wojsku.

— Moja Mona Lisa — powiedział Lane. — Tak właśnie myślę o tej fotografii.

Reacher oddał zdjęcie.

— Kiedy zostało zrobione?

Lane postawił je pionowo obok telefonu.

— Niespełna rok temu.

— Dlaczego nie chce pan gliniarzy?

— Mam swoje powody.

- W tego rodzaju sytuacjach na ogół się sprawdzają.
- Gliniarze są wykluczeni — powiedział Lane.

Nikt się nie odezwał.

— Służył pan w policji — dodał Lane. — Poradzi pan sobie tak samo dobrze jak oni.

— Nie mogę — odparł Reacher.

— Był pan żandarmem. W takiej samej sytuacji poradzi pan sobie lepiej od nich.

— Sytuacja nie jest taka sama. Nie dysponuję ich środkami.

— Niech pan przynajmniej zacznie coś robić.

W pokoju zrobiło się bardzo cicho. Reacher spojrział na telefon i na fotografię.

— Ile zażądali pieniędzy? — zapytał.

— Milion dolarów w gotówce — odparł Lane.

— I to właśnie było w samochodzie? Milion dolców?

— W bagażniku. W skórzanej torbie.

— W porządku — powiedział Reacher. — Usiądźmy wszyscy.

— Nie mam ochoty siadać.

— Niech pan się odpręży. Na pewno zadzwonią. Najprawdopodobniej już wkrótce. Mogę za to ręczyć.

— Jak to?

— Niech pan usiądzie. Zacznie od początku. Opowie mi, co zdarzyło się wczoraj.

Lane usiadł zatem w fotelu obok telefonu i zaczął relacjonować poprzedni dzień. Reacher przysiadł na skraju sofy. Gregory obok niego. Pozostałych pięciu facetów znalazło sobie różne miejsca w pokoju: dwóch usiadło, dwóch przycupnęło na poręczach foteli, jeden oparł się o ścianę.

— Kate wyszła o dziesiątej rano — powiedział Lane. — Wybierała się chyba do Bloomingdale'a.

— Chyba?

— Pozwalam jej na pewną samodzielność. Nie musi mi przedstawiać szczegółowego rozkładu dnia. Nie codziennie.

— Była sama?

— Była z nią jej córka.

— Jej córka?

— Ośmioletnia córka z pierwszego małżeństwa. Ma na imię Jade.

— Mieszka tu z panem?

Lane pokiwał głową.

— Gdzie jest teraz?

— Oczywiście zaginęła — odparł Lane.

— Czyli to jest podwójne porwanie.

Lane ponownie pokiwał głową.

— Właściwie potrójne. Kierowca też nie wrócił.

— Nie pomyślał pan, żeby wspomnieć o tym wcześniej?

— A jakie to ma znaczenie? Jedna osoba czy trzy?

— Kto prowadził?

— Nazywa się Taylor. Brytyjczyk, służył w SAS. Porządny facet. Jeden z nas.

— Co się stało z samochodem?

— Zniknął.

— Czy Kate często wybiera się do Bloomingdale'a?

Lane potrząsnął głową.

— Tylko od czasu do czasu. I w niedającym się przewidzieć terminie. Nie robimy nic, co byłoby przewidywalne albo regularne. Zmieniam jej kierowców, zmieniam trasy, czasami w ogóle mieszkamy poza miastem.

— Dlaczego? Ma pan wielu wrogów?

— Tyłu, na ilu sobie zasłużyłem. Moja profesja przyciąga wrogów.

— Będzie pan musiał mi wyjaśnić tajniki pańskiej profesji. Będzie pan musiał powiedzieć mi, kim są pana wrogowie.

— Dlaczego jest pan pewien, że zadzwonią?

— Jeszcze do tego dojdę — odparł Reacher. — Niech pan mi zrelacjonuje pierwszą rozmowę. Słowo po słowie.

— Zadzwonili o czwartej po południu. Wyglądało to mniej więcej tak, jak można się spodziewać. Wie pan: mamy pańską żonę, mamy pańską córkę.

— Głos?

— Zmieniony. Przez jedno z tych elektronicznych urządzeń. Bardzo metaliczny, zupełnie jak robot na filmie. Głośny i głęboki, ale to nic nie znaczy. Mogą zmienić wysokość i siłę głosu.

— Co pan im powiedział?

— Zapytałem, czego chcą. Milion dolarów, odpowiedzieli. Poprosiłem, żeby dali Kate do telefonu. Po krótkiej chwili to zrobili. — Lane zamknął oczy. — Powiedziała „pomóż mi, pomóż”. No wie pan... — Lane otworzył oczy. — A potem facet ze zmienionym głosem odebrał jej słuchawkę, a ja zgodziłem się na wymienioną kwotę. Bez wahania. Facet obiecał, że zadzwoni za godzinę z instrukcjami.

— I zrobił to?

Lane pokiwał głową.

— O piątej. Kazał mi odczekać sześć godzin, wsadzić pieniądze do bagażnika mercedesa, którego pan widział, wysłać go do Greenwich Village i zaparkować w tamtym miejscu dokładnie o dwudziestej trzeciej czterdzieści. Kierowca miał go zamknąć, odejść i wrzucić kluczyki w otwór na listy we frontowych drzwiach pewnego budynku na południowo-zachodnim rogu Spring Street i West Broadway. Potem, nie zatrzymując się, miał odejść na południe. Ktoś miał tam się pojawić, wejść do budynku i odebrać klucze. Jeżeli mój kierowca zatrzyma się, odwróci lub choćby obejrzy, Kate zginie. I zginie, jeżeli w samochodzie będzie sprzęt namierzający.

— Tak powiedział, słowo po słowie?

Lane pokiwał głową.

— Nic więcej?

— Nic.

— Kto odprowadził tam samochód? — zapytał Reacher.

— Gregory — odparł Lane.

— Postępowałem zgodnie z instrukcjami — odezwał się Gregory. — Co do joty. Nie mogłem ryzykować.

— Jak długo musiał pan iść? — zapytał go Reacher.

— Sześć przecznic.

— Co to za budynek z tym otworem na listy?

— Opuszczony — odparł Gregory. — Względnie czekający na renowację. Albo jedno, albo drugie. Tak czy inaczej pusty. Wróciłem tam dziś wieczorem, przed wizytą w kafejce. Żadnych śladów mieszkańców.



— Jak dobry był ten facet, Taylor? Znał go pan w Wielkiej Brytanii?

Gregory pokiwał głową.

— SAS to jedna wielka rodzina. A Taylor był rzeczywiście bardzo dobry.

— W porządku — rzekł Reacher.

— Co w porządku? — zapytał Lane.

— Nasuwają się pewne oczywiste wstępne wnioski — odparł Reacher.

## 4

— Pierwszy wniosek jest taki, że Taylor już nie żyje — kontynuował Reacher. — Ci ludzie najwyraźniej pana znają i dlatego powinniśmy zakładać, że wiedzieli, kim jest Taylor. A skoro tak, to nie pozostawili go przy życiu. Nie było takiego powodu. Zbyt niebezpieczne.

— Dlaczego pan sądzi, że mnie znają? — zapytał Lane.

— Poprosili o konkretny samochód — wyjaśnił Reacher. — I podejrzewali, że ma pan pod ręką milion dolarów gotówką. Poprosili o nią w momencie, kiedy banki były już zamknięte, i kazali ją dostarczyć, zanim zaczęły działać. Nie każdy może spełnić taki warunek. Nawet bardzo bogaci ludzie potrzebują na ogół trochę czasu, żeby zebrać milion dolców. Zaciągają tymczasowe pożyczki pod zastaw akcji, transferują pieniądze, tego rodzaju rzeczy. Ale ci faceci najwyraźniej wiedzą, że może pan natychmiast wypłacić taką sumę.

— Skąd mnie znają?

— To pan powinien wiedzieć.

Nikt się nie odezwał.

— Jest ich trzech — podjął Reacher. — Jeden pilnuje Kate i Jadę tam, gdzie je zabrali. Drugi obserwował Gregory'ego odchodzącego na południe West Broadway i zadzwonił z komórki do trzeciego, który czekał, żeby wkroczyć i zabrać kluczyki, kiedy tylko będzie to bezpieczne.

Nikt się nie odezwał.

„— Mają bazę wypadową w odległości co najmniej dwustu mil na północ — ciągnął Reacher. — Załóżmy, że porwanie nastąpiło wczoraj przed jedenastą rano. Ale nie odzywali się przez ponad pięć godzin. Dlaczego? Bo byli w drodze. A potem, o siedemnastej kazali dostarczyć okup za sześć godzin. Potrzebowali sześciu godzin, ponieważ dwaj z nich musieli pokonać z powrotem całą trasę. Pięć, sześć godzin to dwieście, dwieście pięćdziesiąt mil, może więcej.

— Dlaczego na północy? — zapytał Lane. — Mogą być wszędzie.

— Nie mają bazy na południu ani na zachodzie — odparł Reacher. — W takim wypadku zażądaliby, aby postawić samochód z okupem gdzieś na południe od Canal Street, żeby móc od razu skręcić w Holland Tunnel. Nie na wschodzie, na Long Island, bo wtedy umówiliby się gdzieś niedaleko Midtown Tunnel. Nie, oni chcieli, żeby samochód postawić na północy, na Szóstej Alei, aby móc radośnie śmignąć w stronę mostu Waszyngtona albo mostu Hudsona i autostrady Saw Mili, względnie mostu Triboro i autostrady Major Deegan. Ostatecznie wjechali pewnie na Thruway. Mogą być w górach Catskills albo gdzieś w pobliżu. Prawdopodobnie na farmie. Z pewnością w miejscu, gdzie jest duży garaż albo stodoła.

— Dlaczego?

— Właśnie dostali od pana w prezencie mercedesa. A wczoraj przywłaszczyli sobie wóz, którym Taylor pojechał do Bloomingdale'a. Muszą je gdzieś ukryć.

— Taylor prowadził jaguara.

— No proszę. Mają teraz przed domem parking z luksusowymi samochodami.

— Skąd pan wie, że zadzwonią?

— Bo taka jest ludzka natura. W tym momencie są cholernie wkurzeni. Plują sobie w brodę. Znali pana, ale może nie aż tak dobrze. Zagrali w ciemno i zażądali miliona dolarów gotówką, a pan dał im go bez chwili wahania. Nie powinien pan tego robić. Powinien pan zaryzykować i grać na zwłokę. Ponieważ teraz oni mówią: do diabła, powinniśmy zażądać więcej. Powinniśmy pójść na całość. Teraz zadzwonią i wyciągną od pana

kolejną sumę. Będą zgadywać, ile dokładnie ma pan pod ręką. Puszcza pana w skarpetkach.

— Dlaczego tak długo zwlekają?

— Ponieważ to zmienia w zasadniczy sposób ich strategię — wyjaśnił Reacher. — Dlatego się o nią spierają. Będą się spierali przez cały dzień. Taka też jest ludzka natura. Trzej faceci zawsze się kłóca. Za i przeciw: trzymać się planu czy improwizować, grać bezpiecznie, czy ryzykować.

Nikt się nie odezwał.

— Ile pan ma w gotówce? — zapytał Reacher.

— Nie powiem panu.

— Pięć milionów — oświadczył Reacher. — Tyle teraz od pana zażądatają. Telefon zadzwoni i zażądatają pięć milionów dolarów.

Siedem par oczu zwróciło się w stronę telefonu. Który nie zadzwonił.

— W kolejnym samochodzie — dodał Reacher. — Muszą mieć wielką stodołę.

— Czy Kate jest bezpieczna? — zapytał Lane.

— W tym momencie nic jej nie grozi — odparł Reacher. — To ich bon obiadowy. I dobrze pan zrobił za pierwszym razem, mówiąc, że chce pan usłyszeć jej głos. To ustaliło właściwy wzór postępowania. Będą musieli to zrobić ponownie. Problem wyłoni się, kiedy otrzymają ostatnią wypłatę. To najtrudniejsza część każdego porwania. Dawanie pieniędzy to łatwizna. Trudne jest odzyskanie porwanej osoby.

Telefon milczał.

— Mam grać na zwłokę? — zapytał Lane.

— Ja bym grał — powiedział Reacher. — Niech pan podzieli wypłatę na części. Przeciąga cały proces. Zyska na czasie.

Telefon nie zadzwonił. W salonie słychać był tylko szum klimatyzatora i cichy oddech mężczyzn. Reacher rozejrzał się dookoła. Wszyscy cierpliwie czekali. Żołnierze sił specjalnych są dobrzy w czekaniu. Choć biorą udział w wielu spektakularnych akcjach, znacznie więcej czasu zajmuje im pozostawanie w gotowości, czekanie. Po którym w dziewięciu na dziesięć przypadków akcja jest odwoływana i trzeba zbierać manatki.

Telefon nie zadzwonił.

— Trafne wnioski — oświadczył Lane, przerywając ciszę i nie zwracając się do nikogo w szczególności. — Trzej faceci, daleko stąd. Na północy. Na farmie.



Ale Reacher całkowicie się mylił. Zaledwie cztery mile dalej, na tej samej wyspie, na Manhattanie, samotny mężczyzna otworzył drzwi do małego nagrzanego pokoju i dał krok do tyłu. Kate Lane i jej córka Jade minęły go, nie patrząc mu w oczy. Weszły do pokoju i zobaczyły dwa łóżka — twarde i wąskie. Pokój sprawiał wrażenie wilgotnego i nieużywanego. Okno było zasłonięte czarnym materiałem, przyklejonym taśmą do ścian, na górze, na dole i po obu bokach.

Samotny mężczyzna zamknął za nimi drzwi i wyszedł.

## 5

Telefon zadzwonił dokładnie o pierwszej w nocy.

— Tak? — powiedział Lane, łapiąc słuchawkę. Reacher usłyszał dobiegający z niej głos, dwukrotnie zniekształcony, po pierwsze przez elektroniczne urządzenie, po drugie w wyniku fatalnego połączenia. — Co? — zapytał Lane i przez chwilę słuchał odpowiedzi. — Dajcie Kate do telefonu. Najpierw chcę ją usłyszeć. — Nastąpiła krótka pauza, po której w słuchawce odezwał się inny głos. Głos kobiety, zniekształcony, spanikowany, zdyszany. Padło tylko jedno słowo, prawdopodobnie imię Lane'a, a potem głos eksplodował w krzyku, który po chwili umilkł. Lane zacisnął z całej siły powieki i ponownie odezwał się podobny do robota głos, który wyszczekał sześć krótkich sylab. — Dobrze, dobrze! — zawołał Lane i Reacher usłyszał, że połączenie zostało przerwane.

Lane siedział w milczeniu, zaciskając powieki i kurczowo łapiąc powietrze. W końcu otworzył oczy, omiół wzrokiem wszystkich i zatrzymał go na Reacherze.

— Pięć milionów dolarów — powiedział. — Miał pan rację. Skąd pan wiedział?

— To oczywisty następny krok — odparł Reacher. — Jeden, pięć, dziesięć, dwadzieścia. Tak rozumują ludzie.

— Ma pan kryształową kulę. Potrafi pan przepowiadać przyszłość. Zatrudniam pana. Dwadzieścia pięć tysięcy miesięcznie, tak jak wszyscy tutaj.

— To nie będzie trwało cały miesiąc. Nie może. Za parę dni będzie już po wszystkim.

— Zgodziłem się na wymienioną przez nich kwotę — oświadczył Lane. — Nie mogłem grać na zwłokę. Robili jej krzywdę.

Reacher w milczeniu pokiwał głową.

— Instrukcje poda później? — zapytał Gregory.

— Za godzinę — odparł Lane.

W pokoju zapadła cisza. Znowu zaczęło się czekanie. Mężczyźni zerkali na zegarki i dyskretnie sadowali się wygodniej. Lane odłożył słuchawkę na widełki i wbił wzrok w przestrzeń. Reacher pochylił się do przodu i postukał go w kolano.

— Musimy porozmawiać — powiedział cicho.

— O czym?

— O wszystkich okolicznościach. Musimy spróbować ustalić, kim są ci faceci.

— W porządku — mruknął niewyraźnie Lane. — Chodźmy do gabinetu.

Powoli wstał i przeszedł wraz z Reacherem z salonu do kuchni, za którą była służbówka. Małe, kwadratowe pomieszczenie zostało przerobione na gabinet: było tam biurko, komputer, faks, telefony, szafki z aktami, półki.

— Niech pan mi opowie o Konsultantach Ochrony Operacyjnej — poprosił Reacher.

Lane siadł na krześle za biurkiem i odwrócił się do niego twarzą.

— Niewiele jest do opowiadania. Jesteśmy po prostu grupą byłych wojskowych, którzy próbują znaleźć sobie jakieś zajęcie.

— Co konkretnie robicie?

— To, na co jest zapotrzebowanie. Pracujemy jako osobiści ochroniarze. Chronimy firmy. Tego rodzaju rzeczy.

Na biurku stały dwie oprawione fotografie. Jedna była mniejszą odbitką zapierającego dech portretu Kate z salonu. O wymiarach siedem na pięć, zamiast czternaście na jedenaście cali, w tak samo kosztownej złotej ramce. Druga przedstawiała inną

kobietę, mniej więcej w tym samym wieku, z jasnymi, nie ciemnymi włosami, z niebieskimi, nie zielonymi oczyma. Ale równie piękną i sfotografowaną z takim samym kunsztem.

— Jako ochroniarze? — zapytał Reacher.

— Na ogół.

— Nie przekonał mnie pan, panie Lane. Ochroniarze nie zarabiają dwudziestu pięciu tysięcy miesięcznie. Ochroniarze są wielkimi głupimi mięśniakami, cieszącymi się, jeśli zarobią jedną dziesiątą tego. A gdybyście byli specjalistami od osobistej ochrony, wczoraj rano wysłałby pan z Kate i Jade jednego ze swoich ludzi. Taylor siedziałaby za kółkiem, a Gregory obok ze strzelbą. Ale nie zrobił pan tego, co wskazuje, że ochrona osobista nie jest raczej pańską specjalnością.

— To, co robimy, jest poufne — oświadczył Lane.

— Już nie. Jeżeli chce pan odzyskać żonę i córkę.

Milczenie.

— Jaguar, mercedes i bmw — powiedział Reacher. — I podejrzewam, że jeszcze kilka aut podobnej klasy. Apartament w Dakota Building. Mnóstwo gotówki pod ręką. I sześciu facetów zarabiających dwadzieścia pięć kawałków miesięcznie. Razem to daje nielichą forszę.

— Zarobioną najzupełniej legalnie.

— Tyle że nie chce pan w to angażować gliniarzy.

Lane popatrzył mimowolnie na fotografię blondynki.

— Nie chcę tego robić z zupełnie innego powodu.

Reacher też spojrział na zdjęcie.

— Kto to jest? — zapytał.

— Kto to był — poprawił go Lane.

— Kto to był?

— Moja pierwsza żona — odparł Lane. — Anne.

— Co się z nią stało?

Odpowiedzią było długie milczenie.

— Już raz przez to przeszedłem — rzekł w końcu Lane. — Przed pięciu laty. Zabrano mi Anne. Dokładnie w ten sam sposób. Ale wówczas przestrzegałem reguł. Zadzwoiłem na policję, mimo że facet, który telefonował, wyraźnie mi tego zakazał. Gliniarze wezwali FBI.



— I jak to się skończyło?

— FBI pokpiło w jakiś sposób sprawę. Porywacze musieli ich zauważyć przy odbieraniu okupu. Anne zginęła. Miesiąc później znaleźli jej ciało w New Jersey.

Reacher nie odezwał się.

— Dlatego tym razem nie będzie gliniarzy — powiedział Lane.

## 6

Reacher i Lane siedzieli długo w milczeniu.

— Minęło pięćdziesiąt pięć minut — rzekł w końcu Reacher. — Musi pan się przygotować do następnego telefonu.

— Nie nosi pan zegarka — zauważył Lane.

— Zawsze wiem, która jest godzina.

Reacher ruszył w ślad za nim do salonu. Lane stanął ponownie przy stole i położył palce na blacie. Reacher zgadywał, że chce odebrać telefon, mając przy sobie wszystkich swoich ludzi. Może potrzebował z ich strony otuchy. Albo wsparcia.

Telefon zadzwonił punktualnie o drugiej w nocy. Lane odebrał go i przez chwilę słuchał. Reacher usłyszał dobiegające ze słuchawki niewyraźne mechaniczne skrzeknięcia.

— Dajcie do telefonu Kate — powiedział Lane, ale najwyraźniej mu odmówiono. — Proszę, nie róbcie jej krzywdy — dodał po chwili. — Dobrze — odparł po kolejnej minucie i odłożył słuchawkę.

— Za pięć godzin od teraz — poinformował pozostałych. — To samo miejsce, ta sama procedura. Granatowe bmw. Tylko jedna osoba.

— Ja pojedę — zaofiarował się Gregory.

Pozostali mężczyźni poruszyli się sfrustrowani.

— Powinniśmy tam być wszyscy — doszedł do wniosku mały ciemny Amerykanin, który wyglądał jak księgowy, tyle że spojrzenie miał beznamiętne i martwe niczym rekin młot. —

po dziesięciu minutach będziemy wiedzieli, gdzie ona jest. Mogę to panu obiecać.

— Tylko jedna osoba — powtórzył Lane. — Tak brzmiała instrukcja.

— To Nowy Jork — skwitował facet o oczach rekina. — W pobliżu zawsze są jacyś ludzie. Nie mogą oczekiwać, że ulice będą puste.

— Wszystko wskazuje na to, że nas znają — odparł Lane. — Rozpoznają cię.

— Ja mógłbym pójść — wtrącił Reacher. — Mnie nie rozpoznają.

— Pojedź z Gregorym. Mogą obserwować budynek.

— Możliwe — rzekł Reacher. — Ale mało prawdopodobne.

**Lane** nie odpowiedział.

— To pańska decyzja — mruknął Reacher.

— Jeszcze się zastanowię — odparł Lane.

— Nie ma co zwlekać. Lepiej, jeżeli wyjdę stąd z dużym wyprzedzeniem.

— Podejmę decyzję za godzinę — powiedział Lane, po czym wstał i wyszedł do gabinetu.

Idzie liczyć pieniądze, pomyślał Reacher. Zastanawiał się przez chwilę, jak wygląda pięć milionów dolarów. Tak samo jak milion, uznał, tyle że z setkami zamiast dwudziestek.

— Ile ma pieniędzy? — zapytał.

— Dużo — odparł Gregory.

— W dwa dni jest do tyłu sześć milionów.

Facet o oczach rekina uśmiechnął się.

— Odzyskamy je. Może pan być tego pewien. Kiedy tylko Kate wróci bezpiecznie do domu, wejdziemy do akcji. Wtedy zobaczymy, kto jest do przodu, a kto do tyłu. Tym razem ktoś wsadził kij w mrowisko, to nie ulega kwestii. No i załatwili Taylora. Był jednym z nas. Będą żałowali, że się urodzili.

Reacher spojrział w jego pozbawione wyrazu oczy i uwierzył we wszystko, co usłyszał. Facet wyciągnął do niego nagle rękę.

— Nazywam się Carter Groom — powiedział. — Miło pana poznać. Mimo wszystko. Mam na myśli okoliczności.

Czterej pozostali również się przedstawili — cicha kaskada nazwisk i uścisków dłoni. Każdy był grzeczny, ale nie poza tym. Każdy traktował nieznanego z rezerwą. Reacher próbował połączyć nazwiska z twarzami. Gregory'ego już znał. Facet z wielką blizną nad okiem nazywał się Addison. Najniższy, Latynos, miał na nazwisko Perez. Najwyższy nazywał się Kowalski. Był także czarny facet, który nazywał się Burke.

— Lane powiedział mi, że zajmujecie się ochroną osobistą i ochroną firm — oświadczył Reacher.

Zapadła cisza.

— Bez obawy. I tak w to nie uwierzyłem. Zgaduję, że wszyscy jesteście żołnierzami. Ludźmi czynu. W związku z czym uważam, że pan Lane zajmuje się zupełnie czym innym.

— To znaczy czym? — zapytał Gregory.

— Moim zdaniem werbunkiem najemników — powiedział Reacher.

Facet, który nazywał się Groom, potrząsnął głową.

— Użyłeś niewłaściwych słów, chłopie.

— A jakie są właściwe słowa?

— Jesteśmy prywatną firmą wojskową — oświadczył Groom. — Coś ci się w tym nie podoba?

— Tak naprawdę nie wyrobiłem sobie opinii na ten temat.

— To spróbuj sobie jakąś wyrobić i lepiej, żeby była dobra. Jesteśmy legalni. Pracujemy dla Pentagonu, tak jak to robiliśmy zawsze i tak jak to robiłeś ty.

— Prywatyzacja — mruknął Burke. — Pentagon ją uwielbia. Jest bardziej efektywna. Epoka wszechwładnego państwa już się skończyła.

— Ilu macie ludzi? — zapytał Reacher. — Tylu, ilu jest tutaj?

Groom ponownie potrząsnął głową.

— Jesteśmy drużyną A — oznajmił. — Czymś w rodzaju elity. Poza tym mamy notes z nazwiskami drużyny B. Wyśleliśmy stu ludzi do Iraku.

— Tam właśnie byliście? W Iraku?

— A także w Kolumbii, Panamie i Afganistanie. Wszędzie tam, gdzie potrzebuje nas Wuj Sam.

— I tam, gdzie Wuj Sam wcale was nie potrzebuje?

Nikt się nie odezwał.

— Domyślam się, że Pentagon płaci wam przelewem. Ale poza tym macie tu chyba mnóstwo gotówki.

Bez odpowiedzi.

— Afryka? — zapytał Reacher.

Nadal cisza.

— Nieważne — mruknął. — To nie moja sprawa, gdzie byliście. Chcę tylko wiedzieć, gdzie był pan Lane. W ciągu kilku ostatnich tygodni.

— A jakie to ma znaczenie? — zapytał Kowalski.

— Porywacze go obserwowali — powiedział Reacher. — Nie wpadło wam to do głowy? Nie wydaje mi się, żeby czekali codziennie przy Bloomingdale'u, licząc, że uśmiechnie się do nich szczęście.

— Pani Lane była w Hamptons — oznajmił Gregory. — Z Jade, przez większą część lata. Wróciły dopiero przed trzema dniami.

— Kto je przywiózł?

— Taylor.

— I potem mieszkały tutaj?

— Zgadza się.

— Czy coś się wydarzyło w Hamptons?

— Na przykład co? — zapytał Groom.

— Coś niezwykłego — odparł Reacher. — Coś, co odbiegałoby od normy.

— Raczej nie — rzekł Groom.

— Któregoś dnia odwiedziła ją jakaś kobieta — dodał Gregory.

— Jaka kobieta?

— Zwyczajna. Gruba.

— Gruba?

— Dobrze zbudowana. Koło czterdziestki. Długie włosy, z przedziałkiem pośrodku. Pani Lane zabrała ją na spacer po plaży. Potem kobieta odjechała. Doszedłem do wniosku, że to jakaś znajoma.

— Widział ją pan kiedyś wcześniej?

Gregory pokręcił głową.

— Może to była dawna znajoma.  
— Co pani Lane i Jade robiły po powrocie do miasta?  
— Nie sądzę, żeby zdążyły coś zrobić.  
— Nie, raz wyjechała — oświadczył Groom. — Mam na myśli panią Lane. Bez Jade. Pojechała na zakupy. Ja ją zawiozłem.

— Dokąd? — zapytał Reacher.

— Do Staples.

— Do sklepu z zaopatrzeniem biurowym? — Reacher widywał sklepy tej sieci. Czerwono-biały wystrój, wielkie hale wypełnione rzeczami, których nie potrzebował. — Co kupiła?

— Nic — odparł Groom. — Czekałem dwadzieścia minut przy krawężniku, ale wyszła z pustymi rękoma.

— Może zamówiła dostawę do domu — zasugerował Gregory.

— Mogła to zrobić przez Internet. Nie musiała mnie ciągać samochodem.

— Może tylko coś oglądała — zastanawiał się Gregory.

— Kto ogląda takie rzeczy? — zdziwił się Reacher.

— Wkrótce zaczyna się szkoła — mruknął Groom. — Może Jade czegoś potrzebowała.

— W takim wypadku pojechałaby tam z matką — doszedł do wniosku Reacher. — Nie sądzicie? I coś by kupiła.

— Może wniosła coś do środka? — zapytał Gregory. — Może coś zwracała.

— Miała ze sobą torebkę. To niewykluczone — powiedział Groom, po czym podniósł wzrok i spojrzał na coś nad ramieniem Reachera.

Edward Lane wrócił do salonu. Niósł dużą skórzaną torbę, uginając się lekko pod jej ciężarem. Pięć milionów dolarów, pomyślał Reacher. A więc tak to właśnie wygląda. Lane rzucił torbę przy wejściu do przedpokoju. Łupnęła o drewnianą podłogę i legła na niej niczym zwłoki małego pękatego zwierzęcia.

— Muszę zobaczyć zdjęcie Jade — oświadczył Reacher.

— Dlaczego?

— Bo chce pan, żebym udawał gliniarza. A zdjęcia to pierwsza rzecz, którą chcą oglądać gliniarze.

— W sypialni — powiedział Lane.

Reacher ruszył więc za nim do sypialni — kolejnego kwadratowego pokoju, pomalowanego na kredowobiały kolor, spokojnego niczym klasztorna cela i cichego jak grób. W środku stało wsparte na czterech słupkach łóżce z czereśniowego drewna, po obu jego stronach nocne szafki, komoda, na której można postawić telewizor, oraz biurko ze stojącym za nim krzesłem i oprawioną fotografią na blacie — wszystko idealnie pasujące do siebie. Prostokątna fotografia miała dziesięć na osiem cali i ustawiona była poziomo, jak pejzaż, nie pionowo, jak portret. Ale to był z całą pewnością portret. Portret dwóch osób. Po prawej stronie była Kate Lane. Odbitkę zrobiono z tego samego negatywu co zdjęcie w salonie. Ta sama poza, te same oczy, ten sam zakwitający na ustach uśmiech. Jednak odbitka w salonie została przycięta, aby nie było widać obiektu uczuć Kate — jej córki Jade. Na fotografii w sypialni Jade stała po lewej stronie. Jej poza była lustrzanym odbiciem pozy matki. Spoglądały na siebie z miłością w oczach i czającym się w kącikach ust uśmiechem, jakby śmieszyło je coś, o czym wiedziały tylko one. Na zdjęciu Jade miała jakieś siedem lat, lekko falujące i delikatne jak jedwab długie ciemne włosy, zielone oczy i porcelanową cerę. Piękne zdjęcie pięknego dziecka.

— Mogę? — zapytał Reacher.

Lane pokiwał głową w milczeniu. Reacher wziął do ręki fotografię i przyjrzał jej się z bliska. Fotograf uchwycił w idealny sposób więź łączącą matkę i dziecko. Niezależnie od zewnętrznego podobieństwa nie mogło być najmniejszych wątpliwości, jakie łączą je stosunki. Najmniejszych wątpliwości. Zdjęcie przedstawiało matkę i córkę. Ale również najlepsze przyjaciółki. Wyglądały, jakby miały ze sobą wiele wspólnego. Wspaniała fotografia.

— Kto zrobił to zdjęcie? — zapytał Reacher.

— Znalazłem faceta na mieście — odparł Lane. — Dość sławnego. Bardzo drogiego.

Reacher pokiwał głową. Facet wart był swojej ceny. Chociaż jakość odbitki nie była tak dobra jak tej w salonie. Kolory były

nieco mniej subtelne, kontury twarzy trochę rozmazane. Może to była odbitka maszynowa. Może Lane miał węża w kieszeni, kiedy w grę wchodziła jego pasierbica.

— Bardzo ładne — powiedział Reacher, stawiając zdjęcie z powrotem na biurku.

W pokoju panowała kompletna cisza. Przeczytał kiedyś, że Dakota Building jest najbardziej dźwiękoszczelnym budynkiem w całym Nowym Jorku. Zbudowano go w tym samym okresie, gdy zakładano Central Park. Przestrzeń między sufitami i podłogami robotnicy wypełnili grubą na trzy stopy warstwą wydobytej w parku gliny. Ściany też były grube. Cała ta masa powodowała, że budynek wydawał się wykuty w litej skale. Co musieli docenić sąsiedzi, pomyślał Reacher, kiedy mieszkał tutaj John Lennon.

— W porządku? — zapytał Lane. — Zobaczył pan dosyć?

— Nie będzie panu przeszkadzało, jeśli sprawdzę biurko?

— Po co?

— Należy do Kate, prawda?

— Tak.

— Więc to samo zrobiliby gliniarze.

Lane wzruszył ramionami i Reacher zaczął od dolnych szuflad. W tej po lewej stronie były pudełka z papierem listowym, kopertami oraz wizytówkami z wytłoczonym na nich nazwiskiem Kate Lane. W szufladzie po prawej stronie były segregatory, których zawartość miała związek wyłącznie z edukacją Jade. Uczęszczała do prywatnej szkoły mieszczącej się dziewięć przecznic od apartamentu, dość kosztownej, sądząc po rachunkach i kwitach. Wszystkie wpłaty dokonywane były z osobistego konta Kate Lane. W wyższych szufladach były pióra, ołówki, znaczki, nalepki z adresami, książeczka czekowa oraz kwitki z karty kredytowej. Ale nic szczególnie ważnego. Nic, co pochodziłoby z ostatniego okresu. Nic z sieci Staples.

W środkowej szufladzie na górze znalazł tylko dwa amerykańskie paszporty, jeden należący do Kate, drugi do Jade.

— Kim jest ojciec Jade? — zapytał Reacher.

— Czy to ma jakieś znaczenie?



— Może mieć. Jeśli to było zwyczajne uprowadzenie, musimy go zdecydowanie sprawdzić. Rozwiedzeni rodzice często porywają swoje dzieci.

— Ale ci porywacze żądają okupu. I mówią wyłącznie o Kate. Jade znalazła się tam zupełnie przypadkowo.

— Prawdziwy cel porwania bywa czasem zakamuflowany. A ojciec Jade będzie potrzebował pieniędzy, żeby ją ubrać i nakarmić. I posłać do szkoły.

— On nie żyje — powiedział Lane. — Zmarł na raka żołądka, kiedy Jade miała trzy lata.

— Kim był?

— Miał sklep jubilerski. Kate prowadziła go potem przez rok. Nie najlepiej jej szło. Była kiedyś modelką. Ale tam właśnie ją poznałem. Kupowałem zegarek.

— Jacyś inni krewni? Zaborczy dziadkowie, ciotki, wujowie?

— Nikt, kogo bym znał. Tym samym nikt, kto spotykałby się z Jade w ciągu ostatnich kilku lat. Co oznacza, że żadni krewni nie są zaborczy.

Reacher zamknął środkową szufladę. Przesunął fotografię na biurku i obrócił się na pięcie.

— Jest tu jakaś szafa? — zapytał.

Lane wskazał mu dwoje wąskich białych drzwi. Za nimi znajdowała się szafa, duża jak na nowojorskie mieszkanie, mała gdziekolwiek indziej. Światło włączało się pociągnięciem za łańcuszek. W środku wisiały na wieszakach damskie ubrania i stały buty. W powietrzu unosił się zapach perfum. Na podłodze leżał elegancko złożony żakiet. Do oddania do pralni chemicznej. Podniósł go. W środku była metka Bloomingdale'a. Zajrzał do kieszeni, ale nic w nich nie znalazł.

— Jak była ubrana, gdy wychodziła? — zapytał.

— Nie jestem pewien.

— Kto mógłby to wiedzieć?

— Wszyscy wyszliśmy wcześniej — odparł Lane. — Nie sądzę, żeby ktoś tu był. Oprócz Taylora.

Reacher zaniknął drzwi szafy i podszedł do komody. Miała podwójne drzwiczki na górze i szuflady pod spodem. W jednej

z nich znajdowała się biżuteria. W drugiej różne drobiazgi: zapasowe guziki do nowo kupionych strojów, drobne monety i tym podobne. W trzeciej koronkowa bielizna: biustonosze oraz figi, wyłącznie w kolorach białym lub czarnym.

— Czy mogą obejrzyć pokój Jade? — zapytał Reacher.

Lane poprowadził go krótkim wewnętrznym korytarzykiem. Sypialnia Jade była cała w jasnych pastelach. Pluszowe misie, porcelanowe lalki, gry i zabawki. Niskie łóżko. Złożona na poduszce piżama. Zapalona lampka przy łóżku. Niskie biurko, na którym leżały rysunki zrobione kredkami świecowymi na pakowym papierze. Dosunięte porządnie do blatu małe krzesło.

Nic, co dałoby do myślenia wojskowemu gliniarzowi.

— Skończyłem — oświadczył Reacher. — Bardzo przepraszam za najście.

Ruszył za Lane'em z powrotem do salonu. Skórzana torba nadal leżała na podłodze przy wejściu do przedpokoju. Gregory i pozostali żołnierze wciąż tkwili na swoich miejscach, zatroskani i milczący.

— Czas na podjęcie decyzji — oświadczył Lane. — Czy przyjmujemy, że Reacher był obserwowany, kiedy wchodził wczoraj wieczorem do budynku?

— Nikogo nie widziałem — odparł Gregory. — I moim zdaniem to bardzo mało prawdopodobne. Trwająca dwadzieścia cztery godziny inwigilacja wymagałaby zaangażowania wielu osób. Dlatego uważam, że nie był obserwowany.

— Jestem tego samego zdania — powiedział Lane. — Moim zdaniem Reacher jest dla nich wciąż kimś anonimowym. Dlatego o siódmej powinien tam być. Powinniśmy sami spróbować inwigilacji.

Nikt się nie sprzeciwił. Reacher pokiwał głową.

— Będę obserwował dom przy Spring Street — oznajmił. — Dzięki temu zobaczę przynajmniej jednego z nich. Może dwóch.

— Niech pan się nie pokazuje — powiedział Lane. — Rozumie pan moje obawy, prawda?

— Całkowicie — odparł Reacher. — Nie zauważą mnie.

— Wyłącznie obserwacja. Żadnej interwencji.

— Bez obawy.

— Będą tam wcześniej — rzekł Lane. — Pan zajmie pozycję jeszcze wcześniej.

— Bez obawy — powtórzył Reacher. — Wychodzę już teraz.

— Nie chce pan wiedzieć, który budynek ma pan obserwować?

— Nie muszę tego wiedzieć. Zobaczę, jak Gregory zostawia kluczyki.

Wyszedł z apartamentu i zjechał na dół windą. Na parterze skinął głową portierowi, wyszedł na zewnątrz i ruszył na stację metra na rogu Siedemdziesiątej Drugiej i Broadwayu.



Kobieta, która obserwowała dom, spostrzegła go. Widziała, jak przyjechał z Gregorym, a teraz jak wychodzi sam. Zerknęła na zegarek i zapisała godzinę. A potem patrzyła, jak idzie na zachód. Po kilku chwilach straciła go z oczu i cofnęła się w cień.

# 7

Pierwszy przyjechał pociąg linii 9. Reacher skorzystał z wieloprzejazdowej karty, którą kupił dzień wcześniej, i przejechał dziesięć stacji na południe, do stacji przy Houston Street. Potem ruszył pieszo Varick Street na południe. Było kilka minut po trzeciej, bardzo cicho. Z jego doświadczenia wynikało, że miasto, które nigdy nie śpi, czasami ucina sobie jednak godzinną lub dwugodzinną drzemkę. Zdarzają się chwile, kiedy nocne marki wróciły już do domu, a ranne ptaszki nie zerwały się jeszcze z łóżek. Miasto milknie wtedy, wstrzymuje oddech i ulicami zaczyna władać lśniąca ciemność. To była pora Reachera. Lubił wyobrażać sobie pogrążonych w głębokim śnie ludzi, upakowanych w dwunasto-, trzydziesto- oraz pięćdziesięciopiętrowych budynkach, często głowa przy głowie z chrapiącymi po drugiej stronie cienkiej ściany nieznanymi, niemającymi pojęcia, że gdzieś niżej przemierza bezszelestnie ulice wysoki mężczyzna.

Skreślił w lewo w Charlton Street i przeciął Szóstą Aleję. Charlton Street przeszła w Prince Street. Po minięciu trzech kolejnych ulic znalazł się na West Broadway, w sercu Soho, jedną przecznicę od Spring Street, trzy godziny i czterdzieści minut przed wyznaczonym czasem. Szedł na południe swobodnym krokiem człowieka, który ma dokąd pójść, ale wcale się

nie spieszy. West Broadway był szerszy od przecinających go ulic i mijając Spring, Street, Reacher widział dobrze jej południowo-zachodni róg. Stał tam wąski budynek z fasadą zdobioną kutym żelazem i osadzonymi wysoko czerwonymi matowymi drzwiami. Prowadziły do nich trzy schodki. Na dole front domu pokryty był graffiti, wyżej opleciony pajęczyną schodów przeciwpożarowych. Okna na piętrze były brudne i zasłonięte jakąś ciemną tkaniną. Na parterze znajdowało się pojedyncze okienko, oklejone wyblakłymi pozwoleniami na budowę. W drzwiach mieścił się otwór na listy, wąski prostokąt z klapką, kiedyś być może z lśniącego mosiądzu, teraz pokryty śniedzią i zżerany przez korozję.

To ten dom, pomyślał Reacher. Na pewno.

Po przejściu kolejnej przecznicy skręcił na wschód w Broome Street, a potem na północ w Greene Street. Po drodze mijają pozamykane sklepy, w których sprzedawano swetry za tyle co bilety lotnicze pierwszej klasy i meble kosztujące więcej niż krajowej produkcji samochody. Skręcił na zachód w Prince Street, a potem obszedłszy dookoła cały kwartał ulic, ruszył ponownie na południe West Broadwayem i znalazł po jego wschodniej stronie wejście z niewysokim gankiem. Odsunawszy nogą śmieci, położył się na plecach, oparł głowę na złożonych dłoniach i przechylił ją niczym przysypiający pijak. Jego zmrużone oczy przez cały czas utkwione były w oddalonych o siedemdziesiąt stóp matowych czerwonych drzwiach.

Kate Lane powiedziano, żeby się nie ruszała i nie robiła hałasu, ale postanowiła zaryzykować. Nie mogła oczywiście spać. Podobnie jak Jade. Kto mógłby spać w takich okolicznościach? Kate wstała więc z łóżka, złapała je za jeden koniec i przesunęła trochę w bok.

— Nie rób tego, mamó — szepnęła Jade. — Hałasujesz.

Kate nie odpowiedziała. Złapała po prostu za drugi koniec łóżka i również go przesunęła. Po trzykrotnym powtórzeniu tych czynności jej materac oparł się o materac Jade. Wtedy

wślizgnęła się z powrotem pod koc i wzięła córkę w ramiona. Mocno ją uścisnęła. Jeżeli musiały czuć, mogły to przynajmniej robić razem.



Wskazówki w głowie Reachera dopełzły do godziny szóstej. W ceglano-żelaznych kanionach Soho nadal panował mrok, ale niebo nad głowami już się rozjaśniło. Noc była ciepła. Reacherowi nie było niewygodnie. Zdarzało mu się czuć w gorszych miejscach. Wiele razy. Często o wiele dłużej. Na razie nie widział, by cokolwiek działo się przy matowych czerwonych drzwiach. Ale ranne ptaszki wstały już i kręciły się dookoła. Ulicami jeździły samochody i ciężarówki. Ludzie szli chodnikami po obu stronach jezdni. Jednak nikt na niego nie spozryzał. Był zwykłym, leżącym w przejściu facetem.

Reacher obrócił się na plecy i rozejrzał dookoła. Drzwi, przy których się położył, wykonano z szarego metalu. Nie miały zewnętrznej klamki. Może służyły jako wyjście awaryjne, a może do wnoszenia towarów. Przy odrobinie szczęścia nikt nie powinien go niepokoić aż do siódmej. Przewrócił się na bok i ponownie spozryzał na południe i na zachód. Wygiął plecy tak, jakby rozprostowywał zdrętwiałe mięśnie, a potem spozryzał na północ. Ktokolwiek się pojawi, powinien wkrótce zająć pozycję. Porywacze nie byli głupi. Na pewno przeprowadzą uważne rozpoznanie. Sprawdzą dachy i okna, a także parkujące samochody, wypatrując zaczajonych policjantów. Może sprawdzą również wejścia z ulicy. Ale Reachera nikt nigdy nie wzięł za policjanta. W policjancie, który przebiera się w najtańsze ciuchy, zawsze jest coś sztucznego. Reacher był autentyczny.

Gliniarze, pomyślał.

To słowo utkwіło mu w umyśle niczym płynąca z prądem gałązka, która zaczepia się o nadbrzeżne szuwały. Zatrzymało się na chwilę, a potem zawirowało i odpłynęło. Chwilę później zobaczył policjanta z krwi i kości, w samochodzie nadjeżdżającym powoli z północy. Wyprostował się i oparł plecami o szare drzwi. Dotknął głową chłodnego twardego metalu. Spanie w pozycji horyzontalnej w miejscu publicznym narusza

miejskie przepisy dotyczące włóczęgostwa. Z drugiej strony konstytucja zezwala chyba na spanie w pozycji siedzącej. Widząc kogoś leżącego w progu lub na ławce, nowojorski gliniarz włącza syrenę i ruga go przez megafon. Widząc faceta śpiącego na siedząco, posyła mu tylko groźne spojrzenie i jedzie dalej.

Radiowóz przejechał.

Reacher z powrotem się położył. Oparł głowę na splecionych dłoniach i obserwował okolicę przez przymknięte powieki.

Cztery mile na północ Edward Lane i John Gregory zjechali windą w Dakota Building. Lane trzymał w ręku wypchaną skórzaną torbę. Przy krawężniku czekało na nich w szarym porannym świetle granatowe bmw. Mężczyzna, który przyprowadził je z garażu, wysiadł i przekazał kluczyki Gregory'emu. Gregory otworzył pilotem bagażnik i Lane wrzucił tam torbę. Przyglądał jej się przez chwilę, po czym zatrzasnął klapę.

— Bez żadnych numerów — powiedział. — Po prostu zostaw samochód, kluczyki i odejdz.

— Rozumiem — odparł Gregory. Obszedł dookoła maskę, siadł za kierownicą, zapalił silnik i odjechał na zachód. A potem skręcił w Dziewiątą Aleję. O tak wczesnej porze nie powinno być żadnych korków.



W tym samym momencie cztery mile dalej na południe biały mężczyzna skręcił z Houston Street w West Broadway. Miał czterdzieści dwa lata, pięć stóp jedenastej cali wzrostu i sto dziewięćdziesiąt funtów wagi. Ubrany w bluzę z kapturem i dzinsową kurtkę, przeszedł na zachodnią stronę ulicy i zbliżył się do Prince Street. Oczy biegały mu tam i z powrotem. W lewo, w prawo, bliżej, dalej. Rekonesans. Był całkiem słusznie dumny ze swojej techniki. Niewiele rzeczy uchodziło jego uwagi. Wyobrażał sobie, że jego oczy są niczym penetrujące mrok dwa bliźniacze reflektory, przed którymi nic się nie ukryje.

Wyłuskały z mroku leżącego po lewej stronie w przejściu mężczyznę. Dużego, ale nieruchomego. Nogi ułożone jak we śnie. Głowa wtulona w ramiona i przechylona pod charakterystycznym kątem.

Pijany? Nieprzytomny?

Co to za jeden?

Facet w bluzie z kapturem zatrzymał się przed przejściem dla pieszych przy Prince Street. Zaczekał na zielone światło, mimo że ulicą nie jechał żaden samochód. Wykorzystał tę chwilę, by przyrzeć się lepiej mężczyźnie. Jego ubranie było nic niewarte, ale miał dobre buty. Skórzane, ciężkie, solidne, z porządnie obszytymi podeszwami. Prawdopodobnie angielskie. Prawdopodobnie za trzysta dolców. Może za trzysta pięćdziesiąt. Każdy z nich wart był więcej niż całe ubranie, które miał poza tym.

Co to za jeden?

Menel, który skradł komuś eleganckie buty? A może nie menel?

Chyba jednak nie menel, uznał mężczyzna w bluzie z kapturem.

Skreślił o dziewięćdziesiąt stopni i przeszedł na czerwonym świetle przez West Broadway. Ruszył prosto w stronę drzwi.



Gregory przebił się przez niewielki korek przy Czterdziestej Drugiej i przejechał na zielonych światłach aż do urzędu pocztowego przy Trzydziestej Pierwszej. A potem światła zmieniły się i przestało mu sprzyjać szczęście. Musiał zatrzymać bmw za śmieciarką i czekać. Zerknął na zegarek. Miał jeszcze mnóstwo czasu.

Mężczyzna w bluzie z kapturem zatrzymał się krok od drzwi. Wstrzymał oddech. Leżący u jego stóp facet spał dalej. Nie śmierdział. Miał zadbaną skórę. Czyste włosy. Nie był niedożywiony.

To nie był menel w skradzionych komuś butach.



Mężczyzna w bluzie z kapturem uśmiechnął się pod nosem. To był jakiś dupek z wartego milion dolców lotu na Soho, który wyszedł zabawić się na mieście, wypił o jeden kieliszek za dużo i nie dotarł do domu.

Wymarzony cel.

Dał pół kroku do przodu. Wdech i wydech. Skierował dwa bliźniacze reflektory na kieszenie brezentowych spodni. Prześwietlił je.

I zobaczył to, co spodziewał się zobaczyć.

W przedniej lewej kieszeni. Znajome urocze wyrzuszenie. Dokładnie dwa i pięć ósmych cala szerokości, pół cala grubości, trzy i ćwierć cala długości.

Zwitek banknotów.

Mężczyzna w bluzie z kapturem miał olbrzymie doświadczenie. Ujrzał to, czego nie było w ogóle widać. Kilka szeleszczących nowych dwudziestek z bankomatu, parę pomarszczonych piątek i dziesiątek z wydanej przez taksówkarza reszty, szwendające się między nimi pogniecione jednodolarówki. Razem: sto siedemdziesiąt trzy dolary. Tyle się spodziewał. Jego prognozy były na ogół trafne. Wątpił, by spotkało go rozczarowanie. Oczekiwał raczej, że będzie przyjemnie zaskoczony.

Pochylił się i wyciągnął rękę.

Koniuszkami palców podniósł górny szew kieszeni. Zrobił mały tunel. A potem rozpląszczył dłoń wewnętrzną stroną w dół i wsunął do środka wskazujący i środkowy palec, lekko, jak dwa piórka. Skrzyżował je niczym nożyczki. Wskazujący palec wsunął się pod gotówkę aż do pierwszego kłykcia. Środkowy powędrował niczym pinceta nad zgięcie banknotów. Jego opuszka docisnęła plik banknotów do paznokcia wskazującego. Mężczyzna pociągnął lekko, aby oderwać włókna banknotów od włókien wewnętrznej strony kieszeni. Zaczął je powoli i gładko wysuwać.

I w tym momencie pękł mu nadgarstek.

Dwie olbrzymie dłonie złapały jego rękę i złamały ją niczym spróchniałą gałązkę. Wszystko to stało się w mgnieniu oka, w jednej przyprawiającej o zawrót głowy eksplozji ruchu.

Z początku nawet go nie zabołało. A potem ból uderzył go niczym fala przyływu. Wówczas było już jednak za późno, żeby krzyknąć. Jedna z olbrzymich dłoni zacisnęła się na jego ustach. Miał wrażenie, jakby oberwał w twarz baseballową rękawicą.

— Mam trzy pytania — oznajmił cicho duży facet. — Jeśli powiesz mi prawdę, pozwolę ci odejść. Jeśli mnie okłamiesz, złamię ci drugą rękę. Dobrze się rozumiemy?

Duży facet prawie się nie poruszył. Wyłącznie jego ręce, raz, dwa, trzy razy, szybkie i zabójczo sprawne. Nie miał nawet przyspieszonego oddechu. Mężczyzna w bluzie z kapturem nie mógł w ogóle oddychać. Pokiwał desperacko głową.

— W porządku. Pytanie pierwsze: co tutaj robisz? — zapytał duży facet i odsunął dłoń, żeby usłyszeć odpowiedź.

— Pańskie pieniądze — odparł mężczyzna w bluzie z kapturem. Głos nie funkcjonował mu jak należy. Był zdławiony z bólu i paniki.

— Robisz to nie po raz pierwszy — stwierdził duży facet. Jego oczy były na pół przymknięte, jasnoniebieskie, beznamietne. Hipnotyzujące. Mężczyzna w bluzie nie potrafił skłamać.

— Nazywam to porannym patrolem — powiedział. — Znajduję czasami dwóch albo trzech facetów takich jak pan.

— Niezupełnie takich jak ja.

— Nie.

— Źle wybrałeś.

— Przepraszam.

— Drugie pytanie: czy jesteś sam?

— Tak, jestem sam.

— Trzecie pytanie: czy chcesz stąd odejść?

— Tak.

— Więc zrób to. Powoli i naturalnie. Idź na północ. Skręć w Prince Street. Nie biegnij. Nie oglądaj się. Po prostu zniknij. Natychmiast.



Gregory skręcił w lewo z Hudson w Houston Street i zaczął czekać chwilę na światłach na początku Siódmej Alei. Miał półtorej przecznicy do hydrantu i mniej więcej osiem minut w zapasie.

Uznał, że przed skretem w Szóstą zatrzyma się na kilka minut przy krawężniku. Powinien się tam pojawić dokładnie w wyznaczonym czasie.



Puls Reachera wrócił do normy mniej więcej po piętnastu sekundach. Wsunął pieniądze głębiej do kieszeni i podłożył ramiona pod głowę. Przekręcił ją na bok i przymknął powieki. Nie widział nikogo w pobliżu czerwonych drzwi. Nie widział, żeby ktoś im się przyglądał.



Mężczyzna w bluzie z kapturem doczłapał, podtrzymując złamany nadgarstek, do rogu Prince Street, i tam puścił się biegiem na wschód. Zatrzymał się dwie przecznice dalej i zwymiotował do rynsztoka. Przez chwilę stał zgięty wpół, opierając zdrową rękę na kolanie, a drugą trzymając w kieszeni bluzy niczym na temblaku.



Reacher nie miał zegarka, ale widząc Gregory'ego, uznał, że musi być osiem lub dziewięć minut po siódmej. Poniżej Houston Street przecznice na linii północ—południe są długie. Spacer od hydrantu przy Szóstej Alei powinien zająć osiem, dziewięć minut. A zatem Gregory zjawił się punktualnie. Szedł szybkim krokiem Spring Street od zachodu. Rękę trzymał w kieszeni marynarki. Przystanął na chodniku przy czerwonych matowych drzwiach, obrócił się z wojskową precyzją i wspiał po trzech schodkach, lekko i bez trudu, balansując na piętach i palcach stóp. Jego ręka wysunęła się z kieszeni i Reacher zobaczył błysk metalu i czarnego plastiku. Zobaczył, jak Gregory lewą ręką podnosi klapkę otworu na listy i prawą wsuwa do środka kluczyki. Zobaczył, jak opuszcza klapkę z powrotem na miejsce, odwraca się i odchodzi. Zobaczył, jak skręca w lewo w West Broadway. Nie obejrzał się. Po prostu odszedł, grając bez zarzutu powierzoną mu rolę, starając się uratować Kate Lane przed śmiercią.

Reacher utkwiał wzrok w czerwonych drzwiach. Czekał. Uznał, że to może potrwać trzy minuty. Pięć milionów dolarów to kupa forsy. Porywacze nie powinni się raczej ociągać. Kiedy tylko pierwszy facet potwierdzi, że Gregory jest w bezpiecznej odległości, drugi pojawi się przy czerwonych drzwiach. Bezpieczna odległość powinna oznaczać jedną długą przecznicę i przejście dla pieszych. Telefon powinien zadzwonić, gdy tylko Gregory znajdzie się na południe od Broome Street.

Jedna minuta.

Dwie minuty.

Trzy minuty.

Nic się nie wydarzyło.

Reacher leżał na plecach, w odprężonej niedbałej pozie. Nie zdradzał żadnych oznak zainteresowania. Ani troski.

Cztery minuty. Nic się nie wydarzyło.

Reacher miał na pół przymknięte oczy, ale wbijał wzrok w drzwi tak intensywnie, że ich szczegóły wryły mu się w pamięć. Zadrapania, rysy, smugi brudu i rdzy, graffiti. Miał wrażenie, że za pięćdziesiąt lat zdoła odmalować je tak samo wiernie jak na zdjęciu zrobionym polaroidem.

Sześć minut. Osiem. Dziewięć.

Nic się nie wydarzyło.

Chodnikiem szli najrozmaitsi ludzie, ale żaden nie zbliżył się do czerwonych drzwi. Ulicą jeździły samochody, rozładowywano ciężarówki, działały już bary i piekarnie. Ludzie z gazetami i kubkami kawy zmiierzali w stronę metra.

Nikt nie wspiał się po schodkach do czerwonych drzwi. Dwanaście minut. Piętnaście.

Czy mnie dostrzegli? — pytał się w duchu Reacher. Oczywiście, że go dostrzegli. Dostrzegł go kieszonkowiec. To nie ulegało kwestii. A tamci faceci byli sprytniejsi od wszystkich kieszonkowców. Widzieli wszystko. Ludzie, którzy potrafili załatwić weterana SAS przed domem towarowym, musieli sprawdzić bardzo dokładnie całą ulicę. Ale czy zaniepokoiła ich jego obecność? Nie, nie zaniepokoiła. Kieszonkowiec zobaczył w nim kogoś, kogo można okraść. Nic więcej. Dla ludzi tego pokroju leżący w progu menele są niczym kosze na śmieci,

skrzynki pocztowe, hydranty przeciwpożarowe i przejeżdżające taksówki. To umeblowanie ulicy. Należy do miejskiego pejzażu. W dodatku był sam. Gliniarze albo FBI pojawiliby się całą gromadą. Na ulicy kręciłby się cały tłum dziwnie wyglądających osób z brązowymi torbami, w których zamiast butelek z gorzałą schowane byłyby krótkofalówki.

A zatem widzieli go, ale się nie spłoszyli.

To co się, do diabła, stało?

Osiemnaście minut.

Hydranty przeciwpożarowe, pomyślał Reacher.

Bmw stało zaparkowane przy hydrancie. Zaczynała się godzina szczytu. Samochody holownicze nowojorskiej policji grzały silniki i wyjeżdżały z garaży żeby zacząć nowy dzień. Każdy z nich musiał wykonać swoją normę. Na jak długo można, będąc zdrowym na umyśle, zostawić pięć milionów dolców w nieprawidłowo zaparkowanym samochodzie w Nowym Jorku?

Dziewiętnaście minut.

Reacher dał za wygraną po dwudziestu. Po prostu wysunął się z niszy przy drzwiach i wstał. Przeciągnął się i pomaszerował najpierw na północ, potem na zachód do Szóstej Alei i znowu na północ Houston Street — aż do miejsca, gdzie zamontowany był hydrant.

Przy którym nie stał żaden samochód. Nie było śladu bmw.

## 8

Reacher ruszył z powrotem na południe w stronę Spring Street. Pokonanie szybkim krokiem sześciu przecznic zajęło mu siedem minut. Odnalazł Gregory'ego na chodniku, nieopodal matowych czerwonych drzwi.

— No i co? — zapytał Brytyjczyk.

Reacher potrząsnął głową.

— Nic — powiedział. — Zero akcji. Nikt się nie pojawił. Dupa błada. Czy nie tak właśnie określacie to w SAS?

— Kiedy chcemy być grzeczni — odparł Gregory.

— Samochód zniknął.

— Jak to możliwe?

— W budynku są tylne drzwi — stwierdził Reacher. — W tej chwili tylko to przychodzi mi do głowy.

— Niech to szlag.

Reacher pokiwał głową.

— Jak powiedziałem, dupa błada.

— Powinniśmy to sprawdzić. Pan Lane będzie chciał usłyszeć całą historię.

Dwa budynki dalej na zachód znaleźli boczną alejkę. Prowadząca do niej brama była zamknięta na kłódkę wielkości patelni. Nie do ruszenia. Ale dość nową. Oliwioną i często używaną. Nad bramą wisiała stalowa siatka blokująca całą szerokość alejki i wysoka na dwadzieścia stóp.

Nie sposób było wejść do środka.

Reacher cofnął się i spojrział w lewo i prawo. Ich budynek sąsiadował z prawej strony ze sklepem z czekoladą. Witryna zabezpieczona była przeciwwłamaniową żaluzją, ale widział przez nią czekoladki wielkości dzieciennych pięści. Atrapy, pomyślał. W przeciwnym razie roztopiłyby się albo zbielały. Na zapleczu sklepu paliło się światło. Reacher przyłożył dłonie do szyby i zajrzał do środka. Zobaczył krzątającą się niedużą ciemną postać. Walnął głośno w drzwi otwartą dłonią. Nieduża postać przestała się krzątać, obróciła ku niemu twarzą i wskazała tabliczkę, która znajdowała się na wysokości pasa po jego prawej stronie. **GODZINY OTWARCIA 10—22**, głosił elegancko tłoczony napis. Reacher potrząsnął głową i dał znak postaci, żeby podeszła bliżej. Ta wzruszyła ze zniecierpliwieniem ramionami i ruszyła w jego stronę. To była kobieta. Niska, ciemna, młoda i zmęczona. Otworzyła kilka skomplikowanych zamków i uchyliła drzwi zabezpieczone grubym stalowym łańcuchem.

— Nieczynne — oznajmiła.

— Wydział sanitarny — skłamał gładko Reacher.

— Nie wygląda mi pan na wydział sanitarny — odparła kobieta.

I miała rację. Reacher mógł być przekonujący jako menel w bramie, ale nie był w stanie podszyć się pod miejskiego urzędnika. Wskazał więc Gregory'ego, w jego eleganckim popielatym garniturze.

— On pracuje w urzędzie miejskim — powiedział. — Ja mu tylko towarzyszę.

— Dopiero co miałam inspekcję — poskarżyła się kobieta.

— Chodzi o sąsiedni budynek.

— To znaczy?

Reacher zerknął ponad jej ramieniem do środka. Sklep z luksusowymi słodyczami, których tak naprawdę mało kto potrzebuje do szczęścia. Z tego względu niezbyt stała klientela. I czująca się niezbyt pewnie właścicielka.

Szczury — wyjaśnił. — Jestem deratyzatorem. Mieliśmy doniesienia.

Kobieta umilkła.

— Ma pani klucz do bocznej bramy? — zapytał Gregory. Kobieta kiwnęła głową.

— Ale jeśli chcecie, możecie przejść przez sklep. Tak będzie szybciej.

Zdjęła łańcuch z drzwi. Wpuściła ich do pomieszczenia, w którym unosił się intensywny zapach kakaowych ziaren. Z przodu urządzony był sklep, tylną część zajmowała kuchnia. Nagrzewające się piece. Dziesiątki błyszczących tac. Mleko, masło, cukier. Kotły z rozpuszczającą się czekoladą. Tylne drzwi przy końcu krótkiego, wyłożonego kafelkami korytarzyka. Kobieta wyprowadziła ich na zewnątrz i Reacher wraz z Gregorym znaleźli się pośrodku ceglanej alejki wystarczająco szerokiej, by zmieściły się tam wózki i furgony, jakie jeździły na początku dwudziestego wieku. Alejka biegła ze wschodu na zachód wzdłuż całej przecznicy, z bramą przy Thompson Street z jednej strony i odnogą do bramy przy Spring Street, którą przed chwilą obejrzeli, z drugiej strony. Budynek, którym byli zainteresowani, z tyłu wyglądał tak samo paskudnie jak z przodu. Może nawet gorzej. Mniej graffiti, więcej brudu. Popękane od mrozu cegły, omszałe ciekące rynny.

Jedno okno na parterze. I tylne drzwi — w takim samym kolorze matowej czerwieni jak frontowe, ale jeszcze bardziej sfatygowane. Wyglądały, jakby drewno obite zostało stalową blachą pomalowaną po raz ostatni przez szukającego pracy weterana wojny w Korei. Albo drugiej wojny światowej. Niewykluczone, że pierwszej. Jednak zamontowany w nich zamek był nowoczesny: porządna, solidna zasuwka. Klamka miała staroświecką mosiężną gałkę, czarną i podziurawioną ze starości. Reacher złapał ją i pociągnął. Drzwi ustąpiły odrobinę, a potem zatrzymały się na stalowym ryglu zamka.

Nie sposób było dostać się do środka.

Reacher zawrócił i wszedł z powrotem do sklepu z czekoladą. Kobieta wyciskała brązowe krople roztopionej czekolady z zakończzonego srebrną końcówką brezentowego worka, stawiając je co dwa cale na blasze do pieczenia.

— Chce pan oblizać łyżkę? — zapytała, widząc, że Reacher się jej przygląda.



— Widziała pani kogokolwiek w sąsiednim domu?  
— Nikogo.  
— Może tylko jak wchodzi lub wychodzi?  
— Nigdy — odparła. — To opuszczony budynek.  
— Jest pani tutaj dzień w dzień?  
— Od wpół do ósmej rano. Zaraz po wejściu włączam piec  
i wyłączam je dopiero o dziesiątej wieczorem. Potem sprzą-  
tam i wychodzą stąd o wpół do dwunastej w nocy. Szesnasto-  
godzinny dzień pracy. Dokładnie jak w zegarku.

- Przez siedem dni w tygodniu?
- Mały biznes. Nigdy nie odpoczywamy.
- Ciężkie życie.
- Pan też nie ma lekko.
- Ja?
- Ze szczurami w tym mieście.

Reacher pokiwał głową.

— Kto jest właścicielem sąsiedniego budynku?  
— Nie wie pan? — zdziwiła się kobieta. — Pracuje pan  
przecież dla urzędu miasta.

— Mogłaby mi pani zaoszczędzić trochę czasu — wyjaśnił  
Reacher. — W archiwum mamy kosmiczny bałagan.

— Nie mam pojęcia — odparła kobieta.  
— W porządku — powiedział. — Życzę miłego dnia.  
— Niech pan rzuci okiem na pozwolenia na budowę we  
frontowym oknie. Jest tam kilka numerów telefonów. Prawdopodobnie również właściciela. Powinien pan zobaczyć, ile  
papierów musiałam zebrać, żeby otworzyć ten sklep.

- Dzięki — odrzekł Reacher.
- Chce pan czekoladkę?
- Nie na służbie.

Wyszedł wraz z Gregorym na ulicę, skręcił w prawo i pod-  
szedł do okna interesującego ich budynku, całego zasłoniętego  
ciemną tkaniną. Od wewnętrznej strony naklejonych było kil-  
kanaście zezwoleń. Szyba została pobrudzona kopciem, ze-  
zwolenia pożółkły i pozwijały się. Ważność wszystkich dawno  
już wygasła. Ale wciąż widniały na nich zapisane czarnym  
flamastrem telefony osób współpracujących przy niezrealizo-

wanym projekcie: architekta, dewelopera i właściciela. Gregory nie przepisał ich, ale wyjął małą srebrną komórkę i zrobił zdjęcie. A potem użył jej ponownie, tym razem, by zadzwonić do apartamentu w Dakota Building.

— Wracam — powiedział.

Razem z Reacherem skierowali się na zachód do Szóstej Alei i przejechali osiem przystanków na północ linią metra C — aż do Siedemdziesiątej Drugiej Ulicy. Wyszli na górę tuż przy Strawberry Fields i punktualnie o wpół do dziewiątej przekroczyli próg Dakota Building.

• • •

Kobieta, która obserwowała dom, zobaczyła, jak do niego wchodzi, i zanotowała godzinę.

## 9

Złe wieści doprowadziły Lane'a do pasji. Reacher, który uważnie go obserwował, widział, że próbuje nad sobą zapanować. Chodził tam i z powrotem po salonie, zaciskając palce i drapiąc się w dłonie.

— Wnioski? — rzucił. Niczym rozkaz. Niczym upoważnienie.

— Koryguję moje wcześniejsze wnioski — powiedział Reacher. — Może nie ma trzech facetów. Może jest tylko dwóch. Jeden pilnuje przez cały czas Kate i Jade, drugi przyjeżdża do miasta sam. Tak naprawdę nie musi obserwować, jak Gregory odchodzi West Broadwayem, ponieważ ma zamiar skorzystać z tylnych drzwi. Czeka w alejce, jest niewidoczny.

— Dużo ryzykuje. Lepiej być na ulicy, na otwartym terenie. Reacher pokręcił głową.

— Porywacze odrobili starannie pracę domową. Kobieta z sąsiedniego budynku jest tam od wpół do ósmej rano do wpół do dwunastej w nocy. To wyjaśnia, dlaczego wyznaczyli nam takie godziny. O siódmej, jeszcze przed jej przyjściem. O dwudziestej trzeciej czterdzieści za pierwszym razem, zaraz po jej wyjściu. Dwudziesta trzecia czterdzieści to godzina wybrana z dziwną precyzją, nie sądzi pan? Musiał być jakiś powód, dla którego odpowiadała im akurat taka pora.

Edward Lane nie odezwał się.

— A może jest tylko jeden facet — powiedział Reacher. — Który działa na własną ręką. To możliwe. Jeżeli Kate i Jade są bezpieczne na północy stanu, facet mógł tu przyjeżdżać sam.

— Bezpieczne?

— Bezpiecznie zamknięte. Być może związane i zakneblowane.

— Przez dwanaście godzin? Kiedy on jeździ tam i z powrotem?

— To jest porwanie. Nie sanatorium.

— Tylko jeden facet?

— Niewykluczone. I może wcale nie było go w alejce. Może siedział wewnątrz budynku, tuż za frontowymi drzwiami. Może Gregory rzucił mu kluczyki prosto do ręki.

— Czy jeszcze zadzwonią? — zapytał Lane. — Czy jeszcze zadzwoni?

— Za cztery godziny zacznie się ten sam spór.

— I?

— Co by pan zrobił?

Lane nie odpowiedział bezpośrednio na jego pytanie.

— Jak może się spierać, skoro jest sam jeden? — zapytał.

— Spiera się z samym sobą — odparł Reacher. — A to najtrudniejszy spór, jaki można toczyć.

Lane chodził dalej po pokoju, ale przestał zaciskać pięści. Zupełnie jakby przyszła mu do głowy jakaś nowa myśl. Reacher spodziewał się tego. Zaraz się zacznie, pomyślał.

— Załóżmy, że ma pan rację — oznajmił Lane. — Może wcale nie jest ich trzech.

Reacher nie odezwał się.

— Tylko czterech — ciągnął Lane. — I to pan jest tym czwartym. Może dlatego był pan w tej kafejce o pierwszej w nocy. Osłaniał pan tyły. Pilnował pan, żeby pański kumpel bezpiecznie odjechał.

Reacher nie odezwał się.

— To pan zdecydował, żeby obserwować dziś rano drzwi frontowe. Ponieważ wiedział pan, że nic się tam nie wydarzy. Powinien pan obserwować samochód. Powinien pan być na Szóstej Alei, nie na Spring Street. I wiedział pan, że zażądamy jeszcze pięciu milionów. Jest pan jednym z nich, prawda?

W pokoju zapadła cisza.

— Dwa pytania — odpowiedział Reacher. — Po co miałbym wracać do kafejki następnego wieczoru? Następnego wieczoru nic się nie działo. I gdybym był jednym z nich, po co miałbym mówić Gregory'emu, że nic nie widziałem?

— Ponieważ chciał pan zdobyć nasze zaufanie i skierować nas w złą stronę. Wiedział pan, że wyślę kogoś, żeby poszukał świadków. To było oczywiste. I czekał pan na niego niczym pajak czyhający na muchę.

Lane rozejrzał się po salonie. Reacher pobiegł za jego wzrokiem. Sześciu weteranów sił specjalnych wbijało w niego twarde, niechętny wzrok — wszyscy co do jednego pełni wrogości, z jaką traktuje się obcego, pełni podejrzliwości, z jaką frontowy żołnierz traktuje żandarma. Przyjrzał się sześciu twarzom, na których malował się ten sam wyraz. A potem spojrział na fotografię Kate Lane.

— Szkoda — mruknął. — Pańska żona jest piękną kobietą, panie Lane. Pańska córka jest uroczym dzieckiem. I jeśli chce pan je odzyskać, ja jestem pańską jedyną nadzieją. Ponieważ jak już powiedziałem, ci faceci mogą rozpętać wojnę, ale nie potrafią poprowadzić śledztwa. Nie zdołają odnaleźć tego, czego pan szuka. Znam ich jak zły szeląg. Faceci ich pokroju nie potrafią odnaleźć własnych tyłków, jeśli nie da im się lusterka na kiju.

Nikt się nie odezwał.

— Wiecie, gdzie mieszkam? — zapytał Reacher.

— Mogę się tego dowiedzieć — rzekł Lane.

— Nie może pan — odparł Reacher. — Ponieważ tak naprawdę nigdzie nie mieszkam. Przenoszę się z miejsca na miejsce. To tu, to tam, wszędzie. Jeśli postanowię stąd dzisiaj wyjść, żaden z was już nigdy mnie nie zobaczy. Możecie być tego pewni.

Lane nie odpowiedział.

— I dlatego nigdy już nie zobaczycie Kate — dodał Reacher — Tego też możecie być pewni.

- Nie wyszedłbyś stąd żywy — powiedział Lane. — Chyba żeby ci pozwolił.

Reacher pokręcił głową.

— Nie użylibyście tutaj broni palnej. Nie w Dakota Building. Jestem pewien, że naruszyłyby to warunki użytkowania waszego apartamentu. A ja nie boję się walki wręcz. Nie przeciwko takim małym facetom jak wy. Pamiętacie, jak to było w wojsku, prawda? Jeśli któryś z was narozrabiał, kogo wzywaliście? Kogoś ze sto dziesiątej specjalnej. Żeby poskromić twardych wojaków, potrzebni są jeszcze twardsi gliniarze. Ja byłem jednym z tych gliniarzy. I chętnie znowu nim zostanę. W starciu przeciwko wam wszystkim, jeżeli macie ochotę.

Nikt się nie odezwał.

— Nie jestem tutaj, żeby was skierować w złą stronę — dodał Reacher. — Gdybym chciał was skierować w złą stronę, dałbym wam dziś rano rysopisy dwóch wyimaginowanych facetów. Niskich, wysokich, grubych, chudych, do wyboru. Eskimosów w futrzanych czapach. Afrykanów w plemiennych strojach. Kazałbym wam ścigać cienie po całym mieście. Ale nie zrobiłem tego. Wróciłem tutaj i powiedziałem, że jest mi przykro, ponieważ na razie nie mogę was skierować w żadną stronę. Ponieważ jest mi przykro. Naprawdę. Jest mi przykro z powodu całej tej choleralnej historii.

Nikt się nie odezwał.

— Ale nie wolno wam załamywać rąk — ciągnął Reacher. — Nikomu z nas nie wolno. Sprawy takie jak ta nigdy nie są łatwe.

W pokoju nadal panowała cisza. A potem Lane wypuścił z płuc powietrze. Pokiwał głową.

— Przepraszam. Z całego serca przepraszam. Proszę mi wybaczyć. To przez ten stres.

— Nie ma sprawy — odparł Reacher.

— Milion dolarów za odnalezienie mojej żony — oznajmił Lane.

— Dla mnie?

— Jako honorarium.

— To znacząca podwyżka. Przed kilku godzinami mówił pan o dwudziestu pięciu tysiącach.

— Sytuacja jest poważniejsza niż przed kilku godzinami.

Reacher nie odpowiedział.

— Zgadza się pały? — zapytał Lane.

— Porozmawiamy o honorarium później — odparł Reacher. — Jeżeli mi się uda.

— Jeżeli?

— Sytuacja jest daleka od rozstrzygnięcia. Sukces zależy od tego, jak długo uda nam się to kontynuować.

— Czy jeszcze zadzwonią?

— Tak. Sądę, że zadzwonią.

— Dlaczego pan wymienił Afrykanów?

— Kiedy?

— Przed chwilą. Wspomniał pan o Afrykanach w plemiennych strojach. Jako przykład fikcyjnego rysopisu.

— Wspomniałem o nich przykładowo. Jak pan sam powiedział.

— Co pan wie o Afryce?

— To duży kontynent, leży na południe od Europy. Nigdy tam nie byłem.

— Co teraz zrobimy?

— Zastanowimy się — odparł Reacher.

• • •

Lane zaszył się w swoim gabinecie, jego pięciu podwładnych wyszło, żeby zjeść śniadanie. Reacher został w salonie, Gregory dotrzymywał mu towarzysztwa. Usiedli naprzeciwko siebie na niskich sofach, oddzieleni stolikiem do kawy. Blat był z politurowanego mahoniu. Sofy obite kwiecistym perkalem. Leżały na nich aksamitne poduszki. Biorąc pod uwagę problemy, z którymi przyszło im się zmierzyć, cały pokój wydawał się przesadnie elegancki, przestylizowany, przyozdobiony. I całkowicie dominował w nim portret Kate Lane. Jej oczy były wszędzie.

Zdoła pan ją ocalić? — zapytał Gregory.

Nie wiem — odparł Reacher. — Tego rodzaju historie na ogół nie kończą się dobrze. Porwanie to brutalna sprawa. Na ogół nie różni się zbytnio od zabójstwa. To praktycznie to samo, tyle że przesunięte w czasie.

— To defetystyczne podejście.  
— Raczej realistyczne.  
— Czy mamy w ogóle jakieś szanse?  
— Mamy, jeżeli jesteśmy dopiero w połowie drogi. Jeżeli zbliżamy się do końca, szanse są prawdopodobnie zerowe. Nie wpadłem na razie na żaden trop. W przypadku każdego porwania najtrudniejsza jest na ogół końcówka.

— Myśli pan, że naprawdę byli w tym budynku, kiedy wrzucałem kluczyki?

— To niewykluczone. I całkiem sensowne. Po co czekać na zewnątrz, skoro można zaczekać w środku?

— No dobrze — mruknął Gregory. — A co pan powie na to? Tam jest ich baza wypadowa. Tam właśnie się zaszyli. Nie na północy stanu.

— A gdzie są samochody?

— W garażach, w różnych częściach miasta.

— Po co wyznaczili pięciogodzinne okresy oczekiwania?

— Żeby wprowadzić nas w błąd.

— To byłby wyjątkowo ryzykowny blef — uznał Reacher. — Zaprowadziliby nas prosto do siebie. Dali dokładny adres.

— Ale to możliwe.

Reacher wzruszył ramionami.

— W bardzo małym stopniu. Ale zdarzały się dziwniejsze rzeczy. Niech pan zadzwoni pod te numery. Sprawdzi, co się da. Jeśli to możliwe, załatwi spotkanie z kimś, kto ma klucze. Ale nie tutaj. Na rogu Thompson Street. Gdzieś na uboczu. Na wszelki wypadek.

— Kiedy?

— Zaraz. Musimy tu wrócić, nim ponownie zadzwonią.

• • •

Reacher zostawił Gregory'ego siedzącego na sofie z komórką w ręku i zajął do gabinetu. Lane tkwił bezproduktywnie za biurkiem. Po prostu bujał się w fotelu i przyglądał stojącym przed nim bliźniaczym fotografiom. Swoim dwóm żonom. Tej utraconej. I tej, którą mógł utracić.



— Czy FBI znalazło sprawców? — zapytał Reacher. — Za pierwszym razem, po porwaniu Anne?

Lane pokręcił głową.

— Ale pan wiedział, kim byli.

— Wtedy nie wiedziałem.

— Lecz później się pan dowiedział.

— Tak pan sądzi?

— Niech pan mi powie, jak pan się dowiedział.

— To stało się kluczowym pytaniem. Kto mógł zrobić coś takiego? Z początku nikt nie przychodził mi do głowy. Ale ktoś to najwyraźniej zrobił, więc poszerzyłem krąg podejrzanych. W tym momencie mógł się w nim znaleźć prawie każdy. Nie mieściło mi się to w głowie.

— Zdziwiał mnie pan. W świecie, w którym się pan obraca, porwanie zakładników to normalka.

— Tak pan sądzi?

— Mówię o zagranicznych konfliktach — wyjaśnił Reacher. — Nieregularnych siłach zbrojnych.

— Ale to była wewnętrzna sprawa. Rozgrywająca się tuż pod nosem, tu, w Nowym Jorku. I porwano moją żonę, a nie kogoś z moich ludzi.

— Ale odnalazł pan sprawców.

— Tak pan sądzi?

Reacher pokiwał głową.

— Nie zapytał pan, czy moim zdaniem mogli to być ci sami ludzie. Nie spekuluje pan na ten temat. Ma pan po prostu pewność, że to nie oni.

Lane nie odezwał się.

— Jak pan ich odnalazł? — zapytał Reacher.

— Ktoś usłyszał, że ktoś coś chlapanął. Mówię o środowisku handlarzy bronią.

— I co?

- Była mowa o czterech facetach, którzy dowiedzieli się o ubitym przeze mnie interesie i doszli do wniosku, że mam dużą forszę.

Co się stało z tymi czterema facetami?

- Co by pan z nimi zrobił?

— Dopilnowałbym, żeby nie zrobili tego ponownie. — Lane pokiwał głową. — Ograniczmy się do stwierdzenia, że jestem całkowicie pewien, że to nie są ci sami ludzie.

— Słyszał pan ostatnio, żeby ktoś coś znowu chlapnął? — zainteresował się Reacher.

— Ani słowa.

— Jakiś rywal w pana branży?

— Nie mam rywali w mojej branży. Mam tylko podwładnych i młodszych wspólników. Nawet gdybym miał rywali, nie zrobiliby czegoś takiego. To równałoby się samobójstwu. Wiedzieliby, że wcześniej czy później na siebie trafimy. Czy zrobiłby pan sobie wrogów z grupy uzbrojonych ludzi, na których może się pan natknąć gdzieś na końcu świata?

Reacher nie odpowiedział.

— Czy zadzwonią ponownie?

— Moim zdaniem tak.

— Czego zażądają?

— Dziesięciu milionów — odparł Reacher. — To następny krok. Jeden, pięć, dziesięć, dwadzieścia.

Lane ciężko westchnął.

— To dwie torby. Nie zmieszczę dziesięciu milionów w jednej torbie.

Tylko taka była jego reakcja. Sześć milionów już poszło, pomyślał Reacher. Plus milion, który mi obiecał, plus kolejne dziesięć. To daje razem siedemnaście milionów. Facet może stracić siedemnaście milionów dolarów, ale nawet nie mrugnął.

— Kiedy zadzwonią? — zapytał Lane.

— Trzeba odliczyć czas na jazdę i na obranie strategii — odparł Reacher. — Późnym popołudniem, wczesnym wieczorem. Nie wcześniej.

Lane w dalszym ciągu bujał się w fotelu. Zapadło milczenie. Po jakimś czasie ktoś zapukał cicho do drzwi i do pokoju zajrzał Gregory.

— Mam to, czego potrzebowaliśmy — powiedział do Reachera, nie do Lane'a. — Dom przy Spring Street należy do zrujnowanego dewelopera. Jeden z jego prawników spotka się

tam z nami za godzinę. Powiedziałem, że jesteśmy zainteresowani kupnem domu.

— Dobra robota — mruknął Reacher.

— Może powinien pan skorygować to, co mówił pan o lusterku na kiju?

— Może powinienem. Niewykluczone, że zrobię to któregoś dnia.

— No to chodźmy.



Na Siedemdziesiątej Drugiej Ulicy czekało na nich przy krawężniku kolejne nowe bmw z serii siódemek. Tym razem w kolorze czarnym. Kierowca nie wysiadł. Gregory i Reacher zajęli miejsca z tyłu. Kobieta, która obserwowała dom, zobaczyła, jak odjeżdżają, i zanotowała godzinę.

# 10

Facet z firmy prawniczej, która reprezentowała zrujnowanego dewelopera, miał trzydzieści lat i piskliwy głos. Klucze wypychały mu kieszenie garnituru. Jego firma specjalizowała się najwyraźniej w nieruchomościach, których sprzedaż sprawiało problemy. Gregory pokazał mu wizytówkę OSC i przedstawił Reachera jako przedsiębiorcę budowlanego, z którego opinią się liczy.

— Czy budynek nadaje się do zamieszkania? — zapytał. — Mam na myśli w tej chwili?

— Martwi się pan, czy nie ma tam dzikich lokatorów? — odparł facet o piskliwym głosie.

— Dzikich albo legalnych — rzekł Gregory. — Kogokolwiek.

— Nikt tam nie mieszka — zapewnił go facet. — Ręczę za to. Nie ma tam wody, prądu, gazu ani działającej kanalizacji. Poza tym, jeżeli myślimy o tym samym budynku, jest jeszcze jeden fakt, który raczej wyklucza obecność lokatorów.

Pożonglował przez chwilę kluczami i otworzył bramę przy Thompson Street. Trzej mężczyźni ruszyli razem na wschód, minęli sklep z czekoladą i podeszli do czerwonych tylnych drzwi.

— Chwileczkę — powiedział Gregory i odwrócił się do Reachera. — Jeżeli oni tam są—szepnął — musimy zastanowić się, jak to rozegrać. Moglibyśmy ich od razu obu załatwić.

— Mało prawdopodobne, żeby byli w środku — odparł Reacher.

— Trzeba zawsze szykować się na najgorsze.

Reacher pokiwał głową, po czym dał krok do tyłu i przyjrzał się oknom na górze. Były czarne od brudu i szczelnie zasłonięte zakurzonymi czarnymi zasłonami. Nawet tutaj docierał głośny uliczny hałas. Nikt w środku nie powinien ich usłyszeć.

— Co robimy? — zainteresował się Gregory.

Reacher rozejrzał się z wahaniem dookoła.

— Dlaczego jest pan taki pewien, że w środku nikogo nie ma? — zapytał, podchodząc do faceta z firmy prawniczej.

— Zaraz panu pokażę — odparł tamten, po czym przekręcił klucz w zamku, otworzył drzwi i podniósł rękę, powstrzymując Gregory'ego i Reachera przed wejściem do środka. Budynek nie nadawał się do zamieszkania również dlatego, że nie miał w środku podłóg.

Pod drzwiami ziała głęboka na dziesięć stóp dziura. Na jej dnie była podłoga piwnicy, usłana sięgającą do kolan warstwą śmieci. Wyżej nie było nic. Wyłącznie pięćdziesiąt stóp mrocznej pustki aż po krokwie dachu. Budynek przypominał postawione na sztorc gigantyczne pudełko na buty. W ciemności widać było niewyraźne kikuty legarów, na których wspierała się niegdyś podłoga. Ucięto je równo ze ścianami. Granice między różnymi pomieszczeniami można było poznać po odmiennych tapetach i pionowych śladach ścian działowych.

— Widzicie? — rzekł facet z firmy prawniczej. — Chyba nie nadaje się do zamieszkania?

Niedaleko tylnych drzwi stała stara wysoka drewniana drabina. Zwinna osoba mogła złapać się framugi, wychylić w bok, postawić stopę na szczeblu i zejść na dół. Ktoś taki mógł następnie przedrzeć się z latarką przez sterty śmieci aż do frontowych drzwi i zabrać stamtąd to, co spadło z wysokości trzynastu stóp przez otwór na listy. Ktoś taki mógł również czekać tam od razu na dole i złapać to, co spadło przez otwór, niczym baseballista łapiący piłkę na wewnętrznym polu.

- Ta drabina zawsze tu stała? — zapytał Reacher.

— Nie pamiętam.

— Kto jeszcze ma klucze do domu?

— Niech pan lepiej zapyta, kto ich nie ma. Ten dom stoi pusty prawie od dwudziestu lat. Tylko ostatni właściciel miał przynajmniej sześć różnych pomysłów, co z nim zrobić. To oznacza sześciu architektów, sześciu wykonawców i Bóg wie kogo jeszcze. A kto wie, co działo się wcześniej? Przede wszystkim musicie zmienić zamki.

— Nie interesuje nas ten dom — stwierdził Gregory. — Szukaliśmy budynku, do którego można by się od razu wprowadzić. Co najwyżej maznać trochę farby. Ale ten dom zdecydowanie odpada.

— Możemy być elastyczni w kwestii ceny — mruknął facet.

— Za taką ruderę mogę dać najwyżej dolara — odparł Gregory.

— Marnujecie mój czas — powiedział facet.

Pochylił się nad czeluścią i zatrzasnął drzwi. A potem zamknął je na klucz i bez słowa ruszył z powrotem alejką. Reacher i Gregory towarzyszyli mu do Thompson Street. Facet zamknął bramę i odszedł na południe. Reacher i Gregory przystanęli na chodniku.

— Więc to nie jest ich baza — rzekł Gregory ze swoim rwanym brytyjskim akcentem.

— Lusterko na kiju — mruknął Reacher.

— To tylko miejsce odbioru kluczyków. Muszą biegać po tej drabinie jak tresowane małpy.

— Pewnie ma pan rację.

— Następnym razem powinniśmy obserwować alejkę.

— Pewnie powinniśmy.

— Jeżeli będzie w ogóle następny raz.

— Będzie — zapewnił go Reacher.

— Przecież mają już sześć milionów. Musi nadejść moment, kiedy uznają, że wystarczy.

Reacher przypomniał sobie dłoń obmacującego jego spodnie kieszonkowca.

— Spójrz na południe — powiedział. — Tam jest Wall Street. Albo przespaceruj się po Greene Street i pooglądaj wystawy. Nie ma takiej rzeczy jak „wystarczy”.

- Dla mnie jest.
- Dla mnie też — odparł Reacher.
- O to mi chodzi. Mogą być po prostu do nas podobni.
- Niekoniecznie podobni. Ja nigdy nikogo nie porwałem.

A ty?

Gregory nie odpowiedział na jego pytanie. Trzydzieści sześć minut później obaj mężczyźni weszli z powrotem do Dakota Building, a kobieta, która obserwowała budynek, dokonała kolejnego wpisu w swoim dzienniku.

# 11

Reacher zjadł późne śniadanie, które dostarczono mu z pobliskiego baru na rachunek Edwarda Lane'a. Skonsumował je sam w kuchni, a potem położył się na sofie i rozmyślał aż do chwili, gdy był zbyt zmęczony, by myśleć dalej. Wtedy przymknął powieki i czekając na dzwonek telefonu, zapadł w drzemkę.



Kate i Jade również zasnęły. Taka jest kolej rzeczy. Ponieważ nie mogły zasnąć w nocy, zmęczenie wzięło górę w ciągu dnia. Leżały na wąskich łóżkach, blisko siebie, pogrążone w głębokim śnie. Samotny mężczyzna otworzył cicho drzwi, przez chwilę im się przyglądał, a potem wycofał się na korytarz i zostawił je same. Nie ma pośpiechu, pomyślał. Ta konkretna faza operacji sprawiała mu w gruncie rzeczy przyjemność. Uwielbiał ryzyko. Zawsze tak było. Nie było sensu temu zaprzeczać. To czyniło go tym, kim był.

Reacher obudził się i zobaczył, że oprócz niego w salonie jest tylko Carter Groom. Facet o rekinich oczach. Siedział w fotelu i nic nie robił.

— Pełni pan wartę? — zapytał Reacher.

— Trudno pana uznać za więźnia — odparł Groom. — Stoi pan w kolejce po milion dolców.



- Przeszkadza to panu?
- Niekoniecznie. Jeśli ją pan znajdzie, będzie się panu należało. Pracownik jest wart swojej zapłaty. Tak stoi w Biblii.
- Często ją pan woził?
- Dość często.
- Gdzie siedziały, kiedy była z nią Jade?
- Pani Lane zawsze jeździła z przodu. Całe to wożenie po mieście wprawiało ją w gruncie rzeczy w zakłopotanie. Dzieciak OC2ywiście z tyłu.
- Gdzie pan służył?
- W Recon Marines — odparł Groom. — W stopniu starszego sierżanta.
- Jak by pan rozegrał to, co wydarzyło się przy Bloomingdale'u?
- Jako porywacz czy ochroniarz?
- Porywacz.
- Ilu miałbym ludzi?
- Czy to ma jakieś znaczenie?

Groom zastanawiał się przez niecałą sekundę i potrząsnął głową.

— Ważny jest prowadzący. Prowadzący może być jedynym porywaczem.

- Więc jak to mogło wyglądać?
- Jest tylko jeden sposób, żeby to czysto rozegrać — powiedział Groom. — Trzeba załatwić wszystko w samochodzie, zanim jeszcze wysiądą. Bloomingdale stoi po wschodniej stronie Lexington Avenue, która jest jednokierunkowa i jedzie się nią na południe. Taylor zjechał pewnie na lewo i zatrzymał się przed głównym wejściem. W drugim rzędzie, tylko na moment. Dokładnie wtedy nasz facet łapie za klamkę i siada tuż przy dzieciaku. Mała siedzi zapięta pasami za matką. Nasz facet celuje prosto w głowę dziecka, łapie je wolną ręką za włosy i mocno trzyma. W tym momencie gra jest skończona. Nikt na ulicy nie zwraca na nich uwagi. Myślą, że samochód zatrzymał się, żeby kogoś zabrać, a nie kogoś wysadzić. A Taylor będzie od tej chwili robił to, co mu tamten każe. Jaki ma wybór? Obok siebie ma krzyczącą panią Lane. Poza tym co

może zrobić? Nie może zwolnić dźwigni i pchnąć swojego fotela na faceta, bo jaguar ma elektrycznie przesuwane siedzenia. Nie może odwrócić się i walczyć, ponieważ dziecko jest na muszce. Nie może ruszyć z miejsca i próbować gwałtownych manewrów, ponieważ wszyscy jadą powoli, a facet trzyma dziecko za włosy i na pewno nie wypadnie. W tym momencie gra jest skończona.

— Co potem?

— Potem nasz facet każe Taylorowi pojechać w jakieś odludne miejsce. Może w mieście, może gdzieś za miastem. Tam zabija go strzałem w plecy, przez siedzenie, żeby nie uszkodzić przedniej szyby. Każe pani Lane wyrzucić go z samochodu. Potem każe jej prowadzić przez resztę drogi. Sam siedzi z tyłu razem z dzieckiem.

Reacher pokiwał głową.

— Ja też tak to widzę.

— Współczuję Taylorowi — powiedział Groom. — Wie pan, w tym ostatnim momencie, kiedy facet każe mu zjechać na bok, wrzucić bieg na parkowanie i siedzieć prosto. Taylor musiał wiedzieć, co go czeka.

Reacher nie odezwał się.

— Nie odnaleźli jeszcze jego ciała — dodał Groom.

— To pana napawa optymizmem?

Groom pokręcił głową.

— To znaczy tylko tyle, że znajduje się w jakimś słabo zaludnionym miejscu. To kwestia wyboru mniejszego ryzyka. Chce się pan go pozbyć jak najwcześniej, ale z drugiej strony nie zabija go pan, póki nie znajdziecie się w bezpiecznym miejscu. Taylor leży najprawdopodobniej gdzieś na odludziu i dobierają się do niego kojoty. Nie wiadomo, czy ktoś go znajdzie, zanim go całego zeżrą.

— Od jak dawna byliście razem?

— Od trzech lat.

— Lubił go pan?

— Był w porządku.

— Czy był dobry?

— Pytał pan już o to Gregory'ego.

— Gregory mógł nie być obiektywny. Służyli w tej samej jednostce. Byli Brytyjczykami służącymi za granicą. Jakie jest pańskie zdanie?

— Był dobry — odparł Groom. — SAS to dobra jednostka. Może nawet lepsza od Delty. Brytyjczycy są na ogół bardziej bezwzględni. Mają to w genach. Bardzo długo rządzą światem, między innymi dlatego, że nie byli mili. W mojej opinii weteran SAS może ustępować najwyżej weteranowi Recon Marines. Więc owszem, Gregory miał rację. Taylor był dobry.

— Jaki był jako człowiek?

— Poza służbą delikatny. Dobrze dogadywał się z małą. Pani Lane chyba go lubiła. Mamy tutaj dwa rodzaje ludzi. Krąg wewnętrzny i krąg zewnętrzny. Taylor należał do wewnętrznego. Ja należę do zewnętrznego. Dla mnie liczą się tylko sprawy zawodowe. Towarzysko jestem do niczego, przyznaję. Poza akcją praktycznie nie istnieję. Niektórzy z nas potrafią być dobrzy i w jednym, i w drugim.

— Był tu pan przed pięciu laty?

— Kiedy porwano Anne? Nie, pojawiłem się zaraz potem. Ale między jednym i drugim nie ma żadnego związku.

— Tak słyszałem — mruknął Reacher.



Zegarek w głowie Reachera wskazywał około wpół do piątej po południu. Dla Kate i Jade był to trzeci dzień. Od uprowadzenia minęły mniej więcej pięćdziesiąt cztery godziny. Pięćdziesiąt cztery godziny to bardzo długi okres jak na porwanie. Większość kończy się po niecałych dwudziestu czterech godzinach, dobrze albo źle. Większość stróżów prawa daje za wygraną po trzydziestu sześciu. Każda mijająca minuta pogarsza rokowania na pomyślny finał.

Mniej więcej za kwadrans piąta Lane wrócił do salonu i zaczęli wchodzić pozostali. Gregory, Addison, Burke, Kowalski, Perez. Bez specjalnej zapowiedzi zaczęło się znowu czuwanie przy telefonie. Lane stanął przy stole. Inni ulokowali się w innych częściach pokoju, spoglądając nieodmiennie w jedną stronę, do środka. Nie było wątpliwości, co przykuwa ich uwagę.

Ale telefon nie dzwonił.

— Czy ten aparat ma funkcją głośnomówiącą? — zapytał Reacher.

— Nie — odparł Lane.

— A w gabinecie?

— Nie mogę tego zrobić — oznajmił Lane. — To byłaby zmiana reguł gry. Wyprowadziłaby ich z równowagi.

Telefon nie dzwonił.

— Nie traćcie ducha — powiedział Reacher.

• • •

Kobieta, która obserwowała dom z apartamentu po drugiej stronie ulicy, podniosła słuchawkę i wybrała numer.

## 12

Kobieta w apartamencie po drugiej stronie ulicy nazywała się Patricia Joseph, Patti dla jej niewielu przyjaciół, i dzwoniła do nowojorskiego policjanta o nazwisku Brewer. Miała jego domowy numer. Brewer odebrał po drugim dzwonku.

— Mam do zgłoszenia nowe fakty — poinformowała go Patti.

Brewer nie zapytał, kto do niego dzwoni. Nie musiał tego robić. Znał głos Patti Joseph równie dobrze jak swój własny.

— Słucham — powiedział.

— Pojawiła się nowa postać.

— Kto?

— Na razie nie mam dla niego żadnego nazwiska.

— Rysopis?

— Bardzo wysoki, potężnie zbudowany, prawdziwy zabijaka. Dobiega czterdziestki albo już ją przekroczył. Krótkie jasne włosy, niebieskie oczy. Pojawił się wczoraj wieczorem.

Jest jednym z nich? — zapytał Brewer.

Nie ubiera się tak jak oni. I jest o wiele większy. Ale zachowuje się w podobny sposób.

- Zachowuje się? Co takiego robi?
- Chodzi mi o to, jak chodzi. Jak się porusza. Jak się trzyma.
- Myślisz, że on też jest byłym wojskowym?
- Jestem tego prawie pewna.

— W porządku — mruknął Brewer. — Dobra robota. Coś jeszcze?

— Jedna rzecz — powiedziała Patti Joseph. — Od kilku dni nie widziałam żony ani córki.

• • •

W salonie w Dakota Building telefon zadzwonił punktualnie o godzinie piątej. Tak przynajmniej wydawało się Reacherowi. Lane złapał słuchawkę i przycisnął ją do ucha. Reacher usłyszał stłumione i niewyraźne brzęczenie i skrzek elektronicznego urządzenia.

— Dajcie Kate do telefonu — zażądał Lane i nastąpiła długa, długa przerwa. A potem odezwał się kobiecy głos, jasny i wyraźny, ale bynajmniej nie spokojny. Lane zamknął oczy. Ponownie zabrzmiało elektroniczne skrzeczenie i Lane otworzył oczy. Skrzeczenie trwało całą minutę. Lane wodził dookoła wzrokiem i drgały mu mięśnie twarzy. A potem rozmowa się zakończyła. Po prostu została przerwana, nim Lane miał okazję powiedzieć coś więcej.

Położył słuchawkę z powrotem na widełki. Na jego twarzy widać było jednocześnie nadzieję i desperację.

— Chcą więcej pieniędzy — oznajmił. — Instrukcje przełożą za godzinę.

— Może powinienem tam natychmiast pójść — powiedział Reacher. — Może pošlą nam kręconą piłkę, zmieniając odstęp czasowy.

Ale Lane potrząsnął głową, zanim jeszcze Reacher skończył mówić.

— Już teraz pošlali nam kręconą piłkę. Powiedzieli, że zmieniają całą procedurę. To nie będzie wyglądało jak wcześniej.

W pokoju zapadła cisza.

— Czy pani Lane dobrze się czuje? — zapytał Gregory.

— W jej głosie słyhać było ogromny strach — odrzekł Lane.

— A głos faceta? — zainteresował się Reacher. — Jaki był?

— Zniekształcony. Tak jak wcześniej.

— Ale poza samym dźwiękiem? Niech pan porówna tę rozmowę z poprzednimi. Dobór słów, ich szyk, kadencja, rytm, płynność. Czy to Amerykanin, czy cudzoziemiec?

— Dlaczego to miałyby być cudzoziemiec?

— Jeżeli ma pan w swojej branży wrogów, niektórzy mogą nie być stąd.

— To Amerykanin — powiedział Lane. — Tak mi się wydaje. — Ponownie zamknął oczy i widać było, że się koncentruje. Jego usta poruszały się, jakby odtwarzał rozmowę w pamięci. — Tak, Amerykanin. Z pewnością posługuje się rodzimym językiem. Nie zacina się. Nie używa żadnych dziwnych ani niezwykłych słów. Mówi normalnym językiem, takim, jaki słyszy się na co dzień.

— Zawsze ten sam facet?

— Tak mi się wydaje.

— A tym razem? Zauważył pan jakąś różnicę? W nastroju? Może jest spięty? Czy nadal panuje nad sytuacją?

— Wydawał się spokojny. Nawet odprężony. Tak jakby ta cała sprawa zbliżała się do końca — dodał po chwili. — Jakby to miała być ostatnia rata.

— Za wcześnie — mruknął Reacher. — W ogóle się do nich nie zbliżyliśmy.

— Zamykają sklepik — powiedział Lane.

Nikt się nie odezwał.

— Co teraz zrobimy? — chciał wiedzieć Gregory.

— Czekamy — odparł Reacher. — Pięćdziesiąt sześć minut.

— Mam dosyć czekania — warknął Groom.

— Nie zostało nam nic innego — stwierdził Lane. — Czekamy na instrukcje i wykonujemy je.

— Ile zażądali? — zapytał Reacher. — Dziesięć milionów?

Lane popatrzył mu prosto w oczy.

Niech pan zgadnie.

— Więcej?

- Cztery i pół miliona — odparł Lane. — Tyle dokładnie chcą. Cztery miliony pięćset tysięcy dolarów. W torbie.

# 13

Przez pozostałe pięćdziesiąt pięć minut Reacher zastanawiał się nad wysokością żądanej kwoty. Była to dziwaczna liczba. Dziwaczna kolejność. Jeden, pięć, cztery i pół. Razem dziesięć i pół miliona dolarów. To nie miało sensu. A może jednak miało?

— Znają pana — powiedział do Lane'a. — Ale może nie aż tak dobrze. Tak się składa, że stać pana na więcej, ale oni nie zdają sobie z tego najwyraźniej sprawy. Czy był moment, kiedy posiadał pan tylko dziesięć i pół miliona w gotówce?

— Nie — odpowiedział Lane.

— Czy ktoś mógł odnieść takie wrażenie?

— Nie — odparł ponownie Lane. — Miewałem w życiu więcej i miewałem mniej.

— Ale nigdy nie miał pan dokładnie dziesięciu i pół miliona?

— Nie — rzekł po raz trzeci Lane. — Nie ma absolutnie żadnego powodu, by ktoś uważał, że oskubie mnie do czysta, żądając dziesięciu i pół miliona.

Reacher dał więc za wygraną i po prostu czekał, aż zadzwoni telefon.

Zadzwonił punktualnie o szóstej wieczorem. Lane odebrał go i wysłuchał tego, co miał do powiedzenia porywacz. Nie odezwał się. Nie poprosił Kate do telefonu. Zdawał już sobie chyba sprawę, że przywilej wysłuchania głosu żony przysługuje



mu tylko w trakcie pierwszej rozmowy. Tej z żądaniami. Nie tej z instrukcjami,

Tym razem przekazanie ich trwało niecałe dwie minuty. Potem elektroniczne skrzeczenie nagle się urwało, Lane odłożył słuchawkę na widełki i gorzko się uśmiechnął, jakby chcąc nie chcąc, podziwiał kunszt swojego przeciwnika.

— To ostatnia rata — oznajmił. — Nie będzie już więcej żądań. Obiecują, że dostanę ją z powrotem.

Za szybko, pomyślał Reacher. Na pewno do tego nie dojdzie.

— Co robimy? — zapytał Gregory.

— Za godzinę jeden z was wyjedzie stąd z pieniędzmi czarnym bmw i będzie krążył po mieście według własnego uznania. Dostanie moją komórkę, na którą porywacze zadzwonią w ciągu dwudziestu minut. Powiedzą mu, dokąd ma jechać. Od tego momentu ma się nie rozłączać, żeby wiedzieli, że nie rozmawia z nikim innym w samochodzie przez inne telefony albo przez jakąś sieć radiową. Pojedzie w miejsce, które mu podadzą. Odnajdzie tam zaparkowanego na ulicy jaguara. Tego sianego, którym Taylor zawiózł Kate pierwszego ranka. Samochód będzie otwarty. Ma położyć pieniądze na tylnym siedzeniu i odjechać stamtąd, nie oglądając się. Jeśli zauważą ścigające ich samochody, jakieś skoordynowane działania, w ogóle cokolwiek podejrzanego, Kate zginie.

— Mają numer pańskiej komórki? — zapytał Reacher.

— Poda im go Kate.

— Ja pojedę bmw — zaofiarował się Gregory. — Jeśli nie ma pan nic przeciwko.

— Nie — odparł Lane. — Jesteś mi potrzebny tutaj.

— Ja to zrobię — odezwał się Burkę. Czarny facet.

Lane pokiwał głową.

~- Dziękuję.

~~ A potem co? — zapytał Reacher. — Jak ją uwolnią?

Po przeliczeniu pieniędzy zadzwonią jeszcze raz — od-  
PWł Lane.

Na komórkę czy tutaj?

- Tutaj. To zajmie trochę czasu. Liczenie dużych sum to żmudne zajęcie. Dla mnie akurat nie. Pieniądze są już zabloko-

wane i oklejone banderolami. Ale oni nie ufają banderolom. Rozedrają je, zbadają banknoty i będą je ręcznie liczyć.

Reacher pokiwał głową. To był problem, nad którym tak naprawdę nigdy wcześniej się nie zastanawiał. Jeżeli pieniądze były w setkach, dawało to czterdzieści pięć tysięcy banknotów. Jeżeli potrafili liczyć do stu w sześćdziesiąt sekund, powinno im to zająć czterysta pięćdziesiąt minut, czyli siedem i pół godziny. Sześć godzin jazdy i siedem i pół godziny liczenia. To będzie długa noc, pomyślał. Dla nich i dla nas.

— Dlaczego używają jaguara? — zapytał Lane.

— Z czystej złośliwości — odparł Reacher. — To ma być memento.

Lane pokiwał głową.

— Burke i Reacher — powiedziało. — Do gabinetu.

Kiedy tam przeszli, wyjął z ładowarki małego srebrnego samsunga i dał go Burke'owi. A potem wyszedł, najprawdopodobniej do swojej sypialni.

— Poszedł po pieniądze — mruknął Burke.

Reacher pokiwał głową. Spojrzał na bliźniacze portrety na biurku. Dwie piękne kobiety, obie równie olśniewające i mniej więcej w tym samym wieku, lecz raczej niepodobne do siebie. Anne Lane była niebieskooką blondynką — w pewnym sensie dzieckiem lat sześćdziesiątych, mimo że kiedy się urodziła, ta dekada dawno odeszła w przeszłość. Miała jasne szczere spojrzenie, niewinny uśmiech i długie proste włosy z przedziałkiem pośrodku, niczym piosenkarka, modelka lub aktorka. Dziecko kwiat, chociaż kiedy dostała swój pierwszy odtwarzacz CD, na topie była muzyka house, hip-hop i acid jazz. Kate Lane wydawała się w większym stopniu dzieckiem lat osiemdziesiątych lub dziewięćdziesiątych. Bardziej subtelna, bardziej światowa, lepiej wykształcona.

— Z Anne nie miał dzieci? — zapytał Reacher.

— Nie — odparł Burke. — Dzięki Bogu.

To może różnica wynikała z macierzyństwa. Z Kate emanowała powaga i siła, nie fizyczna, lecz dobywająca się jakby z głębi. Mężczyzna, który chciałby spędzić jedną noc z kobietą, wybrałby Anne. Dla kogoś, kto chciałby spędzić z kobietą

wspólnie cały tydzień, właściwym wyborem mogła okazać się Kate.

Lane wrócił do nich, taskając z trudem pękatą skórzaną torbę. Rzucił ją na podłogę i usiadł za biurkiem.

— Ile jeszcze zostało? — zapytał.

— Czterdzieści minut — odparł Reacher.

Burke zerknął na zegarek.

— Zgadza się — powiedział. — Czterdzieści minut.

— Zaczekajcie w drugim pokoju — mruknął Lane. — Zostawcie mnie samego.

Burke pochylił się, żeby podnieść torbę, lecz Reacher go ubiegł. Była ciężka i szeroka; duży facet łatwiej sobie z nią poradzi. Zaniósł ją do przedpokoju i położył przy drzwiach, tam gdzie przed dwunastu godzinami czekała poprzednia. Legła na podłodze niczym zwłoki tego samego zwierzęcia. Reacher usiadł i zaczął odliczać minuty. Burke chodził tam i z powrotem. Sfrustrowany Carter Groom bębnił palcami o oparcie fotela. Żołnierz piechoty morskiej, wysadzony na brzeg. „Dla mnie liczą się tylko sprawy zawodowe — powiedział. — Poza akcją praktycznie nie istnieję”. Obok niego siedział spokojnie Gregory, uosobienie brytyjskiej flegmy. Dalej Perez, nieduży Latynos. Dalej Addison, z pokrytą bliznami twarzą. Pocięli go chyba nożem, pomyślał Reacher. Dalej Kowalski, wyższy od innych, ale i tak mały w porównaniu z Reacherem. Faceci z sił specjalnych są na ogół niewysocy, zwinni, szybcy i sprężyści. Zbudowani tak, by przetrwać w trudnych warunkach, polegający na własnym sprycie, nie na sile. Lisy, nie niedźwiedzie.

Nikt się nie odzywał. Nie było o czym mówić z wyjątkiem faktu, że finał uprowadzenia jest zawsze najbardziej ryzykowny. Co może skłonić porywaczy do dotrzymania słowa? Honor? Etyka zawodowa? Po co bawić się w skomplikowane przekazywanie zakładników, skoro płytki grób i kula w łeb wydają się zdecydowanie prostszym i bezpieczniejszym rozwiązaniem. Ludzkie uczucia/Uczciwość? Reacher spojrzął na stojący przy telefonie portret Kate Lane i przeszedł go zimny dreszcz. Była bliższa śmierci niż w jakimkolwiek innym momencie w ciągu ostatnich trzech dni. Dobrze o tym wiedział. Przypuszczał, że wszyscy o tym wiedzą.

— Już czas — powiedział Burke. — Idę.

— Zniosę ci torbę — zaproponował Reacher. — No wiesz, do samochodu.

Zjechali razem windą. Na parterze minęła ich czarnowłosa, nieduża kobieta w długim ciemnym płaszczu, otoczona przez wysokich mężczyzn w garniturach, którzy sprawiali wrażenie asystentów albo ochroniarzy.

— Czy to Yoko? — zapytał Reacher.

Ale Burke nie odpowiedział na jego pytanie. Minał po prostu odźwiernego i wyszedł na ulicę. Przy krawężniku czekało czarne bmw. Burke otworzył tylne drzwi.

— Zostaw torbę z tyłu — powiedział. — Będzie mi łatwiej przerzucić ją z siedzenia na siedzenie.

— Jadę z tobą — oznajmił Reacher.

— To głupota, człowieku.

— Położę się z tyłu na podłodze. Nic nam nie grozi.

— Ale po co?

— Musimy coś zrobić. Wiesz równie dobrze jak ja, że ta historia nie skończy się miłą sceną jak w Checkpoint Charlie. Ona nie wyłoni się z mgły, uśmiechając się dzielnie i trzymając za rękę Jade. To się nie zdarzy. W którymś momencie musimy przejąć inicjatywę.

— Co masz zamiar zrobić?

— Kiedy umieścisz torbę w jaguarze, wyskoczę za rogiem. Pobiegnę z powrotem i spróbuję coś zobaczyć.

— Dlaczego sądzisz, że uda ci się coś zobaczyć?

— Będą mieli cztery i pół miliona dolców w niezamkniętym samochodzie. Przypuszczam, że nie zostawią go tam na długo, więc na pewno coś zobaczę.

— Czy to nam może pomóc?

— O wiele bardziej niż siedzenie na tyłkach i nicnierobienie.

— Lane mnie zabije.

— Nie musi o tym wiedzieć. Wrócę o wiele później od ciebie. Powiesz, że nie masz pojęcia, gdzie poszedłem. A ja powiem, że wybrałem się na spacer.

— Lane zabije cię, jeśli to spieprzysz.

— Sam się zabiję, jeśli to spieprzę.

- Mówię serio. Zabije cię.
  - Moja strata.
  - I Kate.
  - Nadal wierzysz, że to zakończy się jak w Checkpoint Charlie?
- Burke zawahał się. Dziesięć sekund. Piętnaście.
- Wskakuj — powiedział w końcu.

# 14

Burke wsunął komórkę Lane'a w uchwyt na tablicy rozdzielczej bmw, a Reacher wczołgał się na czworakach za przednie siedzenie. Na dywaniku leżały drobne kamyki. Samochód miał napęd na tylne koła i tunel wału bardzo utrudniał ruchy. Burke zapalił silnik, zaczekał na przerwę między jadącymi samochodami, po czym zawrócił o sto osiemdziesiąt stopni i ruszył na południe, w stronę Central Park West. Reacher wiercił się tak długo, aż tunel wału napędowego znalazł się między jego biodrami i żebrami.

- Staraj się unikać wybojów — mruknął.
- Nie wolno nam rozmawiać — odparł Burke.
- Dopiero kiedy zadzwoni.
- Bez żartów. Widzisz to?

Reacher uniósł się na łokciach i zobaczył Burke'a, który pokazywał mały czarny punkt niedaleko osłony przeciwsłonecznej, na słupku od strony kierowcy.

— Mikrofon — oznajmił Burke. — Do komórki. Bardzo czuły. Wystarczy, że kichniesz, i cię usłyszą.

— A czy ja ich usłyszę? Przez głośnik?

— Przez dziesięć głośników — odparł Burke. — Telefon jest podłączony do samochodowego systemu audio. Włącza się automatycznie.

Reacher położył się, a Burke ruszył powoli dalej. Po jakimś czasie skręcił ostro w prawo.

— Gdzie teraz jesteście? — zapytał Reacher.

— Na Pięćdziesiątej Siódmej — odparł Burke. — Są straszne korki. Mam zamiar wjechać na West Side Highway i skręcić na południe. Tam powinni być. Wszędzie indziej zaparkowanie na ulicy jaguara o tej porze byłoby niemożliwe. Jeżeli nie zadzwonią do momentu, kiedy będziemy przy Battery, mogę skręcić z powrotem na północ w East River Drive.

Reacher poczuł, jak samochód zatrzymuje się i rusza, zatrzymuje się i rusza. Leżąca nad nim torba z pieniędzmi przesuwała się tam i z powrotem.

— Serio myślisz, że to może być tylko jeden facet? — zapytał Burke.

— Minimum jeden — odparł Reacher.

— Wszystkiego może być minimum jeden.

— Dlatego to możliwe.

— Dlatego powinniśmy go załatwić. Zmusić do mówienia. Od razu rozwiązać cały problem.

— A jeżeli to nie jest jeden facet?

— Może powinniśmy zaryzykować.

— W jakiej formacji służyłeś? — zapytał Reacher.

— Delta Force — odparł Burke.

— Tam poznałeś Lane'a?

— Znam go od zawsze.

— Jak załatwiłbyś porwanie przy Bloomingdale'u?

— Szybko i brutalnie, wewnątrz samochodu. Kiedy tylko Taylor się zatrzymał.

— To samo powiedział Groom.

— Groom to niegłupi gość jak na marine. Nie zgadzasz się z nim?

— Zgadzam.

— To jedyny sposób. Nie jesteście w Mexico City, Bogocie ani Rio de Janeiro. To Nowy Jork. Tutaj nie porwiesz nikogo na ulicy. Przy Bloomingdale'u stoi ośmiu gliniarzy, po dwóch na każdym rogu, uzbrojonych, niebezpiecznych i rozglądających się za terrorystami. Nie, szybka i brutalna akcja wewnątrz samochodu to jedyny sposób, żeby załatwić to przy Bloomingdale'u.

- Ale dlaczego w ogóle ktoś miałby tam na nią czekać?
- To oczywiste miejsce. Ulubiony sklep pani Lane. Wszystko tam kupuje. Uwielbia te ich wielkie brązowe torby.
- Ale kto mógł o tym wiedzieć?  
Burke przez chwilę milczał.
- To bardzo dobre pytanie — rzekł w końcu.  
W tym samym momencie zadzwonił telefon.



# 15

Płynący z dziesięciu wysokiej jakości samochodowych głośników dzwonek zabrzmiał dosyć dziwnie. Wypełnił całe bmw—bardzo głośny, pełny, bogaty i precyzyjny. Pozbawiony twardego elektronicznego podźwięku sieci komórkowej, bardziej terkotał, niż brzęczał.

— Teraz się zamknij — mruknął Burke, po czym pochylił się i wcisnął przycisk na samsungu. — Halo?

— Dobry wieczór — powiedział głos, tak powoli, ostrożnie i mechanicznie, jakby powitanie składało się nie z dwóch, lecz z czterech słów: do-bry-wie-czór.

Był niesamowity. Kompletnie zaskakujący. Tak gruntownie przetworzony, że nie sposób było go rozpoznać bez elektronicznego urządzenia sprzedawanego w sklepach z gadżetami dla szpiegów. Reacher widywał je już wcześniej. Aparat nasadzało się na mikrofon słuchawki. Po jednej stronie miał własny mikrofon, w środku układy scalone, po drugiej — mały prosty głośnik na baterię. Na obrotowych skalach można było zmienić Parametry dźwięku, od zera do dziesięciu. Skale akurat tego urządzenia musiały być nastawione na jedenastkę. Wysokich częstotliwości w ogóle nie było. Niskie zostały wydobyte, odwrócone i zrekonstruowane. Huczały i postukiwały niczym nieregularnie bijące serce. Zastosowany efekt fazowy powodował szum i łoskot przy każdym wdechu; w rezultacie głos brzmiał tak, jakby dobiegał z kosmosu. Co jakiś czas pojawiał

się i zniknął metaliczny puls, który przypominał walenie młotkiem w ciężką stalową blachę. Siła głosu była nastawiona chyba na maksimum. Płynący z dziesięciu głośników bmw głos wydawał się potężny i obcy, niczym bezpośrednie połączenie z koszmarem.

— Z kim mówię?

— Z kierowcą — odparł Burke. — Z facetem z pieniędzmi.

— Chcę wiedzieć, jak się nazywasz.

— Burke.

— Kto siedzi z tobą w samochodzie? — kontynuował koszmarny głos.

— W samochodzie nie ma nikogo oprócz mnie — odrzekł Burke. — Jestem sam.

— Nie kłamiesz?

— Nie.

Reacherowi przyszło do głowy, że do telefonu z drugiej strony podłączony jest wykrywacz kłamstw. Najprawdopodobniej proste urządzenie sprzedawane w tych samych sklepach co przetwarzacz głos. Plastikowe pudełko z zielonymi i czerwonymi lampkami. W zamierzeniu miało rozpoznawać stres towarzyszący kłamstwu. Reacher odtworzył w pamięci odpowiedź Burke'a i doszedł do wniosku, że kłamstwo nie powinno zostać wykryte. Urządzenie było prymitywne, a żołnierzy Deltę nauczono radzić sobie z lepszymi wykrywaczami niż ten, który można kupić przy Madison Avenue. Po sekundzie stało się jasne, że na urządzeniu rzeczywiście zapaliło się zielone światełko, ponieważ koszmarny głos spokojnie podjął przerwana rozmowę.

— Gdzie pan teraz jest, panie Burke? — zapytał.

— Na Pięćdziesiątej Siódmej. Jadę na zachód. Zaraz wjadę na West Side Highway.

— Jest pan bardzo daleko od miejsca, w którym chcę, żeby pan się znalazł.

— Kim pan jest?

— Wie pan, kim jestem.

— Dokąd mam jechać?

— Jeśli pan woli, może pan jechać autostradą. Niech pan skróci na południe.

— Proszę mi dać trochę czasu — powiedział Burk. —  
Wszędzie są korki.

— Denerwuje się pan?

— A pan by się nie denerwował?

— Niech pan się nie rozłącza.

Samochód wypełnił zniekształcony odgłos oddechu. Powolnego i głębokiego. Spokojnego, pomyślał Reacher. Oddechu kogoś cierpliwego, kto panuje nad sytuacją, wydaje polecenia i przebywa w bezpiecznym miejscu. Poczował, jak samochód przyspiesza i skręca ostro w lewo. Wjechali na autostradę na żółtym świetle, pomyślał. Uważaj, Burke. Jeśli zatrzymają cię dziś wieczorem gliniarze, to może się naprawdę źle skończyć.

— Jestem na autostradzie — oznajmił Burke. — Jadę na południe.

— Jedź dalej — poleciał głos.

A potem znowu usłyszeli oddech, który gdzieś po drodze — w urządzeniu przetwarzającym albo w systemie stereo bmw — poddany był kompresji dźwięku. Efekt był taki, że oddech zaczynał się cicho, a potem powoli narastał, huczał w uszach. Wypełniał cały samochód. Reacher miał wrażenie, że znalazł się w środku czyjegoś płuca.

A potem oddech ustał.

— Jaki jest ruch? — zapytał głos.

— Dużo czerwonych świateł — odparł Burke.

— Jedź dalej.

Reacher próbował odtworzyć w pamięci ich trasę. Wiedział, że między Pięćdziesiątą Siódmą i Trzydziątą Czwartą jest dużo świateł. Przy zjazdach do terminalu morskiego, do Intrepid i do Lincoln Tunnel.

Jestem teraz przy Czterdziestej Drugiej — powiedział Burke.

Reacher zastanawiał się, czy mówi do niego, czy do porywacza.

— Jedź dalej — powtórzył głos.

- Czy pani Lane dobrze się czuje? — zapytał Burke.

— W porządku.

Mogę z nią porozmawiać?

— Nie.

— Czy Jade też się dobrze czuje?

— Nie martw się o żadną z nich. Po prostu jedź dalej.

Amerikanin, pomyślał Reacher. Na pewno. Mimo zniekształceń rozpoznawał Amerykanina. Słyszał w swoim życiu wiele cudzoziemskich akcentów, ale to nie był jeden z nich.

— Jestem teraz przy Javits — powiedział Burke.

— Jedź dalej — powtórzył swoją mantrę głośno.

Młody, pomyślał Reacher. A w każdym razie nie stary. Źródłem wszystkich nieczystości i zgrzytów były układy scalone, a nie podeszły wiek. Facet nie jest duży, pomyślał. Huczące basy były sztuczne. Słysząc było prędkość i lekkość. Niewielka pojemność płuc. A może facet jest gruby? Może to jeden z tych grubasów o piskliwym głosie?

— Jak daleko jeszcze? — zapytał Burke.

— Masz mało benzyny? — odparł głośno.

— Nie.

— To co się martwisz?

Oddech powrócił, powolny i regularny. Nie jesteśmy jeszcze blisko, pomyślał Reacher.

— Zbliżam się do Dwudziesiątej Czwartej Ulicy — oznajmił Burke.

— Jedź dalej.

Village, pomyślał Reacher. Wracamy do Greenwich Village. Samochód jechał teraz szybciej. Większość skrętów w lewo w West Village zamknięto, w związku z czym było mniej świateł. I większość samochodów jechała na północ, nie na południe. Ruch był stosunkowo dość płynny. Reacher odwrócił głowę i wyrzwał przez boczne okno. Widział budynki, od których szyb odbijało się popołudniowe słońce. Migotały niczym w przyprawiającym o zawrót głowy kalejdoskopie.

— Gdzie teraz jesteś?

— Przy Perry Street — odparł Burke.

— Jedź dalej. Ale bądź w gotowości.

Zbliżamy się, pomyślał Reacher. Czy skęcimy w Houston Street? „W gotowości”. To był wojskowy zwrot. Ale czy wyłącznie wojskowy? Czy porywacz też jest byłym zawodo-

wym żołnierzem? A może to cywil? Może tylko podszywa się pod wojskowego?

— Morton Street — powiedział Burke.

— Skręć w lewo za trzy przecznice. W Houston Street.

Facet zna Nowy Jork, pomyślał Reacher. Wie, że Houston leży trzy przecznice za Morton, i wie, że nazwę ulicy wymawia się House-ton, a nie jak nazwę miasta w Teksasie.

— W porządku — odparł Burke.

Reacher poczuł, że samochód zwalnia. Po chwili się zatrzymał. Ruszył powoli do przodu. Przyspieszył, żeby zdążyć na zielone światło. Reacher objął się o tylne siedzenie.

— Jadę na wschód Houston Street — powiedział Burke.

— Jedź dalej.

Ruch na Houston był wolny. Kocie łby, znaki stopu, wyboje, czerwone światła. Reacher odtwarzał w pamięci bieg ulicy. Washington Street, Greenwich Street, Hudson Street. Następnie Varick, gdzie wysiadł z metra, żeby spędzić jałowy ranek na obserwacji. Samochód wpadał w dziury i podskakiwał na wybojach.

— Zaraz będzie Szósta Aleja — rzekł Burke.

— Skręć w nią.

Burke skręcił w lewo. Reacher ponownie odwrócił głowę i zobaczył okna mieszkań, które mieściły się nad jego nową ulubioną kafejką.

— Skręć na prawe pasmo. Już — polecił głos.

Burke ostro zahamował i Reacher poleciał do przodu, uderzając o przedni fotel. Usłyszał tykanie kierunkowskazu. A potem samochód skoczył w prawo. I zwolnił.

Zobaczysz cel po prawej stronie — powiedział głos. — Zielony jaguar. Z pierwszego poranka. Dokładnie w połowie przecznicy. Po prawej stronie.

Już go widzę — odparł Burke.

W tym samym miejscu? — pomyślał Reacher. Dokładnie przy tym samym cholernym hydrancie?

- Zatrzymaj się i dokonaj transferu.

Reacher poczuł, jak Burke wrzuca bieg na parkowanie, słyszał tykanie świateł awaryjnych. A potem drzwi od strony

kierowcy otworzyły się i do środka wpadły głośnie dźwięki. Resory zakołysały się, gdy Burke wysiadł z samochodu. Z tyłu rozległy się klaksony. Natychmiast utworzył się korek. Dziesięć sekund później drzwi nad głową Reachera otworzyły się na oścież. Burke nie spojrzał w dół. Pochylił się tylko i złapał torbę. Reacher przesunął się i spojrzał na jaguara. Zobaczył błysk ciemnozielonej karoserii. Chwilę później drzwi zatrzasnęły mu się tuż przed nosem. Usłyszał, jak otwierają się drzwi jaguara. A potem zamykają. Usłyszał dobiegające skądś ciche hydrauliczne młaśnięcie. Dziesięć sekund później Burke siedział z powrotem za kierownicą. Lekko zdyszany.

— Transfer wykonany — powiedziała. — Pieniądze są w jaguarze.

— Do widzenia — oznajmił koszmarny głos.

Połączenie się urwało. Samochód wypełniła cisza. Głęboka i absolutna.

— Ruszaj — polecił Reacher. — Skręć w prawo w Blecker Street.

Burke ruszył z miejsca ze wciąż włączonymi światłami awaryjnymi. Skręcił w prawo i przecisnął się między pieszymi na przejściu. Przyspieszył i po dwudziestu jardach ostro zahamował. Reacher obmacał drzwi nad swoją głową, znalazł klamkę, pociągnął ją i wygramolił się na zewnątrz. Wyprostował się, zatrzasnął za sobą drzwi, obciągnął koszulę i ruszył szybko z powrotem w stronę skrzyżowania.

# 16

Przy końcu Bleecker Street zatrzymał się na chwilę, wsadził ręce do kieszeni i ruszył wolniejszym krokiem. Skręcając w lewo w Szóstą Aleję, wyglądał jak ktoś wracający do domu. Być może po ciężkim dniu w pracy, być może z zamiarem wstąpienia do baru albo zrobienia zakupów w sklepie spożywczym. Po prostu zlewał się z tłumem, w czym był zaskakująco dobry, zważywszy na fakt, że przewyższał o głowę wszystkich otaczających go przechodniów. Wysoki wzrost miał swoje złe i dobre strony, gdy prowadził obserwację. Wyróżniał go, ale oznaczał również, że Reacher miał większe pole widzenia od przeciętnego faceta. Zawdzięczał to prostym prawom trygonometrii. Zatrzymał się pośrodku chodnika, spojrzął prosto przed siebie i zobaczył zielonego jaguara. Nie spuszczać z niego wzroku, zerknął w lewo. Nic. Zerknął w prawo, ponad dachem samochodu.

I zobaczył mężczyznę, którego dzieliło tylko sześć stóp od drzwi kierowcy.

To był ten sam facet, którego widział pierwszej nocy. Nie miał co do tego żadnych wątpliwości. Ta sama sylwetka, ten sam chód, to samo ubranie. Biały, lekko opalony, smukły, gładko ogolony, w okolicy czterdziestki. Zaciśnięte usta, wyraziste rysy twarzy. Spokojny, skoncentrowany, zdecydowany. Zgrabnie wymijał jadące samochody. Zostały mu może dwa kroki do jaguara. Płynne, oszczędne ruchy. Otworzył drzwi, wsiadł do

samochodu, zapalił silnik, zapiął pasy i obejrzał się przez ramię, żeby sprawdzić, czy ma wolną drogę. A potem włączył się zgrabnie do ruchu i pojechał na północ. Reacher szedł dalej na południe, ale obrócił głowę, żeby mu się przyjrzeć. Facet przejechał obok niego i zniknął z pola widzenia.

Sześć sekund, od początku do końca. Może jeszcze mniej.

I po co?

Zwykły biały facet, średniego wzrostu, średniej wagi, ubrany tak jak wszyscy inni niepełniący akurat służby biali mieszkańcy tego miasta. Dżinsy, koszula, tenisówki, czapka baseballowa. Pod żadnym względem nierzucający się w oczy. Rysopis? Można co najwyżej powiedzieć: zwykły facet.

Reacher spojrzął na południe, na sznur samochodów. Nie nadjeżdżała żadna wolna taksówka. Absolutnie żadna. Zawrócił więc i pobiegł truchtem na róg Bleecker Street, mając nadzieję, że Burke jednak na niego zaczekał. Ale Burke nie czekał. Ruszył więc dalej na piechotę. Był zbyt sfrustrowany, żeby jechać metrem. Musiał trochę ochłonać. Pomaszerował na północ Szóstą Aleją, szybki i wściekły. Ludzie usuwali mu się z drogi, jakby mógł ich napromieniować.



Dwadzieścia minut później i dwadzieścia przecznic dalej zobaczył po drugiej stronie ulicy sklep sieci Staples. Czerwono-biały szyld. Witryny wypełnione artykułami wyposażenia biurowego. Przemykając między autami, przeszedł przez jezdnię, żeby przyjrzeć mu się z bliska. Sklep był całkiem duży. Nie wiedział, do którego Carter Groom zabrał Kate Lane, ale doszedł do wniosku, że wszystkie wyglądają mniej więcej tak samo. Wszedł do środka i minął zagrodę z grubych na trzy cale chromowanych drążków, za którymi stały wózki na zakupy. Za wózkami po lewej stronie były kasy. Po prawej zakład poligraficzny z przemysłowej wielkości fotokopiarkami. Na wprost mniej więcej dwadzieścia wąskich alejek z regałami, które sięgały do sufitu. Wypełniał je budzący onieśmienie asortyment towarów. Reacher zaczął od lewego rogu i poruszając się zygzakiem, zakończył obchód przy końcu ostatniej alejki



po prawej stronie. Największą rzeczą, jaką zobaczył, było biurko. Najmniej są, pinezka bądź też spinacz do papieru, w zależności od tego, czy brać za kryterium rozmiary czy ciężar. Zobaczył ryzy papieru, komputery, drukarki, pojemniki z tonerem, pióra, ołówki, pudełka na akta, plastikowe skrzynki, taśmy samoprzylepne. Zobaczył rzeczy, których nie oglądał nigdy wcześniej. Oprogramowanie do urządzania domów i wypełniania deklaracji podatkowych. Drukarki do drukowania nalepek. Telefony komórkowe, którymi można było nakręcić film i wysłać e-mail.

Wracając do wyjścia, nie miał zielonego pojęcia, czego mogła tu szukać Kate Lane.

Oszołomiony obserwował przez chwilę pracującą fotokopiar-kę. Była wielka niczym suszarka w pralni samoobsługowej i wypluwała kopie z taką szybkością i energią, że jej obudowa kołysała się tam i z powrotem na krótkich nóżkach. I kosztowała jakiegoś klienta prawdziwą fortunę. To nie ulegało wątpliwości. Napis na górze informował, że kopie kosztują od czterech centów do dwóch dolarów za sztukę w zależności od jakości papieru i tego, czy są wykonane w czerni i bieli, czy w kolorze. Można tu było utopić masę forsy. Naprzeciwko zagrody z fotokopiar-kami stały pojemniki z tuszem. One też były drogie. Reacher nie miał pojęcia, do czego służą, jak działają i dlaczego są takie drogie. Przecisnął się przez czekający w kolejce tłum i Wyszedł na ulicę.

• • •

Po kolejnych dwudziestu minutach i pokonaniu kolejnych dwudziestu przecznic zatrzymał się przy Bryant Parku i kupił hot doga u ulicznego sprzedawcy. Po kolejnych dwudziestu Minutach i przecznicach zatrzymał się przy Central Parku i napił niegazowanej wody, którą kupił u kolejnego ulicznego sprze-dawcy. Dwanaście przecznic dalej wciąż był w Central Parku i stanął jak wryty pod drzewem, naprzeciwko Dakota Building, gdyż zobaczył przed sobą Anne Lane, pierwszą żonę Edwarda

# 17

- Anne Lane zapewniła go przede wszystkim, że jest w błędzie.
- Widział pan u Lane'a jej fotografię — powiedziała.
- Reacher kiwnął głową.
- Byłyśmy do siebie bardzo podobne — dodała.
- Reacher ponownie kiwnął głową.
- Anne była moją siostrą — wyjaśniła.
- Przepraszam. Przepraszam, że tak się na panią gapię.
- I przykro mi z powodu pani straty.
- Dziękuję — odparła kobieta.
- Byłyście bliźniaczkami?
- Jestem od niej o sześć lat młodsza. Co oznacza, że mam teraz tyle samo lat co Anne na tamtej fotografii. Tak więc można nas uznać za wirtualne bliźniaczki.
- Wygląda pani dokładnie tak jak ona.
- Staram się — odparła kobieta.
- To niesamowite.
- Bardzo się staram.
- Dlaczego?
- Ponieważ wydaje mi się, że w ten sposób próbuję zachować ją jakoś przy życiu. Ponieważ nie udało mi się to, kiedy istniała jeszcze taka możliwość.
- Jak mogłaby pani zachować ją przy życiu?
- Powinniśmy porozmawiać — powiedziała kobieta. — Nazywam się Patti Joseph.

\_\_\_ Jack Reacher.

— Proszę pójść ze mną. Musimy się trochę cofnąć. Nie możemy podchodzić zbyt blisko Dakota Building.

Poprowadziła go na południe przez park do wylotu Sześć - dziesiątej Szóstej Ulicy. Potem przeszli na drugą stronę jezdni, skręcili ponownie na północ w Central Park West i weszli do holu budynku pod numerem 115.

— Witamy w Majestic — powiedziała Patti Joseph. — Najlepsze miejsce, w jakim mieszkałam. I zdziwi się pan, kiedy pan zobaczy, jaki mam widok z okna.

Reacher zobaczył to pięć minut później, po pokonaniu długiego korytarza, jeździe windą i spacerze kolejnym korytarzem. Apartament Patti Joseph mieścił się na szóstym piętrze Majestic, po północnej stronie. Salon wychodził na Siedemdziesiątą Drugą Ulicę, dokładnie nad wejściem do Dakota Building. Do parapetu niczym do biurka dosunięte było krzesło. Na parapecie leżał notes, długopis, aparat fotograficzny Nikon z teleobiektywem oraz lornetka Leica 10 x 42.

— Co pani tutaj robi? — zapytał Reacher.

— Najpierw niech pan mi powie, co pan tutaj robi — odparła Patti. '

— Nie wiem, czy mogę.

— Pracuje pan dla Lane'a?

— Nie, nie pracuję.

Patti Joseph uśmiechnęła się.

— Tak mi się wydawało. Powiedziałam Brewerowi, że nie jest pan jednym z nich. Nie jest pan do nich podobny. Nie służył pan w siłach specjalnych, prawda?

— Skąd pani wie?

Jest pan zbyt duży. Nie wytrzymałby pan testów sprawnościowych. Duzi mężczyźni nigdy ich nie wytrzymują.

— Służyłem w żandarmerii wojskowej.

Zna pan Lane'a z wojska?

- Nie, nie znam go.

- Tak mi się wydawało — powtórzyła. — Nie byłoby pana tutaj, gdyby go pan znał.

- Kim jest Brewer?

— Pracuje w nowojorskiej policji. — Patti wskazała notes, długopis, aparat i lornetkę. Szerokim, wielkodusznym gestem. — Robię to wszystko dla niego.

— Obserwuje pani Lane'a i jego ludzi? Na prośbę policji?

— Głównie z własnej inicjatywy. Ale składam raporty.

— Dlaczego?

— Ponieważ nie należy tracić nadziei.

— Nadziei na co?

— Że w końcu powinie mu się noga i znajdę na niego jakiegoś haka.

Reacher podszedł do okna i zerknął do notatnika. Patti miała elegancki charakter pisma. *20.14 Burke wraca sam, bez torby, czarnym bmw OSC-23, wchodzi do TDA* głośił ostatni wpis.

— Co to jest TDA? — zapytał Reacher.

— The Dakota Apartments — odparła Patti. — Tak brzmi oficjalna nazwa budynku.

— Widziała pani kiedyś Yoko?

— Widuję ją bardzo często.

— Zna pani Burke'a z nazwiska?

— Burke należał do zespołu, kiedy była tutaj Anne.

*18.59 Burke i Venti odjeżdżają czarnym bmw OSC-23, z torbą, Venti schowany z tyłu*, brzmiał przedostatni wpis.

— Venti? — zdziwił się Reacher.

— Tak pana nazwałam. To coś w rodzaju kryptonimu.

— Dlaczego?

— Venti to największy kubek, jaki można dostać w kawiarniach Starbucks. Większy od innych.

— Lubię kawę — przyznał Reacher.

— Mogę pana poczęstować.

Reacher odwrócił się od okna. Apartament był mały, z jedną sypialnią. Prosty, schludny, pomalowany. Wart prawdopodobnie niecały milion dolarów.

— Dlaczego pani mi to wszystko pokazuje? — zapytał.

— To niedawna decyzja — odparła. — Postanowiłam wypatrywać nowych facetów i ostrzegać ich, kiedy się pojawiają.

— Przed czym?

— Przed Lane'em. Mówić im, co z niego za gagatek. I co zrobił.

— A co takiego zrobił?

— Zaparzę kawę — powiedziała Patti.

Nie sposób było jej zatrzymać. Dała nurka do małej kuchenki w przedpokoju i zaczęła krzątać się przy ekspresie. Po krótkim czasie Reacher poczuł zapach kawy. Nie był spragniony. Dopiero co wypił całą butelkę wody. Ale lubił kawę. Doszedł do wniosku, że może zostać na filiżankę.

— Bez śmietanki i bez cukru? — zawołała Patti.

— Skąd pani wie?

— Wierzę w to, co podpowiada mi instynkt.

Ja też wierzę w to, co podpowiada mi instynkt, pomyślał, mimo że nie był do końca pewien, co takiego podpowiadał mu w tej chwili.

— Chciałbym, żeby pani przeszła do rzeczy.

— Dobrze — odparła. — Proszę bardzo. Anne nie została porwana przed pięciu laty — oświadczyła Patti. — To tylko przykrywka. Lane ją zamordował.

# 18

Patti Joseph przyniosła Jackowi Reacherowi czarną kawę w wielkim, białym porcelanowym kubku Wedgwooda. Dwa-dzieścia uncji. Venti. Postawiła go na gigantycznej podkładce, po czym odwróciła się do niego plecami i usiadła na krześle przy oknie. Wzięła długopis do prawej ręki i lornetkę do lewej. Lornetka wyglądała na ciężką. Trzymała ją tak jak kulomiot trzyma ciężką żelazną kulę — w otwartej dłoni, blisko szyi.

— Edward Lane to zimny facet — powiedziała. — Wymaga lojalności, szacunku i posłuszeństwa. Potrzebuje tych rzeczy tak jak ćpun działki. Tak naprawdę o to właśnie chodzi w tej całej historii z najemnikami. Kiedy opuszczał wojsko, nie mógł znieść utraty dowództwa. Postanowił więc wszystko to sobie odtworzyć. Facet musi wydawać rozkazy i inni muszą ich słuchać. Tak jak pan i ja musimy oddychać. Moim zdaniem jego stan graniczy z chorobą psychiczną. Psychopatią.

— I? — zapytał Reacher.

— Ignoruje swoją pasierbicę. Nie zauważył pan tego?

Reacher nie odpowiedział. Lane dopiero po jakimś czasie wspomniał, że uprowadzona została również Jade, pomyślał. Wyciął ją ze zdjęcia w salonie.

— Moja siostra Anne nie była zbyt posłuszna. Nie zrobiła nic strasznego. Nic nierozsądnego. Ale Edward Lane kierował tym małżeństwem tak, jak kieruje się operacją wojskową. Anne nie mogła się z tym pogodzić. I im bardziej ją to irytowało,

tym większej dyscypliny wymagał Lane. To stało się jego obsesją.

— Co w nim w ogóle zobaczyła?

— On potrafi być charyzmatyczny. Jest silny i cichy. I cechuje go pewien rodzaj inteligencji.

— Kim była wcześniej?

— Modelką.

Reacher nie skomentował tego.

— Tak — mruknęła Patti. — Podobnie jak jej następczyni.

- Co się stało?

— Ich małżeństwo się rozpadło. Wydaje mi się, że to było nieuniknione. Któregoś dnia powiedziała mi, że chce rozwodu. Byłam oczywiście za. To było dla niej najlepsze wyjście. Ale ona próbowała to załatwić formalnie, tak żeby na tym nie stracić. Z alimentami i podziałem majątku. To była najgorsza rzecz, jaką mogła zrobić. Wiedziała, że to błąd. Powiedziała, żeby brała nogi za pas, póki jeszcze może. Ale Anne wniosła pieniądze do małżeństwa. Lane użył ich, żeby rozkręcić interes. Chciała odzyskać swój udział. Tymczasem dla niego sam fakt, iż zażądała rozwodu, był obrazą. Szczytem niesubordynacji. Oddanie jej pieniędzy w ogóle nie wchodziło w grę. Zostałby w ten sposób publicznie upokorzony: musiałby chodzić i szukać innego inwestora. Dlatego kompletnie mu odbiło. Upozorował porwanie i kazał ją zabić.

Przez chwilę trwała cisza.

— Zaangażowana była w to policja — powiedział w końcu Reacher. — Oraz FBI. Musieli przecież patrzeć mu na ręce.

Patti obróciła się i spojrzała w głąb pokoju. Uśmiechnęła się ze smutkiem.

No i proszę — mruknęła. — Dochodzimy do momentu, w którym okazuje się, że młodsza siostra jest lekko stuknięta i cierpi na obsesję. Lane oczywiście dobrze to zaplanował. Zadbał, żeby wszystko wyglądało autentycznie.

— Jak?

- Zlecił to swoim ludziom. Zatrudnia bandę zabójców. Przywykli wykonywać rozkazy. I są cholernie cwani. Wiedzą, jak załatwia się takie rzeczy. Nie są prawiczkami. Każdy brał

udział w tajnych operacjach. I najprawdopodobniej każdy kogoś zabił, z bliska, w walce wręcz.

Reacher pokiwał głową.

To nie ulegało wątpliwości. Każdy z nich to zrobił. Wiele razy.

— Podejrzewa pani kogoś konkretnego? — zapytał.

— Żadnego z facetów, których pan widział — odparła Patti. — Nikogo, kto wciąż jest w drużynie A. Nie sądzę, żeby to było dobre dla grupy. Z psychologicznego punktu widzenia, w miarę upływu czasu. Nie sądzę też, żeby użył kogoś z drużyny B. Do czegoś takiego są potrzebni ludzie, do których ma się pełne zaufanie.

— Więc kogo?

— Użył kogoś z drużyny A, kogo już w niej nie ma.

— Kto mieści się w tej kategorii?

— Dwóch ludzi — powiedziała Patti. — Facet o nazwisku Hobart i facet o nazwisku Knight.

— Dlaczego nie ma ich już w drużynie A? Dlaczego dwaj zaufani członkowie drużyny A po prostu zabrali się i odeszli?

— Zaraz po śmierci Anne wzięli udział w jakiejś zagranicznej operacji. Najwyraźniej się nie powiodła. Dwaj ludzie nie wrócili. Właśnie ci.

— To mógł być zbieg okoliczności. Prawda? Nie wrócili akurat ci dwaj, którzy mieli *coś* na sumieniu.

— Moim zdaniem Lane zadbał o to, żeby nie wrócili. Chciał zatrzeć wszystkie ślady.

Reacher nie odpowiedział.

— No tak — mruknęła Patti. — Młodsza siostra jest trochę stuknięta, prawda?

Reacher przyjrzał się jej. Nie sprawiała wrażenia stukniętej. Może trochę postrzelonej. W stylu lat sześćdziesiątych, jak jej siostra. Długie blond włosy, proste, z przedziałkiem pośrodku, dokładnie tak samo jak u Anne na fotografii. Duże niebieskie oczy, mały nos, piegowate policzki i blada cera. Ubrana w białą bluzkę w ludowym stylu i spłowiałe niebieskie dżinsy. Boso i bez biustonosza. Można było zrobić jej zdjęcie i dać je od razu na okładkę płyty z przebojami z tamtych lat. *Lato miłości*. Mamas and Papas, Jefferson Airplane, Big Brother and



the Holding Company. Reacher lubił tę muzykę. Miał siedem lat, kiedy trwało lato, miłości, i żałował, że nie miał wówczas siedemnastu.

— Jak pani zdaniem to wyglądało? — zapytał.

— Tamtego dnia woził ją Knight — powiedziała Patti. — To ustalony fakt. Zabrał ją na zakupy. Czekał przy krawężniku. Ale ona w ogóle nie wyszła ze sklepu. Cztery godziny później zadzwonił telefon. To samo co zwykle. Nie zawiadamiać gliniarzy, szykować okup.

— Głos?

— Zniekształcony.

— Jak?

— Jakby facet mówił przez chustkę do nosa albo coś w tym rodzaju.

— Ile wynosił okup?

— Sto tysięcy.

— Ale Lane zawiadomił gliniarzy.

Patti pokiwała głową.

— Tylko po to, żeby się zabezpieczyć. Chciał mieć bezstronnych świadków. Zależało mu na tym, by nie stracić zaufania innych podwładnych, tych, którzy nie brali udziału w spisku.

— Co stało się potem?

— Wszystko wyglądało jak na filmie. FBI założyło podsłuch na telefony i obstawiło teren, na którym miało dojść do przekazania okupu. Lane twierdzi, że porywacze się zorientowali. Ale cała historia była upozorowana. Porywacze się nie pojawili, ponieważ nie mogli się pojawić. Lane przywiózł więc pieniądze z powrotem do domu. Wszystko to był pic na wodę. Na pokaz. Lane rozegrał to, jak chciał, wrócił do domu i opowiadał wszystkim, że jest czysty jak łąza, że policja mu uwierzyła, że FBI nie miało cienia wątpliwości. A potem zamordował Anne. Jestem tego pewna.

Gdzie był w tym czasie ten drugi facet? Hobart?

Nikt tego dobrze nie wie. Wziął wtedy wolne. Twierdził, że wyjechał do Filadelfii. W rzeczywistości jednak był w sklepie, czekał, aż pojawi się Anne. Był drugą połową równania.

- Poszła pani wtedy na policję?
- Zignorowali mnie — odparła Patti. — Niech pan nie zapomina, że to było pięć lat temu, zaraz po ataku jedenastego września. Wszyscy mieli co innego na głowie. I wojsko nagle znowu stało się modne. Rozumie pan, wszyscy szukali kogoś, kto by się nimi zaopiekował, i ludzie w rodzaju Lane'a znaleźli się na świeczniku. Byli żołnierze sił specjalnych stali się ulubieńcami mas. Walczyłam z wiatrakami.
- A ten gliniarz, Brewer?
- Toleruje mnie. Jakie ma inne wyjście? W końcu płące podatki. Ale nie sądzę, żeby robił coś konkretnego w tej sprawie. Jestem realistką.
- Ma pani jakieś dowody przeciwko Lane'owi?
- Nie. Właściwie żadnych. Mam tylko kontekst, przeczucie i intuicję. I tylko tym mogę się podzielić.
- Kontekst?
- Wie pan, po co zakłada się prywatną korporację wojskową? Tak naprawdę?
- Po to, żeby Kongres nie miał wglądu w niektóre przedsięwzięcia Pentagonu.
- Właśnie — odparła Patti. — Ci ludzie nie są wcale lepszymi żołnierzami od tych, którzy teraz pełnią służbę. Często są gorsi i z całą pewnością drożsi. Są posyłani w rejon działań zbrojnych, żeby łamać zasady. Po prostu. Jeśli przeszkadzają im konwencje genewskie, olewają to, ponieważ nikt nie może im zarzucić ich złamania. Rząd umywa ręce.
- Dobrze odrobiła pani pracę domową — stwierdził Reacher.
- Więc jakim człowiekiem jest Lane, skoro bierze w tym udział?
- Proszę mi powiedzieć.
- Podłym, obleśnym egomaniakiem.
- Co mogła pani zrobić, żeby zachować Anne przy życiu?
- Powinnam była ją przekonać. Powinnam wyrwać ją z tego bagna, bez centa przy duszy, ale żywą.
- To nie takie łatwe. Była pani młodszą siostrą.
- Ale wiedziałam, co się święci.

— Kiedy pani się tu wprowadziła?

— Mniej więcej rok po śmierci Anne. Nie mogłam dać za wygraną.

— Czy Lane wie, że pani tu mieszka?

Patti potrząsnęła głową.

— Jestem bardzo ostrożna. A to miasto jest niesamowicie anonimowe. Można przeżyć całe lata, nie spotykając swojego sąsiada.

— Co pani chce, żebyśmy zrobili?

— Co chcę?

— Sprowadziła mnie tu pani w jakimś celu. I robiąc to, cholernie pani ryzykowała.

— Wydaje mi się, że czas już podjąć ryzyko.

— Co pani chce, żebyśmy zrobili?

— Chcę, żeby pan po prostu od niego odszedł. Ze względu na pańskie dobro. Niech pan nie brudzi sobie rak. Nie wyniknie z tego nic dobrego.

Przez chwilę trwała cisza.

— Lane jest niebezpieczny — dodała Patti. — Bardziej niebezpieczny, niż się panu wydaje. Zadawanie się z nim nie jest zbyt mądre.

— Będę ostrożny — zapewnił ją Reacher.

— Oni wszyscy są niebezpieczni.

— Będę ostrożny — powtórzył Reacher. — Zawsze jestem ostrożny. Ale teraz tam wrócę. Odejdę, kiedy sam uznam za stosowne.

Patti Joseph nie odezwała się.

— Ale chciałbym się spotkać z tym Brewerem — powiedział Reacher.

— Po co? Chce pan sobie z nim pożartować na temat stukniętej młodszej siostry?

— Nie — odparł Reacher. — Chcę się z nim spotkać, ponieważ jeżeli jest prawdziwym gliniarzem, zasięgnął języka u policjantów i agentów FBI, którzy zajmowali się tym porwaniem. Może mieć jaśniejszy obraz.

— Pod jakim względem?

— Jakimkolwiek. Chciałbym poznać jego opinię.

— Może wpadnie do mnie później.  
— Tutaj?  
— Na ogół przychodzi tu po nowe informacje.  
— Powiedziała pani, że nic nie robi.  
— Moim zdaniem przychodzi tutaj, żeby z kimś pobyć. Jest samotny. Wpada tutaj, kiedy kończy się jego zmiana, w drodze do domu.

- Gdzie mieszka?
- Na Staten Island.
- Gdzie pracuje?
- W śródmieściu.
- To niezupełnie po drodze.

Patti Joseph nie odezwała się.

— Kiedy kończy się jego zmiana? — zapytał Reacher.  
— O północy.  
— Odwiedza panią o północy? Nadrabia sporo drogi.  
— Nie jestem z nim w jakikolwiek sposób związana. Jest samotny. Ja też jestem samotna. To wszystko.

Reacher milczał.

— Niech pan znajdzie jakiś pretekst, żeby wyjść z domu — powiedziała. — Sprawdzi moje okno. Jeżeli Brewer tu będzie, zapalę światło. Jeśli nie przyjdzie, będzie ciemno.

# 19

Patti Joseph stanęła z powrotem na warcie przy oknie, a Reacher wyszedł i zostawił ją samą. Na wszelki wypadek obszedł dookoła przecznicę i zbliżył się do Dakota Building od zachodu. Była za piętnaście dziesiąta, ciepło. Gdzieś w Central Parku rozbrzmiewała muzyka, przy której bawili się ludzie. Był wspaniały letni wieczór. W Bronksie albo w Shea trwał prawdopodobnie mecz baseballu i w tysiącach barów i klubów zaczynało się coś dziać. Osiem milionów ludzi podsumowywało miniony dzień albo wyglądało nowego.

Reacher wszedł do budynku.

Portier zadzwonił do apartamentu i puścił go do windy. Gregory czekał na niego na korytarzu.

— Myśleliśmy, że nas opuściłeś — powiedział.

— Wyszedłem na spacer — odparł Reacher. — Jakieś wiadomości?

— Za wcześnie.

Reacher wszedł razem z nim do apartamentu. Unosił się w nim kwaśny zapach chińskiego żarcia, potu i niepokoju. Edward Lane siedział w fotelu przy telefonie i gapił się w sufit. Najwyraźniej starał się nad sobą zapanować. Na sofie obok obok było puste wgłębienie. Reacher domyślił się, że siedział tam Gregory. W salonie był również nieruchomy jak głaz Burke.

A także Addison, Perez i Kowalski. Carter Groom opierał się

o ścianę i wpatrywał czujnie w drzwi. Niczym wartownik. „Dla mnie liczą się tylko sprawy zawodowe”, powiedział.

— Kiedy zadzwonią? — zapytał Lane.

Dobre pytanie, pomyślał Reacher. Czy w ogóle zadzwonią? A może ty zadzwonisz do nich? I powiesz, że mogą pociągnąć za spust?

— Nie zatelefonują przed ósmą rano — rzekł jednak. — Nie można liczyć, że zrobią to wcześniej, biorąc pod uwagę fakt, ile czasu zajmie im jazda i liczenie.

Lane zerknął na zegarek.

— Za dziesięć godzin — stwierdził.

— Zgadza się — powiedział Reacher.

Za dziesięć godzin ktoś do kogoś zadzwoni.



Pierwsza z dziesięciu godzin minęła w milczeniu. Telefon nie zadzwonił. Nikt nie powiedział ani słowa. Reacher siedział nieruchomo, czując, jak maleją szanse na szczęśliwe zakończenie. Przywołując w pamięci zdjęcie z sypialni, czuł, jak Kate i Jade się od niego oddalają. Niczym kometa, która zbliżyła się do Ziemi na wystarczającą odległość, by ją dostrzeżono, lecz potem wskoczyła na nową orbitę i pomknęła ku mroźnym obszarom kosmosu, zmieniając się w niewyraźną kropkę światła, która wkrótce zgaśnie na wieki.

— Zrobiłem wszystko, o co poprosili — odezwał się Lane, nie zwracając się do nikogo w szczególności.

Nikt nie odpowiedział.



Samotny mężczyzna zaskoczył swoich tymczasowych gości, podchodząc do okna, nie do drzwi. A potem zaskoczył ich jeszcze bardziej, podważając paznokciami taśmę samoprzylepną, którą materiał był przyklejony do szyby. Robił to tak długo, aż udało mu się odciągnąć skrawek materiału i odsłonić wąski fragment nocnego Nowego Jorku. Słynny widok. Sto tysięcy rozjaśnionych okien migoczących w ciemności niczym małe

brylanty na czarnym aksamicie. Widok niemający sobie row-  
--ch na całym świecie.

— Wiem, że uwielbiasz to miasto — powiedział. — Ale teraz się z nim pożegnaj — dodał. — Ponieważ już nigdy go nie zobaczysz.



W połowie drugiej godziny Lane spojrzął na Reachera.

— W kuchni jest jedzenie, jeśli jest pan głodny — powiedział. Po chwili na jego ustach pojawił się niewesoły uśmiech. — To znaczy, jedzenie jest w kuchni, niezależnie od tego, czy chce pan coś zjeść, czy nie.

Reacherowi nie chciało się jeść. Nie był głodny. Jakiś czas wcześniej zjadł hot doga. Ale chciał wyjść z salonu. Nie miał co do tego wątpliwości. Ośmiu mężczyzn siedziało tam przy łożu śmierci. Wstał z fotela.

— Dziękuję — powiedział i wszedł cicho do kuchni. Nikt nie poszedł w jego ślady. Na blacie stały brudne talerze i kilkanaście otwartych pojemników z chińskim żarciem. Niedojedzone, zimne, cuchnące i zakrzepłe. Nie ruszając ich, usiadł na stołku. Zerknął w prawo w stronę otwartych drzwi do gabinetu. Widział stojące na biurku zdjęcia. Anne Lane podobną jak dwie krople wody do swojej siostry Patti. Kate Lane patrzącą wale na dziecko, które wycięto z fotografii.

Nadstawił ucha. Z salonu nie dobiegały żadne dźwięki. Nikt nie nadchodził. Wstał ze stołka i zajrzał do gabinetu. Przez chwilę stał tam nieruchomo. Biurko, komputer, faks, telefony, szafki na akta, półki.

Zaczął od półek.

— Stały na nich książki telefoniczne, instrukcje obchodzenia się z bronią palną, jednotomowa historia Argentyny, książka zatytułowana: *Glock: nowa epoka w historii ręcznej broni palnej*, budzik, kubki z długopisami i ołówkami oraz atlas świata. Atlas był stary. Był w nim nadal Związek Radziecki.

Jugosławia. Niektóre z państw afrykańskich nadal nosiły swoje kolonialne nazwy. Przy atlasie stał gruby rolodex na pięćset wizytówek z nazwiskami, telefonami i kodami specjalizacji

wojskowej. Większość opatrzona była kryptonimem Il-Bravo. Piechota. Jednostki bojowe. Zajrzał pod G i poszukał Cartera Grooma. Nie było go. Następnie pod B jak Burke. Też go nie było. A więc miał przed sobą spis kandydatów do drużyny B. Niektóre nazwiska były przekreślone na czarno; w rogu karty znajdował się wówczas dopisek „poległ w akcji” albo „zaginiiony w akcji”. Jednak pozostali nadal brali udział w grze. Prawie pięciuset facetów, a także jakaś liczba kobiet, gotowych, dyspozycyjnych i szukających pracy.

Reacher odłożył rolodex i dotknął myszy komputerowej. Zaszumiał twardy dysk i komputer poprosił o hasło. Reacher zerknął w stronę otwartych drzwi i spróbował „Kate”. Brak dostępu. Spróbował „PłkLane”. Z tym samym rezultatem. Brak dostępu. Wzruszył ramionami i dał sobie spokój. Hasłem była prawdopodobnie data urodzin faceta, jego stary numer służbowy albo nazwa drużyny futbolowej z liceum. Nie mógł go znać bez zebrania większej ilości danych.

Podszedł do szafek z aktami.

Było ich cztery — kupione w sklepie standardowe meble z pomalowanej na kolorowo stali. Wysokość około trzydziestu cali. W każdej dwie szuflady. Razem osiem. Nieopatrzona napisami. Niezamknięte. Stojąc bez ruchu, ponownie nadstawił uszu i otworzył pierwszą. Wysunęła się cicho na prowadnicach teleskopowych. Miała dwie szyny z sześcioma segregatorami z cienkiej żółtej tektury. W każdym było mnóstwo papierów. Reacher przekartkował je, przyglądając się im z ukosa. Sprawozdania finansowe. Wpływające i wypływające pieniądze. Kwoty nie wyższe od sześciocyfrowych i nie niższe od czterocyfrowych. Niewiele mu mówiły. Zasunął szufladę.

Otworzył dolną szufladę po lewej stronie. Takie same prowadnice. Takie same żółte segregatory. Te wypchane były plastikowymi teczkami, które można znaleźć w schowkach nowych samochodów. Instrukcje obsługi, książeczki gwarancyjne, książki serwisowe. Umowy kupna. Opłacone składki ubezpieczeniowe. Bmw, mercedes benz, bmw, mercedes benz, land-rover. Do niektórych dołączone były kluczyki w plastikowych prze-



soczystych kopertach, a także zapasowe kluczyki i piloty na promocyjnych breloczkach wręczanych w prezencie przez dealerów. Były tam także kwity z punktów poboru opłat na autostradzie oraz kwity ze stacji benzynowych. Wizytówki sprzedawców i kierowników warsztatów.

Reacher zamknął szufladę. Zerknął ponownie w stronę drzwi. Zobaczył stojącego w nich i obserwującego go w milczeniu Burke'a.

## 20

Burke przez dłuższy czas się nie odzywał.

— Wychodzę na spacer — oznajmił w końcu.

— W porządku — mruknął Reacher.

Burke nie odezwał się w odpowiedzi.

— Chcesz, żebym się z tobą przeszedł? — zapytał Reacher.

Burke zerknął na ekran komputera, a potem na szuflady z aktami.

— Przejdę się z tobą — powiedział Reacher.

Burke wzruszył tylko ramionami. Reacher ruszył w ślad za nim do kuchni, a następnie do przedpokoju. Lane spojrział na nich przelotnie z salonu, pogrążony w myślach. Nie odezwał się. Reacher i Burke wyszli z apartamentu. Zjechali w milczeniu windą. Wyszli na ulicę i skręcili na wschód, w kierunku Central Parku. Reacher spojrział na okno Patti Joseph. Było ciemne. W jej pokoju nie paliło się światło. A zatem była sama. Wyobraził ją sobie siedzącą po ciemku na krześle przy parapecie, zapisującą kolejne zdarzenie. „Burke i Venti opuszczają pieszo TDA, kierują się na wschód, w stronę Central Parku”. Albo „w stronę CP”. Osoba, która pisała TDA zamiast Dakota Building, z pewnością użyje skrótu CP dla Central Parku. Poza tym dała sobie pewnie spokój z „Venti” i używała teraz jego prawdziwego nazwiska. Powiedział jej, jak się nazywa. Napisała pewnie „Burke i Reacher opuścili TDA”.

A może spała. Musiała kiedyś spać.

— A propos tego pytania, które zadałeś... — mruknął Burke.

— Jakiego pytania?

— Kto wiedział, że pani Lane uwielbiała Bloomingdale'a?

— Tak?

— To było dobre pytanie.

— Jak brzmi odpowiedź?

— Jest jeszcze jedno pytanie...

— Jakie?

— Kto wiedział, że wybiera się tam akurat tego ranka?

— Zakładam, że wszyscy wiedzieliście — powiedział Reacher.

— Tak, chyba w gruncie rzeczy wszyscy to wiedzieliśmy.

— W takim razie to nie jest jakieś szczególnie rewelacyjne pytanie.

— Myślę, że jest w to zaangażowany ktoś z wewnątrz. Ktoś dał komuś cynk.

— To byłeś ty?

— Nie.

Reacher zatrzymał się przed przejściem dla pieszych na Central Park West. Burke przystanął przy nim. Był nieduży i czarny jak węgiel. Ze wzrostu i postury przypominał dawnych baseballistów, grających na drugiej bazie. Na przykład Joego Hogana. Poruszał się z taką samą jak on wrodzoną pewnością siebie.

Światła się zmieniły. Podniesiona czerwona dłoń przestała mrugać i pojawił się pochylony do przodu biały mężczyzna. Reacher zawsze żałował, że nie ma już napisów WALK i DONT WALK. Gdyby go ktoś pytał, wolał słowa od piktogramów. Jako dziecko był oburzony błędnym użyciem znaków przestankowych. Dziesięć tysięcy brakujących apostrofów w każdym mieście w Ameryce. Świadomość, że wykrył błąd, napełniała go sekretną dumą.

Ruszył przez jezdnię.

- Co stało się po porwaniu Anne? — zapytał.

- Z czterema facetami, którzy ją uprowadzili? — odparł Burke. — Lepiej, żebyś nie wiedział.

— Domyślam się, że brałeś w tym udział.  
— Bez komentarza.  
— Przyznali się?  
— Nie — odpowiedział Burke. — Twierdzili, że nie mieli z tym nic wspólnego.

— Ale nie uwierzyliście im.  
— A co innego mogli powiedzieć?

Przeszli na drugą stronę ulicy. Zamajaczył przed nimi park, ciemny i pusty. Koncert się skończył.

— Dokąd idziemy? — zainteresował się Reacher.

— Nieważne — odparł Burke. — Chciałem po prostu pogadać.

— O udziale kogoś z wewnątrz?

— Tak.

Skręcili razem na południe i ruszyli w stronę Columbus Circle. Paliły się tam światła i panował duży ruch. Chodnikami walił gęsty tłum.

— Dlaczego sądzisz, że ktoś dał cynk? — zapytał Reacher.

— Nie mam pojęcia.

— To nasza rozmowa będzie cholernie krótka. Nieprawdaż? Chcesz pogadać, ale nie masz specjalnie o czym.

Burke milczał.

— Ale kto dostał ten cynk? — pragnął dowiedzieć się Reacher. — Nie kto go dał. Moim zdaniem pytanie, kto go dostał, jest o wiele ważniejsze. I moim zdaniem to właśnie chcesz mi powiedzieć.

Burke nie odpowiedział. Szedł dalej w milczeniu.

— Praktycznie mnie stamtąd wyciągnąłeś — stwierdził Reacher. — Chyba nie dlatego, że nie zażywam dość ruchu i świeżego powietrza.

Burke nadal milczał.

— Chcesz, żebyśmy zagrali w dwadzieścia pytań? — zapytał Reacher.

— To będzie chyba najlepszy sposób.

— Sądzisz, że chodzi o pieniądze?

— Nie — odparł Burke.

— Więc pieniądze są tylko zasłoną dymną?

— W najlepszym razie połową równania. Być może równoległym celem.

— A drugą połową równania jest odwet?

— Zgadłeś.

— Uważasz, że jest ktoś, kto ma żal do Lane'a?

— Tak.

— Chodzi o jedną osobę?

— Nie.

— Więc o ile?

— Teoretycznie mogą być ich setki — wyjaśnił Burke. — Lub tysiące. Nawet całe narody. Podpadliśmy wielu ludziom w różnych częściach świata.

— A praktycznie?

— Chodzi o więcej niż jedną osobę — odparł Burke.

— Dwie?

— Tak.

— Co to za żal?

— Jaka jest najgorsza rzecz, jaką jeden człowiek może zrobić drugiemu?

— Zależy, kim się jest — rzekł Reacher.

— Właśnie — podchwycił Burke. — A kim my jesteśmy? Żołnierzami SEALs, Delta Force, Recon Marines, zielonych beretów, brytyjskiego SAS. Najlepszymi pod słońcem, pomyślał Reacher.

— Żołnierzami sił specjalnych — odpowiedział.

— Właśnie — powtórzył Burke. — I czego nie robimy?

— Nie zostawiacie zwłok swoich kolegów na polu bitwy. Burke nie odezwał się.

— Ale Lane to zrobił — podjął Reacher. — Zostawił dwa ciała.

Burke zatrzymał się przy północnym krańcu Columbus Curve. Wszędzie dookoła ryczały silniki aut. Samochodowe reflektory zataczały dzikie kręgi. Po prawej stronie wznosił się srebrzysty nowy wieżowiec, zasłaniający Pięćdziesiątą Dzieśiątą i stojące z tyłu bliźniacze wieże.

— Co sugerujesz? — zapytał Reacher. — Że mieli braci lub synów? Że pojawił się ktoś, kto pała żądzą odwetu? Po wielu latach? Że chce ich pomścić?

— Niekoniecznie musi chodzić o braci albo synów — powiedział Burke.

— O kumpli?

— O nich też niekoniecznie musi chodzić.

— Więc o kogo?

Burke nie odpowiedział. Reacher wbił w niego wzrok.

— Chryste — mruknął. — Zostawiliście dwóch żywych facetów?

— Nie ja — odparł Burke. — Nie my. To był Lane.

— I sądzisz, że udało im się w końcu wrócić do domu?

— Jestem pewien, że bardzo im na tym zależało.

— Hobart i Knight — powiedział Reacher.

— Znasz ich nazwiska.

— Najwyraźniej.

— Skąd? Z kim rozmawiałeś? Nie ma o nich nic w tych szafach, do których zagłądałeś. Ani w komputerze. Zostali skasowani. Tak, jakby nigdy nie istnieli. Jakby stanowili małe brudne sekrety.

— Co się z nimi stało?

— Zostali ranni. Tak mówił Lane. My ich w ogóle nie widzieliśmy. Byli na wysuniętych posterunkach obserwacyjnych. Słyszeliśmy ogień z broni krótkiej. Lane przedarł się do nich, a potem wrócił i powiedział, że są ciężko ranni i na pewno nie przeżyją. Powiedział, że nie możemy ich uratować. Zginęłoby przy tym zbyt wielu naszych. Kazał nam się wycofać. Zostawiliśmy ich tam.

— I co się twoim zdaniem z nimi stało?

— Uważaliśmy, że zostali wzięci do niewoli. W takim wypadku ich spodziewana długość życia nie powinna przekroczyć półtorej minuty.

Lane zadbał o to, żeby nie wrócili, pomyślał Reacher.

— Gdzie to było? — zapytał.

— Nie mogę ci powiedzieć — odparł Burke. — Poszedłbym do więzienia.

— Dlaczego pracujesz nadal z Lane'em? Przez cały ten czas?

— Dlaczego miałbym nie pracować?

— Odniosłem wrażenie, że nie za bardzo ci się to wszystko spodobało.

— Wykonuję rozkazy. I pozostawiam oficerom podejmowanie decyzji. Tak zawsze było i tak zawsze będzie.

— Czy Lane wie, że oni wrócili?

— Nie słuchasz tego, co mówię — obruszył się Burke. — Nikt nie wie, czy wrócili. Nikt nie wie nawet, czy żyją. Ja tylko snuję przypuszczenia. Skądś się wziął ten pasztet, który teraz mamy.

— Czy oni by to zrobili? Hobart i Knight? Skrzywdziliby kobietę i dziecko, żeby wyrównać rachunki z Lane'em?

— Pytasz, czy to, co się stało, ich usprawiedliwia? Oczywiście, że nie. Ale czy by to zrobili? Pewnie, że tak, do diabła. Pragmatycy starają się działać skutecznie. A biorąc pod uwagę to, co im zrobił Lane...

Reacher pokiwał głową.

— Kto mógł im dać cynk? Z wewnątrz?

— Nie wiem.

— Gdzie służyli?

— W piechocie morskiej.

— Jak Carter Groom.

— Tak — potwierdził Burke. — Jak Carter Groom.

Reacher nie odezwał się.

— Piechota morska tego nie cierpi — dodał Burke. — Zwłaszcza Recon Marines. Nie cierpią zostawiania swoich ludzi na polu bitwy. Bardziej niż ktokolwiek inny. Taką mają zasadę.

— Więc dlaczego Groom został w firmie?

— Z tego samego powodu co ja. Nie do nas należy mędrkowanie. To kolejna zasada.

— Może tak jest w wojsku — mruknął Reacher. — Ale niekoniecznie w jakiejś dziadowskiej prywatnej firmie.

— Nie widzę różnicy.

— Może powinienes ją zobaczyć, żołnierzu.

— Uważaj, co mówisz, koleś. Staram ci się pomóc. Możesz zarobić dzięki mnie milion dolców. Jeśli znajdziesz Hobarta i Knighta, znajdziesz również Kate i Jade.

— Tak sądzisz?

— Na sto procent. Dlatego uważaj, co mówisz.

— Nie muszę uważać, co mówię — odparł Reacher. —

Skoro nadal przestrzegacie zasad, jestem w dalszym ciągu oficerem. Mogę mówić, co mi się podoba, a ty masz stać na baczność i salutować.

Burke odwrócił się od płynącej przed nim rzeki samochodów i ruszył z powrotem na północ. Reacher pozwolił mu się wyprzedzić o pięć jardów, a potem zrównał się z nim krokiem. Nie padło już między nimi żadne słowo. Dziesięć minut później skręcili w Siedemdziesiątą Drugą Ulicę. Reacher zerknął w górę. W oknie Patti Joseph paliło się światło.



# 21

— Idź pierwszy — powiedział Reacher. — Ja się jeszcze trochę przespaceruję.

— Dlaczego? — zapytał Burke.

— Dowiedziałem się od ciebie rzeczy, które muszę prze-  
myśleć.

— Myślisz tylko, kiedy chodzisz?

— Nie ma sensu szukać Hobarta i Knighta w apartamencie.

— Jasna sprawa. Zostali skasowani.

— Jeszcze jedno — zagadnął Reacher. — Kiedy Lane i Kate poznali się bliżej?

— Zaraz po śmierci Anne. Lane nie lubi być sam.

— Jak się między nimi układało?

— Nadal są małżeństwem — zauważył Burke.

— Co to znaczy?

— Że dobrze się między nimi układało.

— Jak dobrze?

— Wystarczająco.

— Tak samo jak między nim i Anne? Za pierwszym razem?

— Mniej więcej. — Burke pokiwał głową.

— Zobaczymy się później — rzekł Reacher.



Zaczekał, aż Burke wejdzie do środka, po czym ruszył na zachód, oddalając się od domu, w którym mieszkała Patti

Joseph. Rutynowa ostrożność okazała się całkowicie uzasadniona, kiedy obejrzał się przez ramię i zobaczył podążającego za nim Burke'a, który zawrócił w holu wejściowym Dakota Building i próbował go teraz nieudolnie śledzić. Czarnoskóry i w czarnym ubraniu, zlewał się niemal z otoczeniem w cieniu, lecz jarzył się niczym supernowa za każdym razem, kiedy przechodził pod uliczną latarnią.

Nie ufa mi, pomyślał Reacher.

Podoficer z Delta Force nie ufa żandarmowi.

Rzeczywiście zaskakujące.

Dotarł do końca przecznicy i zszedł do metra. Na peron, z którego jechało się na północ. Wsunął kartę wieloprzejazdową do otworu w bramce. Podejrzewał, że Burke nie ma takiej karty. Ludzie Lane'a jeździli wszędzie samochodami. W takim wypadku Burke straci trochę czasu przy automacie biletowym, płacąc kartą kredytową lub wsuwając do otworu pogniecione banknoty. Wtedy on pozbędzie się ogona już przy pierwszej okazji. Jeśli pociąg szybko przyjedzie.

Ale pociąg nie przyjeżdżał.

Była północ i metro nie chodziło tak często jak w godzinach szczytu. Średni czas oczekiwania wynosił prawdopodobnie piętnaście lub dwadzieścia minut. Reacher liczył na łut szczęścia, ale przeliczył się. Odwracając się, zobaczył Burke'a, który odebrał świeżą kartę z automatu i cofnął się do wyjścia.

Nie chce stać na peronie razem ze mną, pomyślał Reacher. Przejdzie przez bramkę w ostatniej chwili.

Razem z nim czekało na pociąg dwanaście osób. Dwie grupki, trzy- i dwuosobowa, oraz siedem samotnych osób. W większości dobrze ubrani, wracający z kina lub restauracji do tańszych dzielnic powyżej Setnej Ulicy albo dalej aż do Hudson Heights.

W tunelu panowała cisza. Powietrze było ciepłe. Reacher oparł się o filar i czekał. W końcu usłyszał, jak szyny zaczynają swój dziwny metaliczny lament. Pociąg był w odległości około pół mili. Zobaczył niewyraźne światółko w tunelu i poczuł ciepły podmuch. A potem hałas wzmógł się i dwanaście osób zbliżyło się do torów.

- Reacher cofnął się, schował w technicznej wnęcie wielkości budki telefonicznej i zastygł w bezruchu. Pociąg wjechał na stację, szybki, długi i głośny, sapiąc i popiskując. Jeden pociąg, lokalny. Lśniące aluminium, jasne okna. Zatrzymał się. Jedni ludzie wysiedli, inni wsiedli. Chwilę później Burke przeszedł przez bramkę i zdażył wskoczyć do środka tuż przed zamknięciem drzwi. Pociąg ruszył i Reacher zobaczył go przez okno. Szedł do przodu, ze wzrokiem utkwionym przed siebie, wypatrując zwierzyny.

Dojedzie do Bronksu, do Dwieście Czterdziestej Drugiej Ulicy i Van Cortland Parku, zanim przejdzie wszystkie wagony i zorientuje się, że osoby, którą ściga, nie ma w pociągu.

Reacher wyszedł z wnęki, strzepnął kurz z koszuli i ruszył do wyjścia. Stracił dwa dolary, ale był sam, a właśnie o to mu chodziło.

Portier w budynku Majestic zadzwonił na górę i wskazał mu drogę do windy. Trzy minuty później ścisnął dłoń Brewera, "tego gliniarza". Patti Joseph robiła kawę w kuchni. Przebrała się. Teraz miała na sobie ciemny kostium ze spodniami, elegancki i stosowny. I buty na nogach. Wyszła z kuchni z dwoma wielkimi kubkami z tego samego kompletu Wedgwooda, którego użyła wcześniej.

— Zostawię was, żebyście pogadali — powiedziała, dając jeden Brewerowi i drugi Reacherowi. — Może pójdzie wam łatwiej, kiedy mnie tu nie będzie. Idę na spacer. Noc to jedyna pora, kiedy mogę stąd bezpiecznie wychodzić.

— Mniej więcej za godzinę Burke wyjdzie ze stacji metra — Ostrzegł Reacher.

— Nie zobaczy mnie — zapewniła go Patti, po czym wyszła, oglądając się nerwowo przez ramię, jakby rozstrzygała się cała jej przyszłość.

Reacher patrzył, jak zamyka za sobą drzwi, a potem przyjrzał się lepiej Brewerowi. Facet miał wszystkie cechy, których można się spodziewać u nowojorskiego gliniarza, tyle że w większym natężeniu. Nieco wyższy, nieco cięższy, z nieco

dłuższymi włosami, nieco bardziej zaniedbany i nieco bardziej dziarski. Miał około pięćdziesiątki. Albo czterdzieści parę i przedwcześnie osiwiął.

— Dlaczego interesuje się pan tą sprawą? — zapytał.

— Ścieżki Edwarda Lane'a i moja przypadkiem się skrzyżowały — odparł Reacher. — A potem usłyszałem opowieść Patti. I chcę wiedzieć, w co się pakuję. To wszystko.

— W jaki sposób skrzyżowały się wasze ścieżki?

— Chcę, żebym coś dla niego zrobił.

— W jakiej branży pan pracuje?

— Służyłem w wojsku — odparł Reacher.

— To wolny kraj. Może pan pracować, dla kogo pan chce — stwierdził Brewer, po czym usiadł na sofie Patti Joseph, jakby należała do niego. Reacher trzymał się daleko od okna. W pokoju paliło się światło i byłoby go widać z ulicy. Oparł się o ścianę blisko przedpokoju i popijał kawę.

— Sam też byłem kiedyś gliniarzem — powiedział. — W żandarmerii.

— To ma mi zaimponować?

— Wielu pańskich kolegów służyło tam, gdzie ja. Imponują panu?

Brewer wzruszył ramionami.

— Mogę chyba poświęcić panu pięć minut — oznajmił.

— W dużym skrócie — powiedział Reacher. — Co się wydarzyło przed pięciu laty?

— Nie mogę panu tego powiedzieć — odparł Brewer. — Nikt w nowojorskiej policji nie może panu tego powiedzieć. Jeżeli to było porwanie, to sprawa FBI, ponieważ porwanie jest zbrodnią federalną. Jeżeli to było zwykłe zabójstwo, sprawą powinna się zająć policja z New Jersey, ponieważ ciało odnaleziono po drugiej stronie mostu Waszyngtona i nie było przewożone po śmierci. Dlatego tak naprawdę nigdy nie powinniśmy się tym zajmować. I dlatego tak naprawdę nigdy nie przedstawiliśmy na ten temat wiążącej opinii.

— To czemu pan tu przychodzi?

— To kwestia stosunków międzyludzkich. Dziewczyna cier-

pi i potrzebuje kogoś, kto by jej wysłuchał. Poza tym jest miła i robi dobrą kawę. Dlaczego miałbym tu nie przychodzić?

— Pańscy koledzy skopiowali chyba akta.

Brewer pokiwał głową.

— Mamy je — potwierdził.

— Co w nich jest?

— W większości pajęczyny i kurz. Jediną rzeczą, którą wiemy na pewno, jest to, że Anne Lane zginęła przed pięciu laty w New Jersey. Kiedy odnaleziono ciało, od miesiąca było w stanie rozkładu. Niezbyt miły widok. Ale jej tożsamość została ustalona ponad wszelką wątpliwość na podstawie danych stomatologicznych. To była ona.

— Gdzie znaleźliście zwłoki?

— Na pustej działce niedaleko autostrady Turnpike.

— Przyczyna śmierci?

— Śmiertelna rana postrzałowa z tyłu głowy. Strzelba dużego kalibru, prawdopodobnie dziewięć milimetrów, ale nie sposób tego precyzyjnie określić. Zwłoki były na otwartym terenie. Przez ranę postrzałową wchodziły i wychodziły gryzonie. A gryzonie nie są głupie. Wiedzą, że upasą się tym, co zjedzą w środku, i poszerzają otwór, zanim jeszcze wejdą do środka. Kość czaszki była rozgryziona. Ale to była chyba dziewiątka, wydaje się, że z pełnym płaszczem.

— Mam nadzieję, że nie opowiedział pan Patti tego wszystkiego.

— Kim pan jest? Jej starszym bratem? Oczywiście, że jej Wszystkiego nie opowiedziałem.

— Znalezione coś jeszcze na miejscu zbrodni?

— Kartę do gry. Trójkę trefl. Wsunętą za kołnierzyk bluzki, z tyłu. Żadnych odcisków palców. Nikt nie wiedział, co to mogło znaczyć.

— Coś w rodzaju podpisu?

Albo raczej drwiny. Wie pan, jakaś ponura głupota, nad którą wszyscy będą się całymi dniami głowić.

- Jakie jest pańskie zdanie? — zapytał Reacher. — Po--anie czy zabójstwo?

Brewer ziewnął.

— Nie ma powodu komplikować. Słyszac stukot kopyt, wypatruje pan koni, nie zebr. Kiedy facet zgłasza porwanie żony, zakłada pan, że to prawda. Nie zaczyna pan od razu podejrzewać, że uknuł skomplikowany spisek, żeby się jej pozbyć. I wszystko wyglądało wiarygodnie. Były prawdziwe telefony i prawdziwa gotówka w torbie.

— Ale?

Brewer przez chwilę milczał. Pociągnął długi łyk kawy z kubka, przełknął ją, wypuścił z płuc powietrze, oparł głowę o sofę.

— Patti potrafi być przekonująca—powiedział. — Rozumie pan? Wcześniej czy później musi pan przyznać, że równie wiarygodna wydaje się ta druga wersja.

— Przeczucie?

— Nie wiem — przyznał Brewer. — Co u mnie jest dość dziwne. Bo ja mogę się czasami mylić, ale zawsze wiem.

— Co pan robi w tej sprawie?

— Nic — odparł Brewer. — Jest dawno zakończona, pozostaje poza naszą jurysdykcją. Prędzej wygaszą ogień w piekle, niż nowojorska policja wróci dobrowolnie do nierozwiązanej sprawy zabójstwa.

— Ale wciąż pan tutaj przychodzi.

— Jak już powiedziałem, dziewczyna potrzebuje kogoś, kto by jej wysłuchał. Rozpacz to długi i skomplikowany proces.

— Robi to pan dla wszystkich krewnych ofiar?

— Tylko dla tych, których zdjęcia mogłyby znaleźć się w „Playboyu”.

Reacher nie odezwał się.

— Dlaczego interesuje się pan tą sprawą? — zapytał ponownie Brewer.

— Powiedziałem już.

— Gówno prawda. Lane był żołnierzem. Teraz jest najemnikiem. Nie przejmuję się pan tym, czy pięć lat temu załatwił kogoś, kogo nie powinien. Niech pan mi znajdzie faceta pokroju Lane'a, który tego nie zrobił.

Reacher nie odezwał się.

— Pan coś wie — stwierdził Brewer.

Przez krótką chwilę trwała cisza.

— Jest coś, co powiedziała mi Patti — mruknął Brewer. — Od kilku dni nie widziała nowej pani Lane. Ani jej córki.

Reacher nie odezwał się.

— Może zaginęła i szuka pan paraleli w przeszłości?

Reacher nadal milczał.

— Był pan gliniarzem, nie żołnierzem. Dlatego zaczynam się zastanawiać, w jakim charakterze chce pana zatrudnić Edward Lane.

Reacher nie odpowiedział.

— Jest coś, co chce mi pan powiedzieć? — zapytał Brewer.

— Ja pytam — odparł Reacher. — Nie odpowiadam.

Znowu zapadła cisza. Długie twarde spojrzenie, między gliniarzami.

— Jak pan chce — mruknął Brewer. — To wolny kraj.

Reacher dopił do końca swoją kawę i wszedł do kuchni. Umył kubek pod kranem i postawił go w zlewie. A potem oparł się łokciami o blat i popatrzył prosto przed siebie.

Widok na salon był obramowany prostokątem korytarzyka. Krzesło z wysokim oparciem stało tuż przy oknie. Na parapecie leżały szpiegowskie akcesoria. Notes, długopis, aparat, lornetka.

— Co pan robi z meldunkami Patti? Po prostu wyrzuca do kosza?

Nie. Brewer potrząsnął głową.

— Przekazuję je dalej — powiedział. — Poza nasz wydział komuś, kto się tym interesuje.

— Komu?

— Prywatnej detektyw w śródmieściu. Ona też jest warta grzechu. Starsza, ale w porządku.

— Nowojorska policja współpracuje teraz z prywatnymi detektywami?

- Ta piastowała kiedyś ważne stanowisko. Była agentką specjalną FBI.

Wszyscy piastowali kiedyś jakieś stanowisko.

Ta prowadziła kiedyś z ramienia FBI sprawę Anne Lane.

Reacher nie odezwał się.

Brewer uśmiechnął się.

— Jak już powiedziałem, bardzo się tym interesuje.

— Czy Patti wie? — zapytał Reacher.

Brewer potrząsnął głową.

— Lepiej, żeby nie wiedziała. Lepiej, żeby nigdy tego nie odkryła. To mogłoby fatalnie skomplikować sytuację.

— Jak się nazywa ta kobieta?

— Myślałem, że nigdy pan o to nie zapyta — odparł Brewer.



## 22

Reacher opuścił apartament Patti Joseph z dwiema wizytówkami. Pierwsza była oficjalną policyjną wizytówką Brewera, druga, elegancka, miała wytłoczone na górze nazwisko Lauren Pauling, a pod spodem napis PRYWATNY DETEKTYW. Jeszcze niżej widniała adnotacja: *Była agentka specjalna Federalnego Biura Śledczego*. Na dole był śródmiejski adres, numery telefonu stacjonarnego i komórkowego, e-mail oraz numer URL witryny internetowej. Informacji było co niemiara, ale całość emanowała rzeczowością, profesjonalizmem i kompetencją. Robiła lepsze wrażenie niż policyjna wizytówka Brewera, a nawet wizytówka Gregory'ego.

Reacher wyrzucił wizytówkę Brewera do kosza na śmieci przy Central Park West. Wizytówkę Lauren Pauling schował do buta. A potem wrócił okrężną drogą do Dakota Building. Zbliżała się pierwsza w nocy. Na Columbus Avenue zobaczył policyjny radiowóz. Gliniarze, pomyślał. To słowo utkwiło w jego umyśle, podobnie jak to się stało w Soho. Niczym płynąca z nurtem rzeki gałązka, która zaczepia się o brzeg. Stał w miejscu, zamknął oczy i starał się ją złapać. Ale ona ponownie odpłynęła. Dał za wygraną i skręcił w Siedemdziesiątą Drugą Ulicę. Wszedł do holu wejściowego Dakota Building. Nocny portier był dostojnym starszym panem. Zadzwoił na górę i skinął głową na znak, że może wejść. Gregory czekał na korytarzu czwartego piętra, drzwi do apartamentu były otwarte. Reacher wszedł w ślad za nim do środka.

— Na razie nic — powiedział Gregory. — Ale mamy jeszcze siedem godzin.

W mieszkaniu było gorąco i cicho i unosił się zapach chińskiego żarcia. Wszyscy nadal byli w salonie. Z wyjątkiem Burke'a. Burke jeszcze nie wrócił. Gregory wydawał się tryskać energią, Lane siedział sztywno wyprostowany w fotelu. Pozostali rozsiedli się w różnych pozach znamionujących znużenie. Światła były przyćmione i żółte, zasłony zasunięte.

— Niech pan z nami zaczeka — powiedział Lane.

— Muszę się przespać — odparł Reacher. — Trzy albo cztery godziny.

— Proszę skorzystać z sypialni Jade.

Reacher skinął głową i ruszył wewnętrznym korytarzykiem do sypialni Jade. Nadal paliła się tam lampka nocna. Pokój pachniał dzieciennym pudrem i czystą skórą. Łóżko było zdecydowanie za małe dla faceta jego rozmiarów. Właściwie dla jakiegokolwiek faceta. Był to niewielki mebelek, o połowę mniejszy od normalnego, kupiony prawdopodobnie w specjalistycznym sklepie dla dzieci. Do sypialni przylegała łazienka zrobiona z kolejnej służbówki. Umywalka, toaleta, wanna z prysznicem. Zamocowana na pręcie słuchawka prysznicza wisiała mniej więcej trzy stopy nad otworem odpływowym. Na plastikowej zasłonie namalowane były żółte kacuszki.

Reacher przesunął słuchawkę na samą górę, rozebrał się i wziął szybki prysznic, używając kostki różowego mydła w kształcie truskawki oraz dziecięcego szamponu. Bez łez, brzmiał napis na butelce. Pobożne życzenia, pomyślał. Potem wytarł się małym różowym ręcznikiem, położył na krześle małą pachnącą piżamę, ściągnął prześcieradło, poduszkę i kołdrę z łóżka i zrobił sobie posłanie na podłodze. Odsunął na bok misie i lalki. Misie były wszystkie pluszowe i nowe, lalki wydawały się nietknięte. Kiedy przesunął biurko, żeby zrobić sobie więcej miejsca, z blatu spadły wszystkie papiery. To były rysunki kredką na tanim papierze. Przedstawały drzewa podobne do jasnozielonych lizaków na brązowych patykach, a z nimi duży szary budynek. Chyba Dakota Building widziany z Central Parku. Inny rysunek przedstawiał troje ludzików,

z których jeden był o wiele mniejszy od innych. Pewnie rodzina. Matka, córka, ojczym. Matka i córka uśmiechały się, ale Lane był narysowany z czarnymi dziurami w ustach, jakby ktoś wybił mu połowę zębów. Był także rysunek nisko lecącego samolotu. Pod spodem zielona ziemia, na górze pasek nieba, żółte kółko słońca. Kadłub maszyny przypominał parówkę i były w nim trzy okna z twarzami. Skrzydła narysowane były z góry. Jakby samolot awaryjnie zawracał. Ostatni rysunek również przedstawiał rodzinę, ale podwojoną. Dwóch Lane'ów, jeden obok drugiego, dwie Kate i dwie Jade. Jakby widzowi dwoiło się w oczach.

Reacher poukładał z powrotem rysunki na biurku i zgasił lampkę nocną. Nasunął na siebie kołdrę. Zakryła go od piersi do kolan. Czuł zapach dziecięcego szamponu. Unoszący się z jego własnych włosów albo z poduszki Jade. Nastawił budzik w głowie na piątą rano. Zamknął oczy, odetchnął dwa razy i zasnął na podłodze, która była twarda i solidna dzięki grubej na trzy stopy warstwie gliny z Central Parku.



Obudził się zgodnie z planem o piątej rano, w niewygodnej pozycji, nadal zmęczony i zmarznięty. Czuł zapach kawy. W kuchni znalazł Cartera Grooma, który krzątał się przy wielkim ekspresie Krupsa.

— Zostały jeszcze trzy godziny — powiedział Groom. — Myślisz, że zadzwonią?

— Nie wiem — odparł Reacher. — Uważasz, że to zrobią?

Groom nie odpowiedział. Zabębnił tylko palcami o blat i czekał, aż ekspres zaparzy kawę. Reacher czekał razem z nim. Do kuchni wszedł Burke. Wyglądał, jakby w ogóle nie zmrużył oka. Nie odezwał się. Nie powiedział nic miłego ani nic wrogiego. Zachowywał się, jakby nic nie zaszło poprzedniego wieczoru. Groom nalał kawy do trzech kubków. Wziął jeden z nich i wyszedł z kuchni. Burke wziął drugi i także wyszedł. Reacher wypił swoją, siedząc przy blacie. Na zegarze piekarnika było dziesięć po piątej. Doszedł do wniosku, że trochę się późni. Jego zdaniem było około kwadransa po piątej.

Czas zbudzić eksagentkę specjalną Lauren Pauling.

W drodze do wyjścia zajął do salonu. Lane nadal siedział w tym samym fotelu. Nieruchomo. Wyprostowany i opanowany, zachowywał stoicką postawę. Bez względu na to, czy była autentyczna, czy udawana, dawał piekielny popis hartu ducha. Gregory, Perez i Kowalski spali na sofach. Addison nie spał, ale leżał bezwładnie. Groom i Burke pili swoją kawę.

— Wychodzę — powiedział Reacher.

— Kolejny spacer? — zapytał z przekąsem Burke.

— Śniadanie — odparł Reacher.

Na dole nadal pełnił dyżur starszy portier. Reacher ukłonił mu się, skręcił w prawo w Siedemdziesiątą Drugą i ruszył w stronę Broadwayu. Nikt za nim nie szedł. Znalazł automat telefoniczny, wyjął wizytówkę z buta i dwudziestopięciocentówkę z kieszeni i wystukał numer komórki Pauling. Wyobrażał sobie, że trzyma ją włączoną, na nocnej szafce, przy poduszce.

Odebrała po trzecim dzwonku.

— Halo?

Zachrypnięty głos — nie zaspany, ale jeszcze tego dnia nie używany. Może mieszkała sama.

— Obiło się pani ostatnio o uszy nazwisko Reacher? — zapytał.

— A powinno?

— Oszczędzi nam dużo czasu, jeśli odpowie pani po prostu twierdząco. Od siostry Anne Lane, Patti, za pośrednictwem gliniarza o nazwisku Brewer, zgadza się?

— Tak — odpowiedziała Pauling. — Wczoraj wieczorem.

— Chcę się z panią zaraz spotkać.

— To pan jest Reacher?

— Owszem. Za pół godziny w pani biurze?

— Wie pan, gdzie to jest?

— Brewer dał mi pani wizytówkę.

— Za pół godziny — odpowiedziała Pauling.

Pół godziny później Reacher stał na chodniku Zachodniej Czwartej, z filiżanką kawy w jednej i pączkiem w drugiej ręce, przyglądając się idącej w jego stronę Lauren Pauling.

## 23

Poznał, że to Lauren Pauling, po tym, że utkwiała wzrok w jego twarzy. Najwyraźniej Patti oprócz nazwiska podała również rysopis. Pauling wypatrywała zatem wysokiego, barczystego, niechlujnego blondyna, czekającego przy drzwiach jej biura. Tego ranka na Zachodniej Czwartej Reacher był jedyną osobą, która spełniała te kryteria.

Sama Pauling była elegancką kobietą około pięćdziesiątki. Może nawet nieco starszą, ale w takim razie dobrze się trzymała. Brewer powiedział, że ona też jest warta grzechu, i nie mylił się. Trochę więcej niż średniego wzrostu, miała na sobie czarną wąską spódnicę do kolan, czarne rajstopy, czarne buty na obcasach i szmaragdowozieloną bluzkę, która mogła być jedwabna. Sznur dużych sztucznych pereł na szyi. Spadające falami na ramiona złociste blond włosy. Zielone uśmiechnięte oczy. Wyraz twarzy, który mówił: Miło pana poznać, ale przejdźmy od razu do rzeczy. Reacher wyobraził sobie prowadzone przez nią odprawy w Biurze.

— Jack Reacher, jak sądzę — powiedziała.

Reacher wsadził pączka w zęby, wytarł palce o spodnie i uściśnął jej dłoń. A potem zaczekał, aż Pauling otworzy drzwi od ulicy. Patrzył, jak wyłącza alarm w holu. Klawiatura była standardowa, z zerem na dole. Pauling była praworęczna. Użyła środkowego, wskazującego, serdecznego i wskazującego palca, nie poruszając prawie dłonią. Szybkie, zdecydowane ruchy.

Jakby pisała na maszynie. Prawdopodobnie 8461, pomyślał. Głupia albo zdekoncentrowana, skoro pozwoliła mu zobaczyć. Chyba zdekoncentrowana. Nie mogła być głupia. Zresztą to był tylko kod budynku. Nie ona wybierała cyfry. Nie ujawniła zatem swojego kodu domowego ani bankowego PIN-u.

— Proszę za mną — powiedziała.

Reacher ruszył za nią wąskimi schodami na pierwsze piętro. Po drodze skończył pączka. Pauling otworzyła drzwi i wpuściła go do biura, które składało się z dwóch pokoiów: poczekalni oraz gabinetu z biurkiem i dwoma fotelami dla gości. Pomieszczenia były nieduże, ale ładnie i ze smakiem urządzone. Sporo kosztownych gadżetów, które właściciele jednoosobowych firm biorą w leasing, żeby zrobić wrażenie na kliencie. Przy trochę większym metrażu mogłaby to być kancelaria adwokacka. Albo gabinet chirurga plastycznego.

— Rozmawiałam z Brewerem — oznajmiła. — Zadzwońłam do niego do domu zaraz po twoim telefonie. Zbudziłam go. Nie był zbyt zadowolony.

— Wyobrażam sobie — powiedział Reacher.

— Ciekawią go twoje motywy.

Lauren Pauling miała niski, schrypnięty głos, jakby od trzydziestu lat zmagająca się z zapaleniem krtani. Reacher mógłby go słuchać przez cały boży dzień.

— Mnie też ciekawią — dodała.

Wskazała mu skórzany fotel dla gości. Reacher usiadł w nim. Pauling wcisnęła się za biurko. Była szczupła i poruszała się z gracją. Obróciła do niego swój fotel. Usiadła.

— Szukam po prostu informacji — wyjaśnił Reacher.

— Ale dlaczego?

— Przekonajmy się, czy to, co usłyszę, sprawi, że będę to musiał wyjaśnić.

— Brewer powiedział, że byłeś żandarmem.

— Kiedyś, dawno temu.

— Dobrym?

— Czy są jacyś inni?

Pauling uśmiechnęła się, trochę smutno, trochę tęsknie.

— W takim razie zdajesz sobie sprawę, że nie powinieneś ze mną rozmawiać — oświadczyła.

— A to dlaczego?

— Bo nie jestem wiarygodnym świadkiem. Jestem bezna-  
dziejnie stronnicza.

— Jak to?

— Zastanów się nad tym — odpowiedziała. — Czy to nie oczywiste? Skoro Edward Lane nie zabił swojej żony, w takim razie kto to, do diabła, zrobił? Otóż zrobiłam to ja. Wskutek własnej nieostrożności.

## 24

Reacher poprawił się w fotelu.

— Nikt nie ma stuprocentowo czystego konta — powiedział. — Nie w realnym świecie. Ani ja, ani ty, ani w ogóle nikt. Więc niech pani da sobie spokój.

— Tak brzmi twoja odpowiedź?

— Zginęło przeze mnie pewnie więcej ludzi, niż kiedykolwiek poznałaś. Nie gryzę się z tego powodu. Życie nie jest usłane różami.

Pauling pokiwała głową.

— To przez jej siostrę. Bez przerwy siedzi w tym swoim dziwnym orlim gnieździe. Jest jak wyrzut sumienia.

— Poznałem ją.

— Nie daje mi spokoju.

— Opowiedz mi o trójce trefl — poprosił.

Pauling przez chwilę milczała, jakby musiała zmienić bieg.

— Ostatecznie doszliśmy do wniosku, że jest bez znaczenia. Ktoś napisał kiedyś książkę albo nakręcił film, w którym zabójcy zostawiali karty. Toteż wówczas poświęciliśmy temu wiele uwagi. Ale najczęściej chodziło o karciane figury. Przede wszystkim o pikowe asy. W bazach danych nie było nic o trójkach. I niewiele o treflach. Potem pomyśleliśmy, że to jedno z trzech zabójstw popełnionych przez tego samego sprawcę, ale nie trafiliśmy nigdzie na nic podobnego. Studiowaliśmy symbolizm i numerologię. Skontaktowaliśmy się z Uniwer-



ry  
sytetem Kalifornijskim w Los Angeles, rozmawialiśmy z ludźmi, którzy badają kulturę gangów. Bez skutku. Rozmawialiśmy ze specjalistami od semiotyki z Harvardu, Yale i Instytutu Smithsonianńskiego. Z ludźmi z Instytutu Wesleyańskiego w Connecticut. Bez skutku. Zaangażowaliśmy do tego doktorantkę z Columbii. Pracowali nad tym ludzie z mózgami wielkości planety. Nic nie znaleźli. Więc trójka trefl nic nie znaczyła. Chodziło o to, żebyśmy pozjadali własne ogony. Co też było nic nieznaczącą konkluzją. Ponieważ istotne było to, komu zależało na tym, żebyśmy pozjadali własne ogony.

— Przyjrzałaś się wówczas uważniej Lane'owi? Zanim jeszcze Patti zapoznała cię ze swoją teorią?

Pauling pokiwała głową.

— Przyjrzeliliśmy się bardzo uważnie jemu i tym wszystkim facetom. Wtedy bardziej z punktu widzenia oceny zagrożeń. Kto go znał? Kto wiedział, że ma pieniądze? Kto w ogóle wiedział, że ma żonę?

— I co?

— Lane to niezbyt miły gość. Jego stan graniczy z chorobą psychiczną. Odczuwa chorobliwą potrzebę komenderowania.

— To samo mówi Patti Joseph.

— Ma rację.

— I wiesz co? — dodał Reacher. — Jego ludzie też są nieźle porąbani. Mają chorobliwą potrzebę, żeby ktoś nimi komenderował. Rozmawiałem z niektórymi. To cywile, ale przestrzegają surowo starych żołnierskich zasad. Nawet kiedy jest to ze szkodą dla nich.

— To dziwne towarzystwo. Wszyscy wywodzą się z sił specjalnych i brali udział w tajnych operacjach, więc naturalnie Pentagon okazał się niezbyt pomocny. Zauważyliśmy jednak dwie rzeczy. Większość z nich uczestniczyła w różnych misjach wiele razy, ale mieli dużo mniej medali, niż można by się spodziewać. I większość zwolniono ze służby bez wyróżnienia. Dotyczy to również samego Lane'a. Co twoim zdaniem to wszystko oznacza?

— Podejrzewam, że doskonale wiesz, co to oznacza.

— Wolałabym to usłyszeć od profesjonalisty.

— To znaczy, że mamy do czynienia z facetami, którzy

przysparzali kłopotów. Drobnych, lecz irytujących, bądź też większych, lecz trudnych do udowodnienia.

— Jak tłumaczysz brak medali?

— Brudne kampanie — odparł Reacher. — Niepotrzebne straty wśród ludności cywilnej, plądrowanie domów, maltretowanie jeńców. Być może rozstrzelani jeńcy. Zapewne spalone wioski.

— A sam Lane?

— Kazał maltretować jeńców albo nie udało mu się temu zapobiec. Być może sam brał w tym udział. Powiedział mi, że odszedł ze służby po pierwszej wojnie w Zatoce. Byłem tam. Zdarzały się przypadki złego zachowania.

— Nie można udowodnić tego rodzaju rzeczy?

— Siły specjalne operują daleko od linii frontu. To zamknięty świat. Co najwyżej słyszy się jakieś pogłoski. Docierają informacje. Ale nie ma żadnych konkretnych dowodów.

Pauling ponownie pokiwała głową.

— Doszliśmy do takich samych wniosków. Na podstawie własnych doświadczeń. Zatrudnialiśmy w Biurze dużo byłych wojskowych.

— Zatrudnialiście tych dobrych — dodał Reacher. — Tych, których odznaczono medalami, zwolniono z wyróżnieniem i dobrymi rekomendacjami.

— Zwolniono cię z wyróżnieniem?

— Owszem. Ale ja też miałem kłopoty z awansem, ponieważ nie jestem zbyt skłonny do współpracy. Gregory pytał mnie o to. W trakcie naszej pierwszej rozmowy. Zapytał, czy nie miałem problemów z przełożonymi. Najwyraźniej ucieszyło go, że miałem.

— To znaczyło, że jedziecie na tym samym wózku.

Reacher pokiwał głową.

— I to jakby wyjaśnia, dlaczego trzymają się Lane'a. Gdzie indziej zarobiliby dwadzieścia pięć tysięcy kawałków miesięcznie z takim dossier?

— Tyle dostają? To daje trzysta pięćdziesiąt tysięcy rocznie.

— Tyle dawało, kiedy uczyłem się rachunków.

— Tyle zaproponował ci Lane? Trzysta kawałków?

Reacher nie odpowiedział.

— W jakim charakterze cię zatrudnił?

Reacher ponownie zbył pytanie milczeniem.

— O czym myślisz?

— Nie otrzymałem jeszcze od ciebie wszystkich informacji.

— Anne Lane zginęła pięć lat temu, na niezabudowanym terenie niedaleko autostrady New Jersey Turnpike. To wszystkie dane, którymi dysponujemy.

— A przypuszczenia?

— Masz jakieś?

Reacher wzruszył ramionami.

— Brewer powiedział mi coś ciekawego. Oświadczył, że po prostu nie wie, co u niego jest dziwne, ponieważ, jak twierdzi, może się czasem mylić, ale zawsze wie. Ze mną jest dokładnie tak samo. Zawsze wiem. A tym razem nie mam pojęcia. Przychodzi mi do głowy tylko to, że nic nie przychodzi mi do głowy.

— Moim zdaniem to było autentyczne porwanie — oświadczyła Pauling. — Moim zdaniem spieprzyłam to.

— Serio?

Przez chwilę milczała, a potem pokręciła głową.

— Niezupełnie. Prawdę mówiąc, nie wiem. Bóg wie, że chciałabym, żeby to była sprawka Lane'a. I może to była jego sprawka. Ale żeby zachować zdrowie psychiczne, muszę przyznać, że to w gruncie rzeczy pobożne życzenia, próba samousprawiedliwienia. I muszę to jakoś zasufladkować w głowie. Więc ostatecznie uznałam, że powinnam przestać szukać taniej pociechy. A poza tym najprostsze wyjaśnienie okazuje się na ogół tym właściwym. Krótko mówiąc, to było zwyczajne porwanie, a nie misterna mistyfikacja. A ja to spieprzyłam.

— W jaki sposób?

— Nie wiem. Spędziłam sto bezsennych nocy, wszystko analizując. I nie widzę, w którym momencie popełniłam błąd.

— Więc może jednak tego nie spieprzyłaś. Może to była misterna mistyfikacja.

— Co chcesz przez to powiedzieć, Reacher?

Popatrzył na nią.

— Cokolwiek to było, mamy z tym do czynienia ponownie — oznajmił.

## 25

— Opowiadaj — poprosiła Lauren Pauling, pochylając się do przodu.

I Reacher opowiedział jej wszystko: o pierwszym wieczorze w kawiarni, pierwszym podwójnym espresso w styropianowym kubku, nieprawidłowo zaparkowanym mercedesie, anonimowym kierowcy, który przeszedł między jadącymi Szóstą Aleją samochodami i odjechał mercedesem. O Gregorym, który następnego dnia szukał świadków. O zamkniętych czerwonych drzwiach i granatowym bmw. I o koszmarnym elektronicznym głosie, który doprowadził ich do tego samego hydrantu.

— Jeżeli to mistyfikacja, jest niesamowicie misterna — stwierdziła Pauling.

— Wyjąłś mi to z ust — rzekł Reacher.

— I wyjątkowo kosztowna.

— Niekoniecznie.

— Chcesz powiedzieć, że pieniądze wracają do punktu wyjścia?

— W gruncie rzeczy nie widziałem żadnych pieniędzy. Widziałem tylko torby zamknięte na zamek błyskawiczny.

— Pocięte gazety?

— Niewykluczone — odparł Reacher. — Jeżeli to mistyfikacja.

— A jeżeli nie?

— Otóż to.

- Porwanie sprawia wrażenie prawdziwego.
- Jeżeli nie jest prawdziwe, nie potrafię sobie wyobrazić, kto to robi. Lane potrzebowałby ludzi, którym ufa, czyli członków drużyny A, ale żadnego z nich nie brakuje.
- Czy byli w dobrych stosunkach? Mąż i żona?
- Ludzie Lane'a twierdzą, że tak.
- Czyli to autentyczne porwanie.

Reacher pokiwał głową.

— Wszystko jest wewnętrznie spójne. Samo uprowadzenie musiało nastąpić, gdy ktoś z wewnątrz dał cynk, gdzie i kiedy Kate i Jade znajdą się w określonym miejscu. Możemy udowodnić udział kogoś z wewnątrz na dwa sposoby. Po pierwsze, porywacze wiedzą to i owo na temat działalności Lane'a. Wiedzą na przykład dokładnie, jakie ma samochody.

— A po drugie?

— Coś, co nie daje mi spokoju. Coś, co dotyczy gliniarzy. Poprosiłem Lane'a, żeby powtórzył mi treść pierwszej rozmowy telefonicznej. I zrobił to słowo w słowo. Porywacze w ogóle nie zakazali mu kontaktować się z gliniarzami. To jakby standard, prawda? Nie idź na policję. Ale te słowa ani razu nie padły. Co sugeruje, że ci ludzie znają historię sprzed pięciu lat. Wiedzą, że Lane i tak nie pójdzie na policję. Nie trzeba mu o tym mówić.

— To by sugerowało, że porwanie sprzed pięciu lat było autentyczne.

— Niekoniecznie. To może świadczyć wyłącznie o tym, że porywacze znają historię, którą Lane zdecydował się upublicznić.

— Czy fakt, że tym razem porwanie jest autentyczne, nie znaczy, że poprzednie też takie było?

— Może tak, może nie. Tak czy inaczej przestań się tym zadrećcać.

— Mam wrażenie, jakbym znalazła się w gabinecie luster. Reacher pokiwał głową.

— Jest pewna rzecz, której nie mogę dopasować do żadnego scenariusza. Chodzi o samo uprowadzenie. Jedyną skuteczną metodą byłoby brutalne wtargnięcie do samochodu zaraz po

tym, jak się zatrzymał. Wszyscy są co do tego zgodni. Zapytałem o to kilku ludzi Lane'a, teoretycznie, na wypadek gdybym czegoś nie uwzględnił. Ale niczego nie pomiąłem. Problem polega na tym, że dom towarowy Bloomingdale'a zajmuje całą przecznicę. Jak ktoś mógł przewidzieć, w którym miejscu Lexington Avenue zatrzyma się jaguar Taylora? Bo jeżeli tego dokładnie nie przewidzieli, cała akcja z miejsca bierze w łeb. Albo Kate i Jade wysiadłyby z samochodu, albo Taylor zobaczyłby biegnącego porywacza i odjechał. Albo przynajmniej zablokował drzwi.

— Co chcesz przez to powiedzieć?

— Że bez względu na to, czy porwanie było autentyczne, czy sfingowane, coś nie podoba mi się w całej tej historii. Chcę powiedzieć, że nie rozumiem, jak to się odbyło. Nie potrafię tego pojąć. Po raz pierwszy w życiu po prostu nie wiem. Tak jak powiedział Brewer: przedtem wielokrotnie się myliłem, ale zawsze wiedziałem.

— Powinieneś porozmawiać z Brewerem oficjalnie.

— To nie ma sensu. Policja nic nie może zrobić, jeżeli Lane się do niej nie zwróci. Albo ktoś bliski nie zgłosi przynajmniej zaginięcia Kate i Jade.

— Więc co masz zamiar zrobić?

— Będę musiał załatwić to w niemiły sposób — odparł Reacher.

— To znaczy?

— Mówiliśmy tak w wojsku, kiedy nie trafialiśmy na żaden trop. Kiedy musieliśmy w końcu urobić sobie ręce po łokcie. No wiesz, zacząć od punktu zero, jeszcze raz wszystkiemu się przyjrzeć, ustalić szczegóły, wyciągnąć wnioski.

— Kate i Jade już prawdopodobnie nie żyją.

— W takim razie postaram się, żeby ktoś za to zapłacił.

— Mogę ci jakoś pomóc?

— Chcę dowiedzieć się czegoś więcej na temat tych dwóch facetów. Hobarta i Knighta.

Pauling pokiwała głową.

— W dniu, kiedy porwano Anne, Knight prowadził samochód, a Hobart był w Filadelfii. Ich nazwiska znasz pewnie od Patti Joseph. Zginęli za granicą.

- Może wcale nie zginęli. Zostali porzuceni na polu bitwy, ranni, ale żywi. Chcę wiedzieć, gdzie, kiedy i co się z nimi stało.
- Sądziś, że jeszcze żyją? Że wrócili?
- Nie wiem, co mam myśleć. Ale przynajmniej jeden z ludzi Lane'a nie spał dobrze tej nocy.
- Poznałam Hobarta i Knighta. Pięć lat temu. Podczas śledztwa.
- Czy któryś z nich wyglądał jak facet, którego widziałem?
- Średniego wzrostu, nierzucający się w oczy? Właściwie obaj.
- To bardzo cenna informacja.
- Co teraz zrobisz?
- Wracam do Dakota Building. Może do nas zadzwonią i cała ta historia dobiegnie końca. Bardziej prawdopodobne jest jednak, że nie zadzwonią i że to dopiero początek.
- Daj mi trzy godziny — powiedziała Pauling. — Potem zadzwoń do mnie na komórkę.

## 26

Kiedy Reacher wrócił do Dakota Building, dochodziła siódma i świt ustąpił miejsca porankowi. Niebo było jaskrawoniebieskie, bez jednej chmurki. Przepiękny letni dzień w stolicy świata. Ale w apartamencie na czwartym piętrze panował zaduch i zasłony były zasunięte. Reacher nie musiał pytać, czy zadzwonił telefon. Było oczywiste, że nie. Wszystko w salonie wyglądało tak samo jak dziewięć godzin wcześniej. Wyprostowany w fotelu Lane. Gregory, Groom, Burke, Perez, Addison, Kowalski, milczący i ponurzy, rozlokowani to tu, to tam, z zamkniętymi albo otwartymi oczyma, gapiący się w sufit, cicho oddychający.

Nieodznaczeni medalami.

Zwolnieni bez wyróżnienia.

Czarne charaktery.

Lane obrócił powoli głowę i popatrzył Reacherowi prosto w oczy.

— Gdzie się pan, do diabła, podziewał? — zapytał.

— Jadłem śniadanie.

— Długie śniadanie. Co to było, pięć dań w Four Seasons?

— Tani bar — odparł Reacher. — Źle wybrałem. Wolna obsługa.

— Płacę panu, żeby pan pracował. Nie płacę, żeby pan się obżerał na mieście.



— W ogóle mi pan nie płaci — powiedział Reacher. — Nie zobaczyłem dotąd ani centa.

Lane nadal trzymał głowę obróconą o dziewięćdziesiąt stopni w bok. Niczym kłótniwy morski ptak. Miał ciemne, wilgotne i lśniące oczy.

— Na tym polega pański problem? — zapytał. — Chodzi o pieniądze?

Reacher nie odezwał się.

— Możemy temu łatwo zaradzić — oświadczył Lane.

Nie spuszczać oczu z twarzy Reachera, położył dłonie na poręczach fotela. Poznaczona żyłami i ścięgnami, blade jak pergamin skóra wyglądała upiornie w żółtym świetle lampy. Lane dźwignął się z miejsca z widocznym wysiłkiem, zupełnie jakby poruszył się po raz pierwszy od dziewięciu godzin, co było zapewne prawdą. Stał niepewnie w miejscu i ruszył do przedpokoju, powłócząc nogami jak niedołączony starzec.

— Chodź — powiedział.

Zabrzmiało to jak rozkaz. Wydany przez pułkownika, którym niegdyś był. Reacher wszedł za nim do głównej sypialni. Łóżko z baldachimem, komoda, biurko. Cisza. Fotografia. Lane otworzył garderobę. Węższe z dwojga drzwi. Wewnątrz była niewielka wnęka i kolejne drzwi. Po lewej stronie klawiatura zamka szyfrowego. Układ cyfr podobny do tego, który miała w swoim biurze Lauren Pauling: trzy na trzy, zero na dole. Lane wpisał szyfr palcami lewej ręki. Wskazujący podkurczony, serdeczny wyprostowany, środkowy wyprostowany, środkowy podkurczony. 3785, pomyślał Reacher. Facet jest albo głupi albo zdekoncentrowany, skoro pozwala mi zobaczyć. Zamek zapiszczał; Lane otworzył wewnętrzne drzwi, po czym sięgnął do środka i pociągnął za łańcuszek. Zapaliła się lampa, oświetlając sejf wypełniony belami czegoś szczelnie owiniętego grubą plastikową folią. Plastik pokryty był warstwą kurzu i zagranicznymi napisami. Z początku Reacher nie wiedział, na co patrzy.

A potem to do niego dotarło. Napis był francuski i brzmiał Banque Centrale.

Bank Centralny.

Pieniądze.

Amerykańskie dolary, złożone w pliki, owinięte banderolami, poukładane w cegiełki i zapakowane w folię. Niektóre bele były całe i nietknięte. Jedna była rozdarta i wysypywały się z niej pliki. Podłoga usłana była kawałkami folii, grubego plastiku, który naprawdę trudno rozerwać. Trzeba wbić w niego kciuk i mocno pociągnąć. Plastik rozciąga się wtedy i niechętnie rozrywa.

Lane pochylił się i wciągnął otwartą belę do sypialni. A potem podniósł ją, przechylił i rzucił do stóp Reacherowi. Ze środka wypadły dwa wąskie pliki gotówki.

— Proszę bardzo — rzekł. — Pierwsza dycha.

Reacher nie odezwał się.

— Podnieś ją — polecił Lane. — Jest twoja.

Reacher nie odezwał się. Cofnął się tylko trochę w stronę drzwi.

— Weź to — powiedział Lane.

Reacher nie poruszył się.

Lane ponownie się pochylił i podniósł z podłogi plik gotówki. Zważył go w dłoni. Dziesięć tysięcy dolarów. Sto setek.

— Weź to — powtórzył.

— Porozmawiamy o honorarium, kiedy będę miał jakieś wyniki.

— Weź to! — wrzasnął Lane i cisnął plikiem prosto w pierś Reachera. Pieniądze, twarde i zaskakująco ciężkie, uderzyły go powyżej mostka, odbiły się i upadły na podłogę. Lane podniósł drugi plik i cisnął go, trafiając Reachera w to samo miejsce. — Weź to! — krzyknął.

A potem pochylił się, wsunął ręce w plastikowy worek i zaczął rzucać jeden plik po drugim. Ciskał je na oślep, bez przerwy, nie prostując się, nie patrząc i nie celując. Trafiały Reachera w nogi, brzuch, pierś i głowę. Dzika kanonada pocisków, z których każdy był wart dziesięć tysięcy dolarów. Lane rzucał je z całej siły, aż bolało. A potem łzy popłynęły po jego twarzy i nie potrafiąc się opanować, zaczął krzyczeć, szlochać, sapać i łapać kurczowo powietrze.

— Weź to! Weź to! Weź to! Odzyskaj ją! Odzyskaj ją!  
Odzyskaj ją! Proszę! Proszę!

W każdym z tych desperackich okrzyków słyhać było wściekłość, ból, cierpienie, strach, gniew i poczucie straty.

Reacher stał tam pod gradem bolesnych pocisków, patrząc na rosnący u jego stóp stos dziesiątków tysięcy dolarów.

Nikt nie jest aż tak dobrym aktorem, pomyślał.

Tym razem to dzieje się naprawdę.

## 27

Wyszedł na korytarz i czekał, aż Lane się uspokoi. Usłyszał płynącą w łazience wodę. Myje twarz, pomyślał. Zimną wodą. Usłyszał szelest przesuwanego po podłodze papieru i ciche skrzypienie plastiku, kiedy Lane pakował z powrotem pliki do folii. Usłyszał, jak wlecze belę do garderoby, jak zatrzasują się drzwi i zamek szyfrowy potwierdza miauknięciem, że zostały zamknięte. Wtedy wrócił do salonu. Lane pojawił się tam minutę po nim, usiadł w fotelu i wbił wzrok w telefon, cicho i spokojnie, jakby w ogóle nic się nie wydarzyło.



Telefon zadzwonił o siódmej czterdzieści pięć. Lane złapał słuchawkę i wychrypiął „Tak?” prawie niesłyszalnym zduszonym krzykiem. Już po chwili jednak na jego twarzy pojawiło się rozczarowanie. Potrząsnął głową ze zniecierpliwieniem i irytacją. To nie byli porywacze. Słuchał jeszcze przez dziesięć sekund i rozłączył się.

— Kto to był? — zapytał Gregory.

— Znajomy — odparł Lane. — Facet, z którym skontaktowałem się wcześniej. Zasięgnął dla mnie języka. Gliniarze znaleźli dziś rano w rzece Hudson niezidentyfikowane zwłoki topielca. W basenie portowym przy Siedemdziesiątej Dziewiątej Ulicy. Biały mężczyzna, w wieku około czterdziestu lat. Zabity jednym strzałem.

— Taylor?

— Na pewno — odparł Lane. — Rzeka jest w tym miejscu spokojna. I łatwo zjechać na nabrzeże z autostrady West Side. Idealne miejsce dla kogoś, kto udaje się na północ.

— Co teraz robimy? — zainteresował się Gregory.

— Teraz? — zapytał Lane. — Nic. Czekamy tu. Czekamy na właściwy telefon. Ten, o który nam chodzi.

. . .

Ale nie doczekali się go. O ósmej rano skończyło się dziesięć długich godzin oczekiwania i telefon nie zadzwonił. Nie zadzwonił o ósmej piętnaście, o ósmej trzydziści ani o ósmej czterdziści pięć. Nie zadzwonił o dziewiątej. Czekali na niego tak, jak skazaniec czeka na telefon od gubernatora, który ma odroczyć egzekucję. Reacherowi przyszło do głowy, że obrońca i jego niewinny klient muszą kolejno zaznawać takich samych jak oni emocji: konsternacji, niepokoju, szoku, niedowierzania, rozczarowania, krzywdy, gniewu i wściekłości.

A potem rozpaczy.

Telefon nie zadzwonił o dziewiątej trzydziści.

Lane zamknął oczy.

— Niedobrze — powiedział.

Nikt się nie odezwał.

. » .

Za piętnaście dziesiąta Lane'a opuściła cała energia, zupełnie jakby pogodził się z czymś nieuniknionym. Usiadł głębiej w fotelu, przechylił do tyłu głowę i wbił wzrok w sufit.

— To koniec — powiedział. — Ona nie żyje.

Nikt się nie odezwał.

— Ona nie żyje — powtórzył Lane. — Prawda?

Nikt nie odpowiedział. W pokoju panowała kompletna cisza. Jak podczas stypy, w miejscu tragicznego wypadku, na pogrzebie, nabożeństwie żałobnym albo na sali operacyjnej po nieudanej operacji. Zupełnie jakby monitor pokazujący pracę

serca, który wbrew wszelkim przeciwnościom losu dawał przez cały czas sygnały dźwiękowe, nagle i bezpowrotnie umilkł.

I na ekranie pojawiła się płaska linia.

. . .

O dziesiątej rano Lane podniósł głowę z oparcia fotela.

— W porządku — powiedział. — W porządku — powtórzył po chwili. — Wkraczamy do akcji. Robimy to, co trzeba. Odnajdujemy i niszczymy. Tak długo, jak będzie tego wymagać sytuacja. Sprawiedliwości musi stać się zadość. Mówię o naszej sprawiedliwości. Bez gliniarzy, adwokatów, procesu. Bez apelacji. Bez wyroków, odsiadki i bezbolesnych śmiertelnych zastrzyków.

Nikt się nie odezwał.

— Za Kate — powiedział Lane. — I za Taylora.

— Wchodzę w to — oznajmił Gregory.

— Do samego końca — dodał Groom.

— Jak zawsze — mruknął Burke.

— Aż do śmierci. — Perez pokiwał głową.

— Jestem z wami — rzekł Addison.

— Pożalują, że się w ogóle urodzili — oświadczył Kowalski.

Reacher przyjrzał się ich twarzom. Chociaż było ich tylko sześciu, mniej niż w plutonie, wyczuwał w nich determinację całej armii.

— Dziękuję — powiedział Lane i pochylił się do przodu, ponownie naładowany energią. — Pierwszego dnia, zaraz po przyjsciu tutaj, powiedział pan, że moi ludzie mogą rozpętać przeciwko nim wojnę, ale najpierw musimy ich znaleźć — zwrócił się bezpośrednio do Reachera. — Pamięta pan?

Reacher pokiwał głową.

— Więc niech pan ich teraz znajdzie.

. . .

Reacher wrócił do głównej sypialni i podniósł z biurka oprawioną w ramki fotografię. Gorszą odbitkę. Tę, na której była Jade. Trzymając ją ostrożnie, żeby nie pobrudzić szkła, przyjrzał jej się długo i uważnie. Robię to dla was, pomyślał.

Dla was obu. Nie dla niego. A potem odstawił fotografię i wyszedł cicho z apartamentu.

Odszukać i zniszczyć.



Zaczął od tego samego automatu telefonicznego, z którego skorzystał wcześniej. Wyjął wizytówkę z buta i zadzwonił na komórkę Lauren Pauling.

— Tym razem to prawdziwe porwanie — powiedział — i porwane już nie wróca.

— Możesz być za pół godziny przy budynku ONZ? — spytała.

## 28

Reacher nie mógł podejść do budynku ONZ, bo drogę blokowali strażnicy, ale dostrzegł Lauren Pauling, która czekała na niego na chodniku Pierwszej Alei. Najwyraźniej miała ten sam problem. Bez przepustki nic się nie dało zrobić. Na ramiona zarzuciła kolorową apaszkę. Wyglądała dobrze. Była od niego 0 dziesięć lat starsza, ale spodobało mu się to, co widział. Ruszył w jej stronę, a potem ona zobaczyła jego i spotkali się w połowie drogi.

— Poprosiłam o przysługę pewną osobę — powiedziała. — Spotkamy się z oficerem z Pentagonu, który współpracuje z jednym z ONZ-owskich komitetów.

— O czym mamy z nim mówić?

— O najemnikach — odparła Pauling. — Podobno ich nie lubimy. Podpisaliśmy wszystkie stosowne traktaty.

— Pentagon uwielbia najemników. Bez przerwy ich zatrudnia.

— Ale chce, żeby jechali dokładnie tam, gdzie się ich posyła. A w wolnym czasie nie udawali się na gościnne występy.

— Tam właśnie stracili Knighta i Hobarta? Podczas gościnnych występów?

— Gdzieś w Afryce — poinformowała go Pauling.

— Czy ten facet zna szczegóły?

— Niektóre. Zajmuje dość wysokie stanowisko, ale jest nowy. Nie poda ci swojego nazwiska i nie wolno go o nie pytać. Zgoda?



- Wie, jak ja się nazywam?
- Nie powiedziałaś mu.
- W porządku, to brzmi uczciwie.

W tym momencie zadzwoniła jej komórka. Odebrała ją, przez chwilę słuchała rozmówcy i rozejrzała się dookoła.

— Jest na placu — powiedziała. — Widzi nas, ale nie chce podejść. Musimy iść do kawiarni na Drugiej Alei. Dołącz do nas.



Kawiarnia była jednym z tych utrzymanych w brązowej tonacji, urządzonych w greckim stylu lokali, w których można napić się kawy przy kontuarze lub w boksach, względnie dostać ją na wynos w tekturowych filiżankach. Pauling zaprowadziła Reachera do położonego z tyłu boksu i usiadła tak, by mieć na oku drzwi. Reacher zajął miejsce obok niej. Nigdy nie siadał inaczej niż tyłem do ściany. Stary nawyk, nawet w miejscu, gdzie pełno było luster, takim jak ta kawiarnia. Były zabarwione na brązowo i optycznie poszerzały wąski lokal. Wszyscy wydawali się w nich opaleni, jakby dopiero co przyszli z plaży. Pauling dała znak kelnerce, wymówiła bezgłośnie słowo „kawa” i uniosła trzy palce. Kelnerka podeszła do nich, postawiła na stole trzy ciężkie brązowe kubki i nalała do nich kawy z termosu.

Reacher pociągnął łyk. Gorąca, mocna, nieokreślonego gatunku.

Rozpoznał faceta z Pentagonu, zanim jeszcze ten wszedł do środka. Nie było wątpliwości, co to za jeden. Wojskowy, choć niekoniecznie z pierwszej linii frontu. Być może zwykły biurokrata. Bezbarwny. Niezbyt stary, niezbyt młody, z krótko przystrzyżonymi włosami koloru kukurydzy, miał na sobie tani niebieski wełniany garnitur, białą koszulę z przypinanym kołnierzykiem, krawat w prążki i porządne wyglansowane półbuty. Inny rodzaj munduru. Ubranie, które kapitan lub major wkłada na drugi ślub swojej szwagierki. Może facet kupił je właśnie w tym celu, zanim jeszcze skierowano go na wysuniętą placówkę w Nowym Jorku.

Stanął w drzwiach i rozejrzał się dookoła. Wcale nas nie

wypatruje, pomyślał Reacher. Wypatruje ludzi, którzy go znają. Jeżeli kogoś zobaczy, uda, że ktoś do niego dzwoni, odwróci się i odejdzie. Nie chce, żeby zadawano mu później niewygodne pytania. Nie jest taki głupi.

Pauling też nie jest głupia, pomyślał. Zna ludzi, którzy mogą napytać sobie biedy tylko dlatego, że widziano ich w niewłaściwym towarzystwie.

Jednak facet najwyraźniej nie zobaczył niczego, co by go zaniepokoiło. Podszedł do ich boksu, usiadł naprzeciwko Pauling i Reachera i przyjrzaawszy się krótko każdemu z nich, utkwiał wzrok w lustrze gdzieś między ich głowami. Z bliska Reacher zobaczył, że ma blizny na twarzy i tkwiący w klapie dyskretny czarny znaczek przedstawiający skrzyżowane pistolety. Być może trafiły go z daleka odłamki granatu albo domowej roboty bomby. Może jednak walczył na froncie. A może miał w dzieciństwie wypadek z bronią.

— Nie mam dla was zbyt dużo faktów — oświadczył. — Zatrudnieni przez prywatne firmy, walczący za granicą Amerykanie są całkiem słusznie uważani za wrzód na tyłku, zwłaszcza kiedy jadą walczyć w Afryce. Więc tego rodzaju informacje są fragmentaryczne, a poza tym to dotyczy czasów, zanim się tu pojawiłem, dlatego niewiele o tym wiem. Mogę więc wam powiedzieć tylko to, czego i tak się domyślacie.

— Gdzie to było? — zapytał Reacher.

— Nawet tego nie wiem na pewno. W Burkina Faso albo w Mali. W jednym z tych małych afrykańskich państewek. Szczerze mówiąc, w tyłu z nich dochodzi do rozruchów, że trudno się połapać. To była typowa sytuacja. Wojna domowa. Wystraszone władze, bandy rebeliantów szykujące się do wyjścia z dżungli. Wojsko, na którym nie można polegać. Władze, które wydają masę forsy, żeby kupić sobie ochronę za granicą.

— Czy w jednym z tych krajów mówi się po francusku?

— Czy to ich oficjalny język? W obu. Dlaczego pan pyta?

— Widziałem część pieniędzy. W plastikowej folii z francuskim nadrukiem. Banque Centrale, Bank Centralny.

— Ile?

— Więcej, niż pan i ja zarobimy przez całe życie.

— Amerykańskie dolary?

Reacher pokiwał głową.

— Dużo amerykańskich dolarów.

— Czasami to zdaje egzamin, czasami nie.

— Czy udało się tym razem?

— Nie — odparł facet. — Krążyły pogłoski, że Edward Lane wziął forszę i zwiął. Nie można go chyba o to winić. Przeciwnik przewyższał ich liczebnie i mieli słabą pozycję strategiczną.

— Ale nie wszystkim udało się uciec.

Facet kiwnął głową.

— Na to wygląda. Chociaż uzyskanie informacji z tych miejsc przypomina próbę odebrania sygnału radiowego z ciemnej strony Księżyca. Słyszysz się głównie ciszę i szumy. Kiedy coś dociera, jest niewyraźne i zniekształcone. Na ogół polegamy na tym, co przekazuje nam Czerwony Krzyż i Lekarze bez Granic. W końcu dostaliśmy raport, że wzięto do niewoli dwóch Amerykanów. Rok później poznaliśmy ich nazwiska. To byli Knight i Hobart. Służyli kiedyś w Recon Marines, mieli niezbyt chlubne dossier.

— Dziwi mnie, że uszli z życiem.

— Rebelianci wygrali. Utworzyli nowy rząd. Opróżnili więzienia, ponieważ siedziało w nich mnóstwo ich kumpli. Ale każda władza musi mieć wypełnione więzienia, bo inaczej ludność nie będzie się jej bała. Więc ci, co byli kiedyś dobrzy, teraz stali się źli. Każdy, kto pracował dla starego reżimu, wpadł w opałę. A dwaj Amerykanie stali się czymś w rodzaju trofeum. Dlatego pozwolono im żyć. Jednak dużo wycierpieli. To, czego dowiedzieliśmy się od Lekarzy bez Granic, było straszne. Mrozące krew w żyłach. Okaleczenia dla zabawy były tam na porządku dziennym.

— Jakież szczegóły?

— Myślę, że jest dużo złych rzeczy, które jeden człowiek może zrobić drugiemu nożem.

— Nie myśleliście o misji ratowniczej?

— Nie słucha pan uważnie — powiedział facet. — Departament Stanu nie może przyznać, że w Afryce grasują bandy

najemników, wśród których są amerykańscy renegaci. I jak już powiedziałem, rebelianci stali się nową władzą. Teraz to oni rządzą. Musimy być dla nich mili. Ponieważ wszędzie tam są surowce, których potrzebujemy. Ropa naftowa, diamenty, uran. Alcoa potrzebuje cyny, boksytów i miedzi. Halliburton chce tam wejść i zarobić parę dolców. Korporacje z Teksasu chcą poprowadzić im te cholerne więzienia.

— Wie pan może, co się z nimi ostatecznie stało?

— Informacje są fragmentaryczne, lecz można sobie wyrobić ogólny obraz. Jeden zmarł w niewoli, drugiego w końcu wypuszczono. Rodzaj humanitarnego gestu, o który ubiegał się Czerwony Krzyż, żeby uczcić piątą rocznicę przewrotu. Wypuścili całą gromadę. Koniec historii. To wszystkie informacje, jakie dotarły do nas z Afryki. Jeden zmarł, a drugi wyjechał, stosunkowo niedawno. Jeżeli jednak pan trochę powęszy i skontaktuje się ze służbą imigracyjną, odnajdzie pan samotną osobę wjeżdżającą do Stanów Zjednoczonych z Afryki i legitymującą się dokumentami wystawionymi przez Czerwony Krzyż. A jeżeli skontaktuje się pan z urzędem kombatantów, znajdzie pan być może raport o osobie, którą skierowano na rehabilitację w związku z przebytymi chorobami tropikalnymi i okaleczeniami, o jakich wspominał raport Lekarzy bez Granic.

— Który z nich przeżył? — zapytał Reacher.

— Nie mam pojęcia — odpowiedział facet. — Wiem tylko, że jeden przeżył, a drugi nie.

— Potrzebuję czegoś więcej.

— Mówiłem panu, to wszystko się zaczęło, zanim tu nastąpiłem. W tej sprawie nie mam dostępu do zastrzeżonych informacji. Wiem tylko to, co wpadło mi w ucho.

— Potrzebne mi jego nazwisko — powiedział Reacher. — A także adres z urzędu kombatantów.

— To niemożliwe — odparł facet. — Musiałbym znacznie przekroczyć swoje kompetencje. I musiałbym mieć ważny powód, żeby to zrobić.

— Niech pan na mnie spojrzy — poprosił Reacher.

Facet przestał się gapić w lustro i popatrzył mu prosto w twarz.

— Dziesięć sześćdziesiąt dwa — powiedział Reacher.

Żadnej reakcji.

— Więc nie bądź dupkiem — poprosił Reacher. — Spręż się. Dobrze?

Facet ponownie wbił wzrok w lustro. Miał nieprzeniknioną twarz.

— Zadzwoń na komórkę Pauling — oświadczył. — Nie wiem kiedy. Po prostu nie mogę powiedzieć. To może potrwać parę dni. Ale zdobędę, co mogę, najszybciej, jak się da.

Następnie wyszedł z boksu i ruszył prosto do drzwi. Otworzył je, skręcił w prawo i zniknął z pola widzenia. Lauren Pauling wypuściła z płuc powietrze.

— Przyparłeś go do muru — stwierdziła. — To nie było zbyt grzeczne.

— Ale facet pomoże.

— Dlaczego? Co to za historia z dziesięć sześćdziesiąt dwa?

— Nosił znaczek żandarmerii wojskowej. Skrzyżowane pistolety. Dziesięć sześćdziesiąt dwa to radiowy kod żandarmerii oznaczający „Funkcjonariusz w niebezpieczeństwie, prosi o pilną pomoc”. Więc pomoże. Musi. Bo jeżeli jeden żandarm nie pomoże drugiemu, to kto to, do diabła, zrobi?

— Czyli mamy przełom w sprawie. Może nie będziesz musiał urabiać sobie ręk po łokcie.

— Może. Ale facet nie będzie się spieszył. Wygląda mi na trochę nieśmiałego. Ja włamałbym się od razu do czyjejś szafki z aktami. On będzie to załatwiał swoimi kanałami i uprzejmie prosił.

— Może dlatego awansuje. W przeciwieństwie do ciebie.

— Taki jak on, nieśmiały facet, nie awansuje wysoko. Zakończy prawdopodobnie karierę w stopniu majora.

— Już teraz jest generałem brygady — oznajmiła Pauling.

— Ten facet? — Reacher zerknął w stronę drzwi, jakby spodziewał się ujrzeć jego cień. — Jest stosunkowo młody...

— Nie, to ty jesteś stosunkowo stary — odparła Pauling. — Wszystko jest względne. Ale zaangażowanie do tej sprawy generała brygady świadczy, jak poważnie Stany Zjednoczone traktują problem najemników.

— Świadczy, jak usilnie staramy się go zatuszować.  
Przez chwilę milczeli.

— Okaleczanie dla zabawy — mruknęła Pauling. — Brzmi okropnie.

— Z pewnością — zgodził się Reacher.

Znowu zapadła cisza. Kelnerka podeszła do nich i zaproponowała dolewkę. Pauling odmówiła, Reacher poprosił.

— Ktoś poinformował telefonicznie Lane'a, że policja znalazła dziś rano w rzece Hudson niezidentyfikowane zwłoki — powiedział. — Biały mężczyzna, koło czterdziestki. W basenie portowym. Zabity jednym strzałem.

— Taylor?

— Najprawdopodobniej.

— Co dalej?

— Pracujemy na podstawie tego, co mamy — rzekł Reacher. — Przyjmujemy teorię, że Knight albo Hobart wrócili do domu i chowają urazę.

— Jak pracujemy?

— Urabiając sobie ręce po łokcie. Nie zamierzam wstrzymać oddechu, czekając na to, co uda się odnaleźć w Pentagonie. Bez względu na to, ile ma blizn i orderów, facet jest w głębi serca biurokrata.

— Chcesz to przedyskutować? Byłam kiedyś śledczym. I to dobrym. Tak mi się przynajmniej wydawało. Aż do momentu, no wiesz, kiedy do tego doszło.

— Gadanie nic nam nie da. Muszę pomyśleć.

— To myśl na głos. Co tu nie pasuje? Co nie jest na swoim miejscu? Co cię w jakikolwiek sposób zaskoczyło?

— Samo uprowadzenie. W ogóle nie powinno się zdarzyć.

— Co jeszcze?

— Wszystko. Zaskakujące jest to, że nie nasuwają mi się żadne wnioski. Albo coś jest nie tak ze mną, albo widzimy w fałszywym świetle całą sytuację.

— To zbyt ogólne podejście. Zacznij od drobiazgów. Wyień jedną rzecz, która cię zaskoczyła.

— To właśnie robiliście? W FBI? Podczas tych swoich burz mózgow?

— Oczywiście. Wy nie?

— Ja służyłem w żandarmerii. Miałem szczęście, jeśli znalazł się ktoś z mózgiem dość dużym, by przetrwać burzę.

— Serio. Wymień jedną rzecz, która cię zaskoczyła.

Reacher upił łyk kawy. Ona ma rację, pomyślał. Zawsze jest coś wyrwanego z kontekstu, nawet zanim się wie, jaki powinien być kontekst.

— Tylko jedną rzecz — naciskała go Pauling. — Dowolną.

— Wysiadłem z czarnego bmw po tym, jak Burke przerzucił torbę do jaguara, i zaskoczyło mnie, jak szybko facet usiadł za kierownicą. Myślałem, że zdążę dojść do rogu i zająć pozycję. Ale on już tam był, praktycznie mnie wyprzedził. Wszystko trwało maksimum kilka sekund. Ledwie zdążyłem mu się przyjrzeć.

— Co to oznacza?

— Że czekał tuż obok na ulicy.

— Nie podjąłby takiego ryzyka. Jeżeli to Knight albo Hobart, Burke rozpoznałby go w mgnieniu oka.

— Może czekał w bramie.

— Trzy razy z rzędu? Trzykrotnie umówił się przy tym samym hydrancie. O trzech różnych porach dnia. Późnym wieczorem, wczesnym rankiem i w godzinie szczytu. A jeżeli został okaleczony, można go łatwo zapamiętać.

— Facet, którego widziałem, niczym się nie wyróżniał. Był najzwyczajszy pod słońcem.

— Tak czy owak trudno byłoby mu znaleźć za każdym razem odpowiednią kryjówkę. Robiłam to sama wiele razy. Między innymi pewnej nocy przed pięciu laty.

— Nie zadręczaj się — mruknął Reacher.

Ale coś, co powiedziała, zwróciło jego uwagę. *Odpowiednia kryjówka.*

Pamiętał, jak objął się o tylne siedzenie samochodu, słuchając tego koszmarnego głosu. Pamiętał, co wtedy pomyślał: Jedziemy pod ten sam cholerny hydrant?

*Ten sam cholerny hydrant.*

*Odpowiednia kryjówka.*

Odstawił powoli, delikatnie i ostrożnie kubek z kawą, a potem

wziął do prawej ręki lewą dłoń Pauling. Przytknął ją do ust i czule ucałował. Miała szczupłe, zimne i pachnące palce. Podobały mu się.

— Dziękuję — powiedział. — Bardzo ci dziękuję.

— Za co?

— Facet umówił się trzy razy z rzędu przy tym samym hydrancie. Dlaczego? Ponieważ hydrant zawsze gwarantuje kawałek wolnego krawężnika, oto powód. Nie wolno tam parkować. Nie wolno parkować przy hydrancie. Wszyscy to wiedzą. Ale on za każdym razem wybrał ten sam hydrant. Dlaczego? Jest mnóstwo hydrantów do wyboru. Przynajmniej jeden przy każdej przecznicy. Więc dlaczego akurat ten? Ponieważ mu się spodobał, oto dlaczego. Ale dlaczego spodobał mu się akurat ten? Co sprawia, że jeden hydrant podoba się komuś bardziej niż inne?

— Co?

— Nic — odparł Reacher. — Wszystkie są takie same. Produkuje się je masowo. Są identyczne. Temu facetowi spodobał się punkt obserwacyjny. Punkt obserwacyjny był najważniejszy, a ten hydrant znajdował się po prostu najbliżej. Był najlepiej widoczny. Jak słusznie zauważyłaś, potrzebował kryjówki, która byłaby niezawodna i dyskretna, późnym wieczorem, wczesnym rankiem i w godzinie szczytu. I wiedział, że pewnie będzie musiał z niej korzystać przez dłuższy czas. Tak się złożyło, że Gregory był punktualny za pierwszym i drugim razem, ale przecież mógł utknąć w korku. I kto mógł wiedzieć, gdzie będzie Burke, kiedy odbierze telefon w samochodzie? Kto mógł wiedzieć, ile zajmie mu dotarcie na wyznaczone miejsce? Bez względu na to, gdzie czekał nasz facet, musiał się tam dobrze czuć.

— Ale co nam to daje?

— Bardzo dużo. To pierwsze wyraźnie określone ogniwo łańcucha. Stałe, łatwe do ustalenia miejsce. Musimy pojechać na Szóstą Aleję i je zlokalizować. Ktoś mógł go tam widzieć. Ktoś może nawet go zna.



## 29

Reacher i Pauling złapali taksówkę na Drugiej Alei, dojechali nią na południe aż do Houston Street, a potem skręcili na zachód w Szóstą. Wysiedli na południowo-wschodnim rogu, popatrzyli na puste niebo, gdzie stały kiedyś dwie wieże, a potem ruszyli na północ, skąd ciepły wiatr sypał śmieciami i pyłem.

— Pokaż mi ten słynny hydrant — powiedziała Pauling.

Obiekt ich zainteresowania stał przy chodniku z prawej strony, dokładnie pośrodku przecznicy: gruby, niski, przysadzisty, pomalowany łuszczącą się matową farbą, chroniony przez dwa oddalone od siebie o cztery stopy metalowe słupki. Krawężnik przy nim był pusty, wszystkie dozwolone miejsca parkowania w pobliżu zajęte. Pauling stanęła przy hydrancie i obróciła się powoli dookoła. Spojrzała na wschód, północ, zachód, południe.

— Jakie miejsce wybrałby wojskowy? — zapytała.

— Żołnierz wie, iż satysfakcjonujący punkt obserwacyjny powinien zapewniać niczym nieograniczony widok do przodu oraz odpowiednią osłonę z obu boków i z tyłu — wyrecytował Reacher. — A także chronić przed działaniem żywiołów i osłaniać przed innymi obserwatorami. Powinno również istnieć uzasadnione prawdopodobieństwo, że punkt obserwacyjny będzie dostępny przez cały czas trwania operacji.

— O jak długim okresie mówimy?

— Maksimum godzina, za każdym razem.  
— Jak to wyglądało za pierwszym i drugim razem?  
— Facet patrzył, jak Gregory parkuje, a potem szedł za nim na Spring Street.

- Nie czekał w tym opuszczonym budynku?
- Nie, jeżeli działał w pojedynkę.
- Mimo to skorzystał z tylnych drzwi.
- Przynajmniej za drugim razem.
- Dlaczego nie z frontowych?
- Nie mam pojęcia.
- Czy wiemy na pewno, że działa w pojedynkę?
- Tylko jeden z nich wrócił żywy.

Pauling ponownie obróciła się dookoła.

— Więc gdzie jest ten punkt obserwacyjny? — zapytała.  
— Na zachód stąd — odparł Reacher. — Facet chciał wiedzieć, jak Gregory odchodzi.

— Po drugiej stronie ulicy?

Reacher kiwnął głową.

— W połowie przecznicy, w każdym razie niezbyt daleko na północ i na południe. Bez dużych skosów. Odległość maksimum sto stóp. Nie więcej.

— Mógł użyć lornetki. Jak Patti Joseph.

— Również w tym wypadku potrzebowałyby dogodnego kąta. Takiego, jaki ma Patti. Jej mieszkanie jest w zasadzie po drugiej stronie ulicy.

— Ustal pewne ograniczenia.

— Kąt maksimum czterdzieści pięć stopni. To daje dwadzieścia parę stopni na północ i dwadzieścia parę stopni na południe. Promień maksimum sto stóp.

Pauling stanęła twarzą do krawężnika. Rozpostarła ramiona pod kątem czterdziestu pięciu stopni i podniosła płasko i pionowo dłonie, zupełnie jakby szykowała się do zadania ciosów karate. Wykroiła nimi fragment ulicy. Czterdziestopięciostopniowy łuk okręgu o promieniu stu stóp miał siedemdziesiąt osiem stóp długości. Więcej niż trzy, mniej niż cztery typowe w Greenwich Village lokale usługowe o szerokości dwudziestu stóp każdy. Razem pięć lokali, które trzeba by wziąć pod uwagę.

Przede wszystkim środkowe trzy. Ten najbardziej wysunięty na północ i ten najbardziej wysunięty na południe raczej odpadały. Reacher stanął za plecami Pauling i spojrzał nad jej głową. Jej lewa dłoń wskazywała kwiaciarnię. Potem była jego nowa ulubiona kafejka. Potem punkt oprawy obrazów. Potem podwójnej szerokości skład win. Jej prawa ręka wskazywała sklep z witaminami.

— Kwiaciarnia niezbyt się nadaje — powiedziała. — Facet miałby przed sobą okno, a z tyłu ścianę, ale nie mógłby tam wejść o dwudziestej trzeciej czterdzieści w nocy.

Reacher nie odezwał się.

— Sklep z winami jest chyba wtedy otwarty — dodała. — Ale nie o siódmej rano.

— Nie mógłby przez godzinę sterczeć w kwiaciarni albo sklepie z winami — rzekł Reacher. — Nie istnieje uzasadnione prawdopodobieństwo, że którekolwiek z tych miejsc będzie dostępne przez cały czas trwania operacji.

— To samo dotyczy wszystkich — powiedziała. — Oprócz kafejki. Kafejka mogła być otwarta o każdej z tych trzech pór. I w kafejce można sterczeć przez całą godzinę.

— Kafejka byłaby dość ryzykowna. Ktoś mógłby go zapamiętać po trzech długich wizytach. Mnie zapamiętali po jednej kawie.

— Czy kiedy tam siedziałeś, chodniki były zatłoczone?

— Raczej tak.

— Więc może stał po prostu na ulicy. Albo przy jakimś wejściu. W cieniu. Mógł podjąć to ryzyko. Samochody parkowały po drugiej stronie ulicy.

— W tym wypadku nie byłby ukryty przed innymi obserwatorami ani zabezpieczony przed działaniem żywołów. To byłyby bardzo nieprzyjemne godziny, trzy razy z rzędu.

— Służył w piechocie morskiej. Pięć lat przesiedział w więzieniu w Afryce. Jest przyzwyczajony do niewygód.

— Chodzi mi o względy taktyczne. W tej części miasta bałby się, że wezmą go za handlarza narkotyków. Albo terrorystę. Na południe od Dwudziestej Trzeciej Ulicy nie lubią ludzi, którzy kręcą się bez celu.

— Więc gdzie był?

Reacher spojrział w lewo i w prawo.

A potem spojrział w górę

— Wspomniałaś o mieszkaniu Patti Joseph — powiedział. — Nazwałaś je orlim gniazdem.

— I co z tego?

— Czym charakteryzuje się orle gniazdo?

— Jest wysoko położone.

— Właśnie. Patti mieszka stosunkowo wysoko. Szóste przedwojenne piętro znajduje się trochę ponad szczytami drzew. Roztacza się z niego niczym niezastłonięty widok. Żołnierz piechoty morskiej chce mieć niczym niezastłonięty widok. I nigdy nie może wiedzieć, czy będzie go miał na poziomie ulicy. W kluczowym momencie może zaparkować przed nim furgonetka.

Lauren Pauling odwróciła się do jezdni i rozpostarła ponownie ręce, tym razem unosząc je w górę i obejmując wyższe piętra tych samych pięciu budynków.

— Skąd on szedł za pierwszym razem? — zapytała.

— Z południa — odparł Reacher. — Z mojej prawej strony. Siedziałem przy ostatnim stoliku, zwrócony na północny wschód. Facet nadszedł z tyłu, od Spring Street. Nie wiem, skąd szedł. Zamówiłem kawę, a on wsiadł do samochodu, zanim mi ją jeszcze przyniesiono.

— Ale za drugim razem, kiedy Burke przerzucił torbę do jaguara, facet musiał iść prosto z punktu obserwacyjnego, prawda?

— Kiedy go zobaczyłem, był już prawie w samochodzie.

— Jeszcze szedł?

— Ostatnie dwa kroki.

— Skąd?

Reacher cofnął się do miejsca, w którym przystanął, wychodząc zza rogu Bleecker Street. Ustawił w myślach zielonego jaguara przy krawężniku za Pauling i odtworzył dwa ostatnie kroki faceta, który podchodził do drzwi samochodu. Następnie poprowadził dalej wektor i nie spuszczać z oczu punktu startowego, wrócił do Pauling.

— Trasa właściwie bardzo podobna do tej z pierwszego dnia — powiedział. — Na północny wschód, między jadącymi samochodami. Z południa, jeśli patrzy się z miejsca, gdzie siedziałem.

Pauling przesunęła prawą rękę na południe i przecięła dłonią powietrze trochę na lewo od najdalej wysuniętego na północ stolika kafejki. To ograniczyło widok do wąskiego odcinka ulicy. Połowy budynku z kwaciarnią i większej części budynku z kafejką. Nad kwaciarnią wznosiły się trzy piętra. W oknach widać było żaluzje, drukarki, rośliny doniczkowe oraz stosy papierów na parapetach. Pod sufitem zamontowane były jarzeniówki.

— Biurowiec — powiedziała.

W oknach nad kafejką wisały zasłony ze spłowiałej czerwonej tafty, sznurków i kółek z malowanego szkła. W jednym nie było nic. Kolejne było oklejone gazetami. W jeszcze innym był plakat z Che Guevarą, przyklejony do szyby od wewnątrz.

— Budynek mieszkalny — oznajmiła Pauling.

Między kwaciarnią i kafejką znajdowała się wnęka z niebieskimi drzwiami. Po lewej stronie drzwi była matowa srebrzysta tabliczka z przyciskami, nazwiskami i kratką głośnika.

— Osoba, która wyszła przez te drzwi i zmierzała w stronę hydrantu, musiała przeciąć ulicę w kierunku północno-wschodnim, prawda? — powiedział Reacher.

— Znaleźliśmy go — stwierdziła Pauling.

## 30

Na srebrzystej tabliczce po lewej stronie niebieskich drzwi było sześć czarnych przycisków. Przy najwyższym zapisano bardzo starannie, choć atrament już wyblakł, nazwisko „Kublinski”. Przy najniższym ktoś napisał czarnym flamastrem „Dozorca”. Środkowe cztery były puste.

— Niski czynsz — powiedziała Pauling. — Krótki wynajem. Często zmieniający się lokatorzy. Z wyjątkiem pana albo pani Kublinski. Sądząc z charakteru pisma, mieszkają tu od wieków.

— Pięćdziesiąt lat temu prawdopodobnie przenieśli się na Florydę — rzekł Reacher. — Albo umarli. I nikt nie zmienił tabliczki.

— Czy mamy porozmawiać z dozorcą?

— Pokaż mu jedną ze swoich wizytówek. I zasłoń palcem słowo „była”. Zachowuj się, jakbyś nadal pracowała w Biurze.

— Sądziś, że to konieczne?

— Nie wiadomo, co może się nam przydać. To radykalny budynek. Mamy tu Che Guevarę, który nie spuszcza nas z oczu. I zasłony ze sznurków.

Pauling nacisnęła wypiełgnowanym paznokciem przycisk wzywający dozorcę. Minęła cała minuta, nim z głośnika popłynęły zniekształcone dźwięki. To mogło być „tak?”, „kto tam?” lub „co?”. Albo po prostu zwyczajny szum.

— Agenci federalni — zawołała Pauling. Co w pewnym stopniu było prawdą. Zarówno ona, jak i Reacher pracowali

kiedyś dla Wuja Sama. Wyjęła z torebki wizytówkę. W głośniku znowu coś zachrobotało.

— Schodzi — powiedział Reacher.

W czasach kiedy do jego zadań należało ściganie dezerterów, widział mnóstwo podobnych budynków. Uciekinierzy lubili czynsz płatny do ręki i wynajmowanie na krótki okres. I z jego doświadczenia wynikało, że dozorczy byli chętni do współpracy. Zależało im na darmowym mieszkaniu i nie chcieli go stracić. Lepiej, żeby kto inny trafił za kratki, a oni robili dalej za cieciorów.

Chyba że trafiło się na jakiegoś aspołecznego osobnika.

Jednak ten najwyraźniej nie miał nic do ukrycia. Niebieskie drzwi uchyliły się do środka i ukazał się za nimi wysoki, chudy facet w poplamionym podkoszulku bez rękawów. Miał płaskie słowiańskie rysy i czarną wełnianą czapkę na głowie.

— Tak? — zapytał z silnym rosyjskim akcentem. Zabrzmiało to prawie jak „Da?”.

Pauling pomachała mu przed nosem wizytówką, żeby zdołał odczytać pewne słowa.

— Niech pan nam opowie o najnowszym lokatorze — powiedziała.

— Najnowszym? — powtórzył facet. Bez wyraźnej wrogości. Robił wrażenie w miarę rozgarniętego, lecz borykającego się z niuansami obcego języka.

— Czy ktoś wprowadził się tu w ciągu kilku ostatnich tygodni? — zapytał Reacher.

— Pod piątkę — odparł facet. — Tydzień temu. Odpowiedział na ogłoszenie, które kazał mi zamieścić w gazecie administrator.

— Musimy obejrzeć jego mieszkanie — oznajmiła Pauling.

— Nie wiem, czy mogę was wpuścić. W Ameryce obowiązują pewne prawa.

— Ustawa o bezpieczeństwie narodowym — powiedział Reacher. — Ustawa patriotyczna. Nie obowiązują już żadne prawa.

Facet wzruszył ramionami, po czym obrócił się, wysoki i chudy w wąskim przejściu, a następnie ruszył w stronę schodów. Reacher wraz z Pauling podążyli za nim. Reacher

czuł dobiegający z kafejki zapach kawy. W budynku nie było mieszkania numer jeden ani dwa. Pierwsze drzwi, na które trafili u szczytu schodów, z tyłu budynku, miały numer cztery. Mieszkanie od frontu miało numer trzy. Co oznaczało, że mieszkanie numer pięć znajduje się dokładnie nad nim, na drugim piętrze, i jego okna wychodzą na wschód, na ulicę. Pauling spojrzała na Reachera, który pokiwał głową.

— Mieszkanie, w którym nie ma nic w oknie — powiedział.

Na drugim piętrze minęli numer sześć i podeszli do piątki. Aromat kawy ustąpił uniwersalnemu w takich miejscach zapachowi gotowanych jarzyn.

— Czy lokator jest w środku? — zapytał Reacher.

Dozorca potrząsnął głową.

— Widziałem go tylko dwa razy. Teraz na pewno go nie ma. Niedawno chodziłem po całym domu, żeby naprawić rynny.

Otworzył uniwersalnym kluczem drzwi, pchnął je i dał krok do tyłu.

Agent nieruchomości nazwałby pewnie to mieszkanie studiem z alkową. Składało się z jednego pokoju z wnęką, w której mogło się zmieścić niezbyt duże łóżko. Poza tym był tam aneks kuchenny i mała łazienka z otwartymi drzwiami. Ale zobaczyli przed sobą tylko zakurzone klepki podłogi.

Ponieważ mieszkanie było kompletnie puste.

Jeśli nie liczyć jednego krzesła stołowego z wysokim oparciem, niezbyt starego, lecz mocno zużytego. Należało do mebli, które widuje się na chodnikowych wyprzedażach w Bowery, gdzie można kupić wyposażenie zamkniętych z powodu bankructwa restauracji. Krzesło stało przy oknie, zwrócone na północny wschód, mniej więcej dwadzieścia stóp nad miejscem, w którym Reacher popijał przez dwie noce z rzędu swoją kawę.

Reacher podszedł bliżej i usiadł na nim, rozstawiając szeroko nogi, zrelaksowany, lecz czujny. Dokładnie przed sobą miał hydrant po drugiej stronie Szóstej Alei. Widoku nie powinna zasłonić żadna zaparkowana furgonetka ani półciągarówka. Łagodny kąt, odległość dziewięćdziesiąt stóp. Żaden problem dla kogoś, kto nie był zupełnie ślepy. Reacher wstał i obrócił się dookoła. Zobaczył zamykane na zamek drzwi. Trzy solidne



ściany. Okno bez zasłon. „Żołnierz wie, iż satysfakcjonujący punkt obserwacyjny powinien zapewniać niczym niezastłonięty widok z przodu oraz odpowiednią osłonę z obu boków i z tyłu, a także chronić przed działaniem żywiołów i osłaniać przed innymi obserwatorami. Powinno również istnieć uzasadnione prawdopodobieństwo, że punkt obserwacyjny będzie dostępny przez cały czas trwania operacji”.

— Mam wrażenie, jakbym była w mieszkaniu Patti Joseph — powiedziała Pauling.

— Była pani u niej?

— Brewer mi je opisał.

— Osiem milionów historii — mruknął Reacher, po czym odwrócił się do dozorca. — Niech pan nam opowie o tym facecie.

— Nie może rozmawiać — odparł facet.

— To znaczy?

— Nie może mówić.

— Jest niemową?

— Nie od urodzenia. W wyniku urazu.

— Tak jakby od czegoś zaniemówił?

— To nie sprawa emocji — powiedział dozorca. — To sprawa fizyczna. Komunikował się ze mną, pisząc na bloczku żółtego papieru. Pełnymi zdaniami, cierpliwie. Napisał, że został ranny w czasie służby. Coś w rodzaju rany wojennej. Ale nie zauważyłem u niego widocznych blizn. I przez cały czas zaciskał mocno wargi. Jakby bał się, że coś zobaczę. I to przypominało mi coś, co widziałem ponad dwadzieścia lat temu.

— Co takiego?

— Jestem Rosjaninem. Za swoje grzechy służyłem w Armii Czerwonej w Afganistanie. Mudżahedini zwrócili nam kiedyś jeńca w charakterze ostrzeżenia. Miał ucięty język.

# 31

Dozorca zabrał Reachera i Pauling na dół, do własnego mieszkania, w półsuterenie z tyłu budynku. Otworzył szafkę z aktami i wyjął dokumenty dotyczące wynajmu mieszkania numer pięć. Umowa została podpisana dokładnie przed tygodniem przez kogoś, kto twierdził, że nazywa się Leroy Clarkson. Nazwisko zgodnie z oczekiwaniami było beczelnie zmyślone. Clarkson i Leroy były pierwszymi ulicami odchodzącymi od West Side Highway, na północ od Houston Street, zaledwie kilka przecznic dalej. Na końcu Clarkson Street znajdował się bar topless, na końcu Leroy — myjnia samochodowa. Między nimi był mały aluminiowy pawilon, w którym Reacher zjadł kiedyś jakiś posiłek.

— Nie poprosił pan o dowód tożsamości? — zapytała Pauling.

— Robię to tylko, kiedy ktoś płaci czekiem — odparł dozorca. — Ten facet płacił gotówką.

Podpis był nieczytelny. Numer ubezpieczenia społecznego został elegancko wpisany, ale stanowił bez wątpienia przypadkową sekwencję dziewięciu cyfr.

Dozorca opisał lokatora, ale niewiele im to pomogło, ponieważ to, co powiedział, zgadzało się mniej więcej z tym, co Reacher widział dwa razy na własne oczy. Dobiegający czterdziestki, biały mężczyzna średniej wagi i wzrostu, czysty i schludny, bez zarostu na twarzy. Niebieskie džinsy, niebieska

koszulka, czapka baseballowa, tenisówki, wszystko znoszone i wygodne.

— Czy wyglądał na zdrowego? — zapytał Reacher.

— Oprócz tego, że nie mógł mówić? Raczej na zdrowego.

— Powiedział może, że wyjeżdża na jakiś czas z miasta?

— Nic nie powiedział.

— Za jaki okres zapłacił?

— Za miesiąc. To minimalny czynsz. Podlegający przedłużeniu.

— Facet już się nie pojawi — powiedział Reacher. — Może pan zadzwonić do „Village Voice” i poprosić, żeby znowu zamieścili ogłoszenie.

— Co się stało z pańskim kumplem z Armii Czerwonej? — zainteresowała się Pauling.

— Przeżył — odparł dozorca. — Nie wiecie mu się najlepiej, ale przeżył.



Reacher i Pauling wyszli przez niebieskie drzwi i po przejściu trzech kroków na północ przystanęli, żeby napić się kawy. Zajęli ostatni stolik na chodniku. Reacher usiadł na tym samym krześle co dwa razy wcześniej.

— A więc facet nie jest sam — powiedziała Pauling.

Reacher nie odezwał się.

— Ponieważ nie mógłby rozmawiać przez telefon — dodała. Reacher dalej milczał.

— Opowiedz mi o głosie, który słyszałeś — poprosiła.

— Amerykański akcent — odparł Reacher. — Urządzenie nie może zmienić słów, ich kadencji i rytmu. I był cierpliwy. Inteligentny, opanowany, stanowczy, spokojny. Dobrze zna geografię Nowego Jorku. Sądząc po kilku frazach, mógł służyć w wojsku. Chciał, żeby Burke podał swoje nazwisko, co może oznaczać, że zna ekipę Lane'a i kalibrował wykrywacz kłamstw. Poza tym mogę tylko zgadywać. Zniekształcenia były bardzo duże. Ale odniosłem wrażenie, że nie jest stary. Słysząc było lekkość, swego rodzaju zwinność. Może facet jest mały.

- Jak wielu weteranów sił specjalnych.

— Możliwe.

— Stanowczość i spokój może oznaczać, że jest głównym rozgrywającym. Nie pomocnikiem.

Reacher pokiwał głową.

— Słuszna uwaga. Słuchając go, odniosłem takie samo wrażenie. Jakby to on dyktował warunki. A w najgorszym razie uważał się za równorzędnego partnera.

— Więc kto to jest, do diabła?

— Gdyby nie twój facet z Pentagonu, pomyślałbym, że to Hobart i Knight, obaj żywi, obaj z powrotem w Ameryce.

— Ale to niemożliwe — odparła Pauling. — Mój facet z Pentagonu nie pomyliłby się w tej kwestii.

— Czyli ten, który wrócił, znalazł sobie nowego współnika.

— Kogoś, komu ufa — dodała Pauling. — I zrobił to naprawdę szybko.

Reacher zerknął w stronę hydrantu. Przez chwilę zasłaniały mu widok samochody, a potem, kiedy przy Houston Street zapaliły się zielone światła, zobaczył go ponownie.

— Czy pilot zadziałałby z tej odległości? — zapytał.

— Żeby otworzyć drzwi? — zapytała Pauling. — Niewykluczone. To zależy od samochodu. Dlaczego pytasz?

— Kiedy Burke przerzucił torbę, usłyszałem dźwięk, jakby zablokowały się drzwi samochodu. Myślę, że facet zrobił to z tego pokoju na górze. Obserwował ulicę. Nie chciał zostawiać pieniędzy w otwartym aucie ani chwili dłużej niż to konieczne.

— Rozsądne podejście.

Reacher przez chwilę milczał.

— Wiesz, co nie jest rozsądne? Dlaczego w ogóle siedział w tym pokoju?

— Wiemy, dlaczego tam siedział.

— Nie. Dlaczego to on tam siedział, a nie ten drugi facet? Mamy dwóch mężczyzn, jeden może mówić, drugi nie. Dlaczego ktoś, kto nie mówi, idzie wynająć mieszkanie? Każdy, kto się z nim zetknie, nieprędko go zapomni. A do czego służy w gruncie rzeczy punkt obserwacyjny? Do sprawowania kontroli i wydawania rozkazów. Obserwator widzi, jak rozwija się sytuacja, i w zależności od tego wydaje nowe instrukcje. Ale

ten facet nie potrafi się nawet porozumieć przez komórkę. Co naszym zdaniem wydarzyło się za pierwszym i za drugim razem, kiedy Gregory dostarczył okup? Facet siedzi na górze, widzi, jak Gregory parkuje, i co robi? Nie może nawet zadzwonić do swojego partnera i powiedzieć mu, żeby był w gotowości na Spring Street.

— SMS-y — powiedziała Pauling.

— Co to takiego?

— Możesz wysyłać pisane teksty przez telefon komórkowy.

— Kiedy to wprowadzili?

— Przed kilku laty.

— No dobrze — mruknął Reacher. — Człowiek uczy się przez całe życie. Ale nadal nie rozumiem — dodał po chwili — dlaczego na spotkanie z dozorcą poszedł facet, który nie mówi.

— Też tego nie rozumiem.

— I dlaczego zajął punkt obserwacyjny. Byłoby bardziej sensowne, gdyby odbierał telefon. Facet jest niemową, ale może wysłuchać, co mówi do niego ten drugi.

Przez chwilę oboje milczeli.

— Co teraz? — zapytała Pauling.

— Urabiamy sobie ręce po łokcie. Jesteś na to gotowa?

— Zatrudniasz mnie?

— Nie. Odkładasz wszystko, czym się aktualnie zajmujesz, i pracujesz społecznie. Ponieważ, jeśli nam się uda, dowiesz się, co stało się z Anne Lane pięć lat temu. I skończą się bezsenne noce.

— Chyba że odkryję, że porwanie sprzed pięciu laty było prawdziwe. Wtedy nigdy już nie zasnę.

— Życie to ruletka — odparł Reacher. — W przeciwnym razie nie byłoby takie zabawne.

Pauling przez dłuższą chwilę milczała.

— Dobrze. Pracuję społecznie.

— Więc idź i pomóż jeszcze trochę naszego ruskiego znajomego. Zabierzmy krzesło. Kupili je w tym tygodniu. Przejdziemy się z nim do Bowery i dowiemy się, skąd pochodzi. Może kupił je wspólnik. Może ktoś go zapamiętał.

## 32

Trzymając krzesło niczym torbę, Reacher szedł razem z Pauling na wschód. Na południe od Houston Street targowisko na Bowery podzielone jest na różne branże. Niczym nieoficjalne centra handlowe. Są tutaj artykuły elektryczne, instalacje oświetleniowe, używany sprzęt biurowy, przemysłowe wyposażenie kuchni oraz umeblowanie sal restauracyjnych. Reacher lubił Bowery, bo podobały mu się takie ulice.

Krzesło, które trzymał, choć dość zwyczajne, miało jednak swoje cechy szczególne. Niełatwo je wyliczyć, gdy człowiek przestawał na nim siedzieć, ale jeżeli znajdowało się pod ręką, można było po dokonaniu analizy porównawczej znaleźć identyczne. Zaczęli od sześciu najbardziej wysuniętych na północ punktów sprzedaży. Łącznie nie zajmowały więcej niż sto jardów chodnika, ale jeżeli ktoś kupuje używane krzesło na Manhattanie, istnieje dość duże prawdopodobieństwo, że nabeździe je właśnie w tym miejscu.

Najlepszy towar umieść w witrynie sklepu, brzmi mantra handlowców. Ale tu, na Bowery, witryny nie były tak ważne jak ekspozycje chodnikowe. A krzesło w ręku Reachera nie było pierwszorzędym towarem, ponieważ najprawdopodobniej nie należało do większego zestawu — w takim wypadku nie sprzedano by go oddzielnie. Nikt z kompletem dwudziestu czterech krzeseł nie zostawia sobie dwudziestu trzech. Dlatego Reacher i Pauling przeciskali się między stojącymi na chodniku

meblami, wchodzili przez wąskie drzwi i przyglądali się zakurzonym eksponatom w głębi. Oglądali smutne resztówki, zdekompletowane zestawy i pojedyncze okazy. Obejrzeni dużo krzesel. Wszystkie takie same, każde inne. Każde miało cztery nogi, siedzenie i oparcie, ale różnorodność szczegółów i kształtów była olbrzymia. Żadne nie sprawiało wrażenia zbyt wygodnego. Reacher czytał gdzieś, że prowadzono specjalne badania naukowe dotyczące konstrukcji restauracyjnych krzesel. Musiały być oczywiście trwałe, niezbyt drogie i o zachęcającym kształcie, w gruncie rzeczy jednak nie mogły być zbyt wygodne, ponieważ goście siedzieliby na nich przez cały wieczór. Zamiast trzech zmian każdego wieczoru obsługiwano by przy stoliku tylko dwie i lokal by splajtował. Kontrola porcji i fluktuacja gości stanowią ważne czynniki restauracyjnego interesu i Reacher wyobrażał sobie, że producenci krzesel zdają sobie z tego świetnie sprawę.

W pierwszych trzech punktach sprzedaży nie znaleźli pasujących krzesel i nikt nie przyznał się do sprzedaży tego, które Reacher trzymał w ręku.

Dopiero w czwartym znaleźli to, czego szukali.

Sklep był dwa razy szerszy od innych i trzymał chromowane meble restauracyjne od strony ulicy; chińscy właściciele przebywali na zapleczu. Za błyszczącymi barowymi stołkami ustawione były stare stoły i zestawy krzesel po sześć w słupku. Za stołami i zestawami krzesel kryły się resztówki. Wśród nich dwa wiszące wysoko na ścianie krzesła, które były zupełnie takie same jak to trzymane w ręku przez Reachera. Ten sam styl, ta sama konstrukcja, ten sam kolor, ten sam wiek.

— Szukajcie, a znajdziecie — mruknęła Pauling.

Reacher sprawdził ponownie, dla pewności. Ale nie ulegało wątpliwości — krzesła były identyczne. Identyczne były nawet pokrywające je warstwy brudu i kurzu. Ten sam odcień szarości, ta sama faktura, ta sama konsystencja.

— Potrzebujemy kogoś z obsługi — powiedział Reacher, Po czym ruszył ze swoim krzesłem na tyły sklepu.

Za rozklekotanym stołem, na którym stała zamknięta skrzynka na pieniądze, siedział stary Chińczyk o nieprzeniknionym

wyrazie twarzy. Najprawdopodobniej właściciel. Wszystkie transakcje musiały przechodzić przez jego ręce — to on trzymał gotówkę.

— Sprzedał pan ten mebel — oznajmił Reacher, podnosząc krzesło i wskazując podbródkiem ścianę, na której wisały jego bliźniaki. — Mniej więcej przed tygodniem.

— Pięć dolarów — powiedział Chińczyk.

— Nie chcę go kupować — wyjaśnił Reacher. — Poza tym ono wcale nie należy do pana. Już raz pan je sprzedał. Chcę wiedzieć komu. To wszystko.

— Pięć dolarów — powtórzył Chińczyk.

— Nie rozumiemy się.

Chińczyk uśmiechnął się.

— Nie, chyba świetnie pana rozumiem. Chce się pan dowiedzieć, kim był nabywca tego krzesła. A ja odpowiadam, że każda informacja ma swoją cenę. W tym wypadku cena wynosi pięć dolarów.

— Może chce je pan dostać z powrotem? Będzie pan mógł je sprzedać po raz drugi.

— Sprzedałem je już więcej niż dwa razy. Knajpy powstają, knajpy upadają, towar krąży. Świat kręci się dookoła.

— Kto je kupił przed tygodniem?

— Pięć dolarów.

— Jest pan pewien, że ta informacja jest warta pięć dolarów?

— Dla jednych tak, dla innych nie.

— Dwa pięćdziesiąt plus krzesło.

— I tak je pan tu zostawi. Nie chce się już panu go nosić.

— Mogę je zostawić u sąsiada.

Oczy Chińczyka po raz pierwszy się poruszyły. Zerknął na ścianę. Zestaw trzech krzeseł jest lepszy od zestawu dwóch krzeseł, pomyślał najwyraźniej.

— Cztery dolce i krzesło — powiedział.

— Trzy i krzesło — odparł Reacher.

— Trzy pięćdziesiąt i krzesło.

— Trzy dwadzieścia pięć i krzesło.

Bez odpowiedzi.

— Panowie, proszę — odezwała się Pauling.



Podeszła do rozklekotanego stołu i otworzyła torebkę. Wyjęła gruby czarny portfel i wyłuskała nową dziesiątkę z grubego niczym książka pliku banknotów. Położyła ją na podrapanym blacie i obróciła w stronę Chińczyka.

— Dziesięć dolarów — powiedziała. — Plus to cholerne krzesło. Więc niech to będzie coś ekstra.

Stary Chińczyk pokiwał głową.

— Kobiety — mruknął. — Zawsze koncentrują się na tym, co ważne.

— Niech pan nam powie, kto kupił krzesło — poprosiła Pauling.

— Facet nie mówił — oznajmił stary.

## 33

— Z początku wcale się tego nie domyśliłem — dodał Chińczyk. — Amerykanin wchodzi tutaj, słyszy, że rozmawiamy w naszym własnym języku i bardzo często dochodzi do wniosku, że nie znamy angielskiego. Załatwia transakcję na migi. To trochę niegrzeczne z jego strony przypisywanie nam takiej ignorancji, ale jesteśmy do tego przyzwyczajeni. Na ogół nie wyprowadzam takiego klienta z błędu, a potem zawstydzam go, wypowiadając jakieś idealnie spójne zdanie.

— Tak jak pan to zrobił ze mną — powiedział Reacher.

— W istocie. I tak jak zrobiłem z mężczyzną, którego najwyraźniej szukacie. On jednak nie potrafił w żaden sposób odpowiedzieć. Trzymał zaciśnięte wargi i przełykał tylko ślinę. Domyśliłem się, że nie potrafi mówić wskutek jakiegoś upośledzenia.

— Jak wyglądał? — zapytał Reacher.

Chińczyk przez chwilę zbierał myśli, a potem podał im ten sam rysopis co dozorca z Szóstej Alei. Biały mężczyzna, między trzydziestym i czterdziestym rokiem życia, średniego wzrostu i wagi, czysty, schludny, bez brody i wąsów. Niebieskie dżinsy, niebieska koszula, czapka baseballowa, tenisówki, wszystko znoszone i wygodne. Nic znaczącego ani wbijającego się w pamięć poza tym, że był niemową.

— Ile zapłacił za to krzesło? — zapytał Reacher.

— Pięć dolarów.

- Czy to nie dziwne, że facet chciał jedno krzesło?
- Uważa pan, że powinienem automatycznie wzywać policję, kiedy robi tu zakupy ktoś, kto nie jest właścicielem restauracji?
- Kto kupuje pojedyncze krzesła?
- Dużo osób — odparł stary. — Ludzie, którzy niedawno wzięli rozwód, którym przestało dopisywać szczęście, którzy zaczęli nowe życie w małym mieszkanku w East Village.
- W porządku — mruknął Reacher. — Rozumiem.
- Czy moja informacja okazała się pomocna? — zapytał stary, zwracając się do Pauling.
- Być może. Ale nie dowiedzieliśmy się niczego nowego.
- Wiedzieliście już o mężczyźnie, który nie mówi?
- Pauling pokiwała głową.
- W takim razie przykro mi — powiedział stary. — Możecie zatrzymać krzesło.
- Mam dosyć noszenia go — oznajmił Reacher.
- Stary pochylił głowę.
- Tak myślałem. W takim razie niech pan się nie krępuje. Może je pan u mnie zostawić.



Pauling wyprowadziła Reachera na ulicę. Po raz ostatni widzieli swoje krzesło, kiedy jakiś młody człowiek, który mógł być wnukiem starego, wieszając je za pomocą długiej żerdzi na ścianie obok innych krzesła.

- Urabiamy sobie ręce po łokcie — powiedziała Pauling.
- To nie ma sensu — mruknął Reacher. — Dlaczego ze wszystkimi spotyka się facet, który nie mówi?
- Ten drugi musi mieć jakąś cechę, która jeszcze bardziej rzuca się w oczy.
- Boję się myśleć, co to może być.
- Lane zostawił tych dwóch facetów. Dlaczego mu pomagasz?
- Nie pomagam mu. Robię to teraz dla Kate i małej.
- One nie żyją. To twoje słowa.
- W takim razie trzeba o tym opowiedzieć. Wyjaśnić.

Poinformować kto, gdzie i dlaczego. Wszyscy muszą się dowiedzieć, co im się przytrafiło. Nie wolno pozwolić, by odeszły w milczeniu. Ktoś musi stanąć w ich obronie.

— I to będziesz ty?

— Gram takimi kartami, jakie mam. Nie ma sensu się skarżyć.

— I co potem?

— Potem trzeba je pomścić, Pauling. Ponieważ to nie była ich walka. To nie była nawet w najmniejszym stopniu walka Jade, prawda? Gdyby Hobart, Knight czy ktokolwiek to był dobrał się do skóry Lane'owi, być może siedziałbym na trybunach i bił brawo. Ale on tego nie zrobił. On skrzywdził Kate i Jade. A dwa draństwa nie dają w sumie jednego dobrego uczynku.

— Podobnie jak trzy draństwa.

— W tym wypadku dają.

— Nigdy nie widziałeś na oczy Kate i Jade.

— Widziałem ich zdjęcia. To wystarczyło.

— Nie chciałabym ci podpaść — powiedziała Pauling.

— Całkiem słusznie — odparł.

Ruszyli na północ w stronę Houston Street, nie mając zielonego pojęcia, co dalej robić, i w pewnym momencie komórka Pauling musiała zacząć wibrować, ponieważ wyjęła ją z kieszeni, zanim Reacher usłyszał dzwonek. Nastawione na wibrację aparaty działały Reacherowi na nerwy. Pochodził ze świata, w którym nagłe włożenie ręki do kieszeni oznaczało sięgnięcie po pistolet, nie po telefon. Za każdym razem, kiedy to się zdarzało, czuł nagły przypływ niepotrzebnej adrenaliny.

Pauling przystanęła w miejscu, przedstawiła się, przekrzykując uliczny hałas, i przez całą minutę słuchała. Następnie podziękowała, zatrzasnęła kłapkę telefonu i odwróciła się z uśmiechem do Reachera.

— Mój kumpel z Pentagonu — powiedziała. — Trochę konkretnych informacji. Może włamał się jednak do czyjejsz szafy z aktami.

- Podał nam nazwisko? — zapytał Reacher.
- Jeszcze nie. Alę wie już, gdzie to było. W Burkina Faso. Byłeś tam kiedyś?
- Nigdy nie byłem w Afryce.
- Dawna francuska kolonia. Nazywała się wtedy Górna Wolta. Wielkości Kolorado. Trzyście milionów mieszkańców, dochód narodowy wynosi jedną czwartą tego, ile jest wart Bill Gates.
- Starczyło im jednak zaskórniaków, żeby wynająć ekipę Lane'a.
- Według mojego faceta niekoniecznie — powiedziała Pauling. — To dziwne. Tam właśnie zostali wzięci do niewoli Knight i Hobart, ale nie ma żadnych informacji, żeby ich rząd zawarł kontrakt z Lane'em.
- Twój facet uważa, że powinien zachować się jakiś ślad?
- Mówi, że zawsze jest jakiś ślad.
- Potrzebne nam nazwisko — stwierdził Reacher. — I nic więcej. Nie musimy pisać historii świata.
- Pracuje nad tym.
- Ale nie dość szybko. A my nie możemy czekać. Musimy zrobić coś sami.
- Na przykład co?
- Nasz facet nazwał się Leroy Clarkson. Może to jakiś prywatny żart, a może coś, co utkwiło w jego podświadomości, bo tam mieszka.
- Niedaleko Clarkson albo Leroy Street?
- Może przy Hudson albo Greenwich.
- W tej okolicy zrobiło się bardzo drogo. Faceta, który spędził pięć lat w afrykańskim więzieniu, nie byłoby stać na wynajęcie tam garderoby.
- Ale facet, który zarobił dużą forszę pięć lat temu, mógł już wcześniej kupić tam mieszkanie.
- Pauling pokiwała głową.
- Powinniśmy wstąpić do mnie do biura. Zajrzeć do książki telefonicznej.

Na białych stronach manhattańskiej książki telefonicznej było kilku Hobartów i pół strony Knightów, ale żaden nie mieszkał w tej części West Village, w której zbitka Leroy Clarkson wydawałaby się oczywistym pseudonimem. Jeden z Knightów mógłby w ostateczności wystąpić pod nazwiskiem Horatio Gansevort, a jeden z Hobartów podszyć się pod Christophera Perry'ego, ale wszyscy pozostali mieszkali na numerowanych ulicach albo tak daleko na wschód, że podświadomość mogłaby im co najwyżej podsunąć Henry'ego Madisona lub Allena Eldridge'a. Względnie Stantona Rivingtona.

— Za bardzo przypomina mi to dzienną telewizję — mruknęła Pauling.

Miała inne bazy danych, które gromadzi każdy sumienny prywatny detektyw mający dostęp do Internetu i starych przyjaciół w policji. Ale nigdzie nie znalazła podejrzanego Knighta albo Hobarta.

— Nie było go pięć lat — powiedziała. — Właściwie powinien zniknąć z pola widzenia... Odłączony telefon, niezapłacone rachunki za prąd i wodę...

— Być może — odparł Reacher. — Ale niekoniecznie. Ci faceci są przyzwyczajeni do nagłych wyjazdów. Zostawiają na ogół zlecenia zapłaty.

— Jego konto mogło się przez ten czas wyczerpać.

— Zależy, ile miał na początku. Jeśli zarabiał tyle, ile pozostali teraz, mógł opłacić bardzo dużo rachunków za prąd, zwłaszcza że nie było go w domu i praktycznie go nie zużywał.

— Pięć lat temu Lane prowadził o wiele skromniejszą działalność. Zanim ze stacji odjechał pociąg terroryzmu, cała branża prowadziła skromniejszą działalność. Prawdziwy czy fikcyjny okup za Anne wynosił tylko sto tysięcy, nie dziesięć i pół miliona. Proporcjonalne do tego były wynagrodzenia podwładnych. Ten facet nie mógł być bogaczem.

Reacher pokiwał głową.

— Prawdopodobnie wynajmował mieszkanie. Właściciel wyrzucił pewnie jego graty na ulicę lata temu.

— W takim razie co robimy?

— Czekamy — odparł. — Na twojego kumpla biurokratę. Chyba że wcześniej się zestarzejemy i umrzemy.

Ale minutę później komórka Pauling ponownie zadzwoniła. Tym razem leżała na biurku, na widoku i słyszeć było ciche mechaniczne brzęczenie. Pauling odebrała telefon i słuchała przez minutę rozmówcy. Potem zamknęła powoli klapkę i odłożyła aparat na miejsce.

— Zbyttno się nie zestarzeliliśmy — powiedziała.

— Czego się dowiedział? — zapytał Reacher.

— To Hobart — odparła. — Hobart wrócił żywy z Afryki.

## 34

- Imię? — zapytał Reacher.
- Clay. Clay James Hobart — odparła Pauling.
- Adres?
- Czekamy na odpowiedź z urzędu kombatantów.
- Zajrzyjmy znowu do książek telefonicznych.
- Stare książki oddaję na makulaturę. Nie trzymam tu

archiwum.

— Może mieć tutaj rodzinę. Do kogo wracać jak nie do rodziny?

W książce było siedmiu Hobartów, w tym jeden zdublowany. Dentysta, numer domowy i służbowy, dwa różne miejsca i numery, ten sam facet.

— Obdzwonź wszystkich — powiedział Reacher. — Udaj facetkę z urzędu kombatantów, która ma jakiś problem z dokumentacją.

Pauling nastawiła telefon stacjonarny na funkcję głośno-mówiącą. Za pierwszym i drugim razem połączyła się z automatycznymi sekretarkami, za trzecim przyprawiła o palpitacje jakiegoś dziadka, który przestraszył się, że urząd kombatantów cofnie mu zasiłek. Pauling uspokoiła go, a on zapewnił ją w zamian, że nigdy nie słyszał o kimś, kto nazywałby się Clay James Hobart. Czwarty i piąty telefon również okazały się bezowocne. Za szóstym razem zadzwoniła do gabinetu dentysty. Był na wakacjach na Antigui. Recepcjonistka poinformowała



ich, że szef nie ma żadnych krewnych o imionach Clay James. Absolutna pewność, z jaką to oznajmiła, kazała Reacherowi zastanowić się, czy nie jest przypadkiem kimś więcej niż recepcjonistką. Choć z drugiej strony nie wyjechała z nim na wakacje. Może po prostu od dawna u niego pracowała.

— I co teraz? — zapytała Pauling.

— Spróbujemy skontaktować się ponownie z pierwszymi dwoma — odparł Reacher. — Poza tym znowu zaczniemy się razem starzeć.

Ale kumpel Pauling z Pentagonu był chyba w jakimś transie, ponieważ jedenaście minut później jej komórka znowu zabręczała i facet podał kolejne informacje. Reacher widział, jak Pauling zapisuje wszystko w żółtym bloku. Nie potrafił odczytać jej pisma do góry nogami i z daleka. Dwie strony notatek. Rozmowa trwała dość długo. Tak długo, że kiedy dobiegła końca, Pauling sprawdziła ikonkę naładowania i podłączyła komórkę do ładowarki.

. — Adres Hobarta? — zapytał Reacher.

— Jeszcze nie — odparła. — Urząd kombatantów robi trudności. To są poufne informacje.

. — Informacja, gdzie mieszka, to nie jest diagnoza medyczna.

— Mój znajomy powiedział im to samo.

— Więc co dla nas miał?

— Lane jest na oficjalnej czarnej liście Pentagonu.

— Dlaczego?

— Wiesz, co to była operacja Sprawiedliwa Sprawa?

— Panama — odparł Reacher. — Przeciwno Manuelowi Noriedze. Ponad piętnaście lat temu. Byłem tam przez chwilę.

— Lane też tam był. Wtedy jeszcze w mundurze. Bardzo dobrze się spisał. Dosłużył się stopnia pułkownika. A potem wylądował po raz pierwszy w Iraku i wyjechał stamtąd z lekko zszarganą opinią. Ale nie aż tak zszarganą, żeby Pentagon wzdragał się później przed podpisaniem z nim prywatnego Kontraktu. Wysłali go do Kolumbii, ponieważ po operacji Sprawiedliwa Sprawa miał opinię specjalisty od Ameryki Środ-

kowej i Południowej. Zabrał ze sobą zrab swojej obecnej ekipy, żeby zlikwidować jeden z kokainowych karteli. Nasz rząd zapłacił mu, żeby to zrobił, ale po dotarciu na miejsce Lane wziął pieniądze od tego samego kartelu, żeby zlikwidować jego konkurentów. Pentagon zbytnio się nie wściekał, ponieważ jeden kartel jest dla nich tak samo zły jak inny, ale potem nie ufali już Lane'owi i nie dostał nowych zleceń.

— Jego ludzie mówią, że byli w Iraku i Afganistanie.

Pauling pokiwała głową.

— Po jedenastym września ludzie wyjeżdżali w różne miejsca. To dotyczy również ekipy Lane'a. Ale tylko jako podwykonawcy. Innymi słowy Pentagon zatrudniał kogoś, komu ufali, i ten ktoś odpalał część roboty Lane'owi.

— To było do przyjęcia?

— Honor został ocalony. Po tej pierwszej historii w Kolumbii Pentagon nigdy nie wypisał czeku dla Lane'a. Ale później potrzebowali każdego, kogo mogli zwerbować, więc przestali kręcić nosem.

— Lane ma bez przerwy zamówienia — powiedział Reacher. — Olbrzymie dochody. Żyje jak król, a większa część pieniędzy z Afryki wciąż leży w oryginalnym opakowaniu.

— To świadczy, do jakiego stopnia rozrosła się cała branża. Mój facet twierdzi, że po tej operacji w Kolumbii Lane zbierał okruchy z cudzego stołu. Nie miał innych możliwości. Z początku okruchy były całkiem spore, ale potem się zmniejszyły. Jest coraz większa konkurencja. Najwyraźniej wzbogacił się na tym wyjeździe do Afryki, ale to, co zostało z tamtej wypłaty, to praktycznie jedyny kapitał, jakim dysponuje.

— Zachowuje się, jakby to on rozdawał karty. Powiedział mi, że nie ma rywali ani partnerów.

— W takim razie kłamie. A może w pewnym sensie mówi prawdę. Ponieważ znajduje się na samym dole piramidy. Ściśle mówiąc, nie ma równych sobie. Wyłącznie zwierzchników.

— Czy w Burkina Faso też był podwykonawcą? — zapytał Reacher.

— Musiał być — odparła Pauling. — W przeciwnym razie figurowałby w dokumentach jako strona umowy.

— Czy nasz rząd tam się zaangażował?

— Niewykluczone. Mój znajomy z Pentagonu z pewnością wydawał się nieco spięty.

Reacher pokiwał głową.

— Dlatego właśnie nam pomaga, prawda? — powiedziała. — Nie chodzi wcale o solidarność żandarmów. Tu chodzi o biurokrację, która stara się panować nad sytuacją. Próbuje kontrolować przepływ informacji. Ktoś uznał, że powinien nas dyskretnie poinformować, byśmy nie miotali się na oślep i nie robili wielkiej afery.

Pauling nie odezwała się. A potem jej telefon zadzwonił ponownie. Próbowała odebrać go z podłączoną ładowarką, ale przewód okazał się za krótki i musiała go odłączyć. Słuchała przez piętnaście sekund, po czym obróciła kartkę w żółtym bloku, zapisała symbol dolara, dwie cyfry i sześć zer. Rozłączyła się i obróciła kartkę, żeby Reacher mógł zobaczyć, co napisała.

— Dwadzieścia jeden milionów dolarów — powiedziała. — Gotówką. Tyle Lane dostał w Afryce.

— Miałaś rację — mruknął Reacher. — Spore okruchy. Jak na podwykonawcę.

Pauling pokiwała głową.

— Cały kontrakt był wart sto pięć milionów dolarów gotówką z centralnej rezerwy rządowej. Lane dostał dwadzieścia procent za to, że zapewni połowę personelu i odwali większą część roboty.

— Żebracy nie mogą być zbyt wybredni — rzekł Reacher. — No tak — dodał po chwili.

— Co „no tak”?

— Ile jest dwadzieścia jeden milionów na dwa?

— Dziesięć i pół.

— Właśnie. Okup za Kate wynosił dokładnie połowę wynagrodzenia z Burkina Faso.

W pokoju zapadła cisza.

— Dziesięć i pół miliona dolarów — powiedział Reacher. — To od początku była dziwna suma. Ale teraz można się w niej doszukać jakiegoś sensu. Lane zgarnął pewnie połowę jako

swój zysk. A po powrocie do domu Hobart uznał, że za swoje cierpienia ma prawo do doli Lane'a.

— Rozsądne podejście — stwierdziła Pauling.

— Ja zażądałbym więcej — mruknął Reacher. — Zażądałbym wszystkiego.



Pauling przesunęła paznokciem po drobnym druku książki telefonicznej i spróbowała połączyć się jeszcze raz z dwoma pierwszymi Hobartami. Ponownie odezwały się automatyczne sekretarki. Odłożyła słuchawkę i w jej małym gabinecie zapadła cisza. A potem znowu zabrzęczała komórka. Tym razem najpierw odłączyła ją od ładowarki i dopiero potem otworzyła klapkę. Podała swoje nazwisko, słuchała przez moment rozmówcy, po czym odwróciła kolejną kartkę w swoim bloku, zapisała trzy linijki i zatrzasnęła klapkę.

— Mam jego adres — oznajmiła.

## 35

— Hobart zamieszkał u swojej siostry — powiedziała Pauling. — W budynku przy Hudson Street, który, załóżę się, stoi między Clarkson i Leroy Street.

— Siostra wyszła za mąż — domyślił się Reacher. — W przeciwnym razie znaleźlibyśmy ją w książce telefonicznej.

— Zdażyła już owdowieć. Zachowała pewnie nazwisko męża, ale mieszka teraz sama. A w każdym razie mieszkała, póki jej brat nie wrócił z Afryki.

Owdowiała siostra nazywała się Dee Marie Graziano i figurowała w książce telefonicznej pod adresem na Hudson Street. Pauling weszła do podatkowej bazy danych i potwierdziła jej adres zamieszkania.

— Regulowany czynsz — powiedziała. — Mieszka tam od dziesięciu lat. Nawet przy niskich opłatach mieszkanko musi być bardzo małe. — Skopiowała numer ubezpieczenia społecznego Dee Marie i wpisała go w okienku innej bazy danych. — Ma trzydzieści osiem lat. Znikome dochody. Prawie nie pracuje. Nie zbliżyła się nawet do progu, powyżej którego płaci się podatek federalny. Jej zmarły mąż też służył w piechocie morskiej. Starszy szeregowy Vincent Peter Graziano. Zmarł trzy lata temu.

— W Iraku?

— Trudno powiedzieć. — Pauling zamknęła swoją bazę danych, otworzyła Google, wpisała *Dee Marie Graziano* i wcis-

nęła Enter. Przyjrzała się rezultatom i coś, co zobaczyła, kazało jej wyjść z Google i otworzyć Lexis-Nexis. Na ekranie ukazała się cała strona wyników.

— Popatrz na to — powiedziała.

— Opowiedz mi — odparł Reacher.

— Pozwała do sądu rząd. Departament Stanu i Departament Obrony.

— Pod jakim zarzutem?

— Za brak wiadomości o jej bracie.

Pauling wcisnęła przycisk drukowania i podawała Reacherowi kolejne kartki, w miarę jak wysuwały się z drukarki. Sama czytała to, co ukazywało się na ekranie. Dee Marie Graziano przez pięć lat walczyła o to, żeby dowiedzieć się, co stało się z jej bratem, Clayem Jamesem Hobartem. Bez wątpienia była to długa, twarda i gorzka kampania. Na samym początku pracodawca Hobarta, Edward Lane z OSC, złożył zaprzysiężone oświadczenie, w którym potwierdził, że Hobart pracował we wzmiankowanym czasie na kontrakcie dla rządu Stanów Zjednoczonych. Dee Marie udała się z tym do swojego kongresmana i dwóch senatorów. Złożyła zażalenie do przewodniczących komitetów sił zbrojnych w Izbie Reprezentantów i Senacie. Pisała do gazet i rozmawiała z dziennikarzami. Miała wystąpić u Larry'ego Kinga, ale w ostatniej chwili odwołano nagranie. Wynajęła nawet na krótko prywatnego detektywa. W końcu znalazła darmowego adwokata i pozwała Departament Obrony. Pentagon zaprzeczył, jakoby wiedział coś o losach Claya Jamesa Hobarta po tym, jak ten opuścił korpus piechoty morskiej. W następnej kolejności Dee Marie pozwała Departament Stanu. Jakiś trzeciorzędny rządowy kauzyperda obiecał, że Hobart zostanie uznany za turystę, który zaginął w zachodniej Afryce. Dee Marie zaczęła więc znowu nachodzić dziennikarzy i składać petycje, powołując się na ustawę o wolności informacji. Ponad połowa z nich została już odrzucona, pozostałe nadal były rozpatrywane.

— Na dobre się w to zaangażowała — rzekła Pauling. — Nie sądzisz? Mówiąc w przenośni, przez pięć lat codziennie zapalała świeczkę przed portretem brata.

— Podobnie jak Patti Joseph — powiedział Reacher. — To opowieść o dwóch siostrach.

— Pentagon wiedział, że po dwunastu miesiącach Hobart jeszcze żyje. I wiedzieli, gdzie jest. Ale przez cztery lata nie puścili pary z gęby. Pozwolili tej biedaczce cierpieć.

— A swoją drogą, co mogła zrobić? Uzbroić się po zęby, pojechać do Afryki i w pojedynkę go ratować? Przywieźć go tutaj, żeby zeznawał w procesie o zabójstwo Anne Lane?

— Nigdy nie było przeciwko niemu żadnych dowodów.

— Tak czy inaczej trzymanie jej w nieświadomości było prawdopodobnie najlepszym wyjściem.

— Mówisz jak prawdziwy wojskowy.

— FBI jest zapewne oazą wolnej informacji?

— Mogła tam pojechać i osobiście zwrócić się do nowego rządu Burkina Faso.

— Takie rzeczy zdarzają się tylko na filmie.

— Jesteś bardzo cyniczny, wiesz?

— Nie mam w sobie ani krzty cynizmu. Jestem po prostu realistą. Życie nie jest usłane różami.

Pauling umilkła.

— Co? — zapytał Reacher.

— Powiedziałeś, że Dee Marie mogła uzbroić się po zęby i pojechać do Afryki.

— Nie. Powiedziałem, że nie mogła.

— Ale zgodziliśmy się, że Hobart znalazł sobie nowego współnika, prawda? — zapytała Pauling. — Zaraz po powrocie. Kogoś, komu ufał. I zrobił to naprawdę szybko.

— Najwyraźniej — odparł Reacher.

— Czy to mogła być siostra?

Reacher nie odezwał się.

— Mają do siebie zaufanie — kontynuowała Pauling. — To raczej oczywiste. I ona tu przez cały czas była, co wyjaśnia szybkość działania. Jest też zaangażowanie z jej strony. Zaangażowanie i mnóstwo gniewu. Czy to możliwe, że głos, który słyszałeś przez telefon w samochodzie, należał do kobiety?

Reacher przez dłuższą chwilę milczał.

— Możliwe — powiedział. — Chyba. To znaczy nigdy nie

przyszło mi to do głowy. Nigdy. Z góry przyjąłem, że to mężczyzna. Zupełnie nieświadomie. To przez te cholerne urządzenia. Potrafią sprawić, że Myszka Miki brzmi jak Darth Vader.

— Powiedziałeś, że w głosie słychać było lekkość. Jakby facet był mały.

Reacher pokiwał głową.

— Tak, mówiłem to.

— Czyli to mogła być kobieta. To całkiem możliwe, kiedy zmieni się ton o oktawę.

— Niewykluczone — zgodził się Reacher. — Ktokolwiek to jest, z całą pewnością dobrze zna układ ulic West Village.

— Jak każdy, kto mieszka tam od dziesięciu lat. Plus wojskowy żargon, którego nauczyła się od męża i brata służących w piechocie morskiej.

— Możliwe — powiedział Reacher. — Gregory wspominał, że w Hamptons pojawiła się jakaś kobieta. Gruba kobieta.

— Gruba?

— Gregory określił ją jako tęgą.

— Obserwowała dom?

— Nie, ona i Kate rozmawiały ze sobą. Poszły na spacer na plażę.

— Może to była Dee Marie. Może jest gruba. Może prosiła o pieniądze. Może Kate pogoniła ją i to była ostatnia kropla.

— Tu chodzi o coś więcej niż pieniądze.

— Ale to nie wyklucza, że w jakiejś części chodzi również o pieniądze — rzekła Pauling. — I sądząc po tym, gdzie mieszka, Dee Marie potrzebuje pieniędzy. Jej działka wynosiłaby ponad pięć milionów dolarów. Mogłaby je uznać za rodzaj zadośćuczynienia. Za pięć lat walenia głową w mur. Milion dolców za rok.

— Możliwe — powtórzył Reacher.

— To tylko hipoteza — przyznała Pauling. — Ale nie powinniśmy jej wykluczać.

— Nie — zgodził się. — Nie powinniśmy.

Pauling wzięła z półki spis ulic i sprawdziła adres przy Hudson Street.



— Mieszkają na południe od Houston. Między Vandam i Charlton. Nie między Clarkson i Leroy. Myliliśmy się.

— Może mają ulubiony bar kilka przecznic dalej na północ — powiedział Reacher. — Nie mógł zresztą nazwać się Charlton Vandam. To zbyt sztuczne.

— Tak czy owak to ledwie piętnaście minut drogi stąd.

— Nie rób sobie zbyt wielkich nadziei. To tylko kolejna cegiełka w murze. Jeden czy dwoje, dawno już ich tu nie ma. Byliby szaleni, gdyby zostali.

— Tak myślisz?

— Mają krew na rękach i pieniądze w kieszeniach. W tym momencie powinni być na Kajmanach, Bermudach, w Wenezueli czy gdzie tam jeszcze ludzie dają dyla w dzisiejszych czasach.

— To co robimy?

— Jedziemy na Hudson Street i modlimy się, żeby trop okazał się choć trochę świeży.

## 36

W swoich poprzednich wcieleniach Reacher i Pauling weszli do tysiąca budynków, w których mogli się ukrywać żywiacy wrogie zamiary podejrzani. Wiedzieli dokładnie, co robić. Odbyli krótką taktyczną naradę. Na ich niekorzyść przemawiało to, że nie byli uzbrojeni i Pauling spotkała się już przedtem dwa razy z Hobartem. Po zaginięciu Anne Lane przeszłuchiwała wszystkich członków ekipy jej męża. Było całkiem prawdopodobne, że Hobart nie zapomniał jej nawet po pięciu traumatycznych latach. Te minusy równoważyło silne przekonanie Reachera, że mieszkanie przy Hudson Street będzie puste. Spodziewał się tam znaleźć wyłącznie pospiesznie opróżnione szafy i śmieci gnijące w wiadrze.

Na dole nie było portiera. To nie ten rodzaj budynku. Czteropiętrowa kamienica z czerwonej cegły i z czarnymi schodami przeciwpożarowymi stała na skraju przecznicy zajętej przede wszystkim przez biura projektowe i oddziały banków. Do środka prowadziły łuszczące się czarne drzwi z wbudowanym we framugę aluminiowym domofonem. Dziesięć czarnych przycisków. Dziesięć tabliczek z nazwiskami. „Graziano” wpisane było elegancko przy 4L.

— Bez windy — powiedziała Pauling. — Położone centralnie schody. Długie, wąskie mieszkania, po dwa na każdym piętrze, z oknami na ulicę i na podwórko, jedno po lewej, drugie po prawej stronie. Cztery L będzie na trzecim piętrze, po lewej stronie.

Reacher nacisnął klamkę. Drzwi były zamknięte.

— Co jest z tyłu? — zapytał.

— Prawdopodobnie szyb wentylacyjny między tym budynkiem i budynkiem przy Greenwich Street.

— Moglibyśmy spuścić się z dachu i wejść przez okno kuchenne.

— Trenowałam to w Quantico — powiedziała Pauling. — Ale nigdy nie robiłam tego naprawdę.

— Ja też nie — przyznał Reacher. — Nigdy nie wchodziłem przez okno kuchenne. Raz przez okno w łazience.

— Było fajnie?

— Niezupełnie.

— Co robimy?

Normalnie Reacher wcisnąłby jakikolwiek przycisk i powiedział, że jest z UPS albo FedEx. Nie był jednak pewien, czy ta metoda sprawdzi się w tym budynku. Kurierzy nie dostarczali chyba tutaj zbyt wielu przesyłek. I uświadomił sobie, że jest już prawie czwarta po południu. Niezbyt odpowiedni czas na pizzę albo chińszczyznę. Za późno na lunch, za wcześnie na kolację. Wcisnął więc wszystkie przyciski oprócz 4L, po czym oznajmił donośnym bełkotliwym głosem, że nie może znaleźć kluczy. I przynajmniej w dwóch mieszkaniach brakowało jakiejś zbłąkanej duszy, ponieważ zamek zabrzączał dwa razy i Pauling pchnęła drzwi.

Po prawej stronie pogrążonego w półmroku holu była wąska klatka schodowa. Schody biegły na pierwsze piętro, potem skręcały i na drugim piętrze zaczynały się ponownie z przodu budynku. Kryte popękanym linoleum i oświetlone ledwie ćmiącymi się żarówkami, wyglądały jak śmiertelna pułapka.

— Co teraz? — zapytała Pauling.

— Teraz poczekamy. Co najmniej dwie osoby wystawią głowy, wypatrując, kto zgubił klucz.

Czekali dwie minuty. Wysoko w ciemności otworzyły się jakieś drzwi. A potem zamknęły. Po chwili otworzyły się kolejne. Niżej. Chyba na pierwszym piętrze. Trzydzieści sekund Później zatrzęsnęły się.

— W porządku — mruknął Reacher. — Teraz możemy iść.

Postawił stopę na pierwszym schodku, który głośno zaskrzypiał. Przy drugim było to samo. I przy trzecim. Kiedy postawił stopę na czwartym, Pauling ruszyła w ślad za nim. Po chwili cała konstrukcja wydawała dźwięki, które dobiegają ze strzelnicy podczas ćwiczeń.

Udało im się dotrzeć na pierwsze piętro, nikogo nie alarmując. Przed nimi było dwoje drzwi, jedne po lewej, drugie po prawej stronie. 2L i 2R. Wzdłuż każdego z mieszkań biegł zapewne korytarz, który zakręcał przy drzwiach frontowych. We wnęce zamontowano wieszak na płaszcze. Drzwi otwierały się na salon, za którym znajdowała się kuchnia. Była też łazienka, a od ulicy sypialnia.

— Idzie nam nie najgorzej — szepnął Reacher.

— Nie chciałabym wnosić zakupów na czwarte piętro — mruknęła Pauling.

Z wyjątkiem dzieciństwa Reacher nigdy nie wnosił do domu zakupów.

— Mogłabyś zrzucić linę ze schodów przeciwpożarowych i wciągnąć je do sypialni.

Pauling nic na to nie odpowiedziała. Zawrócili o sto osiemdziesiąt stopni i podeszli do stóp następnego ciągu schodów. Hałasując głośno, weszli na drugie piętro. Na wprost przed nimi były drzwi do mieszkań 3L i 3R o układzie identycznym z tym na dole i prawdopodobnie tym na górze.

— Do dzieła — rzekł Reacher.

Zawrócili i spojrzeli w stronę pogrążonego w mroku trzeciego piętra. Widzieli drzwi mieszkania 4R, ale nie 4L. Reacher ruszył pierwszy na górę. Wspinał się po dwa schodki naraz, żeby ograniczyć do połowy liczbę skrzypnięć. Pauling szła za nim, stawiając stopy blisko skraju stopni, tam gdzie schody mniej skrzypią. Weszli na górę. Stanęli. W budynku rozbrzmiewały stłumione odgłosy, które słychać w każdej kamienicy w wielkim mieście. Uliczny hałas. Wyciszone przez grube ściany samochodowe klaksony i wycie syren. Dziesięć pracujących lodówek, okienne klimatyzatory, pokojowe wiatraki, telewizory, radia, prąd płynący przez wadliwe obwody jarzeniówek, woda płynąca rurami.

Drzwi 4L pomalowane były przed wielu laty przepisową zieloną farbą. Dawno, temu, ale całkiem porządnie. Prawdopodobnie przez należącego do związku zawodowego malarza, przyuczonego do zawodu w trakcie długiego i bolesnego terminowania. Położoną starannie farbę pokrywała wieloletnia warstwa brudu. Sadza z rur wydechowych autobusów, tłuszcz z kuchni, kolejowy pył z metra. Na wysokości piersi Reachera znajdował się matowy wizjer. Zarówno czwórka, jak litera L były oddzielnymi mosiężnymi odlewami przykręconymi do drzwi śrubami z tego samego stopu.

Reacher obrócił się w bok, zgiął się w pół, przystawił ucho do szczeliny między drzwiami i framugą i przez chwilę nasłuchiwał.

— Ktoś jest w środku — szepnął, prostując się.

## 37

Reacher pochylił się jeszcze raz i nadstawił ucha.

— Na wprost przede mną. Kobieta, coś mówi. — Wyprostował się i dał krok do tyłu. — Jaki tu jest rozkład? — zapytał.

— Krótki przedpokój — szepnęła Pauling. — Szeroki na sześć stóp, tyle, ile zajmuje łazienka. Dalej jest salonik, który ma jakieś dwanaście stóp długości. W tylnej ścianie po lewej stronie okno na podwórko studnię. Po prawej drzwi do kuchni, która dochodzi do tylnej ściany budynku i ma sześć albo siedem stóp długości.

Reacher pokiwał głową. W najgorszym wypadku kobieta była w kuchni, w odległości dwudziestu pięciu stóp od drzwi frontowych. Choć właściwie mogło być jeszcze gorzej: mogła mieć przy sobie załadowany pistolet i wiedzieć, jak się nim posługiwać.

— Z kim rozmawia? — zapytała Pauling.

— Nie wiem — odparł szeptem Reacher.

— To oni, prawda?

— Chyba oszaleli, skoro tu jeszcze są.

— Jeśli nie oni, to kto?

Reacher nie odpowiedział.

— Co chcesz zrobić? — zapytała Pauling.

— A co ty byś zrobiła?

— Załatwiła nakaz. Wezwała antyterrorystów. W kamizelkach kuloodpornych, z taranem do wyważania drzwi.

- Te czasy już minęły.
- Nie musisz mi o tym mówić.

Reacher cofnął się o kolejny krok. Wskazał Pauling drzwi do 4R.

— Zaczekaj tam — powiedział. — Jeśli usłyszysz strzały, wezwij karetkę. Jeśli ich nie usłyszysz, idź za mną.

- Masz zamiar po prostu zapukać?
- Niezupełnie — odparł Reacher.

Cofnął się jeszcze o krok. Miał sześć stóp pięć cali wzrostu i ważył około dwustu pięćdziesięciu funtów. Jego ręcznie szyte buty, rozmiar dwanaście, wyprodukowane przez firmę Cheaney z Northampton w Anglii, były w gruncie rzeczy bardziej eleganckie od butów Churcha, różniących się od nich tylko wyższą ceną wynikającą z marki. Model wybrany przez Reachera — brązowe półbuty z grubej wytłaczanej skóry — nazywał się Tenterden. Podeszwy były z ciężkiego kompozytu wytwarzanego przez firmę Dainite. Reacher nienawidził skórzanych podeszew. Za szybko się zdierały i za długo schły po deszczu. Dainite był o niebo lepszy. Grube na jeden i jedną czwartą cala obcasy składały się z pięciu warstw; ze skórzanej firmy Cheaney, dainite'u, dwóch warstw twardej skóry i ostatniej grubej warstwy dainite'u.

Każdy z butów ważył ponad dwa funty.

Drzwi do mieszkania 4L miały trzy dziurki od klucza. Trzy zamki. Prawdopodobnie niezłe. W środku był pewnie łańcuch. Ale żadne zabezpieczenia drzwi nie są lepsze od drewna, w którym zostały zamocowane. Same drzwi miały pewnie ze sto lat i zrobione były z drewna jodłowego. Podobnie jak framuga. Od początku tandetne, nadgryzione przez czas i robaki, przez sto lat nabierały wilgoci i pęczniały latem, a schły i kurczyły się zimą.

— Uważaj — szepnął Reacher.

Oparł cały swój ciężar na tylnej stopie, wbił wzrok w drzwi i podskoczył lekko w miejscu niczym szykujący się do pobicia rekordu skoczek wzwyż. A potem ruszył do przodu. Przebiegł dwa kroki i wbił piętę w drzwi tuż nad klamką. Drewno poszło w drzazgi, w powietrze wzbił się gęsty tuman kurzu, drzwi

otworzyły się, a on biegł dalej, nie zwalniając kroku. Zatrzymał się dopiero pośrodku salonu. Stanął jak wryty i wpatrywał się w to, co zobaczył. Lauren Pauling wbiegła tam również i stanęła tuż za nim.

Patrząc na to samo co Reacher.

Mieszkanie miało dokładnie taki rozkład, jak przewidziała. Wysłużona kuchnia na wprost, po lewej stronie długi na dwanaście stóp salon z wytartą sofą i oknem wychodzącym na podwórko studnię. Gorące, nieruchome, stęchłe powietrze. W drzwiach do kuchni stała tęga kobieta w workowatej bawełnianej sukience. Miała długie brązowe włosy z przedziałkiem pośrodku. W jednej ręce trzymała otwartą puszkę z zupą, w drugiej drewnianą łyżkę. Oczy i usta miała szeroko otwarte z przerażenia i zaskoczenia. Chciała krzyknąć, ale szok wycisnął z jej płuc całe powietrze.

Na wytartej sofie w salonie leżał mężczyzna.

Nie ten, którego Reacher widział wcześniej.

Ten mężczyzna był chory. Przedwcześnie postarzały. Potwornie wycieńczony. Bezzębny. Pożółkła skóra lśniła mu od gorączki. Z włosów pozostało tylko kilka siwych kosmyków.

Nie miał rąk.

Nie miał stóp.

— Hobart? — wyjąkała Pauling.

Najwyraźniej nic nie potrafiło zaskoczyć mężczyzny na sofie. Już nie. Z wielkim wysiłkiem poruszył głową.

— Agentka specjalna Pauling — powiedział. — Miło panią znowu widzieć.

Nie ucięto mu języka. Jego mowa była bełkotliwa, niewyraźna, słaba i cicha, ale potrafił mówić. Jak najbardziej.

— Dee Marie Graziano? — zapytała Pauling, spoglądając na kobietę.

— Tak — odparła tamta.

— Moja siostra — powiedział Hobart.

Pauling ponownie się do niego odwróciła.

— Co się panu, do diabła, przydarzyło? — zapytała.

— Afryka — odparł Hobart. — Przydarzyła mi się Afryka.

Miał na sobie sztywne nowe granatowe dzinsy i koszulę z tego samego materiału. Rękawy i nogawki były podwiniete



i wystawały z nich posmarowane jakąś maścią kikuty jego nadgarstków i goleni. Amputacje były prymitywne i brutalne. Reacher dostrzegł podobną do złamanego fortepianowego klawisza końcówkę żółtej kości przedramienia. Na obciętych kikutach nie było żadnych szwów. Żadnej rekonstrukcji. Po prostu gruba zablizniona tkanka, podobna do oparzelizny.

— Co się panu przydarzyło? — zapytała ponownie Pauling.  
— To długa historia — odparł Hobart.  
— Musimy ją usłyszeć — powiedział Reacher.  
— Po co? Czy FBI chce mi teraz pomóc? Po wyważeniu drzwi do mieszkania mojej siostry?

— Nie jestem z FBI — oznajmił Reacher.

— Ja też nie — przyznała się Pauling. — Już nie.

— Więc co pani teraz robi?

— Jestem prywatnym detektywem.

, Oczy Hobarta zatrzymały się na twarzy Reachera.

— A pan?

— Tak samo — odparł Reacher. — W zasadzie. Jestem wolnym strzelcem. Nie mam licencji. Byłem kiedyś żandarmem.

Przez chwilę nikt się nie odzywał.

— Robiłam zupę — poinformowała ich Dee Marie Graziano.

— Proszę bardzo. Niech się pani nie krępuje — powiedziała Pauling.

Reacher cofnął się do przedpokoju i zamknął na tyle, na ile to możliwe, roztrzaskane drzwi. Kiedy wrócił do salonu, Dee Marie stała w kuchni, przy garnku, pod którym palił się gaz. Nalewała do niego zupy z puszki i mieszała ją drewnianą łyżką. Pauling nadal przyglądała się zniszczonemu, skróconemu mężczyźnie na sofie.

— Co się panu przydarzyło? — zapytała po raz trzeci.

— Najpierw musi coś zjeść — zawołała Dee Marie.

## 38

Siostra siadła obok niego na sofie, objęła ramieniem jego głowę i karmiła go powoli i troskliwie łyżką. Hobart oblizywał wargi po każdym łyku zupy i od czasu do czasu podnosił jedną z brakujących dłoni, żeby wytrzeć podbródek. Przyglądał się wtedy najpierw z konsternacją, a potem ze smutkiem kikutowi, tak jakby zdumiewało go, jak długo — mimo że od dawna już nie są możliwe — pozostają w pamięci najprostsze fizyczne odruchy. Za każdym razem, kiedy to się działo, siostra czekała cierpliwie, aż pozbawione dłoni ramię spocznie z powrotem na kolanach, a potem wycierała mu podbródek szmatką, czule i z miłością, jakby był jej dzieckiem, a nie bratem. Zupa była gęsta, z jakichś jasnozielonych jarzyn, może soczewicy, może selera albo szparagów, i kiedy karmienie dobiegło końca, szmatka była cała w plamach.

- Musimy porozmawiać — powiedziała Pauling.
- O czym? — zapytał Hobart.
- O panu.
- Nie ma o czym. Jaki jestem, każdy widzi.
- I o Edwardzie Lanie — dodała Pauling. — Musimy porozmawiać o Edwardzie Lanie.
- Gdzie on jest?
- Kiedy go pan ostatnio widział?
- Pięć lat temu — odparł Hobart. — W Afryce.
- Co tam się stało?

— Dałem się wziąć żywcem. To nie było mądre.

— Knight również?

Hobart pokiwał głową.

— Knight również — mruknął.

— Jak to się stało? — zapytał Reacher.

— Był pan kiedyś w Burkina Faso?

— Nie byłem w Afryce.

Hobart przez dłuższą chwilę milczał. Z początku nie miał chyba ochoty mówić, ale potem zmienił zdanie.

— Wybuchła wojna domowa — powiedział. — Zawsze jest jakaś wojna. Mieliśmy bronić miasta. Zawsze jakiegoś bronimy. Tym razem to była stolica. Nie potrafiliśmy nawet wymówić jej nazwy. Poznałem ją później. Nazywa się Wagadugu. Wtedy nazywaliśmy ją W-Town. Był pan w żandarmerii. Wie pan, jak to jest. Wojsko ląduje gdzieś za granicą i od razu zmienia nazwy. Wydawało nam się, że robimy to, aby można je było łatwiej wymówić, ale w rzeczywistości depersonalizujemy jakieś miejsce, psychologicznie. Zawłaszczamy je, żeby nie czuć się podle, kiedy je niszczymy.

— Co tam się stało? — zapytała Pauling.

— W-Town było wielkości mniej więcej Kansas City. Wszystkie działania toczyły się na północnym wschodzie. Las zaczynał się jakąś milę od granic miasta. Biegły do niego dwie drogi, koncentrycznie niczym szprychy koła. Jedna z północnego północnego wschodu, druga ze wschodniego północnego wschodu. Nazywaliśmy je Drogą na Godzinę Pierwszą i Drogą na Godzinę Drugą. Jak na cyferblacie zegarka, rozumiecie? Jeżeli założymy, że dwunasta jest dokładnie na północy, to te drogi wskazywały godzinę pierwszą i drugą. Największego kłopotu przysporzyła nam Droga na Godzinę Pierwszą. Tamtędy właśnie mieli nadejść rebelianci. Tyle że wcale nie nadchodzili. Chowali się w dżungli. Mogli być dwadzieścia stóp od pobocza i w ogóle ich nie widzieliśmy. To była zwyczajna piechota, nie dysponowali żadną bronią, której nie można by udźwignąć na ramieniu. Kryli się w buszu, a my dostrzegaliśmy ich dopiero wtedy, kiedy przekroczyli linię drzew i wychodzili na otwarty teren.

— Linia drzew była w odległości mili? — upewnił się Reacher.

— Dokładnie — potwierdził Hobart. — Żaden kłopot. Musieli pokonać milę otwartego terenu, a my mieliśmy ciężkie karabiny maszynowe.

— To na czym polegał problem?

— Co by pan zrobił na ich miejscu?

— Przesunąłbym część oddziałów na lewą stronę i oskrzydlił was od wschodu. Może połową moich ludzi, może jeszcze większą liczbą. Obszedłbym was, nie wychylając nosa z buszu, i zaatakował od strony godziny czwartej. Skoordinowane ataki. Z dwóch kierunków. Nie wiedzielibyście, gdzie jest front główny, a gdzie skrzydło.

Hobart pokiwał głową. Przy tym niepozornym geście napięły się boleśnie wszystkie ścięgna w jego wychudłej szyi.

— Przewidzieliśmy właśnie coś takiego — powiedziała. — Doszliśmy do wniosku, że połową swoich sił obsadzą Drogę na Godzinę Pierwszą po prawej stronie, a drugą połowę zostawiają po lewej. Uznaliśmy, że mniej więcej dwie mile od nas ta część, która była po naszej prawej stronie, zmieni o dziewięćdziesiąt stopni swoją pozycję i spróbuje manewru oskrzydłującego. Ale to oznaczało, że jakieś pięć tysięcy ludzi będzie musiało przeciąć Drogę na Godzinę Drugą. Jak szprychy w kole, prawda? Zobaczylibyśmy ich. Droga na Godzinę Drugą była prosta jak drut. Wąska, ale wycięta w dżungli na długości pięćdziesięciu mil. Widzieliśmy ją aż po horyzont. Mogliśmy ją obserwować jak przejście dla pieszych na Times Square.

— I co się stało? — zapytała Pauling.

— Knight i ja zawsze trzymaliśmy się razem. Służyliśmy w Recon Marines. Więc zgłosiliśmy się na ochotnika na wysunięte punkty obserwacyjne. Przeczółgaliśmy się jakieś trzysta jardów i znaleźliśmy dwa odpowiednie zagłębienia. Stare leje po pociskach, z poprzedniej wojny. W tych miejscach zawsze się ze sobą tłuką. Knight zajął pozycję z dobrym widokiem na Drogę na Godzinę Pierwszą, a ja z dobrym widokiem na Drogę na Godzinę Drugą. Plan był taki, że jeżeli nie spróbują nas oskrzydlić, weźmiemy ich od czoła, i jeżeli będzie nam dobrze

szło, dołączając do nas główne siły. Gdyby atak okazał się silniejszy, Knight i ja mieliśmy wycofać się do granicy miasta i ustanowić tam drugą linię obrony. A gdybym zobaczył, że wykonują manewr oskrzydający, mieliśmy się natychmiast wycofać i przeorganizować na dwa fronty.

— W którym momencie wszystko wzięło w łeb? — zapytał Reacher.

— Popełniłem dwa błędy — rzekł Hobart.

To były tylko trzy słowa, ale ich wypowiedzenie najwyraźniej go wyczerpało. Zamknął oczy, zacisnął wargi przy bezzębnych dziąsłach i zaczął cicho rżęzić.

— Ma malarię i gruźlicę — oznajmiła jego siostra. — Zmęczyliście go.

— Czy się leczy? — zapytała Pauling.

— Nie mamy prawa do bezpłatnej opieki. Pomaga nam trochę urząd kombatantów. Poza tym zabieram go do szpitala Saint Vincent.

— Jak? Jak go pani transportuje po tych schodach?

— Noszę go — odpowiedziała Dee Marie. — Na plecach.

Hobart zakaszał ostro i po podbródku pociekła mu krwawa ślina. Podniósł wysoko ucięte przedramię, otarł podbródek tym, co zostało z jego bicepsu, i otworzył oczy.

— Jakie dwa błędy? — zapytał go Reacher.

— Rebelianci wysłali przodem szpicę — ciągnął Hobart. — Mniej więcej dziesięciu ludzi wyszło zza drzew jakąś milę przed Knightem. Atakowali, żeby zginać łub okryć się sławą, rozumie pan: biegli i strzelali na oślep. Knight dał im przebiec jakieś półtora tysiąca jardów, a potem skosił wszystkich z karabinu. Nie widziałem go. Leżał jakieś sto jardów ode mnie, ale teren był nierówny. Podczołgałem się, żeby sprawdzić, czy nic mu się nie stało.

— I co?

— Był zdrów i cały.

— Żaden z was nie był ranny?

— Ranny? Nie mieliśmy nawet jednego zadrapania.

— Ale doszło do niewielkiej strzelaniny?

— Doszło.

- Niech pan mówi dalej.
- Kiedy dotarłem do pozycji Knighta, przekonałem się, że z jego zagłębienia widzę Drogę na Godzinę Drugą jeszcze lepiej niż ze swojego. Poza tym wydawało mi się, że jeśli zrobi się gorąco, zawsze lepiej być we dwóch. Mogliśmy się wzajemnie osłaniać, gdyby zacięła się broń albo trzeba było ją załadować. I to był mój pierwszy błąd. Wlazłem do tej samej lisyj nory co Knight.
- A drugi błąd?
- Uwierzyłem w to, co powiedział mi Edward Lane.

## 39

— Co powiedział panu Edward Lane? — zapytał Reacher.

Lecz Hobart przez dłuższą chwilę nie mógł odpowiedzieć. Dopadł go kolejny atak kaszlu. Jego zapadnięta klatka piersiowa unosiła się w spazmatycznym oddechu. Okaleczone kończyny na próżno młóciły powietrze. Na wargach pojawiła się krew i gęsty żółty śluz. Dee Marie dała nurka do kuchni, umyła jego szmatkę i nalała wody do szklanki. Wytarła mu bardzo starannie usta i dała się napić. A potem złapała go pod pachy i dźwignęła do pozycji siedzącej. Hobart zakasłał jeszcze dwa razy i przestał, kiedy zalegający w jego płucach płyn spłynął niżej.

— I tak źle, i tak niedobrze — rzekła do nikogo w szczególności. — Chcemy, żeby miał wolne od płynu płuca, ale długi kaszel bardzo go wyczerpuje.

— Hobart? — nie dawał mu spokoju Reacher. — Co panu powiedział Lane?

Hobart przez chwilę ciężko dyszał, błagając go wzrokiem o chwilę cierpliwości.

— Około pół godziny po pierwszym ataku — powiedział w końcu — Lane pojawił się w leju Knighta. Zaskoczyło go chyba, że ja też tam jestem. Zobaczył, że Knightowi nic się nie stało, i kazał mu kontynuować misję. A potem zwrócił się do mnie i powiedział, że ma absolutnie pewne informacje, że zobaczymy ludzi przekraczających Drogę na Godzinę Drugą. To miały być oddziały rządowe, które wyjdą z buszu i dadzą

nam wsparcie od tyłu. Powiedział, że będą maszerować nocą, powoli i ukradkiem, ponieważ pozycje rebeliantów są tuż obok. Oba wojska zbliżają się równoległymi trasami, oddalonymi o czterdzieści jardów od siebie. Nie ma obawy, że dojdzie do kontaktu wzrokowego, ponieważ roślinność jest bardzo gęsta, ale oddziały rządowe boją się, że zdradzi ich hałas. Więc Lane kazał mi siedzieć na tyłku, obserwować drogę i liczyć tych, którzy ją przekraczają. Im więcej ich będzie, tym bardziej powinienem się cieszyć, ponieważ wszyscy są po naszej stronie.

— I zobaczył ich pan?

— Całe tysiące. Typowa łachmaniarska armia, wszyscy na piechotę, bez środków transportu i przyzwoitej siły ognia. Dużo samopowtarzalnych browningów, trochę M sześćdziesiąt, kilka lekkich moździerzy. Szli dwuszeregiem i to trwało godzinami.

— I co dalej?

— Nie ruszaliśmy się z miejsca. Przez cały dzień i część nocy. A potem rozpętało się piekło. Mieliliśmy noktowizory i widzieliśmy, co się dzieje. Mniej więcej pięć tysięcy chłopca wyszło zza drzew, ustawiło się na Drodze na Godzinę Pierwszą i ruszyło w naszą stronę. W tym samym czasie kolejne pięć tysięcy wyszło z buszu na południe od godziny czwartej i ruszyło prosto na nas. To byli ci sami ludzie, których wcześniej liczyłem. I to nie były wojska rządowe. To byli rebelianci. Nowe informacje Lane'a były nieprawdziwe. Tak przynajmniej mi się z początku wydawało. Dopiero później zdałem sobie sprawę, że mnie okłamał.

— Co się działo? — zapytała Pauling.

— Z początku nic nie miało sensu. Rebelianci strzelali ze zbyt dużej odległości. Afryka to duży kontynent, ale większość prawdopodobnie nie zdołała go trafić. W tym momencie Knight i ja jeszcze się zbyt nie przejmowaliśmy. Plany to w gruncie rzeczy pic na wodę. Na wojnie wszystko jest improwizacją. Oczekiwaliśmy więc z tyłu jakiegoś ognia zaporowego, który pozwoli nam się wycofać, ale się nie doczekaliśmy. Obróciłem się i spojrzałem na miasto za moimi plecami. Mieliliśmy do niego zaledwie trzysta jardów. Ale wszędzie było cicho i ciemno. A potem obróciłem się z powrotem i zobaczyłem, jak idzie



na mnie dziesięć tysięcy chłopca. Z dwóch różnych kierunków ustawionych do siebie pod kątem prostym. W środku nocy. Nagle przyszło mi do głowy, że jesteśmy z Knightem jedynymi białymi, którzy zostali jeszcze w tym kraju. Okazało się, że chyba miałem rację. Z informacji, które udało mi się potem zebrać, wynikało, że Lane i wszyscy jego ludzie dali dyla dwanaście godzin wcześniej. Musiał wskoczyć do swojego jeepa zaraz po złożeniu nam krótkiej wizyty. Zebrał wszystkich i ruszył na południe w stronę granicy z Ghaną. Na lotnisko w Tamale, tam gdzie wylądowaliśmy.

— Chcemy wiedzieć, dlaczego to zrobił — powiedział Reacher.

— To proste — odparł Hobart. — Miałem mnóstwo czasu, żeby to sobie wszystko poukładać, wierzcie mi. Lane porzucił nas, ponieważ chciał, żeby Knight zginął. A ja znalazłem się po prostu w niewłaściwym miejscu. Miałem zginąć przy okazji.

— Dlaczego Lane chciał, żeby Knight zginął?

— Bo Knight zabił jego żonę.

## 40

— Knight przyznał się panu do tego wprost? — zapytała Pauling.

Hobart nie odpowiedział. Machnął tylko słabo kikutem prawej ręki, ignorując to pytanie.

— Czy Knight przyznał się do zamordowania Anne Lane?

— Przyznał się do stu tysięcy różnych rzeczy — odparł Hobart i na jego ustach pojawił się smutny uśmiech. — Trzeba było tam być. Trzeba było widzieć, jak to wyglądało. Knight świrował przez cztery lata. Przez trzy był kompletnie obłąkany. Ja chyba też.

— Więc jak tam było? — zapytała Pauling. — Niech pan nam opowie.

— Nie chcę tego znowu słuchać — prychnęła Dee Marie Graziano. — Nie mogę tego słuchać. Wychodzę.

Pauling otworzyła torebkę i wyciągnęła z niej portfel. Wyjęła z niego część banknotów. Nie liczyła ich. Po prostu wręczyła plik banknotów Dee Marie.

— Niech pani za to coś kupi — powiedziała. — Jedzenie, lekarstwa, czeokolwiek pani potrzebuje.

— Nie kupi pani jego zeznań — odparła Dee Marie.

— Nawet nie próbuję. Chcę tylko pomóc.

— Nienawidzę jałmużny.

— To niech pani zmieni swoje nastawienie — powiedział Reacher. — Pani bratu przyda się wszystko, co może dostać.

— Weź to, Dee — mruknął Hobart. — I pamiętaj, kup coś dla siebie.

Dee Marie wzruszyła ramionami i wzięła pieniądze. Weisnęła je do kieszeni sukienki, zabrała klucze i wyszła. Reacher usłyszał, jak otwiera frontowe drzwi. Zazgrzytały zniszczone przez niego zawiasy. Zajrzał do przedpokoju.

— Powinniśmy wezwać stolarza — odezwała się zza jego pleców Pauling.

— Zadzwoń do tego ruskiego dozorczy z Szóstej Alei — odparł. — Robił wrażenie kompetentnego i jestem pewien, że dorabia sobie na boku.

— Tak sądzisz?

— Walczył w Armii Czerwonej w Afganistanie — dodał szeptem Reacher. — Nie spietra się na widok faceta bez rąk i stóp.

— Mówi pan o mnie? — zawołał Hobart.

Reacher wrócił razem z Pauling do salonu.

— Taka siostra to prawdziwy skarb — powiedział.

Hobart pokiwał głową. Takim samym powolnym, bolesnym ruchem.

— Ale to dla niej udręka — stwierdził. — Wiecie, z toaletą i w ogóle. Ogląda rzeczy, których siostra nie powinna oglądać.

— Niech pan nam powie wszystko, co pan wie na temat Knighta. Całą cholerną historię.

Hobart położył głowę na poduszkę sofy i wbił wzrok w sufit. Po wyjściu siostry wyraźnie się rozluźnił. Jego okaleczone ciało wyciszyło się i odprężyło.

— To był jeden z tych niepowtarzalnych momentów — powiedział. — Nagle uświadomiliśmy sobie, że jesteśmy sami, dwaj przeciwko dziesięciu tysiącom, w środku nocy, na ziemi niczyjej, w kraju, w którym nie mieliśmy prawa przebywać. Człowiekowi zdaje się, że bywał już wcześniej po uszy w gównie, ale nagle uświadamia sobie, że nie miał najmniejszego Pojęcia, jak głęboko można w nim wylądować. Z początku nic nie robiliśmy. A potem spojrzeliśmy sobie po prostu w oczy.

To był ostatni moment prawdziwego spokoju, jaki kiedykolwiek odczuwałem. Spojrzeliśmy sobie w oczy i postanowiliśmy bez

słów, że zginiemy w walce. Uznaliśmy, że lepiej zginąć. Wszyscy musimy kiedyś umrzeć, a ten moment nie wydawał się gorszy od innych. Zaczęliśmy strzelać. Myśleliśmy chyba, że załatwią nas moździerzami i to będzie koniec. Ale nie zrobili tego. Podchodzili po prostu coraz bliżej, po dziesięciu i dwudziestu naraz, a my cały czas strzelaliśmy, kosząc ich jak zboże. Całymi setkami. Lecz oni nadal się zbliżali. Teraz wydaje mi się, że taką mieli taktykę. Zaczęliśmy mieć problemy z bronią i oni to chyba przewidzieli. Lufy naszych M sześćdziesiątek przegrzały się i kończyła nam się amunicja. Mieliśmy tylko tyle naboji, ile zdołaliśmy sami zabrać. Kiedy się zorientowali, zaatakowali hurmem. No dobrze, pomyślałem, zaraz będzie po nas. Uznałem, że kule albo bagnety tam, w tym leju, będą tak samo dobre jak pociski moździerzowe z większej odległości.

Hobart zamknął oczy i w małym saloniku zapadła cisza.

— Ale? — zapytał Reacher.

Hobart otworzył oczy.

— Ale to nie zakończyło się w ten sposób — powiedział. — Podeszli do skraju leja i po prostu tam stanęli. Czekali w świetle księżyca. Patrzyli, jak miotamy się dookoła, szukając pełnych magazynków. Nie mieliśmy już żadnych. A potem tłum rozstał się i pojawił się jakiś oficer. Spojrzał na nas i uśmiechnął się. Czarna twarz, białe zęby błysnęły w świetle księżyca. Wtedy to do nas dotarło. Wydawało nam się wcześniej, że tkwimy po uszy w gównie, ale to była bułka z masłem. Teraz dopiero byliśmy po uszy w gównie. Zabiliśmy właśnie setki ich kumpli i mieli nas wziąć do niewoli.

— Jak to się odbyło?

— Z początku zaskakująco gładko. Natychmiast ukradli nam wszystko, co miało jakąkolwiek wartość. Potem przez jakąś minutę spuszczały nam lanie, ale to nie było takie straszne. Gorsze rzeczy spotkały mnie w obozie dla rekrutów. Mieliśmy na mundurach małe naszywki z amerykańską flagą i myślałem, że dlatego się z nami tak cackają. Pierwsze dni to był totalny chaos. Byliśmy przez cały czas skuci, ale bardziej z konieczności niż okrucieństwa. Nie mieli żadnych więzień. Tak naprawdę nie mieli nic. Przez całe lata żyli w buszu. Żadnej infrastruktury.

Mimo to żywili nas. Żarcie było paskudne, ale sami jedli to samo i liczyło się, że o nas pomyśleli. Mniej więcej po tygodniu stało się jasne, że przewrót się powiódł, i wszyscy przenieśli się do W-Town. Zabrali nas ze sobą i umieścili w miejskim więzieniu. Mniej więcej przez cztery tygodnie siedzieliśmy w oddzielnym skrzydle. Wyobrażaliśmy sobie, że negocjują z Waszyngtonem. Żywili nas i zostawili w spokoju. Słyszeliśmy, że w innych częściach budynku dzieją się straszne rzeczy, ale uznaliśmy, że nas to nie dotyczy. Krótko mówiąc, pierwszy miesiąc to było sanatorium w porównaniu z tym, co stało się później.

— Co stało się później?

— Najwyraźniej dali sobie spokój z Waszyngtonem i przestali uważać, że jesteśmy wyjątkowi, ponieważ zabrali nas z oddzielnego skrzydła i dołączyli do reszty. I to było straszne. Naprawdę straszne. Niesamowicie przepełnione cele, brud, choroby, brak czystej wody, prawie nic do jedzenia. Po miesiącu byliśmy chudzi jak szkielety. Po dwóch kompletnie zdziczeliśmy. Pierwsza cela była tak zatłoczona, że przez pierwsze pół roku ani razu się nie położyłem. Staliśmy po kostki w gównie, dosłownie. Były tam robaki. W nocy aż się od nich roiło. Ludzie umierali z głodu i na różne choroby. A potem postawili nas przed sądem.

— Wytoczyli wam proces?

— Domyślam się, że to był proces. O zbrodnie wojenne. Nie miałem pojęcia, co mówią.

— Nie mówili po francusku?

— To język dyplomacji i rządu. Pozostali mówią w narzeczach plemiennych. Dla mnie to były po prostu dwie godziny jazgotu, po których uznali, że jesteśmy winni. Zabrali nas z powrotem do dużego budynku i odkryliśmy, że skrzydło, w którym byliśmy dotychczas, to był oddział dla VIP-ów. Teraz znaleźliśmy się w oddziale dla zwyczajnej ludności, który był o wiele gorszy. Po dwóch spędzonych tam miesiącach wydawało mi się, że nie mogę już niżej upaść. Ale myliłem się. Ponieważ wtedy właśnie nadeszły moje urodziny.

— Co się wydarzyło w pańskie urodziny?

- Dostałem prezent.
- Jaki?
- Możliwość wyboru.
- Jakiego?

— Wywlekli z cel kilkunastu facetów. Domyślałem się, że wszyscy obchodziliśmy tego dnia urodziny. Zabrali nas na dziedziniec. Pierwszą rzeczą, którą zobaczyłem, było wielkie wiadro ze smołą gotującą się na propanowym palniku. Smoła bulgotała. Była naprawdę gorąca. Pamiętałem ten zapach z dzieciństwa, z czasów, kiedy asfaltowali drogi tam, gdzie mieszkaliśmy. Moja matka wierzyła w jakiś stary przesąd mówiący, że jeśli dziecko poczuje zapach smoły, uchroni to je przed przeziębieniem i kaszlem. Kazała nam chodzić za maszynami, które wylewały asfalt. Naprawdę dobrze znałem ten zapach. Potem zobaczyłem koło wiadra wielki kamienny blok, cały czarny od krwi. Wielki strażnik złapał maczetę i zaczął wrzeszczeć na pierwszego więźnia w szeregu. Nie miałem pojęcia, co mówi. Facet stojący obok mnie znał trochę angielski i przetłumaczył mi. Powiedział, że mamy wybór. Dokładnie trzy rzeczy do wyboru. Z okazji urodzin każdy z nas miał stracić stopę. Po pierwsze, mogliśmy wybrać, lewą czy prawą. Po drugie, długie spodnie albo krótkie spodnie. To było coś w rodzaju żartu. Oznaczało, że mogą nam uciąć nogę pod albo nad kolaniem. Wybór należał do nas. Po trzecie, mogliśmy skorzystać albo nie skorzystać z wiadra. Wybór należał do nas. Mogliśmy zanurzyć w nim kikut, żeby wrząca smoła zasklepiła arterie i skauteryzowała ranę. Mogliśmy też tego nie zrobić i wykrwawić się na śmierć. Wybór należał do nas. Ale strażnik powiedział, że mamy wybierać szybko. Nie wolno nam było marudzić i wstrzymywać kolejki.

W niewielkim saloniku zapadła cisza. Nikt się nie odzywał. Nie słychać było żadnego dźwięku oprócz dobiegających z od dali absurdalnych nowojorskich syren.

— Wybrałem lewą nogę, długie spodnie i wiadro — powiedział Hobart.

# 41

W małym pokoiku przez dłuższy czas trwała grobowa cisza. Hobart kręcił głową, żeby odciążyć szyję. Reacher usiadł na małym krzeselku przy oknie.

— Dwanaście miesięcy później, w moje następne urodziny, wybrałem prawą nogę, długie spodnie i wiadro — powiedział Hobart.

— To samo zrobili Knightowi? — zapytał Reacher.

Hobart pokiwał głową.

— Wydawało nam się wcześniej, że się przyjaźnimy. Ale niektóre rzeczy naprawdę zbliżają ludzi.

Pauling oparła się o framugę drzwi kuchennych, biała jak prześcieradło.

'— Knight opowiedział panu o Anne Lane? — zapytała.

— Opowiedział mi mnóstwo rzeczy. Ale pamiętajcie, że było nam naprawdę ciężko. Głodowaliśmy i chorowaliśmy. Mieliliśmy infekcje. Malarie i dyzenterię. Przez całe tygodnie Majaczyliśmy w gorączce.

— Co panu powiedział?

— Powiedział, że zastrzelił Anne Lane w New Jersey.

— Wyjaśnił dlaczego?

- Podawał mi całe mnóstwo różnych powodów. Każdego dnia inny. Czasami twierdził, że miał z nią romans, ona zerwała dostał szału. Innym razem, że to Lane dostał szału i kazał

mu to zrobić. Innym razem mówił, że pracował dla CIA. Raz powiedział, że jest kosmitą i pochodzi z innej planety.

— To on ją porwał?

Hobart pokiwał głową, powoli i boleśnie.

— Zawiózł ją do sklepu, ale wcale się tam nie zatrzymał. Wyciągnął po prostu pistolet i pojechał dalej, aż do New Jersey. I tam ją zabił.

— Od razu? — chciała wiedzieć Pauling.

— Od razu — potwierdził Hobart. — Była martwa dzień przedtem, zanim pani o niej w ogóle usłyszała. Nie popełniła pani żadnego błędu. Zabił ją od razu pierwszego ranka, a potem wrócił pod sklep i czekał tam, aż nadeszła pora, żeby ogłosić alarm.

— To niemożliwe — powiedziała Pauling. — Na wyciągu z jego karty miejskiej nie ma śladu, żeby korzystał tego dnia z jakiegokolwiek mostu lub tunelu.

— Niech mnie pani nie rozśmiesza — mruknął Hobart. — Ściąga się nalepkę z szyby, wkłada do foliowego opakowania, w którym ją przysyłają, i korzysta z pasma, gdzie opłaty pobierane są w gotówce.

— Naprawdę był pan wtedy w Filadelfii? — zapytał Reacher.

— Tak — odparł Hobart.

— Wiedział pan, co Knight robił tego dnia?

— Nie, nie wiedziałem.

— Kto udawał Anne przez telefon? — zainteresowała się Pauling. — Kto zajął się odbiorem okupu?

— Czasami Knight twierdził, że to byli jego dwaj kumple. Czasami mówił, że wszystkim zajął się Lane.

— W którą wersję pan wierzy?

Głowa opadła Hobartowi na pierś i przechyliła się w lewą stronę. Popatrzył w dół.

— Może panu coś podać? — zaproponował Reacher.

— Przyglądam się tylko pańskim butom — wyjaśnił Hobart. — Ja też lubię fajne buty. W każdym razie lubiłem.

— Założą panu protezy. Można do nich nosić buty.

— Nie stać mnie na nie. Ani na protezy, ani na buty.

— Co się naprawdę przydarzyło Anne Lane? — zapytała Pauling.



Hobart oparł z powrotem głowę na poduszce, żeby móc jej spojrzeć prosto w oczy. Uśmiechnął się ze smutkiem.

— Co jej się przydarzyło? — powtórzył. — Dużo o tym Myślałem. Wiercie mi, miałem na tym punkcie fioła. To stało się kluczowym pytaniem mojego życia, ponieważ to, co jej się przydarzyło, rzutowało bezpośrednio na moje losy. W dniu, kiedy obchodziłem tam trzecie urodziny, zabrali mnie znowu na dziedziniec. Drugi wybór został określony nieco inaczej. Długi czy krótki rękaw? Naprawdę głupie pytanie. Nikt nigdy nie wybrał krótkiego rękawa. Kto, do diabła, zdecydowałby się na krótki zamiast długiego? Widziałem tam tysiące ludzi z amputowanymi rękoma i żaden nie miał jej uciętej powyżej łokcia.

W pokoju zapadła cisza.

— Pamiętam różne rzeczy — mruknął Hobart. — Pamiętam odór krwi, wiadro ze smołą i stos uciętych rąk za tym wielkim kamiennym blokiem. Kilka czarnych i jedną małą białą.

— Co się naprawdę przydarzyło Anne Lane? — powtórzyła Pauling.

— Najgorsze było czekanie. Przez cały czas wpatrywałem się w swoją prawą dłoń. Robiłem nią różne rzeczy. Zaciskałem w pięść, rozprostowywałem palce, drapałem się paznokciami.

— Dlaczego Knight zabił Anne Lane?

— Nie mieli romansu. To niemożliwe. Knight nie był tego rodzaju facetem. Nie mówię, że miałyby jakieś skrupuły, ale był po prostu nieśmiały w stosunku do kobiet. Potrafił nawiązać kontakt z dziewczynkami i różnymi ciziami w barach, ale Annę Lane to była zupełnie inna liga. Miała klasę, osobowość, energię, znała swoją wartość. Była inteligentna. Nie zainteresowałyby ją to, co Knight miał do zaoferowania. Nawet za milion lat. A Knight i tak by się do niej nie przystawiał, bo Anne była żoną dowódcy. To największe tabu dla amerykańskich żołnierzy. Na filmach pokazują, że jest inaczej, ale to nieprawda. To się po prostu nie zdarza, a gdyby nawet się zdarzyło, Knight byłby ostatnim żołnierzem piechoty morskiej, który by się na to odważył.

— Na pewno?

— Znałem go bardzo dobrze. Poza tym nie miał kumpli, którzy potrafiliby udawać cudze głosy. Na pewno nie kobiece. Nie miał żadnych przyjaciółek. Właściwie poza mną i jednostką nie miał żadnych kumpli. Naprawdę. W każdym razie nie tak bliskich, żeby zaproponować im tego rodzaju robotą. Żaden żołnierz piechoty morskiej nie ma takich kumpli. Nie było nikogo, do kogo mógłby podejść i powiedzieć: Hej, słuchaj, może pomógłbyś mi sfingować porwanie.

— To po co w ogóle opowiadał panu te bzdury?

— Bo rozumiał lepiej ode mnie, że rzeczywistość nie ma już dla nas znaczenia. W tym momencie nie było ważne, co jest prawdą, a co zmyśleniem. Jedno i drugie miało taką samą wartość. Knight po prostu się wygłupiał. Może próbował mnie rozbawić. Ale ja nadal wszystko analizowałem. Przedstawił mi cały wachlarz powodów, szczegółów, faktów i scenariuszy, a ja rozkładałem to na czynniki pierwsze przez pięć długich lat i tak naprawdę potrafiłem uwierzyć tylko w jedną wersję: Lane zmontował całą sprawę, bo Anne chciała od niego odejść. Chciała rozwodu, chciała alimentów, a Lane był zbyt dumny, by to zaakceptować. I kazał ją zabić.

— Dlaczego Lane'owi miałyby zależeć na śmierci Knighta, skoro ten wykonywał tylko jego rozkazy?

— Chciał się zabezpieczyć. Nie chciał, żeby to, się za nim wlokło. I nie miał zamiaru być niczym dłużnikiem. To był główny powód. W gruncie rzeczy jedyny prawdziwy powód. Na to też nie pozwalała mu jego cholerna duma. Nie chciał nikomu nic zawdzięczać.

W pokoju zapadła cisza.

— Co się w końcu stało z Knightem? — zapytał Reacher.

— W czwarte obchodzone tam urodziny nie zgodził się na wiadro. Nie chciał ciągnąć tego dalej. Ten cwel po prostu się na mnie wypiął. Cholerny marine.

## 42

Dziesięć minut później do domu wróciła Dee Marie Graziano. Poprosiła przez domofon, żeby pomóc jej wnieść zakupy. Reacher zbiegł na dół i przydźwigał do mieszkania cztery torby. Dee Marie rozpakowała je w kuchni. Kupiła dużo puszek z zupami, galaretki, środki przeciwbólowe i maści antyseptyczne.

— Słyszeliśmy, że ktoś odwiedził Kate Lane w Hamptons — odezwał się Reacher.

Dee Marie nie odpowiedziała.

— To była pani? — zapytał Reacher.

— Najpierw poszłam do Dakota Building — rzekła. — Ale portier powiedział, że wyjechały.

— I wtedy pani do nich pojechała.

— Dwa dni później. Postanowiliśmy, że powinnam to zrobić. To był długi dzień. Drogo mnie kosztował.

— Pojechała tam pani, żeby ostrzec następczynię Anne Lane.

— Uważaliśmy, że powinna wiedzieć, do czego jest zdolny jej mąż.

— Jak zareagowała?

— Wysłuchiwała mnie. Wybrałyśmy się na spacer plażą i wysłuchiwała wszystkiego, co miałam do powiedzenia.

— Tylko tyle?

'— Słuchiwała bardzo uważnie. Praktycznie nie reagowała.

— Co pani jej dokładnie powiedziała?

— Przyznałam, że nie mamy dowodów. Ale i najmniejszych wątpliwości.

— Na to też nie zareagowała?

— Po prostu słuchała. Bardzo uważnie.

— Opowiedziała jej pani o swoim bracie?

— To część całej historii. Wysłuchiwała jej. Niewiele mówiła. Jest piękna i bogata. Tacy ludzie są inni. Jeśli coś nie przydarza się im osobiście, nie przydarza się w ogóle.

— Co się przytrafiło pani mężowi?

— Vinniemu? Vinniemu przytrafił się Irak. Faludża. Przydrożna bomba pułapka.

— Przykro mi.

— Powiedzieli, że zginął od razu. Ale zawsze tak mówią.

— Czasami to prawda.

— Mam nadzieję, że to była prawda. Ten jedyny raz.

— Walczył w piechocie morskiej czy prywatnie?

— Vinnie? W piechocie. Nienawidził najemników.

. . .

Reacher zostawił Dee Marie w kuchni i zajął z powrotem do salonu. Hobart leżał na wznak na sofie, z ustami wykrzywionymi w grymasie. Na cienkiej szyi odznaczały się ścięgna. Boleśnie chudy tors wydawał się nieproporcjonalnie długi w porównaniu z kikutami kończyn.

— Potrzebujesz czegoś? — zapytał Reacher.

— Głupie pytanie — odparł Hobart.

— Co oznaczałaby dla ciebie trójka trefl?

— Knighta.

— Jak to?

— Trójka to była jego szczęśliwa cyfra. A w wojsku miał ksywkę Trefl.

— Zostawił na zwłokach Anne Lane trójkę trefl.

— Naprawdę? Powiedział mi o tym. Nie uwierzyłem. Myślałem, że zmyśla. Żeby to wyglądało jak w książce albo w filmie.

Reacher nie odezwał się.

— Muszę do toalety — mruknął Hobart. — Powiedz Dee.

— Ja to zrobię — powiedział Reacher. — Dajmy jej odpocząć.

Pochylił się, złapał go z przodu za koszulę i posadził na sofie. A potem objął kalekę z tyłu za ramiona, pochylił się jeszcze niżej, wsunął drugą rękę pod kolana i podniósł go z sofy. Hobart był niesamowicie lekki. Ważył niewiele ponad Sto funtów. Niedużo go zostało.

Reacher zaniósł Hobarta do łazienki, znowu złapał jedną ręką za przód jego koszuli, przytrzymał pionowo w powietrzu niczym szmacianą lalkę, po czym rozpiął mu spodnie i posadził kalekę na sedesie.

— Robiłeś to już wcześniej — stwierdził Hobart.

— Byłem żandarmem — odparł Reacher. — Robiłem już wszystko.



Reacher położył Hobarta z powrotem na sofie, a Dee Marie dała mu więcej zupy. Użyła tej samej wilgotnej ściereczki, żeby wytrzeć mu podbródek.

— Muszę wam obojgu zadać jedno ważne pytanie. Muszę wiedzieć, gdzie byliście i co robiliście przez ostatnie cztery dni — rzekł Reacher.

Dee Marie natychmiast odpowiedziała. Bez kręcenia i wahanania, i bez śladu sztuczności, która świadczyłaby, że przygotowała sobie wcześniej całą historyjkę. Trochę nieskładnie, a przez to jeszcze bardziej przekonująco przedstawiła relację z czterech losowo wybranych dni nieustającego koszmaru. Cztery dni zaczęły się w szpitalu Saint Vincent. Poprzedniego wieczoru Dee Marie zabrała go na ostry dyżur z atakiem malarii. Lekarz przyjął go na oddział i zaordynował czterdziestoosmiodzinną kroplówkę. Dee Marie siedziała z nim prawie przez cały czas. Potem przywiozła go do domu taksówką i wniosła na plecach na czwarte piętro. Od tego czasu siedzieli sami w mieszkaniu, jedząc to, co było w spiżarni, nic nie robiąc, nikogo nie przyjmując, aż drzwi otworzyły się na oścież i Reacher wpadł do środka ich salonu.

- Dlaczego pytasz? — zainteresował się Hobart.
- Porwano nową panią Lane. I jej córkę.
- Myślałeś, że to moja sprawka?
- Przez moment.
- Przemyśl to jeszcze.
- Już to zrobiłem.
- Dlaczego miałbym zrobić coś takiego?
- Z zemsty. Dla pieniędzy. Okup wynosił dokładnie połowę wynagrodzenia z Burkina Faso.
- Ja zażądałbym całości.
- Ja też.
- Ale nie podniósłbym ręki na kobietę i dziecko.
- Ja też.
- Więc dlaczego uznaliście, że to ja?
- Dostaliśmy ogólny raport na temat twój i Knighta. Dowiedzieliśmy się o okaleczeniach. Bez szczegółów. A potem usłyszeliśmy o facecie bez języka. Dodaliśmy dwa do dwóch i wyszło nam trzy. Pomyśleliśmy, że to ty.
- Bez języka? — zapytał Hobart. — Proszę bardzo. Chętnie bym się zamienił. Ale ucinanie języka to południowoamerykańska specjalność — dodał po chwili. — Robią to w Brazylii, Kolumbii, Peru. W Europie być może na Sycylii. Nie w Afryce. Nie można wsadzić komuś do ust maczety. Można uciąć wargi. Widziałem to kilka razy. Albo uszy. Ale nie język.
- Przepraszamy — powiedziała Pauling.
- Nie ma sprawy — odparł Hobart.
- Każemy naprawić drzwi.
- Byłbym wdzięczny.
- I postaramy ci się pomóc.
- Za to też byłbym wdzięczny. Ale najpierw zajmijcie się tą kobietą i dzieckiem.
- Naszym zdaniem jest już za późno.
- Nie mówcie tak. Zależy, kto je porwał. Życie trwa, dopóki jest nadzieja. Nadzieja podtrzymywała mnie przy życiu przez pięć lat.

Reacher i Pauling zostawili Hobarta i Dee Marie na poobijanej sofie, w połowie posiłku. Zeszli cztery piętra na ulicę i stanęli w popołudniowych cieniach bajecznego letniego dnia. Ulicą sunęły samochody, powoli i gniewnie. Trąbiły klaksony, wyły syreny. Przechodnie mijali ich szybkim krokiem na chodniku.

— Osiem milionów historii w nagim mieście — mruknął Reacher.

— Znaleźliśmy się w punkcie wyjścia — stwierdziła Pauling.

## 43

Reacher poprowadził Pauling wzdłuż Hudson Street. Minęli Houston Street i znaleźli się pomiędzy Clarkson i Leroy.

— Moim zdaniem człowiek z uciętym językiem mieszka gdzieś niedaleko tego miejsca — powiedział.

— Niedaleko tego miejsca mieszka dwadzieścia tysięcy ludzi — odparła.

Reacher nie odezwał się.

— I co teraz? — zapytała.

— Znowu urabiamy sobie ręce po łokcie. Zmarnowaliśmy po prostu trochę czasu. Zmarnowaliśmy trochę energii. Wyłącznie moja wina. Byłem głupi.

— Dlaczego?

— Widziałaś, jak był ubrany Hobart?

— W tanie nowe dżinsy.

— Facet, którego widziałem, jak odjeżdża samochodami, miał na sobie stare dżinsy. Za pierwszym i za drugim, razem. Stare, miękkie, sprane, spłowiałe wygodne dżinsy. Ruski dozorca mówił to samo. I stary Chińczyk. Facet, którego widziałem, nie mógł wrócić z Afryki. Ani skądkolwiek. Trwa całe wieki, nim dżinsy przybiorą taki wygląd. Gość, którego widziałem, siedział przez ostatnie pięć lat w domu, piorąc regularnie swoje rzeczy, a nie zdychając za kratkami gdzieś na końcu świata.

Pauling nie odezwała się.

— Możesz dać sobie spokój — powiedział Reacher. — Masz



to na czym ci zależało. Anne Lane nie zginęła przez ciebie. Była martwa, zanim jeszcze o niej usłyszałaś. Możesz spać spokojnie.

— Niezbyt spokojnie. Bo nie mogę dobrać się do skóry Edwardowi Lane'owi. Zeznanie Hobarta jest bezwartościowe.

— Bo to relacja z drugiej ręki?

— Relację z drugiej ręki można czasami zaakceptować. Przedśmiertne oświadczenie Knighta byłoby do przyjęcia, ponieważ sąd uznałby, że w obliczu śmierci nie miał powodu kłamać.

— Na czym polega więc problem?

— Nie było żadnego przedśmiertnego oświadczenia. Były dziesiątki różnych fantazji, które snuł przez cztery lata. Hobart uwierzył w niektóre z nich, to wszystko. I sam przyznaje, że przez większość czasu obaj z Knightem byli na pół obłąkani. Sędzia by mnie wyśmiał.

— Ale ty wierzysz Hobartowi.

Pauling pokiwała głową.

— Owszem.

— Więc możesz zadowolić się połowicznym załatwieniem sprawy. Ty i Patti Joseph. Wpadnę do niej i o wszystkim opowiem.

— Ty zadowolilibyś się połowicznym załatwieniem sprawy?

— Powiedziałem, że możesz dać sobie spokój — odparł. — Ja nie. Jeszcze nie skończyłem. Lista spraw, które muszę załatwić, wydłuża się z minuty na minutę.

— Ja też jeszcze nie skończyłam.

— Twój wybór.

— Wiem. Chcesz, żebym dalej nad tym pracowała?

Reacher przyjrzał się jej.

— Tak, chcę — odparł szczerze.

— W takim razie zostaję.

— Nie zamęczaj mnie tylko skrupułami. Ta sprawa nie zostanie rozstrzygnięta na sali sądowej na podstawie czyichkolwiek przedśmiertnych oświadczeń.

- Jak zostanie rozstrzygnięta?

- Pierwszego pułkownika, który naprawdę mi podpadł,

zabiłem strzałem w głowę. A w tym momencie lubię Lane'a o wiele mniej niż tamtego faceta. W porównaniu z Lane'em tamten facet to święty.

— Pójdę z tobą do Patti Joseph.

— Nie, spotkajmy się u niej — odparł Reacher. — Za dwie godziny. Powinniśmy tam dotrzeć oddzielnie.

— Dlaczego?

— Bo chcę teraz dać się zabić.

• • •

Pauling umówiła się z nim za dwie godziny w holu Majestic i poszła do metra. Reacher ruszył na północ Hudson Street, nie za szybko, nie za wolno, środkiem lewego chodnika. Jedno z okien na dwunastym piętrze stojącego za nim budynku zasłonięte było grubą czarną tkaniną odsuniętą w jednej czwartej na bok, tak jakby przebywająca w środku osoba chciała mieć przynajmniej częściowy widok na miasto.

• • •

Reacher przeciął Morton, Barrow i Christopher Street. Za Zachodnią Dziesiątą zaczął kluczyć wąskimi wysadzonymi drzewami uliczkami Village: jedną przecznicę na wschód, jedną na północ, jedną na zachód i z powrotem na północ. Dotarłszy w ten sposób do Ósmej Alei, szedł przez jakiś czas prosto na północ, a potem tam, gdzie zaczynają się ciche uliczki Chelsea, znowu zaczął kluczyć. W pewnym momencie przystanął za schodami z brązowego piaskowca, pochylił się i zawiązał na nowo sznurowadła. Po kilkudziesięciu krokach zatrzymał się ponownie za plastikowym kontenerem na śmieci i przez chwilę przyglądał się pilnie czemuś, co leżało na ziemi. Skręcił na wschód w Zachodnią Dwudziątą Trzecią, a potem z powrotem na północ w Ósmą Aleję. Trzymając się środka lewego chodnika, maszerował powoli do przodu. Majestic znajdował się niespełna dwie mile w prostej linii przed nim i miał całą godzinę, żeby tam dotrzeć.

Trzydzieści minut później wszedł przy Columbus Circle do Central Parku. Zapadał zmierzch. Długie cienie były coraz mniej wyraźne. Nadal było ciepło. Reacher trzymał się przez jakiś czas alejek, a potem zszedł na trawnik i ruszył ścieżką między drzewami. Po kilku chwilach zatrzymał się i oparł o pień drzewa, popatrzył na północ. Potem o inny, tym razem spojrzął na wschód. W końcu wrócił na alejkę, znalazł pustą ławkę i usiadł plecami do spacerujących ludzi. Czekał tam, aż zegar w jego głowie powiedział mu, że pora iść.

. . .

Lauren Pauling siedziała w jednym z foteli w holu Majestica. Zdażyła się odświeżyć. Wyglądała dobrze. Miała w sobie coś. Reacher pomyślał, że za dwadzieścia lat tak mogłaby wyglądać Kate Lane.

— Po drodze wstąpiłam do tego ruskiego dozorczy — powiedziała. — Wpadnie dziś wieczorem naprawić drzwi.

— Świetnie.

— Nie dałeś się zabić.

— Pomyliłem się jeszcze w innej sprawie — odparł, siadając przy niej. — Zakładałem, że porywaczom pomagał ktoś z ekipy Lane'a. Ale teraz nie wydaje mi się to prawdopodobne. Wczoraj rano Lane zaproponował mi milion dolców. Dziś rano, kiedy stracił wszelką nadzieję, powiedział, żebym odnalazł tych drani. Odnalazł i zniszczył. Mówił to najpoważniej W świecie. Każdy z jego ludzi musiał dojść do wniosku, że mam silną motywację. I dałem im wcześniej dowody, że jestem dość kompetentny. Jednak nikt nie usiłował mnie powstrzymać. A powinni to zrobić, prawda? Można by się tego spodziewać po Wspólniku, którego porywacze mają wewnątrz ekipy. Jednak nic takiego się nie stało. Przez ostatnie dwie godziny przechadzałem się po Manhattanie. Zahaczyłem o boczne uliczki, ciche zakątki, Central Park. Często się zatrzymywałem i odwracałem plecami. Każdemu, kto chciałby mnie wyeliminować, dałem tuzin okazji, żeby to zrobił. Ale nikt nawet nie próbował.

Może w ogóle nie wpadli na twój trop?

— Dlatego właśnie wystartowałem z Hudson Street pomiędzy Clarkson i Leroy. Muszą tam mieć coś w rodzaju bazy wypadowej. Mogli mnie tam wypatrzeć.

— Jak zdołaliby to przeprowadzić bez pomocy z wewnątrz?

— Nie mam pojęcia.

— Na pewno znajdziesz jakieś wyjaśnienie.

— Powtórz to jeszcze raz.

— Po co? Potrzebujesz duchowego wsparcia?

— Podoba mi się po prostu brzmienie twojego głosu.

— Na pewno znajdziesz jakieś wyjaśnienie — powtórzyła Pauling niskim schrypniętym głosem, jakby od trzydziestu lat zmagająca się z zapaleniem krtani.

. . .

Zameldowali się w recepcji i pojechali windą na szóste piętro. Patti Joseph czekała na nich na korytarzu. Obie kobiety były nieco skrupowane. Patti przez pięć lat uważała, że Pauling przyczyniła się do śmierci jej siostry, sama Pauling też była o tym przeświadczona. Trzeba było więc przełamać lody. Zapowiedź nowin sprawiła jednak, że Patti nieco się rozchmurzyła. Reacher podejrzewał poza tym, że Pauling ma spore doświadczenie z krewnymi opłakującymi swoich bliskich. Każdy detektyw ma takie doświadczenie.

— Kawy? — zapytała Patti, zanim jeszcze przekroczyli próg.

— Myślałem, że nigdy pani nie zapyta — odparł Reacher.

Patti udała się do kuchni, żeby włączyć ekspres, a Pauling podeszła prosto do okna. Przyjrzała się rzeczom leżącym na parapecie, wyjrzała na zewnątrz, a potem, zerkając na Reachera, uniosła brwi i wzruszyła lekko ramionami, jakby chciała powiedzieć: dziwne, ale widziałam już dziwniejsze rzeczy.

— Co się stało? — zawołała Patti z kuchni.

— Zaczekajmy, aż wszyscy usiądziemy — odparł Reacher.

Dziesięć minut później wszyscy siedzieli, a Patti tonęła we łzach. Łzach rozpaczy, łzach ulgi, łzach, które zamykały pewien etap w jej życiu.

I łzach gniewu.

— Gdzie jest teraz Knight? — zapytała.

— Knight nie żyje — powiedział Reacher. — Miał ciężką śmierć.

— To dobrze. Cieszę się.

— Nie będę się spierał.

— Co zrobimy z Lane'em?

— To się okaże.

— Powinam zadzwonić do Brewera.

— Brewer nie może nic zrobić. Znamy prawdę, ale nie mamy żadnych dowodów. Takich, których potrzebuje gliniarz albo prokurator.

— Powinien pan opowiedzieć ludziom Lane'a o Hobarcie. Opowiedzieć im, jak Lane potraktował ich kumpla. Wysłać ich tam, żeby go sami zobaczyli.

— Nie wiem, czy to dałoby pożądaną efekt. Mogliby się wcale nie przejąć. Faceci, którzy przejmują się takimi rzeczami, nie posłuchaliby przede wszystkim rozkazu odwrotu w Afryce. A dzisiaj, nawet gdyby się przejęli, najlepszym sposobem uniknięcia wyrzutów sumienia jest zaprzeczenie wszystkiemu. Ćwiczyli to przez pięć lat.

— Może jednak warto to zrobić. Żeby zobaczyli na własne oczy.

— Nie możemy ryzykować. Nie wolno nam tego robić, bo nie wiemy, jak zareagują. Lane będzie przekonany, że Knight pościł farbę w więzieniu. Dlatego uzna Hobarta za niepotrzebne ogniwo. Zagrożenie. I będzie chciał go załatwić. A ludzie Lane'a zrobią wszystko, co ten im każe. Nie możemy ryzykować. Hobart jest teraz niczym kaczka na strzelnicy, dosłownie. Zdmuchnie go byle powiew wiatru. A jego siostra znajdzie się w krzyżowym ogniu.

— Co pan tutaj robi?

— Przekazuję pani nowiny.

— Nie, nie u mnie. W Nowym Jorku, w apartamencie Lane'a i na mieście.

Reacher nie odezwał się.

Nie jestem głupia — powiedziała Patti. — Wiem, co się tutaj dzieje. Kto może wiedzieć więcej ode mnie? Kto mógłby

wiedzieć? Wiem, że dzień po tym, jak przestałam widywać Kate Lane i Jade, pojawił się pan, ludzie zaczęli pakować torby do samochodów, a pan schował się za przednim siedzeniem i przyszedł tutaj, żeby wypytywać Brewera o poprzednie zaginięcie jednej z żon Edwarda Lane'a.

— W takim razie dlaczego, pani zdaniem, tu się pojawiłem? — zapytał Reacher.

— Moim zdaniem on zrobił to ponownie.

Reacher spojrział na Pauling, która wzruszyła ramionami, jakby uważała, że Patti powinna usłyszeć całą historię. Że w jakiś sposób sobie na to zasłużyła, strzegąc przez pięć lat pamięci swojej siostry. Reacher powtórzył jej zatem wszystko, co wiedział. Zapoznał ją ze wszystkimi faktami, domysłami, przypuszczeniami i konkluzjami. Kiedy skończył, przez chwilę się w niego wpatrywała.

— Uważa pan, że tym razem to prawdziwe porwanie, bo Lane jest takim dobrym aktorem? — zapytała.

— Nie. Uważam, że nikt nie jest aż tak dobrym aktorem.

— Czyżby? A Adolf Hitler? Potrafił się sam pobudzać i udawać ataki furii.

Patti podeszła do komody, otworzyła szufladę i wyciągnęła z niej pakiet fotografii. Sprawdziła je i rzuciła Reacherowi na kolana. Świeża koperta. Trzydzieści sześć odbitek wywołanych w punkcie, gdzie robią to w ciągu godziny. Na zdjęciu na samej górze był on sam, en face. Wychodził z holu Dakota Building, kierując się w stronę stacji metra Central Park West. To było dziś wczesnym rankiem, pomyślał. Kiedy wybierałem się do biura Pauling.

— I co? — zapytał.

— Niech pan przegląda dalej.

Reacher przekartkował zdjęcia i na jednym z ostatnich zobaczył Dee Marie Graziano, en face. Wychodziła z holu Dakota Building. Słońce było na zachodzie. Zdjęcie zrobiono po południu. Poprzednie pokazywało ją od tyłu, wchodzącą do budynku.

— To siostra Hobarta, prawda? — zapytała Patti. — To wynika z waszej relacji. Ją także mam w notesie. Koło czterdziestki, tęga, niezbyt zamożna. Wcześniej nie wiedziałam, co

tutaj robi. Ale teraz już wiem. To wtedy portier z Dakota Building powiedział jej, że rodzina jest w Hamptons. I pojechała tam.

— I co?

— Czy to nie oczywiste? Kate Lane zabiera tę dziwną kobietę na spacer po plaży i wysłuchuje fantastycznej historii. I coś w tej historii, a także coś, co wie o swoim mężu, nie pozwala jej odrzucić z miejsca tego, co słyszy. Jest w tym wszystkim ziarno prawdy, które każe jej się głęboko zastanowić. Być może nawet poprosić męża o wyjaśnienia.

Reacher nie odezwał się.

— Jeżeli do tego doszło, rozpętało się prawdziwe piekło — podjęła Patti. — Nie rozumiecie? Nagle Kate przestaje być lojalną i posłuszną żoną. Jest tak samo zła jak Anne. I nagle ona też staje się niepotrzebnym ogniwem. Być może nawet poważnym zagrożeniem.

— Lane spróbowałyby uciszyć również Hobarta i Dee Marie. Nie tylko Kate.

— Gdyby wpadł na ich ślad. Wam udało się ich znaleźć tylko dzięki Pentagonowi.

— A Pentagon nie przepada za Lane'em — dodała Pauling. — Nie ruszyliby palcem, żeby mu pomóc.

— Dwa pytania — odezwał się Reacher. — Jeżeli powtarza się historia Anne, dlaczego Lane namawia mnie, żebym mu pomógł?

— Stawia wszystko na jedną kartę — odparła Patti. — Stawia wszystko na jedną kartę, bo jest arogancki. Popisuje się przed swoimi ludźmi i uważa, że jest od pana sprytniejszy.

— Drugie pytanie — powiedział Reacher. — Kto miały tym razem grać rolę Knighta?

— Czy to ma jakieś znaczenie?

— Owszem, ma. To ważny szczegół, nie sądzi pani?

Patti przez chwilę milczała. Odwróciła wzrok.

To kłopotliwy szczegół, ponieważ nikogo nie brakuje. No dobrze, przepraszam. Może ma pan rację. To, że sfingował Porwanie Anne, nie oznacza, że sfingował też porwanie Kate. Ale pomagając mu, niech pan pamięta o jednym — dodała po

chwili. — Nie szuka pan kobiety, którą on kocha. Szuka pan łupu, który zdobył. To tak, jakby ktoś ukradł mu złoty zegarek i naraził się na jego gniew.

Powiedziawszy to, Patti stanęła z czystego nawyku przy oknie, splotła z tyłu ręce i spojrzała w dół.

— Dla mnie to jeszcze nie koniec — oznajmiła. — Dla mnie to się skończy, dopiero kiedy Lane dostanie to, na co zasłużył.



# 44

Reacher i Pauling zjechali w milczeniu na dół. Wyszli na ulicę. Był wczesny wieczór. Samochody sunęły po wszystkich czterech pasmach jezdni, kochankowie obściskiwali się w parku. Wyprowadzano psy na smyczy, spacerowały grupy turystów, od czasu do czasu rozlegało się basowe zawodzenie syren wozów strażackich.

— Gdzie teraz? — zapytała Pauling.

— Weź sobie wolną noc — powiedział Reacher. — Ja wracam do jaskini lwów.

Pauling poszła w stronę metra, a Reacher do Dakota Building. portier wpuścił go, w ogóle nie telefonując na górę. Albo Lane umieścił Reachera na liście swoich ludzi, albo portier już go poznawał. W jednym i drugim wypadku nie bardzo mu się to spodobało. Oznaczało to, że ochrona nie jest zbyt szczelna, poza tym nie chciał, by traktowano go jako kogoś, kto należy do ekipy Lane'a. Raczej nie spodziewał się, że kiedyś tu zamieszka. Przy jego zarobkach trudno to było sobie wyobrazić.

Na czwartym piętrze nikt nie czekał na niego na korytarzu.

Drzwi do mieszkania Lane'a były zamknięte. Reacher zapukał, a potem znalazł dzwonek i przycisnął go. Po minucie otworzył mu Kowalski. Największy z ludzi Lane'a, ale nie olbrzym. może sześć stóp wzrostu i dwieście funtów wagi. Był chyba sam. Za jego plecami panowała cisza i bezruch. Nie puszczając drzwi, dał krok do tyłu i Reacher wszedł do środka.

— Gdzie są wszyscy? — zapytał Reacher.  
— Poszli przetrząsać krzaki — odparł Kowalski.  
— Jakie krzaki?  
— Burke ma pewną teorię. Uważa, że odwiedziły nas duchy z przeszłości.

— Jakie duchy?  
— Wiesz, jakie duchy — oświadczył Kowalski. — Burke tobie powiedział pierwszemu.

— Knight i Hobart — powiedział Reacher.

— Ci sami.

— Strata czasu. Zginęli w Afryce.

— Nieprawda — odparł Kowalski. — Znajomy znajomego zadzwonił do faceta w urzędzie kombatantów. Tylko jeden z nich zginął w Afryce.

— Który?

— Tego jeszcze nie wiemy. Ale dowiemy się. Wiesz, ile zarabiają w urzędzie kombatantów?

— Chyba niewiele.

— Każdy ma swoją cenę. A facet w urzędzie kombatantów całkiem niską.

Weszli do opustoszałego salonu. Fotografia Kate Lane wciąż stała na honorowym miejscu na stole. Światło palącej się pod sufitem plafoniery kładło na niej miękki blask.

— Znałeś ich? — zapytał Reacher. — Knighta i Hobarta?

— Jasne — odparł Kowalski.

— Byłeś w Afryce?

— Jasne.

— Więc po czyjej jesteś stronie? Ich czy Lane'a?

— To Lane mi płaci. Nie oni.

— Więc ty też masz swoją cenę.

— Tylko blagier mówi, że nie ma swojej ceny.

— Gdzie wcześniej służyłeś?

— W SEALS. W marynarce wojennej.

— To potrafisz pływać.

Reacher ruszył wewnętrznym korytarzykiem do głównej sypialni. Kowalski szedł za nim krok w krok.

— Będziesz za mną wszędzie łąził? — zapytał go Reacher.

\_\_\_\_ Być może — odparł Kowalski. — Swoją drogą, dokąd się wybierasz?

- Policzyć pieniądze.
- Uzgodniłeś to z Lane'em?
- Nie podałyby mi szyfru, gdybym tego nie zrobił.
- Podał ci szyfr?

Mam nadzieję, pomyślał Reacher. Lewa ręka. Palec wskazujący przygięty. Palec serdeczny prosty. Palec środkowy prosty. Palec środkowy przygięty. 3785. Mam nadzieję.

Otworzył drzwi garderoby i wpisał 3785 na klawiaturze. Po sekundzie bolesnego oczekiwania rozległ się sygnał dźwiękowy i otworzył się zamek wewnętrznych drzwi.

. — Mnie nigdy nie zdradził szyfru — powiedział Kowalski.

— Ale na pewno pozwolił ci zostać ratownikiem w Hamp-  
tons.

Reacher otworzył wewnętrzne drzwi i pociągnął za łańcuszek, żeby zapalić światło. Garderoba miała mniej więcej sześć stóp długości i trzy szerokości. Wąskie przejście po lewej stronie, pieniądze po prawej. Całe bele. Wszystkie nietknięte z wyjątkiem tej, która była w połowie pusta. To jej zawartość Lane porzucił po całej sypialni, a potem zapakował z powrotem. Reacher wywlókł ją z garderoby i położył na łóżku. Kowalski stanął tuż za nim.

- Potrafisz liczyć? — zapytał Reacher.
- Zabawny z ciebie facet.
- To przelicz to.

Reacher wrócił do garderoby, przykucnął, złapał leżącą na górze nietkniętą belę i obracając ją w dłoniach, obejrzał ze wszystkich sześciu boków. Z jednej strony pod napisem Banque Centrale był mniejszy nadruk Gouvernement National, Ouagadougou, Burkina Faso. Jeszcze niżej wydrukowano: USD 1000 000. Plastikowa folia była stara, gruba i brudna. Reacher Polizał kciuk, przetaił ją w jednym miejscu i zobaczył wizerunek Bena Franklina. Studolarowe banknoty. W beli było ich dziesięć tysięcy. Folia była oryginalna i nietknięta. Milion dolców, chyba że panowie bankierzy z narodowego rządu w Burkina Faso przywłaszczyli trochę dla siebie, czego jednak chyba nie zrobili.

Milion dolców w paczce, która ważyła tyle co załadowana walizka na kółkach.

Razem dziesięć nietkniętych bel. I dziesięć pustych opakowań.

Kiedyś, dawno temu, dwadzieścia milionów dolarów.

— Pięćdziesiąt paczek — zawołał Kowalski z sypialni. — Dziesięć tysięcy w każdej.

— Więc ile to daje razem? — odkrzyknął Reacher.

Cisza.

— Co, byłeś na wagarach, kiedy uczyli mnożenia?

— To kupa forsy.

Masz rację, pomyślał Reacher. Kupa forsy. Pięćset kawałków. Pół miliona. Zostało łącznie dziesięć i pół miliona. Dziesięć i pół miliona poszło na rozkurz.

Razem dawało to dwadzieścia jeden milionów, łączną sumę sprzed lat.

Całość wynagrodzenia, które Lane otrzymał od rządu Burkina Faso. Jego kapitał, nietknięty od pięciu lat.

Nietknięty aż do przedwczoraj.

Kowalski stanął w drzwiach garderoby z podartą folią. Ułożył pieniądze w dwa równe stosy i dorzucił jeden dodatkowy plik w poprzek. Następnie zwinął na pół graby plastik i zrobił z niego porządną paczkę, która była dwa razy mniejsza od oryginalnej i prawie nieprzezroczysta.

— Czyżbyś wagarował i wtedy, kiedy uczyli o liczbach parzystych i nieparzystych? — zapytał go Reacher.

Kowalski nie odezwał się.

— Ponieważ ja się wtedy nie urwałem. Byłem wtedy na lekcji.

Cisza.

— Wyobraź sobie, że są liczby parzyste i liczby nieparzyste. Kiedy liczba czegoś jest parzysta, można ułożyć to coś w dwóch stosach tej samej wielkości. Podejrzewam, że dlatego właśnie nazywają ją parzystą. Ale kiedy liczba jest nieparzysta, musisz ułożyć jeden plik w poprzek na górze.

Kowalski nie odezwał się.

— Pięćdziesiąt to liczba parzysta — powiedział Reacher. —

podczas gdy na przykład czterdzieści dziewięć to liczba nieparzysta.

— I co z tego?

— To, że masz wyjąć z kieszeni i oddać te dziesięć kawałków, które ukradłeś.

Kowalski nie poruszył się.

— Wybieraj — powiedział Reacher. — Jeżeli nie chcesz oddać tych dziesięciu kawałków, musisz pokonać mnie w walce na pięści. Jeżeli mnie pokonasz, będziesz chciał wziąć więcej. Wezmiesz więcej i uciekniesz. I wtedy dasz dyla w krzaki, a Lane i jego ludzie będą je przetrząsać. Chcesz, żeby do tego doszło?

Kowalski nie odezwał się.

— Ale i tak mnie nie pokonasz — dodał Reacher.

— Tak myślisz?

— Skopałyby ci tyłek Demi Moore.

— Jestem wyszkolony.

— Wyszkolony w czym? W pływaniu? Widzisz tu jakąś wodę?

Kowalski nie odezwał się.

— Pierwszy cios zadecyduje o wszystkim — powiedział Reacher. — Zawsze tak jest. Więc na kogo stawiasz? Na cieniasa czy na dużego faceta?

— Nie chciałbyś mieć we mnie wroga — mruknął Kowalski.

— Nie chciałbym mieć w tobie przyjaciela — odparł Reacher. — Tego jestem pewien. Nie chciałbym wyjechać z tobą do Afryki. Nie chciałbym zająć wysuniętego punktu obserwacyjnego, wiedząc, że mnie zabezpieczasz. Nie chciałbym odwrócić się i zobaczyć, jak odjeżdżasz w siną dal.

— Nie wiesz, jak tam było.

— Dokładnie wiem, jak tam było. Zostawiłeś dwóch ludzi trzysta jardów od waszej linii. Budzisz we mnie wstręt.

— Nie było cię tam.

— Okryłeś hańbą mundur, który kiedyś nosiłeś.

Kowalski milczał.

— Ale wiesz, po której stronie jest posmarowany chleb — Powiedział Reacher. — Prawda? I nie chcesz ugryźć ręki, która cię karmi. Prawda?

Kowalski stał przez dłuższą chwilę nieruchomo, a potem upuścił paczkę z pieniędzmi, sięgnął do tylnej kieszeni i wyciągnął złożony na pół, owinięty banderolą plik studolarówek. Rzucił go na podłogę i plik przybrał z powrotem swój płaski kształt niczym otwierający płatki kwiat. Reacher wcisnął go do beli i położył ją na stosie innych. Zgasił światło i zamknął drzwi. Elektroniczny zamek kliknął i zabrzączał.

— W porządku? — zapytał Kowalski. — Rozstajemy się w zgodzie?

— Jak chcesz — odparł Reacher.

Odprowadził go z powrotem do salonu, po czym ruszył do kuchni i zajrzał do gabinetu. Spojrzał na komputer i szafkę z aktami. Coś w nich nie dawało mu spokoju. Przez sekundę stał w martwej ciszy. A potem uderzyła go nowa myśl. Miał wrażenie, jakby ktoś wrzucił mu za kołnierz kostkę lodu.

— Jakie przetrząsają krzaki? — zapytał.

— Szpitale — odparł Kowalski. — Uznaliśmy, że ten z nich, który wrócił, musi być chory.

— Jakie szpitale?

— Nie wiem. Pewnie wszystkie.

— W szpitalach nie podają danych pacjentów.

— Tak myślisz? Wiesz, ile zarabia pielęgniarka na izbie przyjęć?

Przez chwilę trwała cisza.

— Znowu wychodzę — powiedział Reacher. — Ty zostajesz.

Trzy minuty później był przy automacie telefonicznym i wybierał numer Pauling.

## 45

Pauling odebrała po drugim dzwonku. Albo po drugiej wibracji, pomyślał Reacher.

— Masz samochód? — zapytał.

— Nie — odparła.

— W takim razie wskakuj w taksówkę i jedź do mieszkania Dee Marie. Lane i jego ludzie sprawdzają szpitale, szukając Knighta albo Hobarta. Nie wiedzą jeszcze, który z nich wrócił. Ale to tylko kwestia czasu, kiedy trafią do Saint Vincent i zdobędą adres Hobarta. Więc spotkajmy się u jego siostry. Będziemy musieli ich gdzieś zamelinować.

Następnie rozłączył się i sam też złapał taksówkę na Dziewiątej Alei. Kierowca chciał jechać szybko, ale ulice były zapchane. Zrobiło się trochę luźniej, kiedy przecięli Broadway. Ale tylko trochę. Reacher usiadł bokiem na siedzeniu i oparł głowę o szybę. Oddychał powoli i spokojnie. Nie można wściekać się na coś, na co nie ma się wpływu, pomyślał. A on nie miał wpływu na ruch uliczny na Manhattanie. Wpływ na ten ruch miały czerwone światła. Między Dakota Building i miejscem zamieszkania Hobarta było ich około siedemdziesięciu.



Poniżej Zachodniej Czternastej Hudson Street jest jednokierunkowa i jedzie się nią z południa na północ, więc taksowkarz pojechał Bleecker Street, Siódmą Aleją i Varick Street.

Na koniec skręcił w prawo w Carlton Street. Reacher kazał mu się zatrzymać w połowie przecznicy i resztę drogi przebył pieszo. Przed domem Dee Marie stały trzy samochody, ale żaden z nich nie był drogą limuzyną z rejestracją OSC. Obserwując jadące z południa auta, wcisnął przycisk 4L. W głośniku odezwała się Pauling. Reacher podał swoje nazwisko i drzwi się otworzyły.

Drzwi do mieszkania na trzecim piętrze wciąż były otwarte. Wyrwane zawiasy, roztrzaskana framuga. W salonie słychać było głosy. Dee Marie i Pauling. Kiedy wszedł, obie kobiety umilkły. Spojrzały w stronę wejścia. Wiedział, co myślały. Wyłamane drzwi nie chroniły zbyt dobrze przed zewnętrznym światem. Dee Marie była nadal w swojej bawełnianej sukience, ale Pauling się przebrała. Włożyła dżinsy i t-shirt. Wyglądała dobrze. Hobart leżał dokładnie tam, gdzie poprzednio, na sofie. Wyglądał źle, blady i chory. Ale oczy mu płonęły. Był wściekły.

— Wybiera się tutaj Lane? — zapytał.

— Niewykluczone... — odparł Reacher.

— I co zrobimy?

— Będziemy cwani. Zadbamy o to, żeby zastał puste mieszkanie.

Hobart nie odezwał się. A potem trochę niechętnie pokiwał głową.

— Gdzie powinieneś trafić? — zapytał Reacher. — Na leczenie?

— Leczenie? — odparł Hobart. — Nie mam pojęcia. Dee Marie zrobiła chyba rozeznanie.

— Do Birmingham w Alabamie albo Nashville w Tennessee — powiedziała Dee Marie. — W jednym z mieszczących się tam dużych uniwersyteckich szpitali. Mam broszury. To dobre ośrodki.

— Nie do szpitala Waltera Reeda? — zapytał Reacher.

— Walter Reed jest dobry, kiedy przywozi się ich świeżo z pola bitwy. Ale lewą stopę ucięli bratu prawie pięć lat temu. Nawet prawy nadgarstek całkowicie się zagoił. Źle, ale się zagoił. Najpierw musi przejść wstępne leczenie. Rekonstrukcję kości, takie rzeczy. A i to dopiero wówczas, kiedy uporają się z malarią i gruźlicą. Niedożywieniem i pasożytami.



— Nie możemy go odwiedzić do Birmingham i Nashville dziś wieczorem.

- Nigdy go tam nie odwiedzimy. Same operacje kosztowałyby ponad dwieście tysięcy dolarów. Protezy są jeszcze droższe.

Dee Marie wzięła dwie broszury ze stolika i podała je Reacherowi. Na okładkach były kosztowne wyliczenia i kolorowe fotografie. Błękitne niebo, zielone łąki, miłe budynki z cegły. W środku szczegółowe opisy procedur chirurgicznych modeli protez. Kolejne fotografie. Sympatyczni siwowłosi mężczyźni w białych fartuchach trzymali w ramionach mechaniczne kończyny. Jednonodzy mężczyźni w sportowych kostiumach stali na lśniących tytanowych protezach na starcie maratonu. Podpisy pod ilustracjami tryskały optymizmem.

— Wyglądają nieźle — stwierdził Reacher, oddając broszury.

Dee Marie położyła je na stoliku dokładnie tam, gdzie leżały.

— Marzenie ściętej głowy — mruknęła.

— Dzisiaj pojedziemy do motelu — oświadczyła Pauling. — Gdzieś blisko. Może wynajęlibyśmy ci samochód. Potrafisz prowadzić?

Dee Marie nie odpowiedziała.

— Zgódź się, Dee — powiedział Hobart. — Będzie ci łatwiej.

— Mam prawo jazdy — odparła.

— Moglibyśmy także wynająć wózek inwalidzki.

— Byłoby dobrze — stwierdził Hobart. — Pokój na parterze i wózek inwalidzki. Byłoby ci łatwiej, Dee.

— Może umeblowana kawalerka — zaproponowała Pauling. — z małą kuchenką. Żeby coś ugotować.

— Nie stać mnie na to — mruknęła Dee Marie.

W pokoju zapadła cisza. Reacher wyszedł na zewnątrz i sprawdził schody. Nic się nie działo. Wrócił do mieszkania i postarał się maksymalnie przymknąć drzwi. A potem skręcił w lewo i minawszy łazienkę, zajrzał do sypialni. Niewielkie pomieszczenie zajęte było prawie w całości przez podwójne łóżko. Domyślił się, że spał w nim Hobart, ponieważ na nocnej szafce leżały tubki z maściami antyseptycznymi oraz wydawane

bez recepty leki przeciwbólowe. Łóżko było wysokie. Wyobraził sobie Dee Marie dźwigającą swojego brata na plecach, obracając się, podchodzącą tyłem do łóżka, opuszczając go na materac. Wyobraził sobie, jak układa go na łóżku, a potem wraca do salonu, żeby spędzić kolejną noc na sofie.

Okno w sypialni miało drewnianą framugę, szyba była pobrudzona sadzą. W oknie wisały rozsunięte spłowiełe zasłony. Na parapecie stały różne bibeloty oraz kolorowa fotografia starszego szeregowego piechoty morskiej. Vinnie. Zabity mąż. Bomba rozerwała go na strzępy przy drodze do Faludży. Zginął od razu, a może cierpiał. Miał nisko nasunięty na czoło daszek czapki. Kolory fotografii były intensywne. Reacher domyślił się, że zrobił ją wojskowy fotograf. Dwie odbitki za cenę dziennego żołdu, do tego dwie tekturowe koperty, jedna dla matki, druga dla żony lub dziewczyny. Gdzieś na świecie były podobne fotografie Reachera. Przez jakiś czas robił sobie zdjęcie z okazji każdego awansu i wysyłał matce. Nigdy nie stawiła ich na widoku, ponieważ Reacher się nie uśmiechał. Nigdy nie uśmiechał się na zdjęciach.

Stanął przy oknie i spozjrzał na północ. Samochody odpływały od niego niczym rzeka. Zerknął na południe i patrzył, jak się do niego zbliżają.

I zobaczył czarnego range rovera, który przyhamował i stanął przy krawężniku.

Rejestracja: OSC 19.

Obrócił się na pięcie i trzema długimi susami wybiegł z sypialni. Kolejne trzy zawiodły go do salonu.

— Już tu są — powiedział.

Na ułamek sekundy zapadła cisza.

— Cholera — mruknęła Pauling.

— Co robimy? — zapytała Dee Marie.

— Do łazienki — polecił Reacher. — Wszyscy. Już.

Podszedł do sofy, złapał Hobarta z przodu za koszulę i podniósł. Zaniósł go do łazienki i ułożył delikatnie w wannie. Dee Marie i Pauling weszły tam w ślad za nim. Reacher przecisnął się obok nich i wyszedł do przedpokoju.

— Nie możesz tam na nich czekać — powiedziała Pauling-

- Muszę — odparł. — W przeciwnym razie przeszukają całe mieszkanie.
- Nie powinni cię tu zastać.
  - Zamknijcie się od środka. Siedźcie cicho i nie ruszajcie

Stojąc w przedpokoju, usłyszał zgrzyt zasuwki w łazience. Sekundę później odezwał się domofon. Reacher zaczekał chwilę i wcisnął przycisk.

— Tak? — zapytał.

Usłyszał wzmocniony przez aparaturę uliczny hałas, a potem czyjś głos. Nie sposób go było rozpoznać.

— Pielęgniarz z urzędu kombatantów — usłyszał.

Reacher uśmiechnął się. To im się udało, pomyślał.

— Proszę wejść — rzekł, wciskając ponownie przycisk.

A potem usiadł na sofie w salonie i czekał.

## 46

Najpierw usłyszał głośne skrzypienie schodów. Naliczył trzy osoby. Usłyszał, jak skręcają na drugim piętrze i zaczynają wchodzić na trzecie. Usłyszał, jak zatrzymują się u szczytu schodów, zaskoczeni widokiem wyważonych drzwi. Po chwili drzwi się otworzyły. Rozległ się cichy metaliczny zgrzyt zniszczonych zawiasów, a potem już tylko odgłosy kroków w przedpokoju.

Pierwszy wszedł do salonu Perez, niski Latynos.

Potem Addison ze szramą od noża nad okiem.

Na końcu sam Edward Lane.

Perez dał krok w lewo i stanął w miejscu, Addison dał krok w prawo i stanął w miejscu. Lane stanął pośrodku i wbił wzrok w Reachera.

— Co ty tu, do diabła, robisz? — zapytał.

— Ubiegłem was — powiedział Reacher.

— Jak?

— Mówiłem już. Zarabiam w ten sposób na życie. Mogę wam dać lusterko na kiju, a i tak was o kilka godzin ubiegnę.

— Gdzie jest Hobart?

— Tu go nie ma.

— To ty wyważyłeś drzwi?

— Nie miałem klucza.

— Gdzie on jest?

— W szpitalu.

§. — Gówno prawda. Właśnie stamtąd jedziemy.  
— Nie tutaj. W Birmingham w Alabamie albo w Nashville w Tennessee.

— Jak na to wpadłeś?

— Potrzebuje specjalistycznej opieki. W Saint Vincent zarekomendowano mu jeden z tych dużych uniwersyteckich szpitali na Południu. Dali mu literaturę.

Reacher wskazał mały stolik. Edward Lane wyłamał się z szeregu i podszedł, żeby wziąć do ręki kolorowe broszury.

— Do którego z nich pojechał? — zapytał, przejrzawszy obie.

— Nie ma znaczenia do którego — odparł Reacher.

— Ma cholerne znaczenie.

— Hobart nie porwał Kate.

— Tak myślisz?

— Ja nie myślę, ja wiem.

— Skąd?

— Powinniście zdobyć więcej informacji, nie tylko jego adres. Powinniście zapytać, dlaczego w ogóle trafił do Saint Vincent.

— Zapytaliśmy. Powiedzieli, że z powodu malarii. Podawali mu dożylnie chlorochinę.

— I co?

— I nic. Facet, który właśnie wrócił z Afryki, może chorować na malarię.

— Powinniście poznać całą jego historię.

— To znaczy?

— Po pierwsze, w czasie kiedy Kate została porwana, Hobart leżał przykuty do łóżka i pompowali w niego tę chlorochinę — powiedział Reacher. — Po drugie, nabawił się wcześniej czegoś gorszego.

— To znaczy?

Reacher popatrzył na Pereza i Addisona.

Miał cztery amputacje — oznajmił. — Nie ma rąk ani stóp, nie może chodzić, jeździć, nie może wziąć do ręki pistoletu ani zadzwonić przez telefon.

Nikt się nie odezwał.

— To się stało w więzieniu — wyjaśnił Reacher. — W Burkina Faso. Nowy reżim robił to dla hecy. Raz w roku. W jego urodziny. Lewa stopa, prawa stopa, lewa dłoń, prawa dłoń. Maczetą. Ciach, ciach.

Nikt się nie odezwał.

— Po tym, jak wszyscy uciekliście i zostawiliście go na pastwę losu — dodał Reacher.

Żadnej reakcji. Żadnego poczucia winy ani żalu.

Ani gniewu.

Po prostu nic.

— Nie było cię tam — powiedział Lane. — Nie wiesz, jak to wyglądało.

— Ale wiem, jak to teraz wygląda — odparł Reacher. — Hobart nie jest facetem, którego szukacie. Nie jest fizycznie zdolny.

— Jesteś pewien?

— Więcej niż pewien.

— Mimo to nadal chcę go odnaleźć — rzekł Lane.

— Po co?

Lane nie odpowiedział. Szach-mat. Nie mógł tego wyjaśnić, nie przyznając, co kazał przed pięciu laty zrobić Knightowi. Gdyby to zrobił, zdradziłby się przed swoimi ludźmi.

— Więc znaleźliśmy się z powrotem w punkcie wyjścia — oświadczył. — Wiesz, kto tego nie zrobił. Świetna robota, majorze. Naprawdę robisz duże postępy.

— Nie jesteśmy w punkcie wyjścia — odparł Reacher.

— Jak to?

— Jestem blisko rozwiązania. Powiem ci, kto to był.

— Kiedy?

— Kiedy dasz mi pieniądze.

— Jakie pieniądze?

— Zaproponowałeś mi milion dolców.

— Za odnalezienie mojej żony. Teraz już na to za późno.

— Dobrze — zgodził się Reacher. — W takim razie nie powiem ci, kto to był. Dam ci za to lustro na kiju.

— Powiedz, kto to był.

— Zapłać tyle, ile mi się należy.

- Taki z ciebie cwaniak?
- Tylko blagier nie ma swojej ceny.
- To wysoka cena.
- Jestem jej wart.
- Mógłbym to wyciągnąć z ciebie siłą.

Nie mógłbyś — odparł Reacher. W ogóle się nie poruszył. ział odchylony do tyłu na sofie, odprężony, z rękoma rozłożonymi na oparciu i rozstawionymi szeroko nogami. Sześć stóp pięć cali wzrostu, dwieście pięćdziesiąt funtów wagi, obraz pewności siebie. — Jeżeli spróbujesz jakichś numerów zegnę cię wpół i użyję głowy Addisona, żeby wbić ci w dupę niczym gwóźdź.

- Nie lubię gróźb.
  - I to mówi facet, który straszył, że wyłupi mi oczy?
  - Byłem zdenerwowany.
  - Ja byłem splukany. Nadal jestem.
- W pokoju zapadła cisza.
- Dobrze — powiedział Lane.
  - Co dobrze? — zapytał Reacher.
  - Dobrze, dostaniesz swój milion. Kiedy poznam nazwisko?
  - Jutro — odparł Reacher.

Lane pokiwał głową i odwrócił się.

- Idziemy — zwrócił się do swoich ludzi.
- Muszę do toalety — oświadczył Addison.

# 47

W pokoju było gorąco i duszno.

— Gdzie jest łazienka? — zapytał Addison.

Reacher powoli wstał.

— Co ja jestem, architekt? — zapytał.

Jednocześnie jednak zerknął przez lewe ramię na kuchenne drzwi. Addison też tam popatrzył i dał krok w ich stronę, a Reacher krok w przeciwnym kierunku. Ten psychologiczny balet mógł się wydawać pozbawiony znaczenia, ale małe rozmiary pokoju sprawiły, że zamienili się pozycjami. Teraz to Reacher był bliżej łazienki.

— To chyba kuchnia — mruknął Addison.

— Może i kuchnia — rzekł Reacher. — Sprawdź.

Stanął przy wejściu do przedpokoju i patrzył, jak Addison otwiera drzwi do kuchni. Addison zajrzał do środka i zorientowawszy się, co to za pomieszczenie, cofnął się. A potem nagle znieruchomiał i zajrzał tam ponownie.

— Kiedy Hobart wyjechał na Południe? — zapytał.

— Nie wiem — odparł Reacher. — Chyba dzisiaj.

— Najwyraźniej bardzo mu się spieszyło. Na kuchni stoi garnek z zupą.

— Twoim zdaniem powinien po sobie pozmywać naczynia?

— Większość ludzi to robi.

— Większość ludzi bez rąk?

— To jak w ogóle podgrzał sobie zupę?



— Ktoś mu pomógł — powiedział Reacher. — Nie przyszło ci to do głowy? Ktoś z opieki społecznej. Ambulans przyjeżdża po Hobarta, ładują go do środka i myślisz, że jakaś zarabiająca grosze rządowa gosposia zostanie tutaj i posprząta? Bo ja raczej w to wątpię.

Addison wzruszył ramionami i zamknął drzwi do kuchni.

— Więc gdzie jest łazienka? — zapytał.

— Idź do domu i skorzystaj ze swojej — poradził mu Reacher.

— Że co?

— Któregoś dnia Hobart wróci tutaj z metalowymi rękoma, którymi będzie mógł rozpiąć rozporek, i może nie spodobać mu się, że sikałeś do tego samego kibla co on.

— Dlaczego?

— Bo nie jesteś godzien sikać do tego samego kibla co on. Zostawiłeś go na polu bitwy.

— Nie było cię tam.

— Powinieneś za to podziękować losowi. Gdybym tam był, skopałbym ci tyłek i wytargał za uszy.

Edward Lane dał krok do przodu.

— Musieliśmy go poświęcić, żeby ocalić całą jednostkę — oznajmił.

— Poświęcenie i ocalenie to dwie różne rzeczy — rzekł Reacher, patrząc mu prosto w oczy.

— Nie kwestionuj moich rozkazów.

— A ty nie kwestionuj moich — odparł Reacher. — Zabieraj stąd tych kurdupli. Niech się wysikają do rynsztoka.

Przez dłuższą chwilę trwała cisza. Pusta twarz Pereza, uraza na twarzy Addisona, wyrachowanie w oczach Lane'a.

— Nazwisko — powiedział. — Jutro.

— Dostaniesz je — zapewnił go Reacher.

Lane skinął na swoich ludzi, którzy wyszli w tym samym szyku, w jakim weszli. Najpierw Perez, potem Addison i zamykający pochód Lane. Reacher słuchał, jak schodzą, zaczekał, aż zatrzaskną się drzwi na dole, po czym przeszedł do sypialni, zobaczył, jak wsiadają do czarnego range rovera i odjeżdżają na północ. Odczekał minutę i kiedy uznał, że minęli światła

przy Houston Street, wrócił do przedpokoju i zapukał do drzwi łazienki.

— Poszli sobie — oznajmił.



Przeniósł z powrotem Hobarta na sofę i posadził go na niej niczym szmacianą lalkę. Dee Marie ruszyła do kuchni, a Pauling wbiła wzrok w podłogę.

— Wszystko słyszeliśmy — rzekła.

— Zupa jest wciąż ciepła — stwierdziła Dee Marie. — Szczęście, że ten facet nie podszedł bliżej.

— Faktycznie, miał szczęście — powiedział Reacher.

Hobart zmienił swoją pozycję na sofie.

— Nie oszukuj się — mruknął. — To nie są mięczaki. Jeszcze chwila, a mógłbyś poważnie oberwać. Lane nie zatrudnia miłych ludzi.

— Zatrudnił ciebie.

— Owszem, zrobił to.

— No więc?

— Nie jestem miłym człowiekiem. Jestem taki sam jak oni.

— Sprawiasz miłe wrażenie.

— To kwestia współczucia.

— Więc powiedz, jakie z siebie ziółko.

— Zostałem karnie zwolniony. Wyrzucono mnie z korpusu.

— Dlaczego?

— Odmówiłem wykonania rozkazu. A potem skułem mordę facetowi, który go wydał.

— Co to był za rozkaz?

— Ostrzelać cywilny pojazd. W Bośni.

— Wydaje mi się, że nie miał prawa go wydać.

Hobart potrząsnął głową.

— Nie, porucznik miał rację. Tym samochodem jechali dranie. Tego samego dnia zranili dwóch naszych. Skrewiłem.

— A gdyby na tych wysuniętych posterunkach obserwacyjnych byli Perez i Addison? — zapytał Reacher. — Zostawiłbyś ich tam?

— Żołnierz piechoty morskiej ma słuchać rozkazów —

powiedział Hobart. — A ja przekonałem się w bardzo dotkliwy sposób, że czasami oficer wie lepiej.

- Więc tak czy nie? Bez zalewania.

Hobart wbił wzrok w przestrzeń.

— Nie zostawiłbym ich tam. Przenigdy w świecie. Nie rozumiem, jak ktoś mógł to zrobić. Naprawdę nie pojmuję, jak mogli mnie tam zostawić. I nie mogę się pogodzić z tym, że to zrobili.

— Zupa — oznajmiła Dee Marie. — Czas przestać gadać i coś zjeść.

— Powinniśmy was gdzieś szybko przenieść — powiedziała Pauling.

— Teraz to niepotrzebne — stwierdziła Dee Marie. — Już tu nie wrócą. W tej chwili to najbezpieczniejsze miejsce pod słońcem.

— Byłoby pani łatwiej.

— Nie szukam łatwego życia. Szukam sprawiedliwości.

Chwilę później zadzwonił domofon i usłyszeli w interkomie rosyjski akcent. Dozorca z Szóstej Alei przyszedł naprawić zniszczone drzwi. Reacher wyszedł do niego na schody. Facet niósł torbę z narzędziami i deski.

— Teraz niczego już nam nie będzie brakowało — rzekła

- Dee Marie.

Pauling zapłaciła Rosjaninowi i zeszła razem z Reacherem na dół.

Idąc ulicą, milczała. Wyczuwał w niej stłumioną niechęć. Zachowywała dystans i patrzyła prosto przed siebie, wyraźnie unikając jego wzroku.

— Co się stało? — zapytał.

— Słyszeliśmy wszystko w łazience — odparła.

— I co?

— Lane cię zwerbował. Sprzedałeś się. Teraz dla niego pracujesz.

— Pracuję dla Kate i Jade.

Mógłbyś to robić za darmo.

— Chciałem go sprawdzić — wyjaśnił Reacher. — Nadal potrzebuję dowodu, że tym razem to prawdziwe porwanie. Gdyby nie było prawdziwe, wycofałyby się. Powiedziałyby, że pieniędzy nie będzie, bo się spóźniłem. Ale nie zrobił tego. Chce dorwać tego faceta. Co oznacza, że ten facet naprawdę istnieje.

— Nie wierzę ci. Ten test nie ma żadnego znaczenia. Jak powiedziała Patti Joseph, Lane lubi ryzykować. Popisuje się przed swoimi ludźmi i uważa, że jest sprytniejszy od ciebie.

— Właśnie się przekonał, że nie jest sprytniejszy ode mnie. Znalazłem Hobarta, zanim on to zrobił.

— Nieważne. W tym wszystkim chodzi o forszę, prawda?

— Owszem — przyznał Reacher. — Chodzi o forszę.

— Mógłbyś przynajmniej spróbować zaprzeczyć.

Reacher uśmiechnął się i szedł dalej.

— Widziałas kiedyś milion dolarów gotówką? — zapytał. — Trzymałaś kiedyś milion dolarów w rękach? Ja trzymałem, dzisiaj. To niesamowite uczucie. Ten ciężar, ta gęstość. Ta moc. Czułem emanujące z tej forsy ciepło. Jak z małej bomby atomowej.

— Nie wątpię, że wywarło to na tobie wielkie wrażenie.

— Chciałem tego miliona, Pauling. Naprawdę. I mogę go mieć. Zamierzam i tak znaleźć tego faceta. Ze względu na Kate i Jade. Równie dobrze mogę sprzedać jego nazwisko Lane'owi. To nie zmienia ogólnej sytuacji.

— Zmienia. Sprawia, że jesteś najemnikiem. Tak jak oni.

— Pieniądze to wielki ułatwicz.

— A swoją drogą, co masz zamiar zrobić z milionem dolarów? Kupić sobie dom? Samochód? Nową koszulę? Po prostu tego nie rozumiem.

— Często jestem źle rozumiany — przyznał.

— Nie, całe to nieporozumienie to moja wina. Polubiłam cię. Myślałam, że jesteś inny.

— Ty też pracujesz dla pieniędzy.

— Ale bardzo starannie wybieram, dla kogo pracuję.

— To mnóstwo forsy.

— To brudne pieniądze.

- Ale można je wydać tak samo jak każde inne.
- W porządku, naciesz się nimi.
- Postaram się.

Pauling nie odpowiedziała.

— Oduść sobie, Pauling — odezwał się po chwili.

— Dlaczego miałabym to zrobić?

— Bo w pierwszej kolejności zapłacę ci za twój czas, twoje usługi i poniesione koszty, a potem mam zamiar wysłać Hobarta do Birmingham albo Nashville, żeby go jakoś połatali. Mam zamiar kupić mu dość części zamiennych, żeby starczyło do końca życia, mam zamiar znaleźć jakieś miejsce, w którym mógłby zamieszkać, i mam zamiar dać mu trochę forsy na drobne wydatki, ponieważ w tym momencie nie bardzo może liczyć na jakieś zatrudnienie. Przynajmniej w swoim dawnym zawodzie. I jeżeli coś zostanie, wtedy, owszem, kupię sobie nową koszulę.

— Mówisz poważnie?

— Oczywiście. Potrzebuję nowej koszuli.

— Nie, co do Hobarta?

— Śmiertelnie poważnie. Potrzebuje tego. Zasłużył sobie za to. To jasne jak słońce. I wydaje się słuszne, żeby Lane za to zapłacił.

Pauling stanęła w miejscu, złapała go za rękę i zatrzymała.

— Przepraszam — powiedziała. — Wybacz mi.

— Dobrze, ale musisz mi to wynagrodzić.

— Jak?

— Pracuj ze mną dalej. Mamy mnóstwo roboty.

— Powiedziałeś Lane'owi, że jutro podasz mu nazwisko.

— Musiałem coś powiedzieć. Chciałem, żeby sobie poszedł.

— Uda nam się to odkryć do jutra?

— Nie widzę powodu, dla którego miałyby się nie udać.

— Od czego zaczniemy?

'— Nie mam zielonego pojęcia.

# 48

Zaczęli u Lauren Pauling. Zajmowała małe mieszkanie przy Barrow Street, niedaleko Zachodniej Czwartej. W budynku mieściła się niegdyś fabryka i miał sklepione ceglane sufity i grube na dwie stopy ściany. Wnętrze pomalowano w większości na ciepły i przyjazny żółty kolor. Była tam sypialnia w alkowie bez okna, łazienka, kuchnia oraz pokój z sofą, fotelem, telewizorem i mnóstwem książek. Były stonowane dywaniki, miękkie powierzchnie i ciemne drewno. Typowe mieszkanie samotnej kobiety. To nie ulegało wątpliwości. Czuć było, że wszystko wykończono i urządzono według pomysłu jednej osoby. Tu i tam stały fotografie małych dzieci, ale Reacher wiedział bez pytania, że to siostrzenice i siostrzeńcy.

Usiadł na sofie, oparł głowę o poduszkę i wbił wzrok w sklepiiony sufit. Wierzył, że wszystko można rozłożyć na czynniki pierwsze. Jeśli jakiś człowiek albo grupa ludzi coś zmajstrowała, to inny człowiek albo grupa ludzi może to rozmontować. To była podstawowa zasada. Potrzebna była tylko empatia, namysł i wyobraźnia. I lubił presję. Lubił ostateczne terminy. Lubił, kiedy trzeba było rozwiązać problem w krótkim i określonym czasie. Lubił pracować w cichym miejscu. I lubił współpracować z kimś, kto nadawał na tych samych częstotliwościach. Zaczynając, nie miał najmniejszych wątpliwości, że on i Pauling rozwikłają całą zagadkę do rana.

To przekonanie trwało około trzydziestu minut.

Pauling ściemniła światła, zapaliła świeczkę i zamówiła przez telefon hinduskie jedzenie. Zegar w głowie Reachera dopełzył do wpół do dziesiątej. Niebo za oknem zmieniło kolor z gramatowego na czarny. Miejskie latarnie zapłonęły jaśniejszym światłem. Na samej Barrow Street było cicho, ale jadące pobliską Zachodnią Czwartą autobusy często używały klaksonu. Co jakiś czas wyła syrena ambulansu pędzącego do szpitala Saint Vincent. Pokój wydawał się częścią miasta, ale jednocześnie był od niego odizolowany. Osobny. Do pewnego stopnia można go było uznać za sanktuarium.

— Zrób to jeszcze raz — poprosił Reacher.

— Co takiego?

— Tę historię z burzą mózgow. Zadawaj mi pytania.

— No dobrze, więc co mamy?

— Mamy uprowadzenie, które jest niewykonalne, i faceta, który nie mówi.

— I ucięty język, kulturowo niezwiązany z Afryką.

— Ale pieniądze są związane, bo to dokładnie połowa.

W pokoju zapadła cisza. Słysząc było tylko syrenę ambulansu - jadącego na północ Siódmą Aleją.

— Zaczynaj od samego początku — powiedziała Pauling. —

Kiedy po raz pierwszy usłyszałeś fałszywą nutę? Co było pierwszą czerwoną flagą? Cokolwiek, choćby to była najbar dziej trywialna albo przypadkowa rzecz pod słońcem.

Reacher zamknął oczy i przypomniał sobie początek: ziar nisty dotyk styropianowej filiżanki w rękę, jej neutralną tem peraturę, nie za wysoką i nie za niską. Przypomniał sobie idącego od krawężnika Gregory'ego, jego czujny chód. To, jak się zachowywał, wypytyjąc kelnera, uważnie, z pełną świadomością tego, co się wokół dzieje, typową dla weterana elitarnych jednostek. To, jak szybko podszedł do stojącego na chodniku stolika.

— Gregory zapytał mnie o samochód, który widziałem poprzedniego wieczoru — rzekł. — Powiedziałem mu, że przed dwudziestą trzecią czterdzieści pięć, a on odparł, to musiało być bliżej północy.

- Spór na temat czasu?
- Niezupełnie spór. Trywialna sprawa, tak jak powiedziałaś.
- Co to mogło oznaczać?
- Że mylił się albo on, albo ja.
- Nie nosisz zegarka — zauważyła Pauling.
- Kiedyś nosiłem. Zepsułem go. I wyrzuciłem.
- Zatem prawdopodobnie to on miał rację.
- Tyle że ja na ogół bardzo dobrze wiem, która jest godzina.
- Nie otwieraj oczu, dobrze?
- Dobrze.
- Która jest teraz godzina?
- Dwudziesta pierwsza trzydzieści sześć.
- Nieźle — oceniła Pauling. — Na moim zegarku jest dwudziesta pierwsza trzydzieści osiem.
- Twój zegarek się spieszy.

— Poważnie?

Reacher otworzył oczy.

— Absolutnie.

Pauling szukała przez chwilę czegoś na stoliku do kawy i w końcu znalazła pilota. Włączyła kanał pogodowy. Pokazywali tam w rogu ekranu godzinę, przekazywaną z jakiegoś instytutu meteorologicznego, z dokładnością co do sekundy. Zerknęła ponownie na swój zegarek.

— Masz rację — powiedziała. — Spieszy się dwie minuty.

Reacher nie odezwał się.

— Jak to robisz?

— Nie wiem.

— Ale Gregory spytał cię o to dwadzieścia cztery godziny po fakcie. Z jaką precyzją mogłeś określić godzinę?

— Nie jestem pewien.

— Jeżeli Gregory się mylił, a ty miałeś rację, co to może oznaczać?

— Coś musi oznaczać — odparł. — Ale nie wiem dokładnie co.

— Co było potem?

W tym momencie to bardziej sprawa śmierci niż życia, rzekł Gregory. To było potem. Reacher zjrzał ponownie do swojej



filizanki i zobaczył, że zostało w niej nie więcej niż jedna ósma cała letniej, gęstej od fusów kawy. Odstawił ją i powiedział: „Dobrze, chodźmy”.

— Coś, co ma związek z wsiadaniem do samochodu Gregory'ego. Granatowego bmw. Coś mi nie pasowało. Nie wówczas, ale później. W retrospekcji.

— Nie wiesz co?

— Nie.

— A potem?

— Potem przyjechaliśmy do Dakota Building i zaczął się wyścig.

Fotografia, pomyślał Reacher. Potem wszystko miało związek z fotografią.

— Powinniśmy na chwilę przerwać — powiedziała Pauling. — Nie można tego robić na siłę.

— Masz w lodówce piwo?

— Mam białe wino. Chcesz się napić?

— Jestem samolubny. Nie skrewiłaś przed pięcioma laty. Zrobiłaś wszystko jak należy. Powinniśmy to uczcić.

Pauling przez moment milczała, a potem się uśmiechnęła.

— Powinniśmy — zgodziła się. — Ponieważ szczerze mówiąc, to naprawdę wspomniałe uczucie.

Reacher poszedł z nią do kuchni. Pauling wyjęła butelkę z lodówki i otworzyła ją korkociągiem wyciągniętym z szuflady. Wzięła dwa kieliszki z kredensu i postawiła je obok siebie na blacie. Nalała do nich wina. Stuknęli się kieliszkami.

— Dogadzanie sobie to najlepszy odwet — powiedział.

Wypili oboje po łyku i wrócili na sofę. Usiedli blisko siebie.

— Odeszłaś z powodu Anne Lane? — zapytał.

— Nie bezpośrednio — odparła. — To znaczy nie od razu. Ale w ostatecznym rozrachunku tak. Wiesz, jak to wygląda. To przypomina morski konwój, kiedy jeden z okrętów zostaje trafiony poniżej linii wodnej. Nie ma widocznych uszkodzeń, ale zostaje lekko w tyle. Potem zostaje w tyle trochę bardziej i schodzi z kursu, i kiedy dochodzi do następnej dużej bitwy, to go nie widać. Tak było ze mną.

Reacher nie odezwał się.

— A może po prostu dotarłam do kresu swoich możliwości — dodała. — Kocham to miasto i nie chciałam stąd wyjeżdżać, a najwyższym stanowiskiem w nowojorskim biurze jest funkcja zastępcy dyrektora. To była od początku loteria.

Pauling wypłała kolejny łyk wina, podwinęła pod siebie nogi i obróciła się trochę w bok, żeby go lepiej widzieć. On też obrócił się w jej stronę i siedzieli teraz praktycznie naprzeciwko siebie, bardzo blisko.

— A dlaczego ty oszedłeś? — zapytała.

— Bo powiedzieli mi, że mogę to zrobić — odparł.

— Zależało ci, żeby odejść?

— Nie, zależało mi, żeby zostać. Ale kiedy usłyszałem, że mogę odejść, przestały na mnie jakby działać czary. Zdałem sobie sprawę, że nie gram w ich planach głównej roli. Zapewne cieszyliby się, gdybym został, ale najwyraźniej nie złamałem im serc, odchodząc.

— Lubisz być potrzebny?

— Niezupełnie. Przestały na mnie po prostu działać czary, to wszystko. Tak naprawdę nie potrafię tego wytłumaczyć.

Reacher przestał mówić i obserwował ją w milczeniu. Wyglądała wspaniale w świetle świecy. Jasne oczy, miękka skóra. Reacher lubił kobiety tak jak każdy facet i bardziej niż większość, ale zawsze był skłonny szukać w nich jakiejś skazy. Nie taki kształt ucha, zbyt gruba kostka, nie taki wzrost, waga, rozmiary. Dowolna rzecz mogła popsuć wrażenie. Ale Lauren Pauling nie miała żadnej skazy. Najmniej-szej. To było pewne.

— Tak czy owak gratuluję — powiedział. — Śpij dobrze tej nocy.

— Może rzeczywiście będę dobrze spała — odparła. — A może nie będę miała okazji — dodała po chwili.

Czuł jej zapach. Delikatnych perfum, mydła, czystej skóry, czystej bawełny. Włosy opadły jej na obojczyk. Szwy jej t-shirtu uniosły się lekko na ramionach, oferując mroczne kuszące tunele. Była szczupła i jędrna z wyjątkiem miejsc, w których było to niewskazane.

- Dlaczego możesz nie mieć okazji? — zapytał.
- Może będziemy przez całą noc pracować.
- Praca bez żadnych bodźców to coś dla nudnych chłopców.
- Nie jesteś nudnym chłopcem.
- Dziękuję — odparł, po czym pochylił się i pocałował ją.

Jej usta były lekko rozchylone, chłodne i słodkie od wina. Reacher wsunął dłoń pod jej włosy i objął kark. Przysunął ją do siebie bliżej i pocałował mocniej. Ona zrobiła to samo wolną dłonią. Wytrwali w tej pozie przez całą minutę, całując się i trzymając kieliszki z winem w powietrzu. Potem odsunęli się od siebie i postawili kieliszki na stoliku.

- Która jest godzina? — zapytała Pauling.
- Dwudziesta pierwsza pięćdziesiąt jeden.
- Jak ty to robisz?
- Nie wiem.

Odczekała jeszcze chwilę, a potem nachyliła się i pocałowała go ponownie. Tym razem użyła obu dłoni, jedną obejmując jego głowę, drugą plecy. On zrobił to samo. Jej język był chłodny i szybki. Jej plecy wąskie. Skóra ciepła. Wsunęła rękę pod jego koszulę i poczuł, jak zaciskają w pięść i wyciąga materiał spod paska. Poczuł jej paznokcie na skórze.

— Na ogół tego nie robię — powiedziała, przyciskając wargi do jego warg. — Nie z ludźmi, z którymi pracuję.

— Przecież nie pracujemy — odparł. — Zrobiliśmy sobie przerwę.

— Świątujemy.

— Zdecydowanie.

— Świątujemy, że nie spotkał nas los Hobarta, prawda?  
I Kate Lane.

— Ja świątuję, że jesteś, jaka jesteś.

Pauling podniosła ręce, a on ściągnął jej t-shirt przez głowę. Nosiła mały czarny biustonosz. On też podniósł ręce, a ona uklękła na sofie i ściągnęła najpierw jego koszulę, a potem podkoszulek i położyła rozpostarte niczym rozgwiazdy palce na jego szerokiej klatce piersiowej. Po chwili przesunęła je na Południe, do paska, i rozpięła go, a on rozpiął jej biustonosz, Podniósł ją, położył na sofie i zaczął całować piersi. Kiedy

zegar w jego głowie wskazywał pięć po dziesiątej, leżeli w jej łóżku pod prześcieradłem, nadzy i złączeni ze sobą, i kochali się z cierpliwością i czułością, jakich nie zaznał nigdy wcześniej.

— Starsze kobiety — rzekła. — Jesteśmy tego warte.

Nie odpowiedział. Uśmiechnął się tylko i pocałował ją w szyję pod uchem, gdzie skóra była wilgotna i miała smak morskiej wody.

• • •

Potem wzięli razem prysznic, wypili do końca wino i wrócili do łóżka. Reacher był zbyt zmęczony, by myśleć, i zbyt wyluzowany, by się tym przejmować. Po prostu odpłynął, wyczerpany i szczęśliwy. Pauling przytuliła się do niego i tak zasnęli.

• • •

Znacznie później poczuł, że Pauling wierci się w łóżku. Obudził się i zorientował, że zakryła mu rękoma oczy.

— Która jest godzina? — zapytała szeptem.

— Za osiemnaście siódma — odparł. — Rano.

— Jesteś niesamowity.

— To niezbyt przydatny dar. Jedyna korzyść jest taka, że nie muszę kupować nowego zegarka.

— Co się stało ze starym?

— Nadepnałem na niego. Położyłem go przy łóżku i stanąłem na nim, kiedy wstawałem.

— I to wystarczyło, żeby się popsuł?

— Miałem na nogach buty.

— W łóżku?

— Człowiek nie musi się ubierać i oszczędza na czasie.

— Jesteś niesamowity.

— Nie zawsze śpię w butach. To zależy od łóżka.

— Co by to mogło znaczyć, gdyby Gregory mylił się co do czasu, a ty miałbyś rację?

Reacher nabrał w płuca powietrza i otworzył usta, żeby powiedzieć „Nie wiem”.

I nagle znieruchomiał.

Ponieważ raptem zdał sobie sprawę, co by to mogło znaczyć.

— Zaczekaj — powiedział, po czym położył się na poduszce i przez chwilę wpatrywał w ciemny sufit. — Lubisz czekoladę? — zapytał.

— Chyba tak.

— Masz latarkę?

— Mam małą maglite w torebce.

— Wsadź ją do kieszeni — powiedział. — Zostaw torebkę w domu. I włóż spodnie. W spódnicy będzie ci niewygodnie.

## 49

Szli na piechotę, ponieważ był piękny ranek, a Reacher był zbyt podekscytowany, żeby jechać metrem lub taksówką. Barrow Street, potem Bleecker i na południe Szóstą Aleją. Mimo wczesnej pory było ciepło. Nie spieszyli się, bo chcieli tara dotrzeć dokładnie na czas. Skręcili na wschód w Spring Street punktualnie o wpół do ósmej. Przecięli Sullivan i Thompson Street.

- Idziemy do opuszczonego budynku?
- Owszem — odparł Reacher.

Zatrzymał się przy sklepie z czekoladą, przystawił dłońe do szyby i zajrzał do środka. W kuchni paliło się światło. Widział krzątającą się właścicielkę, małą, ciemną, zmęczoną, odwróconą do niego plecami. „Szesnastogodzinny dzień pracy, powiedziała. Dokładnie jak w zegarku, siedem dni w tygodniu. Mały biznes, nigdy nie odpoczywamy”.

Zapukał głośno w szybę. Właścicielka odwróciła się poirytowana, a potem poznała go, wzruszyła ramionami na znak, że się poddaje, i podeszła do wejścia. Otworzyła wszystkie zamki i uchyliła drzwi.

- Witam — powiedziała.
- Owionął go zapach gorzkiej czekolady.
- Czy możemy znowu przejść na tyły budynku? — zapytał.
- Kim jest tym razem pana znajoma?
- Pauling dała krok do przodu i przedstawiła się.

— Naprawdę zajmujecie się deratyzacją? — zagadnęła właścicielka.

— Prowadzimy śledztwo — powiedziała Pauling. Przyszykowała już wizytówkę.

— W jakiej sprawie?

— W sprawie zaginięcia kobiety — odparł Reacher. — I jej dziecka.

Przez chwilę trwała cisza.

— Myślicie, że są w sąsiednim budynku? — zapytała właścicielka.

— Nie. W sąsiednim budynku nie ma nikogo — oświadczył.

— To dobrze.

— To tylko rutynowe czynności.

— Macie ochotę na czekoladkę?

— Nie na śniadanie — rzekł Reacher.

— Ja chętnie skosztuję — powiedziała Pauling.

Właścicielka otworzyła szerzej drzwi i Pauling wraz z Reacherem weszli do środka. Pauling przez chwilę wybierała czekoladkę. Zdecydowała się na wielką niczym golfowa piłeczka, z nadzieją truskawkową. Ugryzła kawałek i wydała odgłos, który miał wyrażać uznanie. A potem ruszyła w ślad za Reacherem przez kuchnię, minęła mały wyłożony kafelkami korytarzyk i wyszła tylnymi drzwiami na alejkę.

Porzucony budynek wyglądał dokładnie tak samo jak ostatnim razem. Matowe czerwone drzwi, skorodowana czarna klamka, brudne okno na parterze. Reacher przekręcił na wszelki wypadek klamkę i pchnął, ale drzwi były zamknięte, tak jak się spodziewał. Pochylił się, rozwiązał sznurowadło, zdjął z nogi but, złapał go za przednią część, po czym używając obcasa w charakterze dwufuntowego młotka, wybił szybę w oknie — nisko, po lewej stronie, niedaleko zamka drzwi.

Poszerzywszy wybity otwór, włożył but, wsadził do środka rękę, wymacał wewnątrz klamkę, przesunął zasuwkę i bardzo ostrożnie wyjął rękę.

"— W porządku — mruknął.

Otworzył drzwi i odsunął się na bok, żeby Pauling miała lepszy widok.

— Dokładnie tak, jak mówiłeś — powiedziała. — Niezamieszkały. Nie ma podłóg.

— Masz ochotę zejść po drabinie?

— Dlaczego ja?

— Bo jeśli się myślę, szczeble mogą się po prostu załamać i zostaną tam na zawsze.

Pauling wsadziła głowę do środka i przyjrzała się drabinie. Stała w tym samym miejscu, po prawej stronie, oparta o wąski kawałek ściany między drzwiami i oknem.

— Robiłam gorsze rzeczy w Quantico. Ale to było dawno temu.

— Jeżeli spadniesz, to tylko dziesięć stóp — pocieszył ją Reacher.

— Dziękuję.

Pauling stanęła tyłem na skraju dziury. Reacher wziął ją za prawą rękę, a ona przesunęła się w lewo, oparła lewą stopę na szczeblu drabiny i złapała ją lewą ręką. Następnie puściła dłoń Reachera, odetchnęła głęboko i zeszła w mrok. Drabina trochę się zakołysała i zatrzeszczała, a potem usłyszał chrzęst i szelest śmieci, kiedy Pauling stanęła na dole.

— Straszny syf! — zawołała.

— Przykro mi — odparł.

— Mogą tu być szczury.

— Użyj latarki.

— Czy to je odstraszy?

— Nie, ale będziesz widziała, jak cię atakują.

— Dziękuję ci bardzo.

Reacher pochylił się do środka i zobaczył przeszywający ciemność promień latarki.

— Dokąd mam iść? — zawołała.

— W stronę przedniej ściany budynku. Dokładnie pod frontowe drzwi.

Promień latarki ustabilizował się w pozycji poziomej, ustalił kierunek i zaczął sunąć do przodu. Ściany piwnicy, które pobielono przed wielu laty jakimś rodzajem wapna, odbijały trochę światła. Reacher widział wszędzie sterty śmieci. Papier, tektura, stopy niezidentyfikowanych gnijących substancji.



Pauling dotarła do przedniej ściany. Promień latarki skoczył w górę i zlokalizował frontowe drzwi. Pauling przesunęła się nieco i stanęła dokładnie pod nimi.

— Teraz spójrz w dół — zawołał Reacher. — Co widzisz? Promień skierował się w dół. Teraz jaśniejszy i krótszy.

— Widzę śmieci — odkrzyknęła Pauling.

— Przyjrzyj się uważnie — zawołał. — Mogły się gdzieś potoczyć.

— Co mogło się potoczyć?

— Pogrzeb w śmieciach, to zobaczysz. Mam nadzieję.

Promień latarki zatoczył mały krąg. Potem trochę szerszy. A potem zatrzymał się w miejscu.

— W porządku — zawołała Pauling. — Teraz je widzę. Ale jak się, do diabła, domyśliłeś?

Reacher nie wyjaśnił. Pauling jeszcze przez sekundę stała nieruchomo, a potem pochyliła się i wyprostowała, podnosząc wysoko ręce. W prawej trzymała latarkę, w lewej dwa komplety kluczyków, jeden do mercedesa, drugi do bmw.

## 50

Brnąc przez sterty śmieci, Pauling wróciła do miejsca, w którym stała drabina, i rzuciła kluczyki Reacherowi. Złapał je najpierw lewą, a potem prawą ręką. Oba komplety były na chromowanych kółkach i oba miały breloczki z czarnej skóry ozdobione emaliowanymi symbolami samochodów — trzyramienną gwiazdą mercedesa oraz niebiesko-białym śmigłem bmw. Oba składały się z zapasowego klucza i pilota. Reacher strzepnął z nich kurz i wsadził do kieszeni. A potem pochylił się, złapał za rękę Pauling i pomógł jej wydostać się na zewnątrz. Stanąwszy w alejce, otrzepała się i energicznie tupnęła nogami.

— I co? — zapytała.

— Wszystko pasuje — odparł.

Zamknął matowe czerwone drzwi, wsadził rękę w wybity w oknie otwór, przytulił się ponownie do ściany i zamknął zasuwkę od środka. Wyciągnął ostrożnie rękę i sprawdził klamkę. Drzwi były zamknięte.

— Ta cała historia z wrzucaniem kluczyków przez otwór na listy to mydlenie oczu — powiedział. — Wymyślona po to, żeby odciągnąć uwagę. Facet już wcześniej miał kluczyki. Zabrał je z szafki w gabinecie Lane'a. Było tam mnóstwo

Rzeczy dotyczących samochodów. Niektóre zapasowe kluczyki były dołączone, innych brakowało.

— Więc miałeś rację co do czasu.

Reacher pokiwał głową.

— Facet był w mieszkaniu nad kawiarnią. Siedział na krześle, wyglądał przez okno. Patrzył, jak Gregory parkuje o dwudziestej trzeciej czterdzieści, i widział, jak odchodzi, ale wcale nie poszedł za nim na Spring Street. Nie musiał tego robić. Spring Street w ogóle go nie obchodziła. Wyszedł po prostu z domu, przeciął Szóstą Aleję i użył zapasowego kluczyka, który miał w kieszeni. Natychmiast, o wiele bliżej dwudziestej trzeciej czterdzieści niż północy.

— Tak samo było z granatowym bmw drugiego ranka.

— Identycznie — przyznał Reacher. — Obserwowałem te cholerne drzwi przez dwadzieścia minut i w ogóle się przy nich nie pojawił. Nie poszedł nawet na południe Houston Street. Wsiadł do auta mniej więcej dwie minuty po tym, jak Gregory z niego wysiadł.

— Dlatego mówił, jakie to dokładnie mają być samochody. Musiał dopasować do nich skradzione kluczyki.

— I dlatego nie dawał mi spokoju sposób, w jaki Gregory otworzył samochód pierwszego wieczoru. Użył pilota z odległości dziesięciu stóp, tak jak każdy. Ale ten facet, podchodząc przedniego wieczoru do mercedesa, wcale tego nie zrobił. Podeszedł do drzwi i wsadził kluczyk do zamka. Kto tak teraz robi? Otworzył drzwi kluczykiem, bo musiał. Nie miał pilota, tylko zapasowy klucz. To wyjaśnia również, dlaczego użył jaguara do odebrania ostatniej raty. Chciał go zamknąć z drugiej Strony ulicy zaraz po tym, jak Burke umieścił w nim pieniądze. Ze względu na bezpieczeństwo. Mógł tak zrobić tylko z jaguarem, ponieważ miał pilota tylko do jaguara. Dostał mu się razem z Kate i Jade.

Pauling nie odezwała się.

— Powiedziałem Lane'owi, że facet użył jaguara z czystej złośliwości. Że to miało być memento. Prawdziwy powód był jednak praktyczny, nie psychologiczny.

Ale w ten sposób wracamy do wersji, że był w to zaan-

gażowany ktoś z wewnątrz. Musiał być. Ktoś ukradł zapasowe kluczyki. Tymczasem sam wyeliminowałeś udział kogoś z wewnątrz. Uznałeś, że nikogo takiego nie było.

- Chyba to rozgryzłem.
- Kto to był?
- Facet bez języka. To on jest kluczem do całej zagadki.

# 51

Pauling i Reacher przemaszerowali z powrotem przez sklep z czekoladą i wyszli na ulicę jeszcze przed wpół do dziewiątej rano. Przed dziewiątą byli w biurze Pauling przy Czwartej Zachodniej.

— Potrzebny nam jest teraz Brewer — oznajmił Reacher. — I Patti Joseph.

— Brewer jeszcze śpi — powiedziała Pauling. — Pracuje do późna w nocy.

— Dzisiaj popracuje wcześniej. Będzie musiał wziąć dupę W troki. Ponieważ musimy mieć stuprocentową pewność, kogo wyłowiono z rzeki Hudson.

— Taylora?

— Musimy wiedzieć na pewno, że to Taylor. Jestem przekonany, że Patti ma jego fotografię. Założę się, że ma zdjęcia wszystkich osób, które kiedykolwiek odwiedzały Dakota Building. Jeśli da dobrą, wyraźną fotografię Brewerowi, ten może pojechać do kostnicy i ustalić tożsamość wyłowionego.

— Patti nie jest tutaj naszym sprzymierzeńcem. Chce pogrzyść Lane'a, a nie mu pomagać.

My mu wcale nie pomagamy. Wiesz o tym.

Obawiam się, że Patti nie widzi różnicy.

Chcemy tylko jednej parszywej fotografii. Może nam wyświadczyć tę uprzejmość.

Pauling zadzwoniła zatem do Patti Joseph, która potwierdziła,

że ma w archiwum fotografie wszystkich ludzi Lane'a od momentu, gdy przed czterema laty wprowadziła się do mieszkania w Majesticu. Z początku nie chciała im pomóc, lecz potem zorientowała się, że identyfikacja zwłok Taylora pośrednio lub bezpośrednio postawi Lane'a w trudnej sytuacji. Zgodziła się więc wybrać najlepsze zdjęcie en face i przekazać je Brewerowi. Ustalwszy to, Pauling zadzwoniła do Brewera i go obudziła. Trochę się zirytował, ale zgodził się odebrać zdjęcie. Miał w tym własny interes, ponieważ na ustaleniu tożsamości niezidentyfikowanego topielca mógł zarobić parę punktów u szefa.

— I co teraz? — zapytała Pauling.

— Śniadanie — odparł Reacher.

— Mamy na to czas? Lane spodziewa się dziś nazwiska.

— „Dziś” trwa do północy.

— A co po śniadaniu?

— Może będziesz chciała wziąć prysznic.

— Nie jestem aż taka brudna. W tej piwnicy nie było tak strasznie.

— Nie myślałem o piwnicy. Przyszło mi do głowy, że moglibyśmy zabrać kawę i croissanty do ciebie. Kiedy tam ostatnio byliśmy, oboje skończyliśmy pod prysznicem.

— Rozumiem — mruknęła Pauling.

— Tylko jeżeli masz ochotę.

— Znam piekarnię, gdzie sprzedają świetne croissanty.

. . .

Dwie godziny później Reacher wycierał włosy pożyczonym ręcznikiem i zastanawiał się, czy powinien działać na podstawie przeczucia. W gruncie rzeczy nie był wielkim entuzjastą przeczuc. Zbyt często okazywały się nieuzasadnionymi domysłami, na które traciło się czas i które prowadziły na manowce. Jednak Brewer jeszcze się nie odezwał i właściwie mógł zmarnować trochę czasu. Pauling wyszła z sypialni. Wyglądała olśniewająco. Buty, pończochy, obcisła spódnica, jedwabna bluzka, wszystko w czerni. Wyszczotkowane włosy, lekki makijaż. Szeroko otwarte, szczere, inteligentne oczy.

— Która jest godzina? — zapytała.  
— Jedenasta trzynaście — odparł. — Mniej więcej.  
— Kiedyś będziesz musiał mi wyjaśnić, jak to robisz.  
— Jeżeli kiedykolwiek na to wpadnę, ty dowiesz się  
pierwsza.

— Śniadanie było długie. Ale miłe.  
— Też tak uważam.  
— Co teraz?  
— Może lunch?  
— Nie jestem jeszcze głodna.  
— Moglibyśmy sobie darować jedzenie.

Pauling uśmiechnęła się.

— Poważnie — powiedziała. — Mamy sprawy do załatwienia.

— Moglibyśmy wrócić do twojego biura? Jest coś, co chciałbym sprawdzić.

• • •

Na Barrow Street było cicho, ale w porze lunchu Zachodnia Czwarta pulsowała życiem. Chodnikami walił zbity tłum. Reacher i Pauling musieli poruszać się w tym samym tempie co inni, o wiele wolniej, niżby chcieli. Nie mieli wyboru. Chodniki potrafią zakorkować się tak samo jak jezdnie. Spacer, który normalnie zająłby im pięć minut, trwał dziesięć. Drzwi od ulicy prowadzące do biura Pauling były otwarte. Inni najemcy od kilku godzin prowadzili już działalność. Reacher wspiął się po schodach za Pauling i kiedy otworzyła kluczem drzwi i weszła do poczekalni, wyprzedził ją i zajrzał do gabinetu, gdzie stały Półki z książkami i komputer.

— Co chcesz sprawdzić? — zapytała.

— Najpierw książkę telefoniczną — odparł. — Litera T jak Taylor.

Ściagnęła książkę z półki i otworzyła ją na biurku. Taylorów była cała masa, nazwisko okazało się dość popularne.

- Na jaką literę zaczyna się imię? — zapytała.

-Nie mam pojęcia. Patrz na ulice. Szukaj numerów domowych w West Village.

Pauling zaczęła robić ołówkiem znaczki na marginesach, posługując się nieco rozszerzoną definicją obszaru docelowego. Znalazła siedem adresów. Zachodnia Ósma, Bank Street, Perry Street, Sullivan Street, Zachodnia Dwunasta, Hudson Street oraz Waverly Place.

— Zaczynj od Hudson Street—powiedział Reacher. — Zajrzyj do planu miasta i zobacz, przy jakiej przecznicy stoi ten dom.

Pauling położyła plan miasta na książce telefonicznej i przesunęła go w dół tak, aby skraj okładki znalazł się dokładnie pod Taylorem mieszkającym przy Hudson Street. Następnie znalazła odpowiedni arkusz planu i sprawdziła, między jakimi przecznicami znajduje się ten numer domu.

— Dokładnie w połowie między Clarkson i Leroy — powiedziała.

Reacher nie odezwał się.

— Co się tutaj dzieje? — zapytała.

— A jak myślisz?

— Facet bez języka znał Taylora? Mieszkał z nim, pracował? Zabił go?

Reacher nie odezwał się.

— Zaczekaj — mruknęła Pauling. — To Taylor był wtyczką, tak? To on skradł zapasowe kluczyki. To on zatrzymał samochód przy Bloomingdale'u dokładnie tam, gdzie chciał ten drugi facet. Zawsze miałeś wątpliwości co do samego uprowadzenia. Tylko w ten sposób można je było przeprowadzić.

Reacher nie odezwał się.

— Czy ten topielec to na pewno Taylor? — zapytała Pauling.

— Dowiemy się, kiedy zadzwoni Brewer.

— Ten basen portowy jest daleko na północ od śródmieścia. A cała akcja najwyraźniej toczy się w śródmieściu.

— W Hudsonie mamy przyplawy i odpływy aż do Tappan Zee. I właściwie to jest estuarium, nie rzeka. Topielec mógł podryfować zarówno na północ, jak i na południe.

— Co się tutaj właściwie dzieje?

— Analizujemy szczegóły i sprawdzamy wszystkie tropy. To się dzieje. Urabiamy sobie ręce po łokcie. Wszystko po kolei. Następny krok to wizyta w miejscu zamieszkania Taylora.



- Teraz?
- Równie dobrze możemy to zrobić teraz.
- Czy wejdziemy do środka?
- Czy słońce świeci w dzień, a księżyc w nocy?

Pauling wzięła kartkę i zapisała na niej „G. Taylor” oraz adres z książki telefonicznej.

- Ciekawe, co oznacza „G” — mruknęła.
- Nie zapominaj, że to Brytyjczyk — powiedział Reacher. — Może mieć na imię Geoffrey. Albo Gerald. Albo Gareth lub Glynn. Albo Gervaise, albo Godfrey, albo Galahad.

. . .

Wybrali się tam na piechotę. Stojące w zenicie słońce wydobywało kwaśne zapachy z ciśniętych do śmietników i rynsztoków tekturowych kubków z latte. Furgonetki i taksówki korkowały ulice. Kierowcy wciskali klaksony, przewidując nieznaczne opóźnienia. Z klimatyzatorów na pierwszych piętrach kapąły wielkie krople wody. Sprzedawcy wciskali przechodniom fałszywe zegarki, parasole i akcesoria do komórek. Miasto w pełnej krasie. Reacher lubił Nowy Jork bardziej niż inne miejsca. Lubił jego niedbałą obojętność, gorączkową wrzawę i kompletną anonimowość.

Hudson Street między Clarkson i Leroy jest po zachodniej stronie zabudowana, a po wschodniej graniczy z parkiem Jamesa J. Walkera. Taylor mieszkał w ceglany piętnastopiętrowym klocku. Wejście było skromne, ale hol całkiem przyzwoity. Reacher zobaczył w środku samotnego faceta za długim biurkiem. Na chodniku nie stał odźwierny. To ułatwiało sprawę. Jeden facet jest zawsze lepszy od dwóch. Nie ma świadków.

- Jakie podejście? — zapytała Pauling.
- Proste — odparł Reacher. — Bezpośrednie.

Pchnęli drzwi od ulicy i weszli do środka. Wnętrze utrzymane było w ciemnych kolorach z akcentami ze szczerowanego metalu. Granitowa podłoga. Wystrój zgodny z najświeższymi trendami sprzed kilkunastu lat. Reacher poszedł prosto do biurka. Siedzący za nim facet spojrzał na niego. Reacher wskazał Pauling.

— Mamy dla pana propozycję — powiedział. — Ta pani da panu czterysta dolarów, jeżeli wpuści nas pan do mieszkania pana G. Taylora.

Proste podejście. Bezpośrednie. Portierzy są tylko ludźmi. A liczba była dobrze wybrana. Czterysta to trochę niezwykła kwota. Nie jest typowa ani banalna. Nie wpada jednym uchem i nie wypada drugim. Wymaga uwagi. Jest wystarczająco duża, by sprawiać wrażenie sporej gotówki. Z doświadczenia Reachera wynikało również, że rodzi nieodpartą pokusę podbicia stawki do pięciuset. I kiedy ta pokusa opanowywała delikwenta, bitwa była wygrana. To tak jak z prostytutką. Kiedy ustalimy zasady, pozostaje do ustalenia wyłącznie cena.

Facet za biurkiem zerknął w lewo, następnie w prawo. Nie zobaczył nikogo.

Bez świadków. Łatwiej.

— Chcecie tam wejść sami? — zapytał.

— Bez różnicy — mruknął Reacher. — Może pan wejść z nami. Może pan kogoś posłać.

— Dobrze, posłę majstra — odparł po chwili facet.

Ale forsę zatrzymasz dla siebie, pomyślał Reacher.

— Pięćset dolarów — dodał facet.

— Umowa stoi — powiedział Reacher.

Pauling otworzyła torebkę i portfel, polizała kciuk i odliczyła pięć studolarowych banknotów. Złożyła je na palcu wskazującym i przesunęła po biurku.

— Jedenaste piętro — powiedział portier. — Skręćcie w lewo i idźcie do ostatnich drzwi po prawej stronie. Majster zaraz tam będzie.

Wskazał ręką windę i sięgnął po krótkofalówkę, żeby wezwać faceta. Reacher i Pauling wcisnęły strzałkę skierowaną w górę. Drzwi windy się otworzyły, jakby na nich czekała.

— Jesteś mi winien sporo pieniędzy — stwierdziła Pauling.

— Zwrócę ci — odparł. — Dziś wieczorem stanę się bogaty.

— Mam nadzieję, że personel w moim budynku jest uczciwszy.

— Nie rób sobie złudzeń. W swoim czasie odwiedziłem w ten sposób mnóstwo mieszkań.

— Mieliście fundusz łąpówkowy?

— Olbrzymi. Przed dywidendą pokojową. To pograżyło wiele funduszy.

Winda stanęła na jedenastym piętrze i rozsunęły się drzwi. Ściany korytarza były częściowo ceglane, częściowo pomalowane na biało. Jedyne oświetlenie zapewniały ustawione za szybą na wysokości pasa ekrany telewizorów. Od wszystkich biła przyćmiona fioletowa poświata.

— Ładnie — mruknęła Pauling.

— U ciebie bardziej mi się podobało — stwierdził Reacher.

Skręcili w lewo i podeszli do ostatnich drzwi po prawej stronie. Na wysokości oczu zamontowany był w nich zintegrowany panel z wizjerem, numerem mieszkania oraz ramką, w której znajdowała się czarna taśma z wydrukowanym nazwiskiem „Taylor”. Północno-wschodni róg budynku. Na korytarzu było cicho i spokojnie. W powietrzu unosił się słaby zapach odświeżacza powietrza albo środka do czyszczenia dywanów.

— Ile może płacić za taki lokal? — zapytał Reacher.

— Pytasz o czynsz? — Pauling sprawdziła, jak daleko są następne drzwi, żeby ocenić wielkość mieszkania. — Salon i dwie sypialnie. Cztery kawałki miesięcznie. W takim jak ten budynku może trochę więcej.

— To mnóstwo forsy.

— Nie, kiedy zarabiasz dwadzieścia pięć.

Po ich prawej stronie zadźwięczał dzwonek windy i wysiadł z niej mężczyzna w zielonym kombinezonie, z brązowym Paskiem na narzędzia. Majster. Podeszedł do nich i wyciągnął z kieszeni kółko z kluczami. O nic nie zapytał. Po prostu Przekręcił klucz w zamku, otworzył mieszkanie Taylora i dał  
,- krok do tyłu.

Reacher wszedł pierwszy. Mieszkanie sprawiało wrażenie pustego. W środku było gorąco i duszno. Znajdował się tam Przedpokój wielkości budki telefonicznej, lśniąca nierdzewną stałą kuchnia po lewej stronie i szafa na płaszcze po prawej. Na wprost salon, po lewej dwie sypialnie, jedna większa od drugiej. Kuchnia i salon były nieskazitelnie czyste i schludne.

Wystrój nowoczesny, z połowy stulecia, powściągliwy, gęstotny i męski. Ciemne podłogi, jasne ściany, grube wełniane dywany. Biurko z klonowego drewna. Fotel Eamesa i stojąca naprzeciwko otomany sofa Florence Knoll. Szezlong Le Corbusiera i stolik do kawy Noguchi. Stylowe. Bynajmniej nie tanie. Klasyczne meble. Reacher rozpoznawał je z czasopism, które kiedyś czytał. Na ścianie wisiał obraz. Miejska scena, ruchliwa, jasna, tętniąca życiem, akryl na płótnie. Dużo książek poukładanych na półkach w porządku alfabetycznym. Mały telewizor. Dużo płyt i wysokiej klasy sprzęt odtwarzający przystosowany wyłącznie do słuchawek. Bez głośników. Takotny facet. Dobry sąsiad.

— Bardzo elegancko — oceniła Pauling.

— Anglik w Nowym Jorku — powiedział Reacher. — Na pewno pił herbatę.

Większa sypialnia była skąpo, niemal ascetycznie umeblowana. Białe ściany, podwójne łóżko, szara pościel, włoska biurkowa lampa na nocnej szafce, kolejne książki, kolejny obraz tego samego malarza. W garderobie drążek i otwarte półki. Na drążku garnitury, marynarki, koszule i spodnie, pogrupowane precyzyjnie ze względu na kolor i porę roku. Każda sztuka garderoby czysta i wyprasowana. Każdy wieszak dokładnie cal od sąsiedniego. Na półkach stopy podkoszulków, bielizny i skarpetek. Każdy stos tej samej wysokości co inne. Na najniższej półce buty. Czarne i brązowe, lśniące niczym lustra, wszystkie solidnie uszyte i angielskie jak te, które miał na nogach Reacher. W ich środku tkwiły cedrowe prawidła.

— Zdumiewające — mruknęła Pauling. — Chcę wyjść za tego faceta.

Reacher nie odezwał się i przeszedł do drugiej sypialni. Tam chyba skończyły się pieniądze, zapał lub pomysły. Małe, proste i pozbawione ozdób pomieszczenie sprawiało wrażenie nieużywanego. Było ciemne, duszne i wilgotne. W lampie pod sufitem brakowało żarówki. Jedyne meblami były dwa przysunięte do siebie wąskie, żelazne łóżka. Leżała na nich używana pościel. Powgniatane poduszki. Okno zakryte czarną tkaniną,

którą przylepiono taśmą do ścian, na górze, na dole i po obu bokach. Ale w jednym miejscu taśmę odklejono i odwinęto wąski prostokąt tkaniny, żeby zapewnić trochę widoku albo powietrza.

— To tu — powiedział Reacher. — Tu ukryto Kate i Jade.

.— Kto to zrobił? Człowiek, który nie mówi?

— Tak — odparł Reacher. — Ukrył je człowiek, który nie mówi.

## 52

Pauling podeszła do żelaznych łóżek i przyjrzała się poduszkom.

— Długie ciemne włosy—powiedziała. — Kobiety i dziewczynki. Przewracały się z boku na bok przez całą noc.

— Nie dziwię się — odparł Reacher.

— Może przez dwie noce.

Reacher wrócił do salonu i przejrzał zawartość biurka. Majster obserwował go od progu. W biurku panował podobny porządek jak w garderobie, ale rzeczy nie było zbyt wiele. Trochę papierów osobistych, trochę finansowych, umowy na wynajem mieszkania. Taylor miał na imię Graham. Był obywatelem brytyjskim z prawem stałego pobytu, numerem ubezpieczenia społecznego, polisą na życie oraz planem emerytalnym. Na biurku stał telefon, stylowy aparat marki Siemens. Wyglądał na fabrycznie nowy i niedawno zainstalowany. Miał dziesięć przycisków szybkiego wybierania z przylegającymi do nich papierowymi paskami pod plastikową osłonką. Na paskach widniały wyłącznie inicjały. Na samej górze było L. L jak Lane, domyślił się Reacher. Wcisnął przycisk i na szarym ciekłokrystalicznym wyświetlaczu ukazał się numer z prefiksem 212. Manhattan. Najprawdopodobniej Dakota Building. Wcisnął kolejne przyciski. Na wyświetlaczu ukazały się trzy numery na 212, trzy na 917, dwa na 718 i jeden długi, z cyframi 01144 na początku. Od cyfr 212 zaczynały się numery na Manhattanie.

prawdopodobnie do kumpli, wśród których był Gregory, ponieważ na jednym z pasków widniał inicjał G. Na 917 zaczynały się numery komórek. Należały pewnie do tych samych kumpli względnie do osób, które nie miały stacjonarnych telefonów. 718 to był Brooklyn. Kumple, których nie było stać na manhattańskie czynsze. Długi numer 01144 łączył z Wielką Brytanią. Być może ktoś z rodziny. Na pasku widniał inicjał S. Najprawdopodobniej mama albo tata.

Reacher przyciskał jeszcze przez chwilę klawisze telefonu, a potem wrócił do drugiej sypialni. Pauling stała przy oknie, wyglądając przez wąski otwór.

— To dziwne — mruknęła. — Nie sądzisz? Zamknięto je właśnie tutaj, w tym pokoju. Zapewne ten widok był ostatnią rzeczą, którą oglądały.

— Nie zabito ich tutaj. Pozbycie się zwłok sprawiłoby za wiele kłopotu.

— Nie miałam na myśli dosłownie ostatniego widoku. Chodziło mi o ostatnią normalną rzecz z ich dawnego świata.

Reacher nie odezwał się.

— Wyczuwasz ich obecność? — zapytała.

— Nie — odparł.

Popukał w ścianę kłykciami, a potem uklęknął i postukał w podłogę. Ściany sprawiały wrażenie grubych i solidnych, podłoga była prawdopodobnie z betonu, na który położono parkiet. Mieszkanie w bloku było dość dziwnym miejscem do przetrzymywania więźniów, ale to wydawało się w miarę bezpieczne. Jeżeli porywaczowi udało się sterroryzować więźniów i zmusić ich do milczenia, mieszkający obok lokatorzy mogli się niczego nie domyślić. „To miasto jest niesamowicie anonimowe — powiedziała Patti Joseph. — Można przeżyć całe lata, nie spotykając sąsiada”.

Albo jego gości, pomyślał Reacher.

— Sądzisz, że portier dyżuruje tutaj przez dwadzieścia cztery godziny? — zapytał.

— Wątpię — odparła Pauling. — Nie w tej części miasta, U mnie nie dyżuruje przez cały czas. Pewnie jest tylko do określonej godziny. Na przykład do ósmej.

— To mogłoby tłumaczyć opóźnienia. Nie zaciągnąły ich tutaj, wierzgających i wyrrywających się, kiedy na dole siedział portier. Pierwszego dnia musiał zaczekać wiele godzin. A potem konsekwentnie czekał tyle samo.

— Żeby stworzyć wrażenie, że trzyma je gdzieś daleko.

— Tak uważał Gregory. On miał rację, ja się myliłem. Powiedziałem, że trzyma je gdzieś w Catskills.

— To całkiem uzasadnione przypuszczenie.

Reacher nie odezwał się.

— Co teraz? — zapytała Pauling.

— Chciałbym spotkać się ponownie z twoim kumplem z Pentagonu.

— Nie wiem, czy się na to zgodzi. Chyba cię nie polubił.

— Ja też za nim nie przepadam. Ale to są sprawy zawodowe. Złóż mu propozycję.

— Co możemy mu zaoferować?

— Powiedz mu, że jeżeli dostarczy nam pewną informację, wyeliminujemy ekipę Lane'a z gry. Zgodzi się na taki układ. Dziesięć minut spędzonych z nami w kawiarni da mu więcej niż dziesięć lat gadania w Organizacji Narodów Zjednoczonych. Cała banda prawdziwych najemników już nigdy nie wyruszy do akcji.

— Potrafimy to zrobić?

— Będziemy musieli. Wcześniej czy później dojdzie między nami do starcia.

Wrócili do biura Pauling tą samą trasą, którą pokonali wcześniej, idąc w przeciwną stronę. Przez Saint Luke's Place, a potem Siódmą Aleją, Cornelia Street i Zachodnią Czwartą. Reacher rozsiadł się w jednym z foteli dla gości, a Pauling zaczęła obdzwaniać różne numery w budynku ONZ, szukając swojego znajomego. Złapała go mniej więcej po godzinie. Nie był zachwycony, ale zgodził się spotkać w tej samej kawiarni co poprzednio, o trzeciej po południu.

— Czas ucieka — powiedziała Pauling.

— Jak zawsze. Spróbuj znowu skontaktować się z Brewem. Potrzebne nam są jego informacje.



Ale Brewera nie było w komisariacie, a jego komórka była wyłączona. Reacher odchylił się do tyłu i zamknął oczy. Nie można wściekać się na coś, na co nie ma się wpływu.

• • •

O drugiej wyszli, żeby złapać taksówkę, na wszelki wypadek dużo wcześniej niż trzeba. Złapali ją jednak natychmiast i zjawili się w kawiarni przy Drugiej Alei czterdzieści minut przed czasem. Pauling znowu zadzwoniła do Brewera. Nadal bez skutku. Zamknęła kłapkę komórki, położyła ją na stoliku i zakręciła niczym bakiem. Telefon zatrzymał się z antenką wycelowaną prosto w pierś Reachera.

— Masz jakąś teorię — powiedziała. — Prawda? Jak w fizyce. Ogólną teorię wszystkiego.

— Nie — zaprzeczył Reacher. — Moja teoria nie obejmuje wszystkiego. Nawet w przybliżeniu. Jest częściowa. Brakuje w niej dużego elementu. Ale mam nazwisko dla Lane'a.

— Co to za nazwisko?

— Zaczekajmy na Brewera — odparł Reacher, po czym dał znak kelnerce. Tej samej co poprzednio. Zamówił kawę. W tych samych brązowych kubkach, z tego samego termosu. Taką samą gorącą, mocną i nieokreślonego gatunku.

• • •

Telefon Pauling zabrzączał na pół godziny przed spodziewanym pojawieniem się faceta z Pentagonu. Przedstawiła się, przez chwilę słuchała, a potem powiedziała, gdzie się w tej chwili znajdują. W kawiarni, po wschodniej stronie Drugiej Alei, między Czterdziestą Czwartą i Czterdziestą Piątą, w boksie w głębi. Potem się rozłączyła.

— Brewer — oznajmiła. — W końcu. Przyjdzie tutaj. Chce się spotkać osobiście.

— Dlaczego?

— Nie powiedział.

— Gdzie teraz jest?

Wychodzi z kostnicy.

— Zrobi się tutaj prawdziwy ścisk. Brewer zjawi się w tym samym czasie co nasz facet.

— Mojemu facetowi wcale się to nie spodoba. Nie wydaje mi się, żeby lubił tłum.

— Jeśli zobaczę, że się waha, pogadam z nim na zewnątrz.

Ale znajomy Pauling z Pentagonu pojawił się trochę wcześniej. Prawdopodobnie, żeby przeprowadzić rekonesans przed spotkaniem. Reacher zobaczył, jak staje na chodniku, zagląda do środka i sprawdza twarze klientów. Był w tym bardzo cierpliwy. Staranny. W końcu jednak zaspokoił swoją ciekawość i otworzył drzwi. Przemknął przez salę i wślizgnął się do boks. Miał na sobie ten sam błękitny garnitur. Ten sam krawat. Chyba świeżą koszulę, chociaż naprawdę trudno było powiedzieć. Jedna biała koszula z przypinanym kołnierzykiem wygląda dokładnie tak samo jak druga.

— Niepokoi mnie pańska oferta — oznajmił. — Nie mogę zaakceptować żadnych nielegalnych działań.

Wymij ten pogrzebacz z tyłka, pomyślał Reacher. Choć raz bądź za coś wdzięczny w tym swoim parszywym życiu. Możesz sobie być generałem, ale chyba wiesz, co jest grane.

— Rozumiem pański niepokój — powiedział jednak. — Absolutnie. I ma pan moje słowo, że żaden gliniarz ani prokurator gdziekolwiek w Ameryce nie poświęci chwili uwagi temu, co mam zamiar zrobić.

— Mam pańskie słowo?

— Słowo oficera.

Facet uśmiechnął się.

— I dżentelmena?

Reacher nie uśmiechnął się w odpowiedzi.

— Nie rozróżniam tych dwóch pojęć — oznajmił.

— Żaden gliniarz ani prokurator w całej Ameryce?

— Gwarantuję.

— Może pan tego naprawdę dokonać?

— Jak najbardziej.

Facet przez chwilę milczał.

— Co pan chce, żebym zrobił?

— Chciałbym, aby pan coś sprawdził, żebyśmy nie musieli marnować czasu ani pieniędzy.

— Co takiego?

— Chodzi o pewne nazwisko na listach pasażerów, którzy wylecieli stąd w ciągu ostatnich czterdziestu ośmiu godzin.

— Na pokładzie wojskowych samolotów?

— Nie, cywilnych.

— Te sprawy reguluje ustawa o bezpieczeństwie narodowym.

Reacher pokiwał głową.

— Dlatego właśnie musi pan to dla mnie zrobić. Nie wiem, do kogo dzwonić. Już nie. Ale domyślam się, że pan wie.

— Z jakiego lotniska? Jakim lotem?

— Dokładnie nie wiem. Będzie pan musiał powęszyć. Zaczęłbym od lotniska Kennedy'ego. Limami British Airways, United albo American do Londynu. Zaczęłbym od późnego wieczoru przedwczoraj. Jeśli go pan tam nie znajdzie, proszę sprawdzić loty z Newark. Jeśli i tam go nie będzie, niech pan sprawdzi lotnisko Kennedy'ego wczoraj rano.

— Na pewno przez Atlantyki?

— Taką mam teraz hipotezę.

— Dobrze — powiedział powoli facet, jakby zapisywał sobie wszystko w pamięci. — Kogo mam szukać? — zapytał po chwili. — Jednego z członków ekipy Edwarda Lane'a?

Reacher pokiwał głową.

— Od niedawna byłego członka.

— Nazwisko?

— Taylor — odparł Reacher. — Graham Taylor. Obywatel Wielkiej Brytanii.

# 53

Facet z Pentagonu wyszedł, obiecując w stosownym czasie zadzwonić na komórkę Lauren Pauling. Kelnerka dołała Reacherowi kawy.

— Nie znalazłeś paszportu Taylora w jego mieszkaniu — powiedziała Pauling.

— Nie znalazłem.

— Więc albo facet żyje, albo sądzisz, że ktoś się pod niego podszył.

Reacher nie odezwał się.

— Załóżmy, że Taylor współpracował z facetem, który nie ma języka — kontynuowała Pauling. — Załóżmy, że poróżnili się o coś, na przykład, co zrobią na samym końcu z Kate i Jade, o pieniądze albo o jedno i drugie. I załóżmy, że jeden z nich zabił drugiego i uciekł z paszportem Taylora i całą forszą.

— Jeżeli to facet bez języka, po co miałyby posługiwać się paszportem Taylora?

— Może nie ma własnego. Dużo Amerykanów nie ma paszportu. A może jest na czarnej liście. Może nie mógłby nigdzie odlecieć pod własnym nazwiskiem.

— W paszportach są fotografie.

— Często stare i niewyraźne. Czy jesteś podobny do swojej fotografii w paszporcie?

— Trochę.

— Czasami wystarcza niewielkie podobieństwo — stwier-

dziła. — Przy wyjeździe nie przyglądają się zdjęciu tak uważnie jak przy powrocie.

Reacher pokiwał głową, podniósł wzrok i zobaczył wchodzącego przez drzwi Brewera. Dużego, szybkiego, energicznego. Coś malowało się na jego twarzy — frustracja, a może niepokój. Reacher nie potrafił zgadnąć. A może facet był po prostu zmęczony. Obudzono go wczesnym rankiem. Przeszedł szybko przez salę, wsunął się do boksu i usiadł w tym samym miejscu, które przed chwilą zwołał facet z Pentagonu.

— Trup znaleziony w rzece to nie jest facet ze zdjęcia Patti — powiedział.

— Jest pan tego pewien? — zapytał Reacher.

— Jeżeli w ogóle można być w życiu czegośkolwiek pewnym. Facet Patti ma mniej więcej pięć stóp dziewięć cali wzrostu i jest atletycznie zbudowany, a topielec ma sześć stóp trzy cale i jest wycieńczony. Chyba pan się zgodzi, że to dość elementarne różnice?

Reacher pokiwał głową.

— Dość elementarne.

— Czy ma język? — zapytała Pauling.

— Co takiego? — odparł Brewer.

— Język. Czy topielec ma język?

— Czy nie mają go wszyscy? Co to za pytanie?

— Szukamy faceta, który ma obcięty język.

Brewer spojrzał jej prosto w oczy.

— W takim razie topielec to nie wasz człowiek. Przychodzę prosto z kostnicy. Miał wszystko oprócz bijącego serca.

— Na pewno?

— Lekarze sądowi zauważają na ogół takie rzeczy.

— Dobra — mruknął Reacher. — Dziękujemy za pomoc.

— Nie tak szybko — odparł Brewer. — Pogadajcie ze mną.

— O czym

O tym, dlaczego interesuje was ten facet.

Coś na jego twarzy...

Zidentyfikowaliście topielca? — zapytał Reacher.

Brewer pokiwał głową.

- Po odciskach palców. Były gąbczaste, ale kazaliśmy

technikom przyłożyć się do roboty. To był policyjny kapuś. Stosunkowo wartościowy. Kilku moich kumpli porządnie się wkurzyło.

— Jaki kapuś?

— Chodzi o przemyt metamfetaminy z Long Island. Miał zeznawać.

— Gdzie był?

— Właśnie wyszedł z mamra. Zwinęli go razem z innymi, żeby nikt się nie zorientował, że to nasz człowiek. Przytrzymali go kilka dni, a potem zwolnili.

— Kiedy?

— Dopiero co wyszedł. Lekarz sądowy uważa, że był martwy już trzy godziny po wyjściu za bramę.

— W takim razie nic o nim nie wiemy — powiedział Reacher. — Jest kompletnie niepowiązany ze sprawą.

— Jest pan tego pewien? — zapytał tym razem Brewer.

Reacher pokiwał głową.

— Słowo daję.

Brewer zmierzył go długim twardym spojrzeniem jak gliniarz gliniarza. A potem wzruszył po prostu ramionami.

— W porządku — mruknął.

— Przykro mi, że nie mogliśmy pomóc — powiedział Reacher.

— Zdarza się.

— Nadal ma pan zdjęcie zrobione przez Patti?

— Zdjęcia — poprawił go Brewer. — Dała mi dwa. Nie mogła się zdecydować, które lepsze.

— Nadal je pan ma?

— W kieszeni.

— Może mi pan je zostawić?

Brewer uśmiechnął się jak facet do faceta.

— Ma pan zamiar zwrócić je Patti osobiście?

— Mogę to zrobić — odparł Reacher. — Ale najpierw chcę je obejrzeć.

Zdjęcia były w zwykłej białej kopercie. Brewer wyjął ją z wewnętrznej kieszeni i położył na stoliku. Reacher zobaczył zapisane z przodu niebieskim atramentem i miłym charakterem

pisrma nazwisko „Taylor” i słowa „dla Brewera”. A potem Brewer ich zostawił. Po prostu wstał i wyszedł na ulicę tym samym szybkim energicznym krokiem, jakim wszedł. Reacher patrzył, jak odchodzi, i położył kopertę przed sobą. Przyjrzał jej się uważnie, ale nie otworzył.

— Co mamy? — zapytał.

— To samo co zawsze — powiedziała Pauling. — Mamy Taylora i faceta, który nie mówi.

Reacher potrząsnął głową.

— To Taylor jest facetem, który nie mówi — oświadczył.

# 54

— To nonsens — zachnęła się Pauling. — Lane nie zatrudniłby kogoś, kto nie może mówić. Dlaczego miałby to robić? I nikt o tym nie wspomniał. Pytałeś o Taylora kilka razy. Powiedzieli, że był dobrym żołnierzem. Nie mówili, że był dobrym żołnierzem i niemową. Nie sądzisz, że wspomnieliby o tym drobnym szczególe?

— Trzy słowa — powiedział Reacher. — Musimy tylko dodać trzy słowa i cała rzecz nabierze sensu.

— Jakie trzy słowa?

— Powtarzamy przez cały czas, że facet nie mógł mówić. Prawda jest taka, że facet nie mógł sobie pozwolić, żeby mówić.

Pauling przez dłuższy czas się nie odzywała.

— Z powodu swojego akcentu — powiedziała w końcu.

Reacher pokiwał głową.

— Właśnie. Przez cały czas powtarzaliśmy, że nikogo nie brakuje, ale od samego początku brakowało Taylora. Bo to Taylor stoi za całą tą cholerną historią. On ją zaplanował, zorganizował i wykonał. On wynajął mieszkanie i kupił krzesło. A także zrobił prawdopodobnie inne rzeczy, o których jeszcze nie wiemy. I nigdzie, gdzie się zjawił, nie zaryzykował i nie otworzył ust. Ani razu. Ponieważ jest Anglikiem. Z powodu swojego akcentu. Był realistą. Wiedział, że zostawiłby wyraźny trop. Gdyby ktokolwiek szedł jego śladem i usłyszał o przeciętnie wyglądającym czterdziestolatku z angielskim akcentem,



natychmiast zorientowałyby się, z kim ma do czynienia. To jasne jak słońce. O kim innym można by pomyśleć? W końcu to on ostatni widział Kate i Jade żywe.

— Zrobił to samo co Knight pięć lat wcześniej. Mówię o samym uprowadzeniu.

— Właśnie. Tylko tak to można wyjaśnić. Najprawdopodobniej odwiózł je do Bloomingdale'a, ale wcale się tam nie zatrzymał. Wyciągnął po prostu pistolet i pojechał dalej. Może zagroził, że zastrzeli Kate na oczach małej. To zmusiło ją do zachowania milczenia. A potem zniknął z pola widzenia i ukrył się za podwójną gardą, którą sam sobie stworzył. Po pierwsze, był uważany za martwego. Po drugie, wszyscy zapamiętali na jego temat tylko to, że nie może mówić. Facet bez języka. To była idealna zmyłka. Dziwaczna, egzotyczna, gwarantująca, że poszukiwania pójdą w złym kierunku.

Pauling pokiwała głową.

— Na swój sposób genialna — mruknęła.

— Nikt nie zapamiętał nic więcej — rzekł Reacher. — Przypomnij sobie tego starego Chińczyka. Pamiętał tylko, że facet łąpał powietrze jak ryba. A dozorca z Szóstej Alei? Poprosiliśmy, żeby opisał nam swojego lokatora, a on odparł, że facet zaciskał przez cały czas usta, bo krępowało go to, że nie może mówić. Na tym zaczynał się i kończył opis. Oczywiście i jedyna rzecz. Cała reszta była w porównaniu z nią trywialna.

— Otwórz kopertę — powiedziała Pauling. — Sprawdź to.

Reacher otworzył skrzydełko koperty, wysunął z niej wierzchem do dołu dwie fotografie i klepnął górną niczym modląc się o szczęśliwą kartę szulera.

I obrócił ją.

Zdjęcie przedstawiało faceta, którego widział już dwa razy wcześniej.

To nie ulegało kwestii.

Taylor.

Biały, lekko opalony, smukły, o wyrazistych rysach twarzy, gładko ogolony, z zaciśniętą szczęką, bez uśmiechu, około czterdziestki. Niebieskie džinsy, niebieska koszula, niebieska basebalówka, białe tenisówki. Cała garderoba znoszona i wy-

godna. Zdjęcie było zrobione bardzo niedawno. Patti Joseph musiała je pstryknąć, kiedy wychodził z Dakota Building któregoś letniego ranka. Taylor przystanął na chodniku i podniósł wzrok, jakby chciał sprawdzić, jaka jest pogoda. Robiąc to, spojrział prosto w teleobiektyw nikonu Patti.

— Nie ma co do tego wątpliwości — powiedział Reacher. — To facet, którego widziałem, jak wsiada do mercedesa i do jaguara.

Obrócił drugie zdjęcie. Przedstawiało Taylora w większym zbliżeniu. Właściwie w maksymalnym i dlatego nie było tak wyraźne. Aparat musiał zadrzeć Patti w rękę. Ostrość nie była idealna. Ale fotografia była do przyjęcia. To samo miejsce, ten sam kąt, inny dzień. Ten sam facet. Jednak tym razem miał otwarte usta. Ściągnął wargi. Nie uśmiechał się. Może po prostu skrzywił się, znalazłszy się w ostrym blasku słońca po wyjściu z mrocznego holu. Miał okropne zęby. Kilku mu brakowało. Pozostałe były nierówne i poszczerbione.

— Tu go mamy — mruknął Reacher. — Jest kolejny powód. Nic dziwnego, że wszyscy powtarzali, że zaciskał przez cały czas usta. Nie jest głupi. Ukrywał nie jedną, ale dwie rzeczy, które mogły naprowadzić na jego ślad. Swój angielski akcent i angielską opiekę stomatologiczną. Wszystko stałoby się jasne jak słońce, gdyby ktoś z ekipy Lane'a usłyszał o Angolu z fatalnym użębieniem. Równie dobrze mógłby nosić na szyi identyfikator z nazwiskiem.

— Gdzie jest teraz? W Anglii?

— Tak mi się wydaje. Poleciał do domu, tam gdzie czuje się bezpieczny.

— Z pieniędzmi?

— Nadał je na bagaż. Trzy torby.

— Udałoby mu się je przemyścić? Mimo prześwietlania bagażu?

— Dlaczego nie? Pewien ekspert udzielił mi kiedyś lekcji na temat papierowych pieniędzy. Tak się składa, że działo się to dokładnie tutaj, w Nowym Jorku, na Uniwersytecie Columbia. Papier używany do wyrobu pieniędzy nie jest typowy. Składa się w większości z włókien lnu i bawełny. Więcej ma wspólnego

z bluzką na twoich plecach niż z gazetą. Myślę, że prześwietlony przypominałby ubranie.

Pauling przysunęła do siebie fotografie i ułożyła je tuż obok siebie. Przyjrzała się jednej, potem drugiej. Reacher czuł, że szuka w umyśle jakiegoś wyjaśnienia. Próbuje to wszystko zanalizować.

— Jest opalony po pobycie w Hamptons — powiedziała. — Był tam przez całe lato z rodziną. A potem obawiał się, że ktoś może sprawdzić jego mieszkanie z ulicy. Dlatego wykreślił żarówkę w gościnnym pokoju i zakrył okno. Gdyby ktoś tam popatrzył, mieszkanie miało sprawiać wrażenie pustego.

— O wszystko zadbał.

— I był zupełnie pozbawiony sentymentów. Zostawił takie wspaniałe mieszkanie.

— Może sobie teraz wynajmować dziesięć apartamentów.

— Na pewno.

— Szkoda — mruknął Reacher. — Kiedy sądziłem, że nie żyje, wydawał mi się sympatyczny. Wszyscy dobrze o nim mówili.

— Kto dobrze o nim mówił? Nie przyjąłabym rekomendacji od tych ludzi.

— Chyba masz rację. Ale na ogół lubię Angoli. Gregory wydaje się w porządku.

— Jest prawdopodobnie tak samo zły jak reszta — rzekła Pauling, po czym złożyła zdjęcia i oddała mu. — No cóż, masz teraz nazwisko dla Lane'a — dodała.

Reacher milczał.

— Ogólna teoria wszystkiego — powiedziała. — Jak w fizyce. Nie rozumiem, dlaczego twierdzisz, że jest częściowa. To wszystko jest dziełem Taylora.

— Nie wszystko — odparł Reacher. — Taylor nie telefonował do Lane'a. W sprawie okupu telefonował jakiś Amerykanin.

## 55

— Taylor miał wspólnika — powiedział Reacher. — To oczywiste. Musiał go mieć, także z powodu akcentu. Z początku myślałem, że to ten topielec. Wydawało mi się, że mogli się potem poprzytykać, tak jak wspomniałaś. Albo że Taylora opanovała chciwość i chciał zagarnąć cały okup dla siebie. Ale to odpada. Facet w rzece to zwyczajny nowojorski trup. Zupełnie niezwiązany z naszą sprawą. W interesującym nas czasie siedział za kratkami. Więc nadal nie wiem, kto telefonował. Dlatego teoria jest tylko częściowa.

— Lane będzie chciał wiedzieć, kim jest wspólnik. Nie zadowolony się połową bochenka.

— Żebyś wiedziała, że się nie zadowoli.

— Nie zapłaci ci.

— Zapłaci częściowo. Resztę dostaniemy później. Kiedy powiemy mu, kim był wspólnik.

— Jak to odkryjemy?

— Jedyne pewny sposób, to odnaleźć Taylora i go zapytać.

— Zapytać go?

— Zmusić go, żeby nam powiedział.

— W Anglii?

— Jeżeli twój kumpel z Pentagonu powie, że tam właśnie polecał. Może chyba dowiedzieć się, kto siedział koło niego w samolocie. Jest niewielka szansa, że poleciełi razem.

— Bardzo niewielka.

\_\_\_Owszem. Ale warto zapytać.

Pauling spędziła zatem kolejne dziesięć minut, usiłując zlokalizować swojego znajomego w budynku ONZ. W końcu dała za wygraną i zostawiła wiadomość głosową, prosząc go, żeby sprawdził, czy Taylor miał jakiegoś towarzysza podróży.

— I co teraz? — zapytała.

— Zaczekaj, aż facet do ciebie oddzwoni — odparł Reacher. — Następnie zarezerwuj dla nas samochód na lotnisko i bilety do Londynu, jeżeli okaże się, że tam właśnie poleciał Taylor, co jest bardzo prawdopodobne. Na dzisiejszy nocny lot. Założę się, że Lane poprosi mnie, żebym tam poleciał. Będzie chciał, żebym przygotował grunt. A potem wyruszy na łowy z całą ekipą. A my zajmiemy się nimi tam, w Anglii.

Pauling podniosła wzrok.

— Dlatego obiecałeś, że żaden gliniarz ani prokurator w Ameryce nie poświęci im chwili uwagi.

Reacher pokiwał głową.

— Ale ich odpowiednicy w Anglii będą porządnie wkurzeni. To więcej niż pewne.

• • •

Reacher włożył fotografie od Patti Joseph do koperty i wsunął ją do kieszeni koszuli. Pocałował Pauling i ruszył do metra. Tuż przed piątą był przy Dakota Building.

*Nazwisko. Jutro.*

*Misja wykonana.*

Ale nie wszedł do środka. Zamiast tego ruszył prosto przed siebie, przeciął Central Park West i wszedł przez bramę parku na Strawberry Field. Miejsce upamiętniające Johna Lennona, niedaleko domu, gdzie został zamordowany. Podobnie jak większość facetów w jego wieku Reacher czuł, że Beatlesi stanowią część jego życia. Byli jego ścieżką dźwiękową, jego tłem. Może dlatego lubił Anglików.

Może dlatego nie bardzo miał ochotę zrobić to, co zamierzał zrobić.

Poklepał kieszeń koszuli, w której były fotografie, i jeszcze przeanalizował wszystkie fakty, podobnie jak to zrobiła

wcześniej Pauling. Ale nie mogło być żadnych wątpliwości. To Taylor był sprawcą. Widział go na własne oczy. Najpierw przy mercedesie, potem przy jaguarze.

Nie mogło być żadnych wątpliwości.

Może chodziło po prostu o opory, jakie miał przed wydaniem jednego drania drugiemu draniowi.

Ale robił to dla Kate. Dla Jade. Żeby mieć pieniądze dla Hobarta.

Nie dla Lane'a.

Wziął głęboki oddech i stał przez chwilę z zadartą głową, żeby złapać ostatnie promienie słońca, zanim zniknie za budynkami na zachodzie. A potem odwrócił się i wyszedł z parku.



Edward Lane wziął dwie fotografie Taylora między kciuk a palec wskazujący, rozłożył je dość delikatnie w wachlarz i zadał jedno proste pytanie:

— Dlaczego?

— Z chciwości — odparł Reacher. — A może ze złości lub zazdrości. Niewykluczone, że ze wszystkich wymienionych wyżej powodów.

— Gdzie jest teraz?

— Moim zdaniem w Anglii. Wkrótce będę wiedział na pewno.

— Skąd?

— Mam swoje źródła.

— Jesteś dobry.

— Najlepszy, jakiego kiedykolwiek widziałeś.

*Albo przyskrzyniliby cię już wcześniej w wojsku.*

Lane oddał mu fotografie.

— Musiał mieć jakiegoś wspólnika.

— Oczywiście.

— Żeby telefonować. Kogoś z amerykańskim akcentem.

Kto to był?

— Musi pan o to zapytać Taylora.

— W Anglii?

— Nie sądzę, żeby zawitał tu szybko z powrotem.

— Chcę, żeby go pan dla mnie odnalazł.

- Chcę dostać moje pieniądze.  
Lane pokiwał głową.
- Dostanie je pan.
- Chcę je dostać teraz.
- Dziesięć procent teraz. Reszta, kiedy stanę twarzą w twarz z Taylorem.  
— Teraz dwadzieścia procent.
- Lane nie odpowiedział.
- Albo ograniczam straty i odchodzę — powiedział Reacher. — A pan może się przejść do księgarni Barnes i Nobles i kupić sobie mapę Wielkiej Brytanii i szpilkę. Albo lusterko na kiju.
- Teraz piętnaście procent — powiedział Lane.
- Dwadzieścia — odparł Reacher.
- Siedemnaście i pół.
- Dwadzieścia. Albo wychodzę.
- Jezu Chryste — jęknął Lane. — Dobrze, dwadzieścia procent teraz. Ale natychmiast pan wyruszy. Dzisiaj w nocy. Będzie pan miał nad nami dzień przewagi. To powinno wystarczyć takiemu spryciarzowi jak pan. My wylecimy dwadzieścia cztery godziny później. Cała nasza siódemka. Ja, Gregory, Groom, Burke, Kowalski, Addison i Perez. To powinno wystarczyć. Zna pan Londyn?
- Byłem tam wcześniej.
- Zamieszkamy w Park Lane Hilton.
- Będziecie mieli resztę pieniędzy?
- Wyliczoną co do centa — odparł Lane. — Pokażę je panu, kiedy spotka się pan z nami w hotelu i powie, gdzie jest Taylor. Dam ją panu, kiedy nawiążę z nim kontakt wzrokowy.
- Dobrze. Umowa stoi.
- Dziesięć minut później jechał na południe metrem, z dwustu tysiącami dolarów w plastikowej torbie z supermarketu Whole Foods.

Reacher spotkał się z Pauling w jej mieszkaniu i dał jej torbę.  
Weź, ile ci jestem winny, i schowaj resztę — powie-

dział. — Pieniądzy starczy przynajmniej na wstępne leczenie dla Hobarta.

Pauling trzymała torbę daleko od siebie, jakby mogła się czymś zarazić.

— To pieniądze z Afryki? — zapytała.

Reacher pokiwał głową.

— Z Wagadugu. Z krótkim międzyładowaniem w garderobie Edwarda Lane'a.

— Są brudne.

— Pokaż mi pieniądze, które nie są.

Pauling zastanawiała się nad tym jeszcze przez chwilę, a potem otworzyła torbę, odliczyła kilka banknotów i położyła je na kuchennym blacie. Następnie zwinęła torbę i włożyła ją do piekarnika.

— Nie mam tutaj sejfu — oznajmiła.

— Piekarnik wystarczy — odparł Reacher. — Nie zapomnij tylko, co tam schowałeś, i nie zacznij piec ciasta.

Pauling wzięła cztery banknoty ze stołu na blacie i podała mu.

— Na ubranie — powiedziała. — Będziesz go potrzebował. Dziś wieczorem wylatujemy do Anglii.

— Twój facet się odezwał? — zapytał.

Pokiwała głową.

— Taylor wyleciał do Londynu na pokładzie British Airways niespełna cztery godziny po tym, jak Burke włożył pieniądze do jaguara.

— Sam?

— Najwyraźniej. Wszystko na to wskazuje. Siedział obok jakiejś Brytyjki. Co wcale nie znaczy, że nie ma współnika, który odprawił się oddzielnie i siedział gdzieś indziej. To dość podstawowe środki ostrożności. Samolotem leciało sześćdziesięciu siedmiu Amerykanów, którym nikt nie towarzyszył.

— Twój facet jest bardzo skrupulatny.

— Owszem. Dostał całą listę pasażerów. Faksem. A także listę bagażu. Taylor odprawił trzy torby.

— Przekroczył limit?

— Nie. Podróżował klasą biznesową. Mogli przymknąć na to oko.



\_\_\_ Nie potrzebuję czterystu dolarów na ubranie — oświadczył Reacher.

\_\_\_ Potrzebujesz, jeżeli podróżujesz ze mną — odparła.

• • •

Byłem żandarmem, powiedział Reacher Hobartowi. Robiłem już wszystko. Ale okazało się to nieprawdą. Pół godziny później robił coś, czego nie robił nigdy w życiu. Kupował ubranie w domu towarowym. Stał w kolejce do kasy u Macy'ego przy Herald Square, w dziale męskim, trzymając w rękach parę szarych spodni, szarą marynarkę, czarny T-shirt, czarny sweter z wycięciem w serek, czarne skarpetki i białe bokserki. Wybór był ograniczony dostępnością pasujących na niego rozmiarów. Które określała wewnętrzna długość nogawki, długość ramienia oraz obwód klatki piersiowej. Pauling kazała mu również kupić nowe buty i tutaj postawił weto. Nie było go na nie stać. Oświadczyła więc, że do brązowych butów będą pasować szare spodnie. Podreptał do czoła kolejki i zapłacił trzysta dziewięćdziesiąt sześć dolarów i kilkadziesiąt centów z VAT-em. W mieszkaniu Pauling wziął prysznic i przebrał się, a potem wyjął ze starych spodni swój pognieciony i sfatygowany paszport oraz kopertę ze zdjęciami Taylora i schował je do nowych. Wyjął swoją składaną szczoteczkę do zębów z kieszeni starej koszuli i włożył ją do kieszeni nowej marynarki. Zebrał stare ubranie i wyrzucił je do zsypu. A potem, nie odzywając się wiele, zaczekał wraz z Pauling na samochód firmy transportowej, który odwiózł ich na lotnisko.

## 56

Pauling zarezerwowała im miejsca w klasie biznesowej na ten sam lot, którym Taylor leciał czterdzieści osiem godzin wcześniej. Niewykluczone, że był to ten sam samolot, jeśli odbywał codziennie tę samą podróż. Żadne z nich nie siedziało jednak w fotelu, który zajmował Taylor. Mieli miejsca między oknem i przejściem, a z listy pasażerów wynikało, że Taylor siedział w jednym z czterech foteli w pierwszym środkowym rzędzie.

Same fotele były dziwnymi, podobnymi do wanien kokonami, ustawionymi w różnych kierunkach. Znajdujący się bliżej okna fotel Reachera zwrócony był do tyłu, fotel Pauling do przodu. Według reklam po rozłożeniu zmieniały się w całkowicie płaskie łóżka. Okazało się to prawdą w jej przypadku, ale Reacherowi zabrakło dwunastu cali, żeby wyciągnąć nogi. Różne kierunki miały jednak swoje plusy. Dzięki nim mógł spędzić siedem godzin twarzą w twarz z Pauling, co nie było w żadnym wypadku przykre.

- Jaką mamy strategię? — zapytała.
- Odnajdujemy Taylora, Lane zajmuje się nim, a potem ja zajmuję się Lane'em.
- Jak?
- Coś wymyślę. Jak powiedział Hobart, na wojnie wszystko jest improwizacją.
- A co z innymi?

— To zależy. Jeśli uznam, że po wyeliminowaniu Lane'a grupa się rozpadnie, zostawią ich w spokoju. Jeżeli jednak któryś z nich zechce zająć jego miejsce i przejąć dowodzenie, załatwię i jego. I tak dalej, aż grupa w końcu się rozpadnie.

— To brutalne podejście.

- W porównaniu z czym?

— Taylora niełatwo będzie znaleźć — powiedziała.

— Anglia to mały kraj — odparł.

— Nie taki mały.

— Znaleźliśmy Hobarta.

— Z cudzą pomocą. Dostaliśmy jego adres.

— Jakoś sobie poradzimy.

— Jak?

— Mam plan.

— Zdradź mi go.

— Znasz jakichś brytyjskich prywatnych detektywów? Istnieje w tej branży rodzaj międzynarodowego braterstwa?

— Bardziej siostrzeństwa. Mam kilka numerów telefonów.

— No to w porządku.

— Na tym polega twój plan? Na zatrudnieniu londyńskiego detektywa?

— Znajomość terenu — mruknął Reacher. — To podstawa.

— Mogliśmy to załatwić przez telefon.

— Nie mieliśmy czasu.

— W Londynie mieszka osiem milionów ludzi — powiedziała Pauling. — A jest jeszcze Birmingham, Manchester, Sheffield i Leeds. No i tereny wiejskie. Góry Cotswold. Stratford nad Avonem. Szkocja i Walia. Taylor wylądował na Heathrow dwa dni temu. Może być teraz wszędzie. Nie wiemy nawet, skąd pochodzi.

— Jakoś sobie poradzimy — powtórzył Reacher.

Pauling wzięła od stewardesy poduszkę i koc i rozłożyła swój fotek. Reacher przyglądał się przez jakiś czas, jak śpi, potem sam też się położył, z uniesionymi kolanami i głową przyciśniętą do bocznej ściany fotela. Oświetlenie kabiny było

łagodne i niebieskie, szum silników kojący. Reacher lubił latać. Pójść spać w Nowym Jorku i obudzić się w Londynie — to była fantazja w sam raz dla niego.

• • •

Stewardesa obudziła go i podała śniadanie. Zupełnie jak w szpitalu, pomyślał. Budzą człowieka, żeby go nakarmić. Ale śniadanie było dobre. Kubki gorącej kawy i bułki z bekonem. Wypił sześć i zjadł sześć. Pauling obserwowała go zafascynowana.

— Która jest godzina? — zapytała.

— Za pięć piąta — odparł. — Czyli za pięć dziesiąta w tej strefie czasowej.

A potem zaterkotały najrozmaitsze dzwonki i zapaliły się najrozmaitsze światełka, żeby uprzedzić, że schodzą do lądowania na Heathrow. Północne położenie Londynu oznaczało, że późnym latem o dziesiątej rano słońce znajdowało się wysoko na niebie. Tereny na dole były jasno oświetlone. Po niebie sunęły małe chmurki, które rzucały cienie na pola. Poczucie kierunku Reachera nie było tak dobre jak poczucie czasu, ale domyślił się, że okrążyli miasto i zbliżają się do lotniska od wschodu. A potem samolot ostro zakręcił i Reacher zdał sobie sprawę, że nie dostali zgody na lądowanie. Heathrow było wiecznie zatłoczone. Musieli jeszcze raz okrążyć Londyn. Albo dwa.

Przystawił czoło do okna i spojrzął w dół. Zobaczył Tamizę, która lśniła w słońcu niczym polerowany ołów. Zobaczył odnowiony niedawno most Tower, z białego piaskowca, ze świeżo pomalowanymi metalowymi elementami. Potem przycumowany przy brzegu rzeki szary okręt wojenny, coś w rodzaju stałego eksponatu. Potem most Londyński. Odwrócił się, rozglądając za katedrą Świętego Pawła, szukając jej na północnym zachodzie. Zobaczył wielką kopułę, otoczoną przez stare kręte uliczki. Londyn był niskim miastem. Gęsto i chaotycznie zabudowanym wokół ostrych zakoli Tamizy, ciągnącym się po sam horyzont i ginącym w szarej oddali.

Zobaczył rozchodzące się promieniście z dworca Waterlooto ry kolejowe. Budynek parlamentu. Wieżę z Big Benem,

krótszą i bardziej przysadzistą, niż ją zapamiętał. I katedrę westminsterską, białą, zwalistą, liczącą tysiąc lat. Na drugim brzegu rzeki stał gigantyczny diabelski młyn. Na pewno postawiono go jako atrakcję dla turystów. Wszędzie zielone drzewa. Zobaczył pałac Buckingham i Hyde Park. Zerknął na północ, tam gdzie kończyły się pałacowe ogrody, i wypatrzył Park Lane Hilton. Okrągły wieżowiec najeżony balkonami. Z góry wyglądał jak nieduży tort weselny. A potem spojrzął trochę dalej na północ i zobaczył ambasadę amerykańską. Przy Grosvenor Square. Urzędował w niej kiedyś, w pozbawionym okien podziemi. Spędził tam cztery tygodnie, uczestnicząc w jakimś bardzo ważnym wojskowym dochodzeniu, którego szczegółów prawie już nie pamiętał. Zapamiętał jednak okolicę. I to całkiem dobrze. Zbyt zamożna na jego gust, chyba że uciekło się na wschód do Soho.

— Byłaś już tutaj kiedyś? — zapytał Pauling.

— Na wymianie szkoleniowej ze Scotland Yardem — odpowiedziała.

— Może się przydać.

— To było milion lat temu.

— Gdzie mieszkałaś?

— Umieścili nas w jakimś akademiku.

— Znasz jakieś hotele?

— A ty?

— Nie takie, do których wpuściliby kogoś w ubraniu za czterysta dolców. W większości takie, w których śpi się w butach w łóżku.

— Nie możemy zatrzymywać się w pobliżu Lane'a i jego ludzi. Jeżeli mamy zamiar zrobić im kuku, nie możemy być z nimi kojarzeni.

— To jasne.

Co powiesz na coś naprawdę ekskluzywnego? Na przykład Ritz?

Tutaj będziemy mieli odwrotny problem. Ubranie za czterysta dolarów to dla nich łachy. Poza tym nie możemy rzucać się w oczy. Potrzebny nam hotel, w którym nie zaglądamy ci do paszportu i pozwalają zapłacić gotówką. Może w Bays-

water. Na zachód od śródmieścia. Mielibyśmy potem blisko do lotniska.

Reacher obrócił się ponownie do okna i zobaczył zamek Windsor. Za nim szeroką sześciopasmową autostradę z wolno jadącymi lewą stroną samochodami. Zabudowane bliźniakami przedmieścia, kręte drogi, małe zielone ogródki, szopy na narzędzia. Potem całe akry lotniskowego parkingu zastawione małymi samochodami, w dużej części czerwonymi. Płot lotniska. Początek pasa startowego. Po ciasnocie ostatnich siedmiu godzin samolot sprawiał znowu wrażenie wielkiego. Blisko ziemi nie był już wąską tubą, lecz ważącym dwieście ton, pędzącym dwieście mil na godzinę monstrum. Wylądował twardo, zaryczał i zahamował, a potem ponownie przycichł, złągodniał i potoczył się powoli w stronę terminalu.

Główny steward powitał ich przez głośniki w Londynie, a Reacher odwrócił się i spojrział w stronę wyjścia. Pierwsze kroki Taylora były dość łatwe do ustalenia. Za punktem odbioru bagażu i postojem taksówek zadanie stawało się o wiele trudniejsze. Trudniejsze, lecz chyba możliwe do zrealizowania.

— Poradzimy sobie — powiedział, mimo że Pauling wcale się do niego nie odezwała.

# 57

Wypełnili karty przekroczenia granicy i urzędnik w szarym garniturze wbił im stemple do paszportów. Moje nazwisko na angielskim świstku papieru, pomyślał Reacher. Niedobrze. Ale nie było innego wyjścia. Jego nazwisko i tak figurowało na faksem w dowolne miejsce. Zaczekali przy taśmociągu na torbę Pauling, a potem Reachera zatrzymali celnicy, nie dlatego że miał podejrzany bagaż, ale ponieważ nie miał bagażu w ogóle. To oznaczało, że zatrzymujący go facet był gliniarzem z wydziału specjalnego albo agentem MI5, a nie prawdziwym celnikiem. Podróżowanie bez bagażu budziło wyraźny niepokój. Zatrzymanie było krótkie, a pytania zdawkowe, lecz facet

dobrze przyjrzał się jego twarzy i przekartkował jego paszport. Niedobrze.

Pauling wymieniła plik dolarów z W-Town na funty i odnaleźli peron, z którego jechało się na dworzec Paddington. Reacher uznał, że Paddington to dobry pomysł. Pasowała mu okolica. Blisko było stamtąd do hoteli w Bayswater z ich klientelą. Nie spodziewał się tam raczej znaleźć Tam ani nigdzie w pobliżu. Miejsce nadawało się jednak na bazę wypadową. Linie kolejowe obiecywały, że znajdą się w mieście w ciągu piętnastu minut, ale jazda trwała prawie dwadzieścia. Tuż przed dwunastą wyszli na ulicę w centrum Londynu. Z Zachodniej Czwartej na Eastbourne w ciągu

zaledwie dziesięciu godzin. Samolotem, pociągiem i samochodem.

Na poziomie ulicy ta część Londynu była jasna, świeża, chłodna i dla kogoś, kto przybył zza oceanu, pełna drzew. Budynki były niskie, ze starym wnętrzem, zapadającymi się dachami i na ogół nowymi elewacjami, które miały ukryć ich podeszły wiek i fatalny stan techniczny. Większość lokali usługowych należała do dużych sieci albo była wzięta we franszyzę. Wyjątek stanowiły etniczne bary i firmy transportowe, które sprawiały wrażenie rodzinnych — prowadzonych przez mamę i tatę lub w najgorszym razie dalekich kuzynów. Na gładko wyasfaltowanych jezdniach namalowano mnóstwo instrukcji dla kierowców i pieszych. Pieszych ostrzegano przy każdym krawężniku, żeby patrzyli w lewo albo w prawo, a kierowcy kierowani byli przez skomplikowany system linii, strzałek, napisów ZWOLNIJ oraz zakresowanych obszarów wszędzie tam, gdzie droga nie wiodła prosto przed siebie, czyli praktycznie wszędzie. Państwo opiekuńcze, pomyślał Reacher. Na pewno zdejmuje z ciebie obowiązek opieki.

Nióśł torbę Pauling i szli na południowy wschód w stronę Sussex Gardens. Z poprzednich podróży zapamiętał połączone razem w tanie hoteliki szeregowo domy na Westbourne Terrace, Gloucester Terrace i Lancaster Gate. Miejsca z zeskorupiałymi od brudu chodnikami na korytarzach, grubą warstwą lakieru na porysowanej boazerii oraz czterema palącymi się nad wejściem, niemającymi żadnego znaczenia symbolami, które sugerowały, że jakaś szacowna agencja oceniła oferowane tu usługi i uznała, że są zadowalające. Pauling odrzuciła dwa pierwsze znalezione przez niego hoteliki i dopiero za rogiem zrozumiała, że nie trafią na nic lepszego. Dała więc za wygraną i zgodziła się na trzeci, który składał się z czterech połączonych niezbyt udatnie domów i nosił nazwę zlepioną przypadkowo z dwóch najbardziej popularnych w branży turystycznej słów: Buckingham Suites. Recepcjonista pochodził z Europy Wschodniej i z radością pobrał od nich gotówkę. Stawki były niskie jak na Londyn, choć uznano by je za wysokie w każdym innym miejscu na świecie. Nie było księgi gości. Mała łazienka oraz mały stolik



w każdym pokoju usprawiedliwiały użycie słowa „Suites”\*. podwójne łóżko miało półtora jarda szerokości i kryte było zieloną nylonową narzutą. Poza nim oraz łazienką i stolikiem w apartamentach nie było miejsca na cokolwiek innego.

— Nie zabawimy tu długo — powiedział Reacher.

— Jest w porządku — stwierdziła Pauling.

Nie rozpakowała się. Oparła po prostu otwartą walizkę o ścianę i miała chyba zamiar z niej coś wyjmować tylko w razie wyraźnej potrzeby. Reacher nie wyjął z kieszeni swojej szczoteczki do zębów. Usiadł na łóżku, a Pauling poszła się umyć. Po chwili wyszła z łazienki, stanęła w oknie i zadarłszy głowę, przyjrzała się dachom i kominom po drugiej stronie.

— Prawie dziewięćdziesiąt pięć tysięcy mil kwadratowych — powiedziała. — Tyle tutaj mamy.

— Mniej niż w Oregonie — zauważył Reacher.

— Oregon ma trzy i pół miliona mieszkańców. Wielka Brytania sześćdziesiąt milionów.

— W takim razie trudniej się tutaj ukryć. Każdy ma wścibskiego sąsiada.

— Od czego zaczniemy?

— Od drzemki.

— Chcesz spać?

— Potem.

Pauling uśmiechnęła się. Miał wrażenie, jakby słońce wyszło zza chmur.

— Zawsze zostaje nam Bayswater — rzekła.

. . .

Seks i zmęczenie po długim locie sprawiły, że spali do czwartej. Przewaga jednego dnia, jaką mieli nad ekipą Lane'a, w dużym stopniu ziała.

Zabierajmy się do dzieła — powiedział Reacher. — dzwońmy do siostrzeństwa.

Pauling wstała więc z łóżka, wzięła swoją torebkę i wyjęła wcześniej małe urządzenie, którego Reacher nie widział dotąd w jej

\*ang. suites — apartamenty

rękach. Elektroniczny organizer. Palm pilot. Przeszła do listy kontaktów, przewinęła ekran i znalazła nazwisko i adres.

— Gray's Inn Road — rzekła. — To blisko stąd?

— Nie sądzę — odparł Reacher. — Moim zdaniem to gdzieś na wschodzie. Bliżej dzielnicy finansowej. Tam, gdzie mają swoje kancelarie adwokaci.

— To by pasowało.

— Nie znasz nikogo bliżej?

— Ci ludzie są podobno dobrzy.

— Możemy tam chyba dojechać metrem. Linią Central. Do Chancery Lane. Powiniennem sobie kupić melonik i parasol. Pasowałyby jak ulał.

— Nie wydaje mi się. Ludzie z City są bardzo cywilizowani.

Pauling położyła się na łóżku i skorzystała z telefonu na nocnej szafce. Reacher usłyszał dobiegający ze słuchawki zagraniczny sygnał dzwonka, podwójne brzęczenie zamiast pojedynczego. Potem usłyszał, jak ktoś odbiera. Pauling powiedziała, że jest prywatną detektyw z Nowego Jorku, była agentką FBI i członkinią jakiejś międzynarodowej organizacji, że aktualnie przebywa w Londynie i prosi o spotkanie. Osoba po drugiej stronie musiała się od razu zgodzić, ponieważ Pauling zapytała, czy odpowiednia będzie godzina szósta po południu.

— Dobrze, dziękuję, w takim razie do zobaczenia o szóstej — rzekła po chwili i rozłączyła się.

— Siostrzeństwo poskutkowało — mruknął Reacher.

— Braterstwo — odparła Pauling. — Kobieta, której nazwisko miałam na liście kontaktów, najwyraźniej sprzedała firmę. Ale oni zawsze chętnie nawiązują nowe kontakty. To coś jak kod „dziesięć sześćdziesiąt dwa”, którego spróbowałeś z generałem. Oni też mogą się któregoś dnia znaleźć w Nowym Jorku. I kto im pomoże, jeśli nie my?

— Mam nadzieję, że Edward Lane nie ma palm pilota z długą listą londyńskich numerów — rzekł Reacher.

• • •

Wzięli prysznic, ubrali się i poszli na stację metra Lancaster Gate. Wyłożony kafelkami hol stacji był brudny i gdyby nie

sprzedająca kwiaty kobieta, wyglądałby jak toaleta na stadionie. Ale peron był czysty, a sam pociąg nowy. I futurystyczny. Zgodnie ze swoją angielską nazwą, „tube”, metro było tu bardziej podobne do rury niż jego amerykański odpowiednik. Tunele były zaokrąglone, jakby dopasowano je idealnie do kształtu pociągów. Jakby cały system napędzany był sprężonym powietrzem, nie elektrycznością.

Przejechali sześć przystanków zatłoczonym pociągiem. Stacje miały słynne i romantyczne nazwy. Marble Arch, Bond Street, Oxford Circus, Tottenham Court Road, Holborn. Przypominały Reacherowi karty do gry w monopol, którą jako dzieciak znalazł w bazie NATO. Nieruchomości w okolicach Mayfair i Park Lane były tam w największej cenie. Właśnie w tej okolicy stał hotel Park Lane Hilton, w którym za osiemnaście godzin miał się zjawić Lane ze swoimi sześcioma ludźmi.

Za kwadrans szóstą wyszli ze stacji Chancery Lane na skąpane w słońcu, kompletnie zakorkowane wąskie uliczki. Czarne taksówki, czerwone autobusy, białe furgonetki, spaliny z silników Diesla, niewielkie pięciodrzwiowe auta, których marek Reacher w ogóle nie rozpoznawał. Motory, rowery, chodniki wypełnione ludźmi. Śmiało wymalowane na jezdni przejścia pieszych, mrugające światła, buczące sygnały. Było dość chłodno, ale ludzie paradowali w samych koszulach, z przewieszonymi przez ramię marynarkami, jakby coś grzało ich od

Nie słychać było klaksonów ani syren. Przypominało to trochę najstarsze fragmenty Manhattanu, ucięte przy piątym piętrze i skondensowane na mniejszej przestrzeni — i z tego względu gorętsze, jeśli chodzi o tempo życia, lecz zarazem chłodniejsze i bardziej uprzejme, jeśli chodzi o temperament mieszkańców. Reacher uśmiechnął się. Z pewnością lubił otwarte przestrzenie i długie wędrówki, ale uwielbiał również wielkie miasta. Wczoraj Nowy Jork, dzisiaj Londyn. Życie jest piękne.

Jak

razie.  
Ruszyli na północ Gray's Inn Road, która okazała się dłuższa, niż się spodziewali. Po lewej i prawej stronie stały stare budynki, odnowione na parterze, nietknięte wyżej. Tabliczka informo-

wał, że w domu po lewej mieszkał kiedyś Charles Dickens. Jednak mimo londyńskiego szacunku dla historii, pisarz z pewnością nie rozpoznałby swojego miasta. W żadnym wypadku. W najmniejszym stopniu. Reacher czuł, że wiele się zmieniło nawet w ciągu dziesięciu lat, które minęły od jego ostatniego pobytu. Pamiętał czerwone budki telefoniczne i uprzejmych, nieuzbrojonych policjantów w wysokich hełmach. Teraz większość budek była ze szkła, a zresztą wszyscy używali komórek. Gliniarze, których widział, patrolowali ulice parami, z nieprzeniknionymi twarzami, w kamizelkach kuloodpornych, uzbrojeni w gotowe do strzału pistolety maszynowe Uzi. Wszędzie stały słupy z zamontowanymi kamerami.

— Wielki Brat nie spuszcza cię z oka — rzekła Pauling.

— Widzę — odparł Reacher. — Będziemy musieli wywabić Lane'a z miasta. Tutaj nic mu nie zrobimy.

Pauling nie odpowiedziała. Sprawdzała numery domów. W końcu spostrzegła ten, którego szukali, na prawo, po drugiej stronie ulicy. Nad wąskimi brązowymi drzwiami znajdowało się półkoliste okienko. Reacher widział przez nie schody prowadzące do biur na piętrze. Wszystko to przypominało budynek Pauling, trzy tysiące mil stąd. Przeszli przez jezdnię między stojącymi w korku samochodami i przyjrzeni się przytwierdzonym do kamiennej ściany mosiężnym tabliczkom. Na jednej z nich widniał napis: *Usługi dochodzeniowe, spółka z o.o.* Proste pismo, prosty komunikat. Reacher pociągnął drzwi i przez chwilę myślał, że są zamknięte — a potem przypomniał sobie, że w Wielkiej Brytanii drzwi otwierają się do środka. Pchnął je i przekonał się, że są otwarte. Schody były stare, lecz wyłożone nowym linoleum. Wspięli się na drugie piętro i dopiero tam znaleźli właściwe drzwi. One również były otwarte. Biurko w małym kwadratowym pokoju ustawiono pod kątem czterdziestu pięciu stopni, aby siedzący za nim mężczyzna widział jednocześnie drzwi i okno. Mniej więcej pięćdziesięcioletni, niski, z przerzedzającymi się włosami, miał na sobie sweter bez rękawów, a pod nim koszulę i krawat.

— Państwo na pewno z Ameryki — odezwał się na powitanie.

Przez sekundę Reacher zastanawiał się, po czym ich poznał. Po ubraniu? Zębach? Zapachu? Posługując się dedukcją niczym Sherlock Holmes?

— Zaczekałem specjalnie na was — dodał facet. — Gdyby pani nie zadzwoniła, byłbym już w drodze do domu. Nie miałem dziś żadnych innych spotkań.

— Przepraszam, że pana zatrzymaliśmy — powiedziała Pauling.

— Nie ma sprawy — odparł facet. — Zawsze z radością pomagam kolegom.

— Szukamy pewnej osoby — oświadczyła Pauling. — Kogoś, kto przybył z Nowego Jorku przed dwoma dniami. Jest Anglikiem i nazywa się Taylor.

Facet podniósł wzrok.

— Dwa razy w ciągu jednego dnia — powiedział. — Wasz pan Taylor cieszy się dużym wzięciem.

— Co pan chce przez to powiedzieć?

— Pewien mężczyzna telefonował bezpośrednio z Nowego Jorku z tym samym pytaniem. Nie chciał się przedstawić. Rozumiem, że obdzwaniał po kolei wszystkie londyńskie agencje.

— To był Amerykanin?

— Z całą pewnością.

Pauling odwróciła się do Reachera i wymówiła bezgłośnie nazwisko „Lane”.

Reacher pokiwał głową.

— Próbuje to załatwić na własną rękę. I zaoszczędzić na moim honorarium.

Pauling odwróciła się z powrotem do Anglika.

— Co pan mu powiedział? — zapytała.

— Że w Wielkiej Brytanii jest sześćdziesiąt milionów ludzi i prawdopodobnie kilkaset tysięcy z nich nazywa się Taylor. To popularne nazwisko. Powiedziałem, że bez dodatkowych informacji naprawdę nie mogę mu pomóc.

- A pomoże pan nam?

-To zależy, jakie macie dodatkowe informacje.

Mamy fotografie.

— Na późniejszym etapie mogą okazać się pomocne. Ale nie na początku. Od jak dawna pan Taylor przebywał w Ameryce?

— Od wielu lat.

— Nie ma zatem tutaj żadnych powiązań? Żadnego domu?

— Zdecydowanie nie.

— W takim razie sprawa jest beznadziejna — oznajmił facet. — Nie rozumiecie? Posługuję się bazami danych. Z pewnością postępujecie tak samo w Nowym Jorku. Rachunki, spisy wyborców, podatki lokalne, zapisy sądowe, raporty kredytowe, polisy ubezpieczeniowe, tego rodzaju rzeczy. Jeżeli pan Taylor nie mieszkał tutaj od wielu lat, jego nazwisko nigdzie się nie pojawi.

Pauling nie odezwała się.

— Bardzo mi przykro — dodał facet. — Ale chyba państwo rozumiecie?

Pauling rzuciła Reacherowi spojrzenie, które mówiło „oczywiście genialny plan”.

— Mam numer telefonu jego najbliższego krewnego — oznajmił Reacher.

— Przeszukaliśmy apartament Taylora w Nowym Jorku i znaleźliśmy aparat telefoniczny, który miał dziesięć zaprogramowanych przycisków szybkiego wybierania — powiedział Reacher. — Jedyne brytyjski numer oznaczony był literą S. Domyślam się, że to numer jego matki lub ojca, względnie brata lub siostry. Prędeż brata lub siostry, ponieważ facet jego pokroju użyłby M lub T dla mamy lub taty. To może być Sam, Sally, Sarah, Sean, coś w tym rodzaju. I stosunki między rodzeństwem są prawdopodobnie dość bliskie. W przeciwnym razie po co miałyby programować numer? A jeżeli są bliskie, Taylor nie przybyłby do Wielkiej Brytanii, w ogóle ich o tym nie zawiadamiając. Ponieważ oni też zaprogramowali sobie jego numer i niepokoiłoby się, gdyby nie odbierał telefonu. Uważam więc, że mają informacje na jego temat.

— Jaki to numer? — zapytał facet.

Reacher zamknął oczy i wyrecytował zapamiętany przez siebie numer, który zaczynał się od 01144. Facet siedzący za biurkiem zapisał go na kartce tęnym ołówkiem.

— W porządku — mruknął. — Wytniemy prefiks kraju i wstawimy w jego miejsce zero — powiedział i zrobił to ołówkiem. — Następnie odpalimy stary komputer i zerkniemy do odwróconego spisu telefonów. — Obrócił się o sto osiemdziesiąt stopni do stolika komputerowego, wcisnął klawisz Pauzy i otworzył ekran hasłem, którego Reacher nie zdołał

odczytać. Następnie otworzył okienko, do którego wpisał numer telefonu. — To da nam tylko adres, rozumiecie — powiedział. — Żeby poznać tożsamość osoby, która tam mieszka, będziemy musieli zajrzeć gdzie indziej. — Kliknął „szukaj” i po sekundzie na ekranie pojawił się adres. — Grange Farm. Bishops Pargeter. Wygląda mi to na dziurę zabita dechami — mruknął.

— Jak bardzo zabita dechami? — zapytał Reacher.

— Sądząc po kodzie pocztowym, niedaleko Norwich.

— Bishops Pargeter to nazwa miasteczka?

Facet pokiwał głową.

— Raczej małej wioski. Względnie osady. Prawdopodobnie jest tam tuzin budynków i trzynastowieczny normański kościół. Typowe dla tego terenu. W hrabstwie Norfolk, we wschodniej Anglii. Rolnicza okolica, bardzo płaska, wietrzna, na północnym wschodzie, mniej więcej sto osiemdziesiąt mil stąd.

— Niech pan znajdzie nazwisko.

— Spokojnie, spokojnie, już tam wchodzę.

Facet ściągnął adres do tymczasowego schowka i otworzył inną bazę danych.

— Spis wyborców — powiedział. — Zawsze go preferowałem. Znajduje się w publicznej domenie, jest całkiem legalny i zawiera na ogół wyczerpujące wiarygodne dane. Pod warunkiem że ludziom chce się głosować, co nie zawsze się oczywiście zdarza. — Wkleił adres do nowego okna i ponownie kliknął „szukaj”. Tym razem czekali dość długo. W końcu na ekranie pojawił się nowy obraz. — Proszę bardzo — powiedział facet. — Pod tym adresem figuruje dwoje wyborców. Jackson. Tak brzmi nazwisko. Pan Anthony Jackson i popatrzmy... tak... pani Susan Jackson. Mamy więc pańskie S. S jak Susan.

— Siostra — powiedziała Pauling. — Mężatka. Powtarza się historia Hobarta.

— Spróbujmy czegoś innego — oświadczył facet. — Tym razem to niezupełnie legalne, ale ponieważ jestem wśród przyjaciół i kolegów, możemy się nie krępować. — Otworzył nową bazę danych zapisaną staroświecką czcionką DOS-u. — W zasadzie mam to od hakera. Dlatego nie ma tu żadnej fikuśnej grafiki. Są za to informacje. Departament Zdrowia i Ubez-



pieczeń Społecznych. Wielka niańka w akcji. — Wpisał nazwisko i adres Anthony'ego Jacksona, a następnie skomplikowaną komendę. Na ekranie ukazały się trzy różne nazwiska i masa cyfr. — Anthony Jackson ma trzydzieści dziewięć lat, jego żona Susan trzydzieści osiem. Jej panieńskie nazwisko rzeczywiście brzmiało Taylor. Mają jedno dziecko, ośmioletnią córkę, której nadali niezbyt fortunne imię Melody.

— Całkiem miłe imię — zaprotestowała Pauling.

— Nie w Norfolkku. Nie sądzę, żeby miała łatwe życie w szkole.

— Od jak dawna mieszkają w Norfolkku? — zapytał Reacher. — Czy właśnie stamtąd pochodzą Taylorowie? Jako rodzina?

Facet przewinał ekran.

— Niefortunna Melody urodziła się chyba w Londynie, co sugerowałoby, że nie. — Wyszedł z bazy zapisanej w DOS-ie i otworzył kolejną. — Wykaz gruntów — poinformował ich. Wpisał adres, ponownie kliknął „szukaj” i na ekranie pojawił się nowy obraz. — Nie, kupili ziemię w Bishops Pargeter dopiero rok temu. W tym samym czasie sprzedali dom w południowym Londynie. Co sugerowałoby, że to mieszcuchy wracające na łono natury. Dość popularny trend. Dają im jeszcze dwanaście miesięcy, zanim będą mieli serdecznie dosyć.

— Dziękuję — powiedział Reacher. — Jesteśmy wdzięczni za pomoc.

Wziął z biurka tępy ołówek, wyjął z kieszeni kopertę ze zdjęciami Taylora i zapisał na niej: „Anthony, Susan, Melody Jacksonowie, Grange Farm, Bishops Pargeter, Norfolk”.

— Czy mógłby pan zapomnieć o tym wszystkim, kiedy zadzwoni ponownie ten facet z Nowego Jorku? — zapytał.

— Chodzi o pieniądze?

— Duże.

— Kto pierwszy, ten lepszy — oznajmił facet. — Kto rano wstaje, temu Pan Bóg daje. I tak dalej, i tak dalej. Moje usta są zapieczętowane.

— Dziękuję — powtórzył Reacher. — Ile jesteśmy panu winni?

— Och, absolutnie nic — odparł facet. — To była czysta przyjemność. Zawsze chętnie pomagam kolegom po fachu.

• • •

— Wystarczy, że Lane przeszuka mieszkanie Taylora, znajdzie telefon i będzie wiedział to samo co my — powiedziała Pauling, kiedy znaleźli się z powrotem na ulicy. — Może zwrócić się do innego detektywa w Londynie. Albo zadzwonić do kogoś w Nowym Jorku. Te odwrócone spisy telefonów są dostępne w Internecie.

— Nie znajdzie telefonu — odparł Reacher. — A jeżeli go znajdzie, nie skojarzy jednego z drugim. To kwestia innego rodzaju sprawności. Lusterko na kiju.

— Jesteś pewien?

— Nie do końca. Dlatego na wszelki wypadek skasowałem ten numer.

— To się nazywa gra nie fair.

— Chciałem mieć pewność, że dostanę pieniądze.

— Czy nie powinniśmy po prostu zadzwonić do Susan Jackson?

— Taki miałem początkowo zamiar — przyznał Reacher. — Ale potem napomknęłaś o Hobarcie i jego siostrze i nie jestem już taki pewien. Co będzie, jeżeli Susan chroni swojego brata w podobny sposób, jak Dee Marie chroniła Hobarta? Okłamię nas, o cokolwiek ją zapytamy.

— Moglibyśmy powiedzieć, że jesteśmy znajomymi, którzy wpadli przejazdem.

— Zanim udzieliłaby nam jakiegokolwiek odpowiedzi, skontaktowałaby się z Taylorem.

— Więc co teraz?

— Będziemy musieli pojechać tam sami. Do Bishops Par-  
geter, gdziekolwiek to, do diabła, jest.

## 59

Ich hotel z całą pewnością nie pośredniczył w załatwianiu różnego rodzaju usług na mieście, w związku z czym Reacher i Pauling musieli podejść do Marble Arch, żeby znaleźć punkt wynajmu samochodów. Reacher nie miał prawa jazdy ani karty kredytowej, zostawił więc Pauling, żeby wypełniła formularze, a sam ruszył dalej Oxford Street w poszukiwaniu księgarni.

Znalazł całkiem dużą, z działem podróżniczym na tyłach i całą półką samochodowych atlasów Wielkiej Brytanii. W pierwszych trzech, do których zajrzał, nie było w ogóle Bishops Pargeter śladu. Taka miejscowość nie figurowała w indeksie. Za mała, pomyślał. Nie postawili nawet kropki na mapie. Znalazł Londyn, Norfolk oraz Norwich bez żadnego problemu. Znalazł miasta targowe i duże wioski. Ale nic mniejszego. A potem baczył serię map topograficznych. Cztery półki na samym dole, tuż przy ścianie. Wielkie składane arkusze, skrupulatnie odrysowane, subsydiowane przez państwo. Dla tych, co lubią piesze wycieczki, domyślił się. Albo dla entuzjastów geografii, wyboru były mapy w różnych skalach. Te w największej olbrzymie i pokazywały nawet poszczególne budynki, Reacher wziął z półki arkusze przedstawiające Norfolk i zaczął przeglądać. Znalazł Bishops Pargeter przy czwartym półjściu. Położona na skrzyżowaniu dwóch podrzędnych dróg znajdowała się mniej więcej trzydzieści mil na połu-

dniowy zachód od skraju Norwich. W atlasie samochodowym nie zaznaczono nawet tych dróg.

Kupił mapę, żeby mieć orientację w terenie, i najtańszy atlas samochodowy, żeby tam jakoś dotrzeć, po czym wrócił do biura wynajmu i zastał Pauling czekającą z kluczami do mini coopera.

— Czerwony — oznajmiła. — Z białym dachem. Bardzo odjazdowy.

— Moim zdaniem Taylor mógł się zaszyć właśnie tam — powiedział. — U siostry.

— Dlaczego?

— Instykt podpowiada mu, żeby ukryć się na jakimś odludziu. I był żołnierzem, więc podświadomie szuka miejsca łatwego do obrony. Teren jest tam płaski jak stół bilardowy. Oglądałem mapę. Z odległości pięciu mil będzie widział, jak ktoś się zbliża. Jeżeli ma karabin, to miejsce jest nie do zdobycia. A jeśli ma samochód z napędem na cztery koła, może uciec w dowolną stronę. Popędzić przez pola w każdym kierunku.

— Nie można zamordować dwóch osób, ukraść dziesięciu milionów dolarów, a potem wrócić prosto do domu, do siostry.

— Nie musi jej o wszystkim mówić. Właściwie może jej o niczym nie mówić. I niewykluczone, że to tylko tymczasowa kryjówka. Musi odpocząć. Żył ostatnio w dużym stresie.

— Mówisz, jakbyś mu współczuł.

— Próbuję myśleć tak jak on. Planował to od dłuższego czasu i ostatni tydzień był piekielnie trudny. Musi być wyczerpany. Musi się gdzieś zaszyć i odespać.

— Dom siostry to fatalny wybór. Rodzina to pierwsza rzecz, o której każdy pomyśli. My pomyśleliśmy w przypadku Hobarta. Sprawdzaliśmy wszystkich Hobartów w książce telefonicznej.

— Jego siostra nazywa się Jackson, nie Taylor. Podobnie jak Dee Marie nazywała się Graziano, nie Hobart. A Grange Farm nie jest jakimś rodzinnym gniazdem. Siostra wprowadziła się tam całkiem niedawno. Każdy idący tropem jego rodziny' utknąłby w Londynie.

— Jest tam dziecko. Jego siostrzenica. Myślisz, że narażałby niewinnych ludzi na niebezpieczeństwo?

— Właśnie zamordował dwie niewinne osoby. Jego sumienie nie funkcjonuje zbyt dobrze.

Pauling zastanawiała się, kołysząc zawieszonym na palcu samochodowym kluczykiem.

— To możliwe — przyznała w końcu. — Chyba. Więc jak to rozegramy?

— Taylor pracował u Lane'a od trzech lat — powiedział Reacher. — W związku z tym nie miał okazji cię poznać i z całą pewnością nie poznał mnie. Dlatego to, czy tam jest? czy go nie ma, nie jest w gruncie rzeczy ważne. Nie będzie chyba strzelał do każdego nieznajomego, który zbliża się do domu. Naprawdę go na to nie stać. Nie powinniśmy o tym zapominać.

— Jedziemy prosto do domu?

Reacher pokiwał głową.

— W każdym razie dość blisko, żeby mu się przyjrzeć. Jeśli Taylor tam jest, wycofujemy się i czekamy na Lane'a. Jeśli go nie ma, wchodzimy do środka i ucinamy sobie pogawędkę z Susan.

— Kiedy?

— Zaraz.

Facet z biura wynajmu wyprowadził mini coopera z garażu na tyłach budynku. Reacher przesunął fotel pasażera aż do tylnej kanapy i wślizgnął się do środka. Pauling siadła za kierownicą i przekręciła kluczyk w stacyjce. Samochodzik był miły. Polakierowany na czerwono wyglądał wspaniale. Ale prowadził się okropnie. Sztywny drążek zmiany biegów, nie ta co trzeba strona drogi, kierownica po prawej, wczesnowieczorny ruch w jednym z najbardziej zatłoczonych miast świata. Mimo to do hotelu dojechali bez przeszkód. Zatrzymali się w drugim rzędzie i Pauling pobiegła po torbę. Reacher został w samochodzie. Swoją szczoteczkę do zębów miał już w kieszeni. Pauling wróciła po pięciu minutach.

— Jesteśmy po zachodniej stronie miasta — powiedziała. — Wygodnie ze względu na lotnisko. Ale teraz muszę wyjechać z miasta od wschodu.

— Od północnego wschodu — poprawił ją Reacher. — Autostrada, która ma symbol M-jedenaście.

— Więc będę musiała przejechać w godzinie szczytu przez całe śródmieście Londynu.

— Nie jest tu gorzej niż w Paryżu albo Rzymie.

— Nigdy nie byłam w Paryżu ani Rzymie.

— Jeśli kiedykolwiek tam trafisz, będziesz przynajmniej wiedziała, czego się spodziewać.

Jazda na północny wschód nie była zbyt skomplikowanym zadaniem, ale jak w każdej metropolii w Londynie pełno było jednokierunkowych ulic i skomplikowanych skrzyżowań. Na każdym światłach czekał sznur samochodów. W żółtym tempie dotarli do dzielnicy Shoreditch, gdzie znaleźli prowadzącą prosto na północ, szeroką drogę oznakowaną jako A-10. Zbyt wcześnie, lecz i tak w nią skręcili. Uznali, że odbiją w bok gdzieś dalej, w miejscu gdzie nie będzie korków. A potem znaleźli M-25, która była czymś w rodzaju obwodnicy. Pojechali nią zgodnie z ruchem wskazówek zegara, dwa zjazdy później znaleźli się na M-11 i skierowali się na północny wschód, do Cambridge, Newmarket i Norfolk. Była dziewiąta wieczór — dość późno.

— Znasz tamte rejony? — zapytała Pauling.

— Niezupełnie — odparł Reacher. — To była okolica, w której stacjonowało lotnictwo, nie siły lądowe. Same bazy bombowców. Płaski, rozległy teren, położony blisko Europy. Idealny.

Anglia była rześkie oświetlonym krajem. To jedno nie ulegało wątpliwości. Każdy cal autostrady skąpany był w jasnym świetle. I ludzie jeździli szybko. Ograniczenie prędkości do siedemdziesięciu mil na godzinę było notorycznie przekraczane. Normą wydawała się prędkość trochę poniżej albo trochę powyżej dziewięćdziesiątki. Poza tym kierowcy byli zdyscyplinowani. Nikt nie wyprzedzał od wewnętrznej strony. Wszystkie zjazdy były oznakowane w taki sam przejrzysty

sposób. Wyraźne znaki, dużo ostrzeżeń, długie pasy, na których można było zwolnić. Reacher przeczytał gdzieś, że liczba śmiertelnych wypadków na brytyjskich autostradach jest niska. Bezpieczeństwo dzięki infrastrukturze.

— Jak może wyglądać Grange Farm? — zapytała Pauling.

— Nie wiem — odparł. — Formalnie rzecz biorąc, w języku staroangielskim słowo „grange” oznaczało duży spichlerz do magazynowania ziarna. Później zaczęło oznaczać główny budynek na folwarku. Domyślam się więc, że zobaczymy duży dom i kilka mniejszych zabudowań. Położone pośród pól. O powierzchni może stu akrów. Rodzaj feudalnej posiadłości.

— Dużo wiesz.

— Mnóstwo bezużytecznych informacji — stwierdził Reacher. — Miały pobudzać moją wyobraźnię.

— Ale nie czujesz satysfakcji?

- Ani trochę. Cała ta sytuacja w ogóle mi się nie podoba. Wydaje mi się niewłaściwa.

— Bo nie ma dobrych facetów. Są tylko źli i jeszcze gorsi.

— Wszyscy są równie przerażający.

— Tak to już jest, kiedy człowiek urabia sobie ręce po łokcie. — odparła. — Nic nie jest czarne ani białe.

— Nie mogę pozbyć się uczucia, że popełniam fatalny błąd.

. . .

Anglia to mały kraj, ale wschodnia Anglia stanowiła wielką ~~nie~~stała połąć. Pod pewnymi względami przypominało to jazdę ~~przez~~ przez prerię. Stały ruch do przodu bez żadnych widocznych ~~przerw~~ów. Mały czerwony mini cooper mrucał jednostajnie, ~~zgar~~ w głowie Reachera dopełzył do godziny dziesiątej. Zgąsło ~~ostatni~~ostatnie światło dnia. Jeśli nie liczyć jasnej wstęgi szosy, panowała absolutna ciemność.

Minęli z boku miasto Thetford. Dużo później przemknęli przez miasteczko Fenchurch Saint Mary. Potem droga zwężyła się i zniknęły uliczne latarnie. Zobaczyli drogowskaz z napisem "Norwich 40 mil". W związku z tym Reacher zmienił mapy i zaczął wypatrywać skreću do Bishops Pargeter. Drogowskazy były wyraźne i pomocne. Ale litery miały wszystkie tę samą

wielkość i obowiązywał chyba przepis ograniczający długość tablic. Co oznaczało, że dłuższe nazwy były skracane. W pewnym momencie mignął przed nim drogowskaz do „B'sh'ps P'ter" i dopiero po przejechaniu dwustu jardów zdał sobie sprawę, co oznacza. Pauling musiała więc zatrzymać się, wykręcić po ciemku i wrócić. Przystanęła na chwilę, a potem skręciła z głównej szosy w znacznie węższą, krętą drogę. Nawierzchnia była fatalna. Światła reflektorów przeszywały egipskie ciemności.

— Jak daleko jeszcze? — zapytała.

Reacher rozstawił na mapie kciuk i palec wskazujący, mierząc, odległość.

— Jakies dziewięć mil — powiedział.

W atlasie samochodowym między dwiema drogami, które odchodziły na południe od Norwich, znajdował się wyłącznie pusty biały trójkąt. Ale na mapie topograficznej widać było siatkę pomniejszych dróg upstrzonych tu i tam małymi osiedlami. Reacher dotknął palcem skrzyżowania, przy którym leżało Bishops Pargeter, i wyjrzał przez okno.

— To nie ma sensu — stwierdził. — Jest zbyt ciemno. Nie zobaczymy nawet domu, nie mówiąc już o jego mieszkańcach. — Zerknął z powrotem na mapę. W odległości czterech mil były na niej jakieś budynki. Jeden z nich oznaczono literką P. Zajrzał do legendy z boku arkusza. — Pub — powiedział. — Może również gospoda. Powinniśmy wynająć pokój. Wyjechać o pierwszym brzasku.

— Mnie to pasuje, szefie — odparła Pauling.

Zdał sobie sprawę, że jest zmęczona. Podróż, zmiana strefy czasowej, nieznanne drogi, stres związany z prowadzeniem.

— Przepraszam. Przesadziliśmy. Powinienem to lepiej zaplanować.

— Nie, to całkiem dobry plan. Rano będziemy od razu na miejscu. Jak daleko jeszcze?

— Mamy cztery mile do pubu, a jutro kolejne pięć do Bishops Pargeter.

— Która jest godzina?

Reacher uśmiechnął się.



\_\_\_Dwudziesta druga czterdzieści siedem.

\_\_\_Więc potrafisz to robić w różnych strefach czasowych.

\_\_\_Na tablicy rozdzielczej jest zegar. Widzę go. Siedzę ci praktycznie na kolanach.

Osiem minut później zobaczyli w oddali blask, który z bliska okazał się podświetlonym szyldem pubu. Zawieszony na wysokim haku, kołysał się w łagodnych podmuchach nocnego wiatru. Bishop's Arms. Na asfaltowym parkingu stało pięć samochodów, oświetlone okna zachęcały do wejścia. Za ciemnym konturem budynku nie było absolutnie nic. Wyłącznie płaska równina pod rozległym nocnym niebem.

— Może był tu zajazd pocztowy — powiedziała Pauling.

— Nie sądzę — odparł Reacher. — Pub nie stoi po drodze do żadnego miejsca. Postawili go dla robotników rolnych.

Pauling skręciła na parking i zaparkowała małe auto pomiędzy brudnym land-roverem i poobijanym samochodem nieokreślonej marki i wieku. Zgasiła silnik i puściła z westchnieniem kierownicę. Zapadła cisza, razem z nią napłynął zapach mokrej ziemi. Noc była chłodna. I trochę wilgotna. Reacher zaaniósł torbę Pauling do drzwi pubu. W środku była sień z niskim belkowanym sufitem, wzorzystym dywanem, dziesięcioma tysiącami mosiężnych ozdóbek i przekrzywionymi schodami po prawej stronie. Na wprost zobaczyli hotelową recepcję ze starego ciemnego drewna pokrytego błyszczącym lakierem. Nikogo w niej nie było. Nad drzwiami po lewej stronie widniał napis: RESTAURACJA. Prowadziły do chyba pustej sali. Nad drzwiami po prawej stronie, za schodami, widniał napis: BAR. Reacher zobaczył za nimi krzątającego się barmana i plecy czterech siedzących na stołkach przy barze mężczyzn. W przeciwnym rogu dostrzegł plecy siedzącego samotnie przy stoliku piętego mężczyzny. Wszystkich pięciu gości popijało *ale* z kufli.

Reacher podszedł do pustej recepcji i zadzwonił. Po dłuższej chwili przez drzwi z tyłu wyszedł barman, duży rumiany mężczyzna około sześćdziesiątki. Był zmęczony. Wycierał ręce w ściereczkę.

Chcemy wynająć pokój — powiedział Reacher.

- Na dzisiejszą noc? — zapytał.
- Tak, na dzisiejszą noc.
- To będzie pana kosztowało czterdzieści funtów. Cena łącznie ze śniadaniem.
- Brzmi zachęcająco.
- Jaki chciałby pan pokój?
- A jaki pan poleca?
- Chce pan pokój z łazienką?
- Tak, z łazienką — powiedziała Pauling. — Byłoby miło.
- Dobrze. Mogę wam dać pokój z łazienką.

Pauling wręczyła mu cztery dziesięciofuntowe banknoty, a on, dał jej mosiężny klucz z frędzlastym brelokiem. Następnie podał Reacherowi długopis i podsunął księgę gości. Reacher wpisał „J. i L. Bayswater” w rubryce *nazwisko*. A potem wybrał rubrykę *adres firmy* zamiast rubryki *adres zamieszkania* i wpisał tam adres stadionu Jankesów. „Wschodnia Sto Sześćdziesiąta Pierwsza, Bronx, Nowy Jork, USA”. Zawsze chciał pracować w tej firmie. W rubryce *marka pojazdu* nagryzmolił „rolls-royce”. Domyślił się, że *rejestracja* oznacza numer rejestracyjny pojazdu i wpisał R34-CHR.

- Czy możemy dostać jakiś posiłek? — zapytał barmana.
- Obawiam się, że na posiłek jest już za późno — odparł tamten. — Ale jeśli macie ochotę, mogę podać sandwicze.
- Sandwicze w zupełności wystarczą.
- Jesteście Amerykanami, prawda? Wielu ich tu przyjeżdża. Odwiedzają stare lotniska. Tam gdzie stacjonowali.
- To było jeszcze przed moim urodzeniem — powiedział Reacher.

Barman pokiwał z powagą głową.

— Wejdźcie do baru i czegoś się napijcie. Sandwicze zaraz podam.

Reacher zostawił torbę u stóp schodów i wszedł do baru. W jego stronę obróciło się pięć głów. Czterech facetów przy kontuarze wyglądało na farmerów. Czerwone ogorzałe twarze, grube dłonie, obojętne spojrzenia.

Siedzącym samotnie przy stoliku facetem był Taylor.

## 60

Niczym dobry żołnierz, którym zapewne był, Taylor wpatrywał się w Reachera dość długo, by ocenić stopień zagrożenia. Pojawienie się Pauling za ramieniem Reachera chyba go uspokoiło. Elegancko ubrany mężczyzna, atrakcyjna kobieta, podróżują razem, turyści. Odwrócił wzrok i pochylił się z powrotem nad swoim piwem. W gruncie rzeczy gapił się tylko ułamek sekundy dłużej, niż robiłby to każdy klient baru w podobnej sytuacji. I właściwie krócej niż farmerzy — powolnie, ociężały i przepełniony swoistym poczuciem wyższości, jakie stali goście okazują każdemu obcemu.

Reacher zaprowadził Pauling do stolika w drugim końcu sali, usiadł plecami do ściany i patrzył, jak farmerzy odwracają się z powrotem do baru. Robili to jeden po drugim, bez pośpiechu. W końcu ostatni z nich wziął ponownie do ręki kufel i atmosfera na sali wróciła do normy. Chwilę później pojawił się barman. Wziął do ręki ściereczkę i zaczął wycierać szklanki.

- Powinniśmy zachowywać się normalnie — powiedział Reacher. — Zamówić coś do picia.

- Spróbuję chyba miejscowego piwa — mruknęła Pauling. — No wiesz, kiedy wszedłeś między wrony...

Reacher wstał więc od stolika, podszedł do baru i spróbował

Przenieść się pamięcią dziesięć lat wstecz, kiedy ostatnio był w takiej sytuacji. Ważne było, żeby oddać celnie niuansy momentu. Stał między dwoma farmerami i oparł kłykcie o bar.

— Duży kufel najlepszego, proszę, i małe dla pani — powiedział. Nie można było także zapomnieć o dobrych manierach, odwrócił się więc w lewo i w prawo do czterech farmerów. — Panowie również się z nami napiją? — zapytał, po czym zerknął na barmana. — Czy mogę postawić także panu? — W tym momencie uwaga obecnych skierowała się na siedzącego przy stoliku mężczyznę, który jako jedyny nie został jeszcze zaproszony. Taylor odwrócił się i spojrzał w ich stronę, sprowokowany sytuacją. — Na co ma pan ochotę? — zapytał Reacher, podnosząc dłoń w geście naśladującym picie.

— Dziękuję, ale muszę już iść — odparł Taylor.

Płaski brytyjski akcent, trochę jak u Gregory'ego. Taksujący wzrok. Ale ani śladu podejrzeń. Co najwyżej lekkie skrepowanie. Może nawet coś w rodzaju posępnej życzliwości. Taylor uśmiechnął się lekko, błyskając zepsutymi zębami, po czym wypił do końca swoje piwo, odstawił kufel i ruszył do drzwi.

— Dobranoc — powiedział, mijając ich.

Barman nalał sześć dużych i jeden mały kufel najlepszego gorzkiego i ustawił je w szeregu. Reacher zapłacił, rozstawił je nieco, dając do zrozumienia, że panowie mogą się częstować, po czym podniósł swój.

— Zdrowie — powiedział i pociągnął łyk. Kiedy zaniósł Pauling jej piwo, wszyscy farmerzy odwrócili się i wypili ich zdrowie. Natychmiastowa społeczna akceptacja za cenę niespełna trzydziestu doliców. Taniej chyba nie można, pomyślał Reacher. — Mam nadzieję, że nie uraziłem w jakiś sposób tamtego pana — powiedział.

— Nie znam go — oświadczył jeden z farmerów. — Nigdy go wcześniej nie widziałem.

— Mieszka na Grange Farm — powiedział inny. — Musi tam mieszkać, bo przyjechał ich land-roverem. Widziałem, jak podejżdżał.

— To farmer? — zapytał Reacher.

— Nie wygląda mi na farmera — stwierdził jego pierwszy rozmówca. — Nigdy wcześniej go nie widziałem.

— Gdzie jest Grange Farm?

— Kawalek drogi stąd. Mieszka tam teraz jakaś rodzina.

— Niech pan zapyta Dave'a Kempa — poradził trzeci farmer. — On panu powie.

— Kto to jest Dave Kemp? — zapytał Reacher.

— Dave Kemp ma sklep — odparł niecierpliwie trzeci farmer, jakby Reacher był ograniczony umysłowo. — W Bishops Pargeter. On będzie wiedział. Dave Kemp wie wszystko, bo prowadzi pocztą. Wścibski sukinsyn.

— Jest tam pub? Dlaczego ktoś stamtąd miałby tu przychodzić?

— To jedyny pub w promieniu wielu mil, chłopie. Dlaczego, jak sądzisz, jest taki zatłoczony?

Reacher nie odpowiedział na tę uwagę.

— Ci z Grange Farm to przyjezdni — dodał pierwszy farmer, kończąc po dłuższym czasie wcześniejszą myśl. — Rodzina. Są tam od niedawna. Chyba z Londynu. Nie znam ich. Stosują naturalne metody uprawy. Nie używają chemii.

I ta informacja zakończyła wymianę zdań, do której farmerzy czuli się zobligowani w zamian za kufel piwa, ponieważ zaczęli rozmawiać ze sobą o plusach i minusach naturalnych metod uprawy. Wyglądało na to, że już wcześniej gruntownie przedyskutowali ten temat. Według tego, co usłyszał Reacher, nic nie przemawiało na korzyść tego rodzaju metod z wyjątkiem niewytłumaczalnego pragnienia mieszczuchów, by przepłacać za plony.

— Miałeś rację — powiedziała Pauling. — Taylor jest na fermie.

— Ale czy tam teraz pozostanie? — zapytał Reacher.

— Nie widzę powodu, dla którego miałby nie pozostać. Twój występ w roli wielkiego głupawego i hojnego Amerykanina był dosyć przekonujący. Nie wydawałeś się groźny. Może pomyślał, że jesteśmy turystami szukającymi miejsc, w których stacjonowali nasi ojcowie. Przyjeżdżają tu przez cały czas. Mówił o tym ten facet.

Reacher nie odezwał się.

• — Zaparkowałam tuż obok niego, prawda? — powiedziała Pauling. — Ten farmer mówił, że facet przyjechał land-roverem,<sup>a</sup> na parking stał tylko jeden land-rover.

- Wolałbym, żeby go tutaj nie było — mruknął Reacher.
- To prawdopodobnie jeden z powodów, dla których tutaj wrócił. Angielskie piwo.
- Smakuje ci?
- Nie, ale Anglikom chyba tak.



Ich sandwicze były zaskakująco dobre. Świeży, chrupiący, domowego wypieku chleb, masło, krwisty rostbef, śmietankowy chrzan, a z boku wiejski ser i chipsy ziemniaczane w charakterze przybrania. Zjedli je i dopili do końca piwo. A potem weszli na górę do swojego pokoju. Prezentował się lepiej od apartamentu w Bayswater. Więcej było w nim miejsca, częściowo dlatego, że łóżko nie było podwójne. Za to jak na pojedyncze całkiem szerokie. Nie pięć stóp, ale cztery stopy sześć cali. Da się wytrzymać, pomyślał Reacher. Zwłaszcza w tych okolicznościach. Nastawił budzik w głowie na szóstą rano. O pierwszym brzasku. Taylor zostanie albo Taylor ucieknie, ale tak czy inaczej będą go mieli na oku.

# 61

O szóstej rano z okna rozpościerał się widok na bezkresną, spowitą mgłą równinę. Aż po horyzont ziemia była płaska i szarozielona. Tylko gdzieniegdzie przecinały ją proste rowy i rosły kępy drzew. Drzewa miały wysokie giętkie pnie i okrągłe zwarte korony, żeby wytrzymać siłę wiatru. Reacher widział w oddali, jak się wyginają i kołyszą.

Na dworze było bardzo zimno. Ich samochód pokryła rosa. Reacher wytarł szyby rękawem marynarki. Nie mówiąc wiele, Wsiedli do środka. Pauling cofnęła się kilka jardów, wrzuciła pierwszy bieg i ruszyła przez parking. Przed wjazdem na drogę przyharnowała lekko, po czym skręciła na wschód, w stronę porannego słońca. Pięć mil do Bishops Pargeter. Pięć mil do Grange Farm.

. . .

Znaleźli farmę, zanim jeszcze trafili do wioski. Zajmowała teren w górnym lewym rogu skrzyżowania. Najpierw spostrzegli dom z południowego zachodu. Nie otaczało jej ogrodzenie, lecz rowy — proste, strome i głębokie. Za nimi ciągnęło się płaskie pole, równo zaorane i jasnozielone od wysianego niedawno ozimego ziarna. Bliżej środka rosło kilka drzew, które sprawiały wrażenie, jakby zasadzono je specjalnie dla celów dekoracyjnych. Za nimi stał duży dom z szarego kamienia. Większy, niż Reacher przypuszczał. Nie jakiś zamek, nie szlachecki dwór,

ale zdecydowanie bardziej imponujący od zwyczajnego wiejskiego domu. Na północny wschód od domu stało pięć budynków gospodarskich — długich, niskich i porządných. Trzy tworzyły coś w rodzaju kwadratowego dziedzińca, dwa stały osobno.

Wzdłuż drogi, którą jechali, biegł rów stanowiący południową granicę farmy. Z każdym przejechanym przez nich jardem zmieniała się perspektywa, jakby farma była obracającym się eksponatem. Okazałym i dużym. Porządnie wyprofilowana bita droga dojazdowa biegła przerzuconym nad rowem małym płaskim mostkiem, a potem prosto na północ. Sam dom stał pół mili dalej, bokiem do szosy. Drzwi frontowe wychodziły na zachód, tylne na wschód. Land-rover był zaparkowany między tylną ścianą domu i jednym ze stojących osobno budynków gospodarskich — z tej odległości niewielki, zimny, nieruchomy, pokryty rosą.

— Wciąż tam jest — powiedział Reacher.

— Chyba że ma własny samochód.

— Gdyby miał własny samochód, przyjechałby nim wczoraj do pubu.

Pauling zwolniła do kilku mil na godzinę. Wokół domu nic się nie działo. Absolutnie nic. Cienką strużkę dymu z komina rozwiewał płasko wiatr. Być może tlił się jeszcze ogień w piecu podgrzewającym wodę. W oknach nie paliły się żadne światła.

— Myślałam, że farmerzy wstają skoro świt — powiedziała Pauling.

— Tylko ci, którzy mają żywy inwentarz — odparł Reacher. — Żeby wydoić krowy i tak dalej. Ale ci tutaj prowadzą wyłącznie produkcję roślinną. Nie sądzę, żeby mieli coś do roboty między zaoraniem pól i zebraniem plonów. Siedzą chyba po prostu na przyzbie i patrzą, jak im rośnie.

— Muszą chyba spryskiwać uprawy? Powinni wyjechać na pole traktorami.

— Nie ci, którzy są zwolennikami naturalnych metod uprawy. Nie uznają żadnej chemii. Co najwyżej trochę podlewają.

— To jest Anglia. Tu bez przerwy leje.

— Nie padało, odkąd przyjechaliśmy.

— Przez osiemnaście godzin — powiedziała Pauling. —



Nowy rekord. Kiedy byłam na wymianie ze Scotland Yardem, padało przez cały czas.

Zatrzymała się, wrzuciła bieg na luz i otworzyła przyciskiem okno. Reacher zrobił to samo i do środka wpadło zimne wilgotne powietrze. Na zewnątrz panowała cisza i bezruch. Słysząc było tylko szum wiatru w koronach odległych drzew.

— Myślę, że tak kiedyś wyglądał cały świat — mruknęła Pauling.

— Tutaj mieszkał lud północy. Norfolk i Suffolk, lud północy i lud południa. Dwa starożytne królestwa. Chyba celtyckie.

Ciszę przerwał nagle strzał z dubeltówki. Odległy huk przetoczył się przez pola niczym eksplozja — niesamowicie głośny w panującej dookoła głuszy. Oboje, Reacher i Pauling, wtulili instynktownie głowy w ramiona. A potem zlustrowali wzrokiem horyzont, wypatrując dymu. Wypatrując skierowanego w ich stronę ognia.

— Taylor? — zapytała Pauling.

— Nie widzę go.

— Jeśli nie on, to kto?

— Był zbyt daleko, żeby trafić.

— Myśliwi?

— Zgaś silnik — polecił Reacher i przez chwilę pilnie nasłuchiwał. Nie usłyszał nic więcej. Żadnych odgłosów przemieszczania się ani przeładowania broni. — To był chyba odstraszacz ptaków — powiedział. — Właśnie zasiali ziarno. Nie chcą, żeby wyjadły je wrony. Mają chyba urządzenia, które przez cały dzień strzelają w różnych porach ślepakami.

— Mam nadzieję, że to tylko to.

— Jeszcze tu wrócimy — powiedział Reacher. — Poszukajmy teraz Dave'a Kempa w jego sklepie.

Pauling zapaliła silnik i ruszyła z miejsca, a Reacher obrócił się w fotelu i obserwował wschodnią część farmy. Wyglądała tak samo jak zachodnia, tyle że wszystko oglądał w odwrotnej kolejności. Najpierw drzewa przy domu, dalej płaskie pola, jeszcze dalej graniczny rów. Po chwili dotarli do północnej odnogi skrzyżowania w Bishops Pargeter, a potem do samej osady, która składała się ze stojącego samotnie w górnym

prawym rogu starodawnego kamiennego kościółka i ciągnących się naprzeciwko na odcinku pięćdziesięciu jardów zabudowań. Większość sprawiała wrażenie mieszkalnych, ale w jednym, niskim i długim, mieścił się sklep wielobranżowy, w którego skład wchodził kiosk z gazetami, artykuły spożywcze i urząd pocztowy. Ponieważ sprzedawali tam gazety i pieczywo, był już otwarty.

— Proste podejście? — zapytała Pauling.

— Zmodyfikowane — odparł Reacher.

Zaparkowała naprzeciwko sklepu, na wysypanym żwirem poboczu przy wejściu do kościoła. Wysiedli z samochodu i od razu przesył ich do szpiku kości wiejący od wschodu silny wiatr.

— Faceci, których znałem i którzy tu służyli, przysięgali, że wieje prosto z Syberii, nie napotykając niczego po drodze — powiedział Reacher.

W porównaniu z pogodą na dworze wiejski sklepik wydał się ciepły i przytulny. Stał tam jakiś gazowy podgrzewacz, który rozpyłał w powietrzu ciepłą parę. Z jednej strony znajdowało się zamknięte okienko pocztowe, z drugiej lada z gazetami. Pośrodku był dział spożywczy. Za ladą stał stary facet w zapinanym swetrze i szalu. Sortował gazety, palce miał szare od tuszu.

— Pan jest Dave Kemp? — zapytał Reacher.

— Tak się nazywam — odparł stary.

— Powiedziano nam, że można u pana zasięgnąć języka.

— W jakiej sprawie?

— Przyjechaliśmy na rekonesans.

— Rzeczywiście dość wcześnie się pojawiliście.

— Kto rano wstaje, temu Pan Bóg daje — powiedział Reacher, ponieważ użył tego zwrotu facet w Londynie i z tego względu mogło mu to przydać autentyczności.

— Czego chcecie?

— Przyjechaliśmy tutaj kupować farmy.

— Jesteście Amerykanami, prawda?

— Owszem, reprezentujemy dużą rolniczą korporację ze Stanów Zjednoczonych. Szukamy miejsc, gdzie można by zainwestować. I możemy zaoferować bardzo wysokie prowizje za pomoc w ich znalezieniu.

Proste podejście. Zmodyfikowane.

- Ile? — zapytał Kemp.
  - To na ogół jakiś procent.
  - Co to za farmy?
  - To pan nam powie. W zasadzie szukamy porządných, zadbaných gospodarstw, których stabilność własnościowa może stanąć pod znakiem zapytania.
  - Co to, u licha, ma znaczyć?
  - To znaczy, że interesują nas dobre farmy kupione ostatnio zez amatorów. Ale chcemy je kupić szybko, zanim splajtują.
  - Grange Farm — powiedział Kemp. — To cholerni amatorzy. Bawią się w naturalną uprawę roli.
  - Ta nazwa jest nam znana.
  - Powinniście umieścić ją na samym początku listy. Dokładnie tak, jak powiedzieliście. Ugryźli więcej, niż zdołają połknąć. I to pod warunkiem, że są oboje w domu. Co nie zawsze się zdarza. Akurat teraz facet od kilku dni siedzi sam. ~~jest~~ ~~jest~~ człowiek z pewnością nie da sobie rady. Zwłaszcza jeśli jest cholernym amatorem. I mają za dużo drzew. Nie zarobi pieniędzy, hodując drzewa.
  - Grange Farm to z pewnością interesująca propozycja — zgodził się Reacher. — Ale słyszeliśmy, że ostatnio ktoś się wokół niej kręci. Widziano go niedawno na terenie posiadłości. Może to konkurencja?
  - Naprawdę? — zapytał poruszony Kemp, wyczuwając nadciągający konflikt. Po chwili wydał jednak wargi i wyraźnie uspokoił. — Nie, wiem, o kogo panu chodzi. To nie jest cholerna konkurencja. To brat tej kobiety. Wprowadził się do nich.
  - Jest pan pewien? Bo to dla nas ważne, ile osób będziemy sieli przenieść.
- Kemp pokiwał głową.
- Facet przyszedł tutaj i przedstawił się. Powiedział, że skądś tam wrócił i skończyła się jego wędrówka. Wysłał paczkę do Ameryki. Lotniczą. Nie było tego dużo. Odbyliśmy całkiem miłą pogawędkę.
  - Więc jest pan pewien, że będzie tutaj dłużej mieszkał? dla nas ważne.

- Tak powiedział.
- Co wysłał do Ameryki? — zainteresowała się Pauling.
- Nie powiedział, co jest w środku. Wysłał to do hotelu w Nowym Jorku. Zaadresowane na numer pokoju, a nie do konkretnej osoby, co wydało mi się dziwne.
- Domyślił się pan, co to jest? — zapytał Reacher.
- „*Dave Kemp — powiedział farmer w barze. — Wścibski-sukinsyn*”.
- Wyglądało to na cienką książkę — powiedział Kemp. — Niewiele stron. Była owinięta gumką. Nie żebym to obmacywał czy coś.
- Nie wypełnił deklaracji celnej?
- Wysłaliśmy to jako druki. Wtedy nie trzeba wypełniać deklaracji.
- Dziękuję, panie Kemp — powiedział Reacher. — Bardzo nam pan pomógł.
- A prowizja?
- Dostanie ją pan, jeżeli kupimy farmę — odparł Reacher. *Jeżeli powąchamy kwiatki od spodu*, pomyślał i poczuł, jak przechodzi go dreszcz.

. . .

U Dave'a Kempa nie można było dostać kawy na wynos, kupili więc coca-colę i batoniki i zatrzymali się, żeby je zjeść, milę dalej na zachód, na poboczu drogi, skąd mogli obserwować frontową ścianę domu. Na farmie nadal nic się nie działo. Żadnych świateł, ta sama cienka smużka dymu, którą rozwiewał na boki wiatr.

— Dlaczego zapytałaś o tę lotniczą przesyłkę do Stanów? — zainteresował się Reacher.

— Stary nawyk — odparła Pauling. — Pytaj o wszystko, zwłaszcza kiedy nie wiesz, co jest ważne, a co nie. Ale to trochę dziwna sprawa. Facet wysiada z samolotu i od razu wysyła coś z powrotem? Co to mogło być?

— Może wysłał coś wspólnikowi — powiedział Reacher. — Może tamten jest nadal w Nowym Jorku.

— Powinniśmy zdobyć adres odbiorcy. Ale i tak bardzo dobrze się spisaliśmy. Byłeś bardzo autentyczny. I to pasuje

do twojego wczorajszego zachowania. Do całej tej fałszywej kurtuazji. Jeżeli Kemp puści farbę, Taylor dojdzie do wniosku, że jesteś jednym z tych kombinatorów, którzy próbują wykupić fermę za połowę ich wartości.

— Potrafię kłamać nie gorzej od nich — mruknął Reacher. — Niestety.

I w tym momencie się przymknął, ponieważ na farmie pół mili od nich zaczął się jakiś ruch. Otworzyły się drzwi domu. W powietrzu nadal wisiała poranna mgła, słońce świeciło po drugiej stronie domu i duży dystans znacznie ograniczał widoczność, ale udało mu się dostrzec wychodzące na zewnątrz cztery postaci. Dwie duże, jedną trochę mniejszą i jedną bardzo małą. Prawdopodobnie dwóch mężczyzn, jedna kobieta i małe dziecko. Niewykluczone, że dziewczynka.

— Wstali — powiedział.

— Widzę ich, ale bardzo niewyraźnie — rzekła Pauling. — Cztery osoby. Obudził ich pewnie odstraszcacz ptaków. Głośniejszy od koguta. To rodzina Jacksonów i Taylor, prawda? Mama, tata, Melody i jej kochany wujek.

— Z pewnością.

Wszyscy nieśli coś na ramionach. Długie proste żerdzie. Odpowiednie dla dorosłych, ale o wiele za długie dla dziewczynki.

— Co oni robią? — zapytała Pauling.

— To motyki — odparł Reacher. — Idą na pole.

— Żeby pielić chwasty?

— To naturalna uprawa. Nie mogą używać herbicydów.

Mała grupka ruszyła na północ, oddalając się od drogi. Po chwili widać było tylko ginące we mgle sylwetki, bardziej podobne do duchów niż do ludzi z krwi i kości.

— Taylor zostaje — powiedziała Pauling. — Prawda? Musi zostać. Nie wychodzi się z siostrą na pole, żeby oczyścić je z chwastów, jeśli ma się zamiar dać dyla.

Reacher pokiwał głową.

— Zobaczyliśmy dosyć. Zadanie wykonane. Wracajmy do Londynu i zaczekajmy na Lane'a.

W drodze do Londynu trafili na poranną godzinę szczytu. Wyglądało na to, że na przestrzeni setek mil Anglia dzieli się wyłącznie na Londyn i na obsługujące Londyn sypialnie. Miasto było niczym przyciągający wszystko gigantyczny magnes. Według atlasu Reachera M-II była zaledwie jedną z około dwudziestu promienistych arterii, które karmiły metropolię. Domyślał się, że wszystkie są równie zatłoczone, wypełnione płynącymi powoli krwinkami, które zostaną wydalone z powrotem pod koniec dnia. Dzienny przerób. Nigdy nie pracował od dziewiątej do piątej, nigdy nie jeździł do pracy. Czasami dziękował za to losowi. To była jedna z tych chwil.

Pracujący twardo drażek skrzyni biegów był w tych warunkach bardzo uciążliwy. Po dwóch godzinach jazdy zjechali na bok i Reacher, mimo że nie był ubezpieczony i wymieniony w dokumentach wynajmu, zamienił się miejscami z Pauling. Wydawało się to drobnym wykroczeniem w porównaniu z tym, co planowali później. Jeździł już po Wielkiej Brytanii wcześniej, przed wielu laty, dużą brytyjską limuzyną należącą do armii amerykańskiej. Ale teraz na drogach panował większy ruch. Miał wrażenie, jakby cała wyspa była szczelnie zapakowana. Po chwili przypomniał sobie jednak Norfolk. Tamto hrabstwo było puste. To był prawdziwy problem. Kraj był albo pełny, albo pusty. Bez stanów średnich. Co, jak mu się wydawało,

było nietypowe dla Brytyjczyków. Normalnie byli mistrzami ^tnpromisu. Mieszkali w krainie stanów średnich.

Dojeżdżając do obwodnicy M-25, uznali, że nie warto prowokować losu. Postanowili objechać Londyn w kierunku przeciwnym do ruchu wskazówek zegara i dotrzeć do West Endu łatwiejszą trasą. Ale również M-25 przypominała w dużym stopniu parking.

— Jak ludzie to codziennie wytrzymują? — zapytała Pauling.

W Houston i Los Angeles jest tak samo — odparł cher.

— To by wyjaśniało, dlaczego Jacksonowie uciekli na wieś.

— Chyba tak.

Samochody sunęły powoli do przodu, krążąc estakadami woda wirująca wokół odpływu w wannie, aż do chwili kiedy porywał je nieubłagany prąd wsysający wszystko do miasta.

Przejechali przez St John's Wood, gdzie mieściły się studia Abbey Road, minęli Regents Park, Marylebone, Baker Street, gdzie mieszkał Sherlock Holmes, ponownie Marble Arch i wjechali w Park Lane. Hotel Hilton stał przy południowym skraju ulicy, nieopodal naprawdę światowej klasy koszmaru automobilisty, jakim jest Hyde Park Corner. Za kwadrans jedenasta zaparkowali w płatnym podziemnym garażu. Mniej więcej godzinę przed spodziewanym pojawieniem się Lane'a i jego ludzi.

— Masz ochotę na lunch? — zapytała Pauling.

- Nie mogę jeść — odparł. — Jestem zbyt spięty.

— Czyli jednak jesteś człowiekiem.

— Mam wrażenie, jakbym przekazywał Taylora w ręce kata.

- Zasłużył na to, żeby umrzeć.

— Wolałbym to zrobić sam.

— Więc złóż mu propozycję.

- To nie wystarczy. Lane chce poznać nazwisko współnika. Nie mam ochoty osobiście torturować Taylora, żeby je podał.

— Zatem zrezygnuj.

— Nie mogę. Chcę, żeby spotkała go kara za to, co zrobił Kate i Jade, i chcę pieniędzy dla Hobarta. Nie ma innego sposobu, żeby osiągnąć jedno i drugie. Poza tym zawarliśmy umowę z twoim kumplem z Pentagonu. On się wywiązał, ja też muszę się wywiązać. Ale biorąc to wszystko pod uwagę, chyba daruję sobie lunch.

— Gdzie chcesz, żebym była? — zapytała Pauling.

— W holu hotelu. Obserwuj. Potem wynajmij sobie pokój gdzieś indziej. Zostaw mi list w recepcji Hiltona. Na nazwisko Bayswater. Zabiorę Lane'a do Norfolk, Lane zajmie się Taylorem, a ja zajmę się Lane'em. Potem wrócę i skontaktuję się z tobą. Nie wiem dokładnie kiedy. Wybierzemy się gdzieś razem. Może do łaźni. Do rzymskiej łaźni. Żeby zmyć z siebie cały ten brud.



Minęli salon samochodowy z fabrycznie nowymi egzemplarzami takiego samego mini coopera, którym podróżowali. Minęli dyskretne, umieszczone w głębi wejście do luksusowego apartamentowca i wspięli się po kilku betonowych schodkach do holu hotelu. Pauling skierowała się ku stojącym trochę dalej fotelom, Reacher podszedł do recepcji. Stał w kolejce. Obserwował przez chwilę recepcjonistów, którzy rozmawiali przez telefon i obsługiwali komputery. Na szafkach za nimi stały kserokopiarki. Wyżej wisiała mosiężna tabliczka z napisem: *Kopiowanie pewnych dokumentów jest zakazane z mocy prawa*. Na przykład kopiowanie banknotów, pomyślał. Należało tego zabronić, ponieważ nowoczesne kserokopiarki są po prostu zbyt dobre. Nad szafkami wisiał rząd zegarów nastawionych na różne światowe czasy, od Tokio do Los Angeles. Porównał nowojorski zegar z tym, który chodził w jego głowie. Godzina się zgadzała. A potem stojąca przed nim osoba skończyła załatwiać swoją sprawę i Reacher podszedł do recepcjonisty.

— Edward Lane i osoby towarzyszące — powiedziała. — Czy już się zameldowali?

Facet postukał w klawiaturę.



— Jeszcze nie, proszę pana.

— Czekam na nich. Kiedy tu dotrą, proszę im powiedzieć, że siedzę w holu.

— Pańskie nazwisko?

— Taylor — odparł Reacher, po czym odszedł.

Ominąwszy najbardziej zatłoczone miejsca, znalazł sobie cichy kącik. Miał zamiar przeliczyć osiemset tysięcy dolarów gotówką i nie chciał tego robić na oczach tłumu. Siadł na jednym z czterech ustawionych w kręgu foteli. Wiedział z doświadczenia, że nikt nie będzie próbował się do niego dosiąść. Nikt tego nigdy nie robił. Reacher wysyłał oddziałujące na podświadomość sygnały „trzymaj się z daleka” i zdrowi na umyśle ludzie czuli przed nim respekt. Już teraz jakaś siedząca w pobliżu rodzina nieufnie mu się przyglądała. Matka z dwójkiem dzieci, która przyleciała prawdopodobnie wczesnym lotem i czekała, aż ich pokój będzie gotów. Matka wyglądała na zmęczoną, dzieciaki były marudne. Rozpakowała połowę bagaży, żeby ich czymś zająć. Zabawki, książeczki do kolorowania, podniszczone pluszowe misie, lalka bez jednej ręki, gry video na baterie. Słyszał składane przez nią bez przekonania propozycje spędzenia wolnego czasu: Może byście zrobili to? może byście zrobili tamto? Może byście tak narysowali coś, co niedługo zobaczymy? Jak podczas psychoterapii.

Odwrócił się i zaczął obserwować drzwi. Ludzie przez cały czas wchodzili do środka. Jedni znużeni podróżą, inni rześcy, tryskający energią. Jedni z górami bagaży, inni z samymi teczkami. Reprezentowali wszelkie możliwe narodowości. Obok niego jeden dzieciak rzucił misiem w głowę drugiego i chybił. Miś poturlał się po podłodze i uderzył w stopę Reachera, który pochylił się i go podniósł. Pluszak nie miał prawie nic w środku. Odrzucił go z powrotem. Usłyszał, jak matka proponuje, żeby dzieci zajęły się kolejną bezsensowną czynnością. Może byście zrobili to? Może byście się tak, do diabła, przymknęli, i usiedli jak normalni ludzie, pomyślał.

Popatrzył ponownie w stronę drzwi i zobaczył, jak wchodzi przez nie Perez. A potem Kowalski. Za nimi Edward Lane we własnej osobie, trzeci w kolejności. Następnie Gregory, Groom,

Addison i Burke. Z walizkami na kółkach, marynarskimi workami, torbami frakowymi. W džinsach, sportowych marynarkach, czarnych nylonowych kurtkach, czapkach baseballowych, tenisówkach. Kilku miało ciemne okulary, inni słuchawki z wystającym z nich małym drucikiem. Zmęczeni po nocnym locie. Trochę wymięci i zdrętwiali. Mimo to czujni, uważni i skoncentrowani. Wyglądali dokładnie jak grupa podróżujących incognito żołnierzy sił specjalnych.

Patrzył, jak stają w kolejce do recepcji. Patrzył, jak czekają. Jak przestępują z nogi na nogę. Jak podchodzą do recepcjonisty. Jak ten przekazuje Lane'owi wiadomość. Patrzył, jak Lane obraca się i lustruje wzrokiem salę. Jego oczy przesunęły się po Pauling, nie zatrzymując się. Przesunęły się po marudnych dzieciakach i ich matce. I zatrzymały się na twarzy Reachera. Lane kiwnął głową. Reacher zrobił to samo. Gregory wziął klucze od recepcjonisty, cała siódemka złapała ponownie za bagaże i ruszyła przez hol. Przecisnęli się przez tłum i stanęli przy ustawionych w kręgu czterech fotelach. Lane postawiła na podłodze jedną torbę i usiadł z drugą naprzeciwko Reachera. Gregory usiadł obok niego, a ostatni fotel zajął Carter Groom. Kowalski, Perez, Addison i Burke stanęli dookoła, Burke i Perez odwrócenii do nich plecami. Czujni, uważni, skoncentrowani i ostrożni.

— Pokaż pieniądze — powiedział Reacher.

— Powiedz, gdzie jest Taylor — odparł Lane.

— Najpierw ty.

— Wiesz, gdzie on jest?

Reacher pokiwał głową.

— Wiem, gdzie on jest. Widziałem go dwa razy. Wczoraj wieczorem i dzisiaj rano. Kilka godzin temu.

— Jesteś dobry.

— Wiem.

— Więc powiedz mi, gdzie on jest.

— Najpierw pokaż pieniądze.

Lane nie odpowiedział. W ciszy, która zapadła, Reacher usłyszał głos udręczonej matki: Narysujcie pałac Buckingham.

— Dzwoniłeś do kilku londyńskich prywatnych detekty-

wów — powiedział. — Za moimi plecami. Próbowaleś mnie wyprzedzić.

— Każdy ma prawo oszczędzić sobie zbędnych wydatków — oświadczył Lane.

— Udało ci się mnie wyprzedzić?

— Nie.

— W takim razie wydatek nie jest zbędny.

— Chyba nie.

— Więc pokaż mi pieniądze.

— Dobrze — odparł Lane. — Pokażę ci pieniądze.

Zsunął torbę z kolan, postawił ją na podłodze i rozsunął zamek błyskawiczny. Reacher zerknął w prawo. Zerknął w lewo. Zobaczył, że jeden z dzieciaków ma zamiar znowu rzucić sponiewieranym misiem. Zobaczył, jak widząc spojrzenie Lane'a kurczy się i cofa do matki.

Przesunął się do przodu w fotelu i pochylił. W torbie było pełno pieniędzy. Jedna z beli z W-Town, świeżo otwarta, w dużej części opróżniona.

— Nie było żadnych problemów na lotnisku? — zapytał.

— Prześwietlili to i nikt się nie czepiał — powiedział Lane. — Możesz zawieźć spokojnie tę forszę do domu. Ale najpierw musisz ją zarobić.

Reacher odsunął na bok rozerwany plastik i wsunął palec pod jedną z banderoli. Była mocno napięta. A zatem obejmowała pełną liczbę banknotów. W torbie były cztery równe stosy po dwadzieścia plików. Razem osiemdziesiąt plików, liczba parzysta. Sto setek w każdym pliku. Osiemdziesiąt razy sto razy sto dawało osiemset tysięcy.

Jak na razie nieźle.

Unióśł skraj jednego z banknotów i potarł go między palcami. Zerknął na mosiężną tabliczkę nad kserokopiarkami. *Kopowanie pewnych dokumentów jest zakazane z mocy prawa.* Ale nie zostały skopiowane. Były prawdziwe. Czuł wypukłe tłoczenia, czuł zapach papieru i tuszu. Nie do podrobienia.

— Dobrze — powiedział i odchylił się do tyłu w fotelu.

Lane pochylił się i zamknął torbę.

— Gdzie on jest? — zapytał.

— Najpierw musimy porozmawiać — odparł Reacher.  
— Robisz sobie chyba jaja.  
— Są tam cywile. Niewinni ludzie. Niebędący stroną w tej wojnie. Rodzina.

— I co z tego?

— Nie mogę pozwolić, żebyście wpadli tam jak banda szaleńców. Nie może dojść do strat wśród postronnych osób.

— Nie będzie żadnych strat.

— Muszę mieć pewność.

— Masz moje słowo.

— Twoje słowo jest gównem — stwierdził Reacher.

— Nie będziemy strzelać — oznajmił Lane. — Powiedzmy to sobie wyraźnie. Kula to zbyt łatwe rozwiązanie dla Taylora. Wejdziemy tam, dorwiemy go i zabierzemy, tak że włos nie spadnie z głowy jemu ani nikomu innemu. Ponieważ tak właśnie chcę to przeprowadzić. Chcę, żeby był w jednym kawałku. Chcę, żeby był zdrow i cały, w pełni świadomy i w pełni wszystko odczuwał. Powie nam, kim był jego współnik, a potem umrze. Długą, powolną i paskudną śmiercią. Trwającą tydzień albo dwa. Więc strzelanina nie jest dla mnie dobra. Nie dlatego, żebym przejmował się losem postronnych osób, to prawda. Ale ponieważ nie chcę, żeby coś przytrafiło się Taylorowi. Byłbym wściekły, gdyby tak łatwo mu się upiekło. Masz na to moje słowo.

— W porządku — powiedział Reacher.

— To gdzie on jest?

Reacher przez chwilę milczał. Pomyślał o Hobarcie, o Birmingham w Alabamie, a także o Nashville w Tennessee, o trzymających sztuczne kończyny sympatycznych siwych lekarzach w białych fartuchach.

— Jest w Norfolku — powiedział.

— Gdzie to jest?

— To hrabstwo, na północnym wschodzie. Mniej więcej sto dwadzieścia mil stąd.

— Gdzie w Norfolku?

— W miejscu, które nazywa się Grange Farm.

— Mieszka na farmie? — zdziwił się Lane.

— To płaski kraj — powiedział Reacher. — Jak stół bilar-dowy. Poprzecinany rowami. Łatwy do obrony.

— Najbliższe duże miasto?

— Farma leży mniej więcej trzydzieści mil na południowy zachód od Norwich.

— Najbliższe miasteczko?

Reacher nie odpowiedział.

— Najbliższe miasteczko? — powtórzył Lane.

Reacher zerknął w stronę recepcji. *Kopiowanie pewnych dokumentów jest zakazane z mocy prawa.* Popatrzył na pracującą kserokopiarkę, upiorny pasek zielonego światła jeżdżący tam i z powrotem pod pokrywą. Zerknął na udręczoną matkę i przypomniał sobie jej głos. Może byście tak narysowali coś, co tu obejrzymy? Spojrzał na pozbawioną ręki lalkę. Przypomniał sobie, co usłyszał od Dave'a Kempa w wiejskim sklepiku. Wyglądało to na cienką książkę. Niewiele stron. Była owinięta gumką. Przypomniał sobie leciutkie, prawie nieodczuwalne uderzenie, kiedy podniszczony pluszowy miś poturlał się po podłodze i wylądował na jego bucie.

— Reacher? — powiedział Lane.

Reacher przypomniał sobie głos Lauren Pauling. Czasami wystarcza niewielkie podobieństwo. Przy wyjeździe nie przyglądają się zdjęciu tak uważnie jak przy powrocie.

— Reacher? — powtórzył głośniejszym głosem Lane. — Halo? Jakie jest najbliższe miasteczko?

Reacher odwrócił powoli i ostrożnie wzrok od recepcji i spoj-rzał mu prosto w oczy.

— Najbliższe miasteczko nazywa się Fenchurch Saint Ma-ry — powiedział. — Pokażę wam, gdzie dokładnie leży. Bądźcie gotowi do wyjazdu za godzinę. Przyjdę po was.

Następnie wstał i użył całej siły woli, żeby przejść powoli przez hol. Jedna noga przed drugą. Lewa, potem prawa. Na-wiązał kontakt wzrokowy z Pauling. Wyszedł przed hotel. Zszedł po betonowych schodach. Dotarł do chodnika. Po czym pobiegł jak szalony do podziemnego parkingu.

Ponieważ to on zaparkował samochód, wciąż miał przy sobie kluczyki. Otworzył drzwi pilotem z odległości trzydziestu stóp, wskoczył do środka, przekręcił kluczyk w stacyjce i wrzucił wsteczny bieg. Wciskając gaz do dechy, wyjechał z miejsca parkingowego, zahamował ostro, zakręcił kierownicą i z piskiem dymiących opon ruszył do przodu. Rzucił dziesięciofuntowy banknot parkingowemu i nie czekając na resztę, pognał pochylnią, kiedy tylko szlaban uniósł się pod kątem czterdziestu pięciu stopni. Wyjechał z parkingu, przeciął dwa pasy ruchu i widząc biegnącą do niego Pauling, zatrzymał się przy przeciwnym krawężniku. Otworzył jej drzwi i kiedy wślizgnęła się do środka, ruszył dalej, nie czekając, aż zamknie drzwi.

— Północ — zawołał. — Którędy na północ?

— Na północ? Północ jest za nami — odpowiedziała. — Objedź rondo.

Hyde Park Corner. Reacher przejechał przez dwa czerwone światła, przeskakując mini cooperem niczym elektrycznym samochodzikiem z jednego pasa na drugi. Okrążył całe rondo i wyjechał z powrotem na Park Lane, pędząc ponad sześćdziesiąt mil na godzinę. Praktycznie na dwóch kołach.

— Dokąd teraz? — zapytał.

— Co się, do diabła, dzieje?

— Po prostu wyprowadź mnie z centrum.

— Nie wiem jak.

— Zajrzyj do atlasu. Jest tam plan miasta.

Reacher wyprzedzał autobusy i taksówki. Pauling gorączkowo przewracała kartki atlasu.

— Jedź prosto — powiedziała.

— To droga na północ?

— Dojedziemy do niej.

Przemknęli z rykiem silnika przez Marble Arch. Na całej długości Marylebone Road mieli zielone światła. W końcu dotarli do Maida Vale. Reacher zwolnił i chyba po raz pierwszy od pół godziny głębiej odetchnął.

— Gdzie teraz?

— Co się stało, Reacher?

— Po prostu mów, jak mam jechać.

— Skręć w prawo w St John's Wood Road — powiedziała. — Zbliżymy się wtedy znowu do Regent's Park. A potem skręć w lewo i wyjeżdż tą samą trasą, którą wjechaliśmy. I proszę, powiedz mi dokładnie, co się dzieje.

— Popełniłem błąd — przyznał Reacher. — Pamiętasz, jak mówiłem, że nie mogę się pozbyć wrażenia, że popełniam fatalny błąd. Nie miałem racji. To nie był fatalny błąd. To był katastrofalny błąd. To największy błąd, jaki popełniono kiedykolwiek w historii kosmosu.

— Jaki błąd?

— Opowiedz mi o fotografiach w swoim mieszkaniu.

— Co ci mam opowiadać?

— To twoje siostrzenice i siostrzeńcy, prawda?

— Mam ich dużo — odparła Pauling.

— Dobrze ich znasz?

— Dość dobrze.

— Spędzasz z nimi czas?

— Dużo czasu.

— Opowiedz mi o ich ulubionych zabawkach.

— Zabawkach? Tak naprawdę niewiele wiem o ich zabawkach. Konsole X-box, gry wideo, bo ja wiem co jeszcze... Zawsze jest coś nowego.

— Nie chodzi mi o nowe rzeczy. Chodzi mi o ich stare ulubione zabawki. Opowiedz o ich ulubionych zabawkach.

Co starałyby się uratować z płonącego domu? Kiedy miały osiem lat?

— Kiedy miały osiem lat? Chyba pluszowego misia albo lalkę. Coś, co miały, odkąd były małe.

— Właśnie — mruknął Reacher. — Coś, co dodaje otuchy, coś znajomego. Coś, co kochają. Coś, co chciałyby zabrać ze sobą w podróż. Tak jak te dzieciaki, które siedziały obok mnie w hotelu. Matka wyjęła im z walizki wszystkie rzeczy, żeby były grzeczne.

— I co z tego?

— Jak wyglądają te zabawki?

— Chyba jak normalne misie i lalki.

— Nie, później. Kiedy dzieciaki mają osiem lat.

— Kiedy mają osiem lat? Dostały je o wiele wcześniej. Wyglądają jak śmieci.

Reacher pokiwał głową za kierownicą.

— Misie nieco wytarte, z wyleniałym futerkiem, lalki połamane, bez rąk albo nóg.

— Tak, właśnie tak. Wszystkie dzieciaki mają takie zabawki.

— Jade nie miała. Tego właśnie brakowało w jej pokoju. Były tam nowe misie i nowe lalki. Niedawno kupione rzeczy, do których się nie przywiązała. Nie było starych i ulubionych.

— Co chcesz przez to powiedzieć?

— Chcę powiedzieć, że gdyby Jade została porwana w drodze do Bloomingdale'a w normalny zwykły ranek, znalazłbym w jej pokoju wszystkie ulubione stare zabawki. Ale nie znalazłem ich.

— I co to znaczy?

— To znaczy, że Jade wiedziała, że wyjeżdża. To znaczy, że się spakowała.

. . .

Przy Regent's Park Reacher skręcił w lewo i ruszył na północ w stronę M-1, którą miał zamiar dojechać do obwodnicy M-25. Teraz jechał trochę spokojniej. Nie chciał, żeby aresztowali go policjanci z angielskiej drogówki. Nie miał na to czasu. Uznał, że ma w tym momencie dwie godziny przewagi nad Edwardem



Lane'em. Mniej więcej po godzinie Lane zorientuje się, że został wystrychnięty na dudka, kolejną godzinę zajmie mu wynajęcie samochodu i zorganizowanie pościgu. Zatem dwie godziny. Reacher wolałby więcej, ale uznał, że dwie godziny powinny wystarczyć.

Powinny.

— Jade się spakowała? — zapytała Pauling.

— Kate również się spakowała — powiedział.

— Co spakowała Kate?

— Tylko jedną rzecz. To, co miała najcenniejszego. Najpiękniejsze wspomnienie. Swoją fotografię z córką. Z sypialni. Jedną z najpiękniejszych fotografii, jakie kiedykolwiek widziałem.

Pauling przez chwilę milczała.

— Ale przecież ją widziałeś — rzekła. — Nie zabrała jej.

Reacher potrząsnął głową.

— Widziałem fotokopię. Zrobioną w Staples, na cyfrowej kopiarce laserowej, za dwa dolary odbitka. Przyniosła ją do domu i wstawiła w ramkę. Była bardzo dobra, ale nie dość dobra. Trochę zbyt żywe kolory, trochę zbyt rozlane kontury.

— Ale kto się pakuje przed porwaniem? To znaczy, kto ma szansę się spakować?

— One nie zostały porwane — odparł Reacher. — W tym rzecz. Zostały uratowane. Wyzwolone. Uwolnione. I gdzieś Żyją. Całe, zdrowe i szczęśliwe. Może trochę spięte. Ale wolne jak ptaki.



Jechali dalej, powoli, ale ze stałą szybkością przez północne obrzeża Londynu, przez Finchley, Swiss Cottage, w kierunku Hendon.

— Kate uwierzyła Dee Marie — rzekł Reacher. — Oto co się stało. Tam w Hamptons. Dee Marie opowiedziała, co się stało z Anne, i ostrzegła ją, a Kate jej uwierzyła. Jak mówiła Patti Joseph, coś w tej historii i coś w jej mężu sprawiło, że Kate Uwierzyła. Może zaczęła odczuwać to samo, co Anne odczuwała Pięć lat wcześniej. Może miała zamiar pójść tą samą drogą.

- Wiesz, co to znaczy? — zapytała Pauling.
  - Oczywiście, że wiem.
  - Taylor im pomógł.
  - Oczywiście, że im pomógł.
  - Pomógł im, ukrył je, zapewnił im opiekę i ryzykował dla nich życie. Jest porządnym człowiekiem, nie draniem.
- Reacher pokiwiał głową.
- A ja właśnie powiedziałem Lane'owi, gdzie się ukrywa.

Przejechali przez Hendon, pokonali ostatnie londyńskie rondo i wjechali na autostradę M-1 przy jej południowym krańcu. Reacher wdepnął gaz do dechy i mały mini cooper pomknął z szybkością dziewięćdziesięciu pięciu mil na godzinę.

- A pieniądze? — zapytała Pauling.
- Alimenty — odparł Reacher. — To jedyny sposób, żeby Kate kiedykolwiek je dostała. Myśleliśmy, że to połowa honorarium za Burkina Faso, i rzeczywiście tak było, ale w oczach Kate była to również połowa ich wspólnego majątku. Połowa kapitału Lane'a. Miała do niego prawo. Prawdopodobnie wniosła jakieś pieniądze w to małżeństwo. Do tego najwyraźniej potrzebne były Lane'owi żony. Poza tym, że mógł się nimi popisywać.
- Szatański plan — stwierdziła Pauling.
- Uważali zapewne, że to jedyny sposób. I chyba mieli rację.
- Ale popełnili błędy.
- Oczywiście. Jeśli chcesz naprawdę zniknąć, nie możesz ze sobą niczego zabierać. Absolutnie niczego. Bo skutki mogą być fatalne.
- Kto pomógł Taylorowi?
- Nikt.
- Miał amerykańskiego wspólnika. Do rozmów przez telefon.
- To była sama Kate. Miałaś rację przed kilku dniami. Z tego przetwornika głosu korzystała kobieta. Ale nie Dee Marie. To była sama Kate. Musiała. Stanowili zespół. Współ-

pracowali ze sobą. Ona wzięła na siebie rozmowy telefoniczne, bo Taylor nie mógł tego zrobić. Nie było to dla niej łatwe. Za każdym razem, kiedy Lane chciał usłyszeć jej głos, musiała zdjąć urządzenie ze słuchawki, a potem nakładać je z powrotem.

— Naprawdę powiedziałaś Lane'owi, gdzie jest Taylor?

— Tak jakbym powiedział. Nie powiedziałem Bishops Pargeter. W ostatniej chwili ugryzłem się w język. Powiedziałem zamiast tego Fenchurch Saint Mary. Ale to niedaleko. I powiedziałem już wcześniej, w jakim to hrabstwie: Norfolk. Powiedziałem, że to trzydzieści mil od Norwich. I wymieniłem nazwę Grange Farm. Na pewno zdoła ją zlokalizować. W dwie minuty, z odpowiednią mapą.

— Mamy nad nim przewagę.

— Co najmniej dwóch godzin.

Pauling przez chwilę milczała.

— Co? — zapytał.

— Mamy nad nimi przewagę dwóch godzin w tej chwili. Ale to może się zmienić. Jedziemy okrężną trasą, bo nie znamy dobrze angielskich dróg.

— On też ich nie zna.

— Ale zna je Gregory.

. . .

Reacher minął siedem zjazdów na M-1, boleśnie świadom tego, że droga prowadzi na północny zachód, nie na północny wschód. Potem minął sześć zjazdów na obwodnicy M-25 i dopiero wtedy skręcił na autostradę M-11. Wszystko to było stratą czasu. Jeżeli Gregory pojechał z Lane'em przez centrum Londynu prosto do południowego krańca M-11, ich dwugodzinna przewaga mogła stopnieć do zera.

— Powinniśmy zatrzymać się i uprzedzić ich telefonicznie. Znasz numer — powiedziała Pauling.

— Za duże ryzyko — odparł Reacher. — Przy szybkości, jaką rozwija się na autostradzie, dużo czasu zajmie nam zjazd, zaparkowanie, odnalezienie telefonu, który działa, sama rozmowa i powrót na autostradę. Mnóstwo czasu przy brytyjskich szybkościach. A jeżeli nikt nie odbierze? Może nadal są na

polu i piałą chwasty. Będziemy bez końca próbowali się do nich dodzwonić.

— Musimy ich jakoś ostrzec. Musimy pamiętać o siostrze Taylora. I o Melody.

— Susan i Melody są całkowicie bezpieczne.

— Jak możesz tak mówić?

— Zastanów się, gdzie są Kate i Jade.

— Nie mam pojęcia, gdzie są.

— Owszem, wiesz — odparł Reacher. — Wiesz dobrze, gdzie są. Widziałas je dziś rano.

## 64

Zjechali z autostrady w Newmarket i ruszyli jednopasmową szosą do Norwich. Ta droga była im co prawda znana, ale nie zwiększyło to tempa, w jakim się poruszali. Monotonna jazda, bez żadnych widocznych rezultatów. Bezchmurne niebo, wysmagane do czysta przez wiatr.

— Pomyśl o dynamice całej sytuacji — powiedział Reacher. — Dlaczego Kate miałyby prosić Taylora o pomoc? Jak mogła prosić kóregokolwiek z nich o pomoc? Wszyscy są chorobliwie wierni Lane'owi. Czy Knight pomógł Anne? Kate dowiedziała się właśnie, co się z nią stało. Dlaczego miałyby zwrócić się z głupia frant do kóregoś z zabójców Lane'a i zapytać: Hej, może chciałbyś mi pomóc wydostać się z tego szamba? Masz ochotę wystawić do wiatru swojego szefa? Pomożesz mi ukraść jego pieniądze?

— Już wcześniej coś ich łączyło — mruknęła Pauling.

Reacher pokiwał głową za kierownicą.

— Tylko tak to można wytłumaczyć. Mieli ze sobą romans. Może już od dawna.

— Z żoną dowódcy? Hobart powiedział, że żaden żołnierz nie pozwoliłby sobie na coś takiego.

— Powiedział, że żaden amerykański żołnierz nie pozwoliłby sobie na coś takiego. Może u Brytyjczyków wygląda to inaczej. Świadczyły o tym pewne rzeczy. Carter Groom, kórego wrażliwość emocjonalna jest na poziomie nogi stołowej, po-

wiedział, że Kate lubiła Taylora i że Taylor dobrze dogadywał się z małą.

— Pojawienie się Dee Marie musiało stanowić coś w rodzaju katalizatora.

Reacher ponownie pokiwał głową.

— Kate i Taylor ułożyli plan i wcielili go w życie. Ale najpierw musieli wtajemniczyć Jade. Może uważali, że jeżeli tego nie zrobią, mała dozna prawdziwego szoku. Kazali jej obiecać, że nic nikomu nie powie, jeśli można tego w ogóle wymagać od ośmioletniej dziewczynki. I mała spisała się całkiem dobrze.

— Co jej powiedzieli?

— Że miała już jednego zastępczego tatusia, a teraz będzie miała następnego. Że mieszkała już w jednym nowym miejscu, a teraz zamieszka w następnym.

— Niełatwo zachować to w sekrecie.

— Jade nie zachowała tego do końca w sekrecie — odparł Reacher. — Zamartwiała się tym. Próbowwała oswoić się z tą myślą poprzez rysunki. Może taki miała zwyczaj. Może matki zawsze mówią: narysuj obrazek czegoś, co niedługo zobaczysz.

— Jaki obrazek?

— W jej pokoju były cztery obrazki. Na jej biurku. Kate nie przejrzała dość dokładnie jego zawartości. A może myślała, że to zwyczajne bazgroły. Na jednym z nich był duży szary budynek z rosnącymi przed nim drzewami. Z początku myślałem, że to Dakota Building widziany z Central Parku. Teraz wydaje mi się, że to Grange Farm. Musieli pokazać jej zdjęcia, żeby ją przygotować. Całkiem wiernie narysowała drzewa. Cienkie proste pnie, okrągłe korony. Żeby wytrzymać podmuchy wiatru. Niczym jasnozielone lizaki na brązowych patykach. I był tam obrazek rodziny. Myślałem, że facetem jest oczywiście Lane. Ale coś było nie tak z jego ustami. Jakby ktoś wybił mu połowę zębów. Więc to nie był Lane. To był naturalnie Taylor. Fatalny stan uzębienia. Jade prawdopodobnie to fascynowało. Narysowała swoją nową rodzinę. Taylora, Kate i siebie. Żeby oswoić się z tą myślą.

— Myślisz, że Taylor sprowadził je tutaj do Anglii?

— Moim zdaniem Kate chciała, żeby to zrobił. Może go nawet o to błagała. Potrzebowali bezpiecznej przystani. Gdzieś bardzo

daleko. Poza zasięgiem Lane'a. I mieli romans. Nie chcieli być oddzielnie. Jeżeli Taylor miał tu być, Kate chciała być razem z nim. Jade narysowała trzy osoby w samolocie. To była podróż, którą miała odbyć. A potem narysowała razem dwie rodziny. Jakby dwoiło jej się w oczach. Nie miałem pojęcia, co to znaczy. Ale teraz jestem skłonny sądzić, że to byli Jackson i Taylor, Susan i Kate, Melody i Jade. Jej nowa sytuacja. Nowa poszerzona rodzina. Z którą będzie żyła długo i szczęśliwie w Grange Farm.

— Jedno się nie zgadza — powiedziała Pauling. — Ich paszporty zostały w szufladzie.

— To było prymitywne — stwierdził Reacher. — Nie sądzisz? Na pewno przeszukałaś w życiu z tysiąc biurków. Widziałaś kiedyś paszporty leżące samotnie w szufladzie? W ostentacyjny sposób wystawione? Ja nigdy. Zawsze są wciśnięte gdzieś między inne papiery. Zostawienie ich w ten sposób było swoistym komunikatem. Hej, jesteśmy nadal w kraju. Co oznaczało, że tak naprawdę już ich tam nie ma.

— Jak można wyjechać z kraju bez paszportu?

— Nie można. Ale sama kiedyś powiedziałaś, że przy wyjeździe nie zwracają dużej uwagi na zdjęcie. Powiedziałaś, że czasami wystarczy niewielkie podobieństwo.

Pauling przez chwilę milczała.

— Wyjechały na cudzych paszportach? — zapytała.

— Czy jest ktoś, kogo znamy i pod kogo mogły się podszyć? Trzydziestoletnia kobieta i ośmioletnia dziewczynka?

— Susan i Melody — odparła Pauling.

— Dave Kemp powiedział nam, że Jackson jest sam na fermie. Jest sam, ponieważ Susan i Melody poleciały do Stanów. Wbito im prawidłowe stemple wjazdowe. A potem oddały swoje paszporty Kate i Jade. Może stało się to w mieszkaniu Taylora. Przy obiedzie. W trakcie skromnej ceremonii. Następnie Taylor zarezerwował bilety w British Airways. W samolocie siedział obok jakiejś Brytyjki. Wiemy to na pewno. Dam głowę, że na liście pasażerów figurowała jako pani Susan Jackson. I dam głowę, że obok niej siedziała mała brytyjska dziewczynka, Melody Jackson. Jednak w rzeczywistości to były Kate i Jade Jackson.

— Ale to znaczy, że Susan i Jade ugrzęzły w Stanach.  
— Chwilowo — odparł Reacher. — Co Taylor wysłał pocztą lotniczą?

— Cienką książeczkę. Niewiele stron. Owiniętą gumką.

— Kto owija gumką cienką książeczkę? W rzeczywistości to były dwie bardzo cienkie książeczki. Dwa złożone razem paszporty. Wysłane do pokoju hotelowego w Nowym Jorku, w którym czekają na nie Susan i Melody.

— Ale w paszportach nie będzie teraz następnych stempli wjazdowych. Przy wyjeździe nie będzie potwierdzenia, że wjechały.

Reacher pokiwał głową.

— To jest pewna niezgodność. Ale co mają z tym zrobić na lotnisku Kennedy'ego? Deportować je? Dokładnie tego chcą. Czyli tak czy owak wrócą do domu.

— Siostry — powiedziała Pauling. — W całej tej historii mamy do czynienia z lojalnością sióstr. Patti Joseph, Dee Marie Graziano, Susan Jackson.

Reacher jechał dalej. Nie odezwał się ani słowem.

— Niewiarygodne — dodała Pauling. — Dziś rano widzieliśmy Kate i Jade.

— Wychodzące z motykami w pole — powiedział Reacher. — Zaczynające nowe życie.

A potem trochę przyspieszył, ponieważ droga się poszerzyła i wjechali na obwodnicę wokół miasta Thetford.



John Gregory również wdepnął mocniej gaz. Siedział za kierownicą wynajętej ciemnozielonej, siedmioosobowej terenowej toyoty land cruiser. Na fotelu pasażera siedział obok niego Edward Lane. Za nimi ramię przy ramieniu siedzieli Kowalski, Addison i Carter Groom. Burke i Perez przycupnęli na rozkładanych siedzeniach z tyłu. Przebili się przez śródmieście Londynu i wjeżdżali teraz na M-11 przy jej południowym krańcu, na północno-wschodnich obrzeżach miasta.



## 65

Tym razem, w pełnym świetle dnia Reacher zobaczył drogowskaz do B'sh'ps P'ter z odległości stu jardów, odpowiednio wcześniej zwolnił i skręcił w boczną drogę, jakby przez całe życie jeździł po Norfolk. Zbliżała się druga po południu. Słońce stało wysoko, wiatr osłabł. Błękitne niebo, małe białe chmurki, zielone pola. Idealny angielski letni dzień. Prawie idealny.

- Co im powiemy? — zapytała Pauling.
- Że ich przepraszam — odparł Reacher. — Wydaje mi się, że to będzie chyba najlepszy początek.
- A potem co?
- Potem prawdopodobnie przeproszę ich jeszcze raz.
- Nie mogą tam zostać.
- To jest farma. Ktoś musi tam zostać.
- Zgłaszasz się na ochotnika?
- Zapewne będę musiał.
- Znasz się na uprawie roli?
- Wiem tylko tyle, ile widziałem w kinie. Farmerów przesiaduje na ogół szarańcza. Albo pożary.
- Nie tutaj. Tutaj najwyżej powódź.
- I idioci tacy jak ja.
- Przestań się zadrećzać. Sfingowali porwanie. Nie twoja Wina, że potraktowałeś to poważnie.
- Powinienem się zorientować — mruknął Reacher. — To tyło od samego początku dziwne.

Minęli pub Bishop's Arm. Koniec pory lunchu. Pięć samochodów na parkingu. Nie było wśród nich land-rovera z Grange Farm. Pojechali dalej na wschód i zobaczyli w oddali kościelną wieżę w Bishops Pargeter, szarą, kwadratową i przysadzistą Wysoką tylko na czterdzieści parę stóp, lecz dominującą nad płaskim terenem niczym Empire State Building. Po chwili minęli rów zaznaczający zachodnią granicę Grange Farm, Usłyszeli ponownie odstraszacz ptaków, głośny odgłos wystrzału z dubeltówki.

— Nienawidzę tego cholerstwa — mruknęła Pauling.

— Chyba szybko je polubisz. Ten rodzaj kamuflażu może być naszym najlepszym sprzymierzeńcem.

— I najlepszym sprzymierzeńcem Taylora. Mniej więcej za sześćdziesiąt sekund. Pomyśli, że to atak.

Reacher pokiwał głową.

— Weź głęboki oddech — powiedziała.

Zwolnił mocno przed małym płaskim mostkiem. Skręcił szerokim łukiem, powoli i rozważnie. Nie zmienił drugiego biegu na wyższy. Mały pojazd, mała szybkość, niewielkie zagrożenie. Taką miał nadzieję.

Podjazd był długi, z dwoma niewielkimi zakrętami, omijającymi prawdopodobnie miejsca, w których grunt był grząski. Ubita ziemia była błotnista i nie tak równa, jak wydawało się z daleka. Mały samochodek kołysał się i podskakiwał. W bocznej ścianie domu brakowało okien. Smuga dymu z komina była teraz grubsza i wznosiła się prosto w górę. Wiatr nie wiał tak mocno jak rano. Reacher otworzył okno i nie usłyszał żadnego odgłosu poza hałasem silnika i chrzęstem opon toczących się powoli po żwirze i drobnych kamykach.

— Gdzie są wszyscy? — zapytała Pauling. — Nadal pielą chwasty?

— Nie można pielć chwastów przez siedem godzin bez przerwy — powiedział Reacher. — Pęknie ci kręgosłup.

Trzydzieści jardów przed domem droga się rozwidła. Jedna odnoga biegła na zachód, przed drzwi frontowe, druga, gorzej utrzymana, na wschód, tam gdzie wcześniej parkował land-rover, i dalej w kierunku stodół. Reacher skręcił na wschód.

Land-rover już tam nie stał. Wszystkie drzwi stodół zostały zamknięte. Wszędzie panowała cisza. Nic się nie poruszało.

Reacher łagodnie zahamował, cofnął się i skręcił w szerszą drogę prowadzącą na zachód. Przed domem znajdował się wysypany żwirem kolisty podjazd z zasadzonym pośrodku karłowatym jesionem. Wokół drzewa stała okrągła drewniana ławka, o wiele szersza od cienkiego pnia. Albo drzewo zasadzono na miejscu poprzedniego, znacznie szerszego, albo cieśla wybiegał myślą sto lat naprzód. Reacher okrążył drzewo na brytyjską modłę, zgodnie z ruchem wskazówek zegara. Zatrzymał się dziesięć stóp od frontowych drzwi. Były zamknięte. Nic się nie poruszało z wyjątkiem unoszącej się powoli z komina kolumny dymu.

— Co teraz? — zapytała Pauling.

— Zapukamy — odparł Reacher. — Będziemy się poruszać powoli i trzymać ręce na widoku.

— Myślisz, że nas obserwują?

— Ktoś nas obserwuje. Na pewno. Czuję to.

Zgasił silnik i przez chwilę siedział nieruchomo. A potem otworzył drzwi. Wsiadł powoli i spokojnie z samochodu i stanął przy nim z rękoma spuszczonejmi po bokach. Pauling **zrobiła** to samo. Potem podeszli razem do drzwi frontowych. Wykonano je z jednego bloku czarnego jak węgiel starego **dębu**. Skorodowane żelazne okucia i zawiasy pomalowano niedawno świeżą farbą. Osadzona w paszczy lwa skręcona kołatka uderzała w wielką niczym jabłko główkę ćwieka. Reacher zastukał nią dwa razy. Dębowe drzwi wydały z siebie basowy odgłos podobny do bębna.

Nie doczekali się żadnej odpowiedzi.

— Halo? — zawołał Reacher.

Żadnej reakcji.

— Taylor? Graham Taylor?

Żadnej reakcji.

— Jesteś tutaj, Taylor?

Brak odpowiedzi.

Zastukał jeszcze dwa razy kołatką.

Nadal żadnej reakcji.

Z wyjątkiem szurnięcia drobnej stopy, które dobiegło z odległości trzydziestu stóp. Odgłosu ślizgającej się po kamieniu cienkiej podeszwy. Reacher obrócił się szybko i zerknął w lewo. Zobaczył znikające za węglem domu małe gołe kolano. Chowające się w bezpieczne miejsce.

— Widziałem cię — zawołał.

Żadnej odpowiedzi.

— Wyjdź — zawołał. — Wszystko w porządku.

Żadnej odpowiedzi.

— Popatrz na nasz samochód — zawołał Reacher. — Najfajniejsze auto, jakie kiedykolwiek widziałeś.

Nic się nie wydarzyło.

— Jest czerwony — zawołał Reacher. — Jak straż pożarna. Bez odpowiedzi.

— I jest ze mną pani — zawołał Reacher. — Ona też jest fajna.

Stojąc nieruchomo przy Pauling, zobaczył po dłuższej chwili wyglądającą zza węgła małą czarną główkę. Niewielka twarz, blada cera, ogromne zielone oczy. Zaciśnięte poważnie usta. Mała, mniej więcej ośmioletnia dziewczynka.

— Cześć — zawołała Pauling. — Jak się nazywasz?

— Melody Jackson — odparła Jade Lane.

## 66

Reacher od razu rozpoznał dziewczynkę, której zdjęcie, a właściwie jego niedoskonałą fotokopię, zobaczył na biurku w Dakota Building. Była mniej więcej rok starsza niż wówczas, kiedy ją sfotografowano, ale miała takie same długie ciemne włosy, lekko falujące i delikatne jak jedwab, takie same zielone oczy i taką samą porcelanową cerę. Na fotografii wyglądała ślicznie, jednak w rzeczywistości była jeszcze ładniejsza. Jade Lane była naprawdę pięknym dzieckiem.

— Mam na imię Lauren — powiedziała Pauling. — Ten pan nazywa się Reacher.

Jade pokiwała głową z poważnym wyrazem twarzy. Nic nie powiedziała. Nie podeszła bliżej. Miała na sobie letnią sukienkę bez rękawów, z marszczonej bawełny w zielone paski. Być może kupioną w Bloomingdale'u przy Lexington Avenue. Może była to jedna z jej ulubionych sukienek. Może stanowiła część pospiesznie i niemądrze spakowanych bagaży. Na nogach miała białe skarpetki i cienkie zakurzone sandały.

— Przyjechaliśmy, żeby porozmawiać z dorosłymi — powiedziała Pauling. — Wiesz, gdzie są?

Oddalona od nich o trzydzieści stóp Jade ponownie pokiwała głową. Nie odezwała się ani słowem.

— Gdzie oni są? — zapytała Pauling.

— Jedna dorosła osoba jest tutaj, proszę pani — dobiegł ich głos z tyłu i zza drugiego węgła domu wyszła Kate Lane.

Ona też prawie się nie zmieniła w porównaniu z fotografią. Ciemne włosy, zielone oczy, wystające kości policzkowe, wydane usta. Wyjątkowo, niesamowicie piękna. Może trochę bardziej zmęczona niż w pracowni fotografa. I bardziej zestresowana. Lecz z całą pewnością ta sama kobieta. Smukła i gibka. miała mniej więcej pięć stóp dziewięć cali wzrostu i niewiele ponad sto piętnaście funtów wagi. Dokładnie tyle, ile powinna mieć była modelka, uznał Reacher. Ubrana była w męską flanelową koszulę, najwyraźniej pożyczoną i za dużą. Wyglądała w niej wspaniale. Ale wyglądałaby prawdopodobnie wspaniale w worku na śmieci z wyciętymi dziurami na głowę, ręce i nogi.

— Nazywam się Susan Jackson — powiedziała.

Reacher potrząsnął głową.

— Nie, wcale się pani tak nie nazywa, ale i tak bardzo się cieszę, mogąc panią poznać. Panią i Jade. Nigdy się pani nie domyśli, jak bardzo się cieszę.

— Nazywam się Susan Jackson — powtórzyła Kate. — A to jest Melody.

— Nie mamy na to czasu, Kate. Poza tym twój akcent nie jest zbyt przekonujący.

— Kim pan jest?

— Nazywam się Reacher.

— Czego pan chce?

— Gdzie jest Taylor?

— Kto?

Reacher zerknął na Jade, a potem dał krok w stronę Kate.

— Czy możemy przejść trochę dalej?

— Po co?

— Żeby porozmawiać na osobności.

— Co się stało?

— Nie chcę denerwować pani córki.

— Ona wie, co się dzieje.

— No dobrze — mruknął Reacher. — Przyjechaliśmy, żeby was ostrzec.

— Przed czym?

— Za godzinę będzie tu Edward Lane. Może nawet wcześniej.

— Edward jest tutaj? — zapytała Kate. Na jej twarzy po raz pierwszy ukazał się autentyczny lęk. — Edward jest tu, w Anglii? Już?

Reacher pokiwał głową.

— Jedzie tutaj.

— Kim pan jest?

— Zapłacił mi, żebym znalazł Taylora.

— To dlaczego pan nas ostrzega?

— Ponieważ zdałem sobie właśnie sprawę, że to wszystko było sfinansowane.

Kate nie odezwała się.

— Gdzie jest Taylor? — zapytał ponownie Reacher.

— Wyjechał — odparła Kate. — Z Tonym.

— Z Anthonym Jacksonem? Swoim szwagrem?

Kate pokiwała głową.

— To jego farma.

— Dokąd pojechali?

— Do Norwich. Po część do koparki. Powiedzieli, że musimy pogłębić kilka rowów.

— Kiedy wyjechali?

— Jakies dwie godziny temu.

Reacher znowu pokiwał głową. Norwich. Jedyne w okolicy większe miasto. Trzydzieści mil tam, trzydzieści mil z powrotem. Mniej więcej dwugodzinna wyprawa. Zerknął na drogę biegnącą na południe. Nic nią nie jechało.

— Wejźdmy wszyscy do środka — powiedział.

— Nie wiem nawet, kim pan jest.

— Wie pani — odparł. — W tym momencie jestem pani najlepszym przyjacielem.

Kate przez chwilę przyglądała się Pauling. Obecność innej Kobiety najwyraźniej dodała jej otuchy. Zamrugała oczyma i otworzyła drzwi frontowe. Wprowadziła ich do środka. W domu było ciemno i chłodno. Miał niskie belkowane sufity i nierówne kamienne podłogi. Grube ściany, tapety w kwiatki i okna

z szybkami w ołowianych ramkach. Centralnym punktem była duża prostokątna kuchnia. To nie ulegało wątpliwości. Były tam wiszące na hakach lśniące miedziane garnki, sofy, fotele, kominek tak duży, że można by w nim zamieszkać, i wielki staroświecki piec kuchenny. Wokół masywnego dębowego stołu stało dwanaście krzeseł, a obok osobne sosnowe biurko z telefonem, stosami papierów, kopertami i kubkami, w których były pióra, ołówki, znaczki pocztowe i gumki. Wszystkie meble były stare, sfatygowane, wygodne i pachniały psami, mimo że w domu nie było ani jednego psa. Przypuszczalnie należały do poprzednich właścicieli. Może dom został sprzedany łącznie z wyposażeniem albo farma została zlicytowana.

— Powinnaś stąd chyba wyjechać, Kate — powiedział Reacher. — Natychmiast. Ty i Jade. Dopóki nie będziemy wiedzieli, jak się sprawy potoczą.

— Jak? — zapytała Kate. — Nie ma półciężarówki.

— Weź nasz samochód.

— Nigdy tu nie jeździłam. Nigdy tu nawet nie byłam.

— Zawiozę panią — powiedziała Pauling.

— Dokąd?

— Dokądkolwiek pani chce. Dopóki nie będziemy wiedzieli, jak się sprawy potoczą.

— Czy on tu już jest?

Pauling pokiwała głową.

— Wyjechał z Londynu najpóźniej godzinę temu.

— Czy on wie?

— Że to wszystko było sfinansowane? Jeszcze nie.

— Dobrze — powiedziała Kate. — Niech pani nas gdzieś zawiezie. Gdziekolwiek. Już. Proszę.

Wstała i wzięła za rękę Jade. Bez torebki, bez płaszcza. Gotowa jechać od razu, zaraz. Bez chwili namysłu i bez wahania. Ogarnięta czystą paniką. Reacher rzucił Pauling kluczyki do mini coopera i wyszedł za nimi na dwór. Jade wślizgnęła się na tylne siedzenie, Kate usiadła obok Pauling, która poprawiła swój fotel i lusterko, zapięła pas i zapaliła silnik.

— Zaczekajcie — powiedział Reacher.



Na drodze, mniej więcej milę na zachód, dostrzegł przesuwający się szybko za kępą drzew ciemnozielony kształt. Zielona karoseria. Lśniąca w rozwodnionym słońcu. Czysta, wypolerowana i lśniąca, nie brudna jak karoseria półciężarówki.

W odległości mili. Dziewięćdziesiąt sekund. Nie było czasu.

— Wszyscy z powrotem do domu! — zawołał. — Natychmiast!

## 67

Kate, Jade i Pauling wbiegły od razu na górę, a Reacher podszedł do południowo-wschodniego węgła domu, przywarł płasko do ściany i stanął w miejscu, z którego widział mostek nad rowem. Zdażył akurat na czas, żeby zobaczyć skręcającą z drogi półciążarówkę. To był stary land-rover defender, prosty i kanciasty, bardziej sprzęt rolniczy aniżeli samochód, z odpowiednimi na błoto i śnieg oponami i brązowym brezentem z tyłu. W środku siedziało dwóch mężczyzn kołyszących się i podskakujących za błyszczącą szybą. Jeden z nich przypominał posturą faceta, którego Reacher widział rano. Tony Jackson. Farmer. Drugim był Taylor. Jechali należącym do Grange Farm land-roverem, świeżo umyтым i wywoskowanym. Odmienionym nie do poznania. Najwyraźniej oprócz sklepu z częściami do koparek odwiedzili w Norwich myjnią samochodową.

Reacher dał nurka do kuchni, krzyknął w górę schodów, że wszystko w porządku, i wyszedł z powrotem na zewnątrz, żeby na nich zaczekać. Land-rover skręcił najpierw w lewo, potem w prawo i nagle się zatrzymał. Jackson i Taylor przyjrzeni się uważnie stojącemu w odległości pięćdziesięciu jardów mini cooperowi. Po chwili półciążarówka ruszyła dalej i zatrzymała się z poślizgiem między tylną ścianą domu i budynkami gospodarskimi. Otworzyły się drzwi i Jackson i Taylor wysiedli. Reacher nie ruszył się z miejsca. Jackson podszedł do niego.

— Narusza pan cudzy teren — powiedział. — Dave Kemp powiedział mi, czego pan chce. Rozmawiał pan z nim dziś rano w sklepie. I moja odpowiedź brzmi nie. Nie sprzedaję ziemi.

— Nie chcę jej kupić — odparł Reacher.

— Więc po co pan przyjechał?

Jackson był zwinnym krępy facetem, nieróżniącym się wiele od Taylora. Ten sam wzrost, ta sama waga. Te same typowe angielskie rysy. Podobny akcent. Lepsze uzębienie i jaśniejsze, nieco dłuższe włosy. Ale w zasadzie mogli być braćmi, nie szwagrami.

— Przyjechałem zobaczyć się z Taylorem — powiedział Reacher.

Taylor dał krok do przodu.

— Po co? — zapytał.

— Żeby pana przeprosić — odparł Reacher. — I ostrzec.

Taylor przez chwilę milczał. Zamrugał oczyma. Spojrzał w lewo i w prawo. Na jego twarzy malowała się inteligencja i wyrachowanie.

— Lane? — zapytał.

— Jest niespełna godzinę drogi stąd.

— W porządku — mruknął Taylor.

Wydawał się spokojny. Opanowany. Bynajmniej nie zaskoczony. Reacher nie spodziewał się po nim zaskoczenia. Zaskoczenie jest dla amatorów. Taylor był profesjonalistą. Weteranem sił specjalnych, byстрыm i zdolnym. Drogocenne sekundy, które mijają, kiedy człowiek jest zaskoczony, są sekundami, które idą na marne, a Taylor wykorzystywał drogocenne sekundy dokładnie tak, jak go wyszkolono: myśląc, planując, zmieniając taktykę, analizując nowe możliwości.

— To moja wina — powiedział Reacher. — Przepraszam.

— Widziałem pana na Szóstej Alei — oznajmił Taylor. — Kiedy wsiadałem do jaguara. Nie przejąłem się tym, ale wczoraj wieczorem znowu pana zobaczyłem. W pubie. I wtedy się domyśliłem. Uznałem, że pójdzie pan do swojego pokoju, żeby zadzwonić do Lane'a. Ale wygląda na to, że zmobilizował się szybciej, niż się tego spodziewałem.

— Był już wówczas w drodze.

- Dobrze, że pan wpadł i mnie uprzedził.
- Tyle przynajmniej mogłem zrobić. W zaistniałych okolicznościach.
- Czy on zna dokładne miejsce naszego pobytu?
- Mniej więcej. Wymieniłem nazwę Grange Farm. Ugryzłem się w język, zanim powiedziałem Bishops Pargeter. Powiedziałem zamiast tego Fenchurch Saint Mary.
- Znajdzie nas w książce telefonicznej. W Fenchurch nie ma Grange Farm. My jesteśmy najbliżej.
- Przepraszam — powtórzył Reacher.
- Kiedy pan się wszystkiego domyślił?
- Kilka sekund za późno.
- Co pana naprowadziło?
- Zabawki. Jade spakowała swoje najlepsze zabawki.
- Poznał już ją pan?
- Pięć minut temu.

Taylor uśmiechnął się. Miał fatalne zęby, ale ciepły uśmiech.

- Wspaniały z niej dzieciak, prawda?
- Chyba tak.
- Kim pan jest, prywatnym detektywem?
- Służyłem w amerykańskiej żandarmerii.
- Jak się pan nazywa?
- Reacher.
- Ile zapłacił panu Lane?
- Milion dolców.

Taylor ponownie się uśmiechnął.

— To mi pochlebia. I jest pan dobry. Chociaż to była od początku kwestia czasu. Im dłużej nie odnajdywano by mojego ciała, tym więcej dawałoby to do myślenia. Ale to stało się szybciej, niż się spodziewałem. Myślałem, że mamy parę tygodni.

- Macie mniej więcej godzinę.

• \* •

Zasiedli w kuchni, żeby odbyć naradę wojenną, cała szóstka, Taylor, Kate i Jade, Jackson, Pauling i Reacher. Jade nie była ani wykluczona, ani nie brała w niej czynnego udziału. Siedziała

po prostu przy stole, przysłuchując się temu, co mówią dorośli, i rysując kredkami na pakowym papierze, tą samą śmiałą kolorową kreską, którą Reacher widział w jej sypialni w Dakota Building.

— Rozpalmy znowu ogień — oświadczył przede wszystkim Taylor. — Zrobiło się zimno. I napijmy się herbaty.

— Czy mamy na to czas? — zapytała Pauling.

— Brytyjska armia — mruknął Reacher. — Zawsze mają czas na filiżankę herbaty.

Przy palenisku stał wiklinowy koszyk z podpałką. Taylor położył trochę szczap na zgniecionej gazecie i zapalił zapałkę. Kiedy płomień objął podpałkę, dodał większe szczapy. Jackson postawił tymczasem czajnik na fajerce i wrzucił saszetki do dzbanka. On też nie sprawiał wrażenia zbyt przejętego. Emanował z niego spokój, rzeczowość i brak pośpiechu.

— Gdzie pan służył? — zapytał go Reacher.

— W Pierwszym Spadochronowym — odparł Jackson.

Reacher pokiwał głową. Pierwszy Pułk Spadochronowy. Z grubsza rzecz biorąc, brytyjski ekwiwalent amerykańskich rangerów. Przerzucani drogą powietrzną komandosi, niezupełnie SAS, ale niewiele się od nich różniący. Większość rekrutów SAS pochodziła z Pierwszego Spadochronowego.

— Lane ma ze sobą sześciu ludzi — powiedział Reacher.

— Drużyna A? — zapytał Taylor. — Było ich siedmiu. Zanim się wycofałem.

— Kiedyś było ich dziewięciu — powiedział Reacher.

— Hobart i Knight — mruknął Taylor. — Kate dowiedziała się o nich. Od siostry Hobarta.

— To sprawiło, że przejrzała na oczy?

— Częściowo. A także coś innego.

— Co?

— Hobart nie był jedyny. Nawet w przybliżeniu. Z tego, co mówiła jego siostra, wynika, że być może to najgorszy przypadek, ale są i inni. W ciągu tych lat mnóstwo ludzi zginęło albo zostało rannych przez Lane'a.

— Widziałem jego rolodex — powiedział Reacher.

• — Nic dla nich nie zrobił. Ani dla ich rodzin.

— Dlatego chcieliście od niego pieniądze?  
— Te pieniądze to alimenty Kate. Ma do nich prawo. Jak je wyda, to jej sprawa. Ale jestem pewien, że postąpi słusznie.  
Tony Jackson nalał słodkiej, gorącej mocnej herbaty do pięciu poszczerbionych i niepasujących do siebie kubków. Jade siedziała nad szklanką soku jabłkowego.

— Czy mamy na to czas? — zapytała ponownie Pauling..  
— Reacher? Czy mamy na to czas? — spytał Taylor.  
— To zależy, jakie macie dokładnie zamiary — odparł Reacher.

— Mamy zamiar żyć długo i szczęśliwie.  
— W porządku—powiedział Reacher. — Jesteśmy w Anglii. Gdyby to było w Kansas, martwiłbym się. Gdyby to było w Kansas, w małym sklepiku Dave'a Kempa i stu innych można by kupić karabiny i amunicję. Ale nie jesteśmy w Kansas. A Lane nie mógł przywieźć ze sobą samolotem żadnej broni. Jeśli się tu teraz pojawi, jest nieuzbrojony. Może co najwyżej pozbierać kamienie z podjazdu i rzucać nimi w dom. Przy tak grubych ścianach i tak małych oknach nie zrobi nam dużej krzywdy.

— Może próbować podpalić dom — rzekła Pauling. — Ciskając wypełnione benzyną butelki z przywiązanymi do nich płonącymi szmatami czy w jakiś inny sposób.

Reacher nie odezwał się. Po prostu spojrział na Taylora.

— On chce mnie wziąć żywcem, pani Pauling — wyjaśnił Taylor. — Jestem tego pewien. Być może zamierza mnie później przypiekać na wolnym ogniu, ale chce to robić metodycznie, przez cały czas panując nad sytuacją. Szybka i łatwa śmierć go nie zadowoli.

— Więc mamy tu po prostu siedzieć?  
— Jak powiedział Reacher, jeśli się teraz pojawi, nic nam nie zrobi.  
— Być może to jest Anglia, ale na pewno można tu gdzieś zorganizować broń.

Taylor pokiwał głową.

— W gruncie rzeczy wszędzie. U prywatnych dostawców zaopatrujących brytyjskich najemników, u skorumpowanych wojskowych kwatermistrzów, u regularnych bandziorów. Żaden

z nich nie ogłasza się jednak na żółtych stronach. Znalezienie ich trwa trochę czasu.

— Ile czasu?

— Moim zdaniem minimum dwanaście godzin, w zależności od tego, jakie ma się dojścia. Więc tak, jak powiedział pani przyjaciel, jeżeli Lane się tu pojawi, nic nam nie zrobi, a jeżeli chce się najpierw uzbroić, możemy się go spodziewać dopiero jutro. Poza tym on lubi ataki o świcie. Zawsze je lubił. Pół godziny po brzasku, tego nauczyli go w Delta Force. Atakuj razem z pierwszymi promieniami słońca.

— Macie tu jakąś broń? — zapytał Reacher.

— To jest farma — odparł Jackson. — Farmerzy są zawsze przygotowani do zwalczania szkodników.

Coś w jego głosie... Jakiś rodzaj morderczej determinacji. Reacher spojrział na niego i na Taylora. Ten sam wzrost, ta sama waga, te same typowe angielskie rysy. W gruncie rzeczy mogliby być braćmi. Czasami wystarczy niewielkie podobieństwo. Wstał z krzesła, podszedł do biurka i przyjrzał się stojącemu na nim telefonowi. Staroświecki czarny aparat ze słuchawką na przewodzie i okrągłą tarczą nie miał pamięci ani szybkiego wybierania numerów.

Reacher odwrócił się do Taylora.

— Chciał pan tego — stwierdził.

— Naprawdę?

— Podawał się pan za Leroya Clarksona. Żeby naprowadzić nas na trop pańskiego mieszkania.

Taylor nie odezwał się.

— Mógł pan powiedzieć Jade, żeby nie zabierała zabawek. Mógł pan powiedzieć Kate, żeby zostawiła tę fotografię. Pańska siostra Susan mogła przywieźć panu paszport Tony'ego. Schować go do torebki. Wtedy na liście pasażerów byłyby trzy nazwiska Jackson, a nie dwoje Jacksonów i Taylor. Bez pana Prawdziwego nazwiska nie dotarlibyśmy za panem do Anglii.

Taylor nadal milczał.

— Telefon w pańskim mieszkaniu był nowy — podjął Reacher. — Nie miał go pan przedtem, prawda? Kupił go pan, żeby zapisać w pamięci numer Susan.

- Po co miałbym to robić? — zapytał Taylor.
- Ponieważ chciał pan, żeby Lane tu pana znalazł.

Taylor nie odpowiedział.

— Rozmawiał pan z Dave'em Kempem w wiejskim sklepie — kontynuował Reacher. — Opowiedział mu pan mnóstwo niepotrzebnych rzeczy. A to największy plotkarz w całym hrabstwie. Potem pojechał pan do pubu i popijał piwo z bandą wścibskich farmerów. Moim zdaniem w tych okolicznościach powinien pan raczej zostać w domu, ze swoją nową rodziną. Ale pan nie mógł tego zrobić. Ponieważ chciał pan zostawić wyraźny trop. Ponieważ wiedział pan, że Lane wynajmie kogoś podobnego do mnie. I chciał pan, żeby ta osoba pana odnalazła. Chciał pan jej w tym dopomóc. Bo zależało panu, żeby ściągnąć tutaj Lane'a i załatwić z nim porachunki.

W kuchni zapadła cisza.

— Chciał pan to rozegrać na swoim terytorium. I uznał pan, że to miejsce jest łatwe do obrony.

Cisza trwała dalej. Reacher spojrział na Kate.

— Była pani zaniepokojona — powiedział. — Nie tym, że Lane przyjeżdża, ale że przyjeżdża już teraz. Za szybko.

Kate nie odezwała się. Lecz Taylor pokiwał głową.

— Jak już mówiłem, przybył trochę szybciej, niż się spodziewaliśmy. Ale zgadza się, chcieliśmy, żeby tu przyjechał.

— Po co?

— Przed chwilą sam pan to powiedział. Żeby załatwić z nim porachunki. Zamknąć tę sprawę. Raz na zawsze.

— Dlaczego teraz?

— Mówiłem już panu.

— Reparacje dla rannych nie są aż takie pilne.

Siedząca przy kominku Kate podniosła wzrok.

— Jestem w ciąży — oznajmiła.



Skapana w miękkim blasku płomieni twarz Kate była tak piękna i niewinna, że aż ścisnęło serce.

— Kiedy Edward i ja po raz pierwszy się pokłóciliśmy — powiedziała — zarzucił mi niewierność. Co wówczas było nieprawdą. Ale on uniósł się gniewem. Oświadczył, że jeśli kiedykolwiek złapie mnie na zdradzie, pokaże mi, jak bardzo go to zabolalo, i zrobi Jade coś, co zaboli mnie jeszcze bardziej. Opisał to ze szczegółami, których nie będę teraz powtarzać. Nie w jej obecności. Ale to było przerażające. Tak przerażające, że przekonałam sama siebie, żeby nie traktować tego poważnie. Jednak kiedy poznałam historię Anne, a także historię Knighta i Hobarta, uświadomiłam sobie, że nie blefował. A w tym czasie już coś przed nim ukrywałam. Uciekliśmy więc. I jesteśmy tutaj.

. — A Lane depta wam po piętach.

— Cokolwiek go czeka, stokrotnie sobie na to zasłużył, panie Reacher. To prawdziwy potwór.

— Nie naprawiacie koparki, żeby pogłębić rowy, prawda? — zapytał Reacher, zwracając się do Jacksona. — Nie pada deszcz, a rowy są w porządku. Nie tracilibyście zresztą czasu na coś takiego. Nie w tej chwili. Nie w tych okolicznościach. Naprawiacie koparkę, żeby wykopać groby, tak?

— Przynajmniej jeden — odparł Taylor. — A może dwa albo trzy. Tyle, ile będzie trzeba, żeby się stąd zabrali i zostawili nas w spokoju. Stanowi to dla pana jakiś problem?

"Odnajdziemy Taylora — powiedział Reacher w samolocie. — Lane zajmie się nim, a ja zajmę się Lane'em". „A co z innymi?” — zapytała Pauling. „Jeśli uznam — odparł na to — że po wyeliminowaniu Lane'a grupa się rozpadnie, zostawię ich w spokoju. Ale jeżeli któryś z nich zechce zająć jego miejsce i przejąć dowodzenie, załatwię i jego. I tak dalej, aż grupa w końcu się rozpadnie”.

„To brutalne podejście”, stwierdziła.

„W porównaniu z czym?” — odpowiedział.

Popatrzył teraz prosto w oczy Taylorowi.

— Nie — odparł. — Nie stanowi to dla mnie problemu. W gruncie rzeczy to żaden problem. Nie przywykłem po prostu, że inni nadają na tej samej częstotliwości co ja.

— Zachowa pan swój milion dolców?

Reacher pokręcił głową.

— Miałem zamiar oddać go Hobartowi.

— To dobrze — powiedziała Kate. — Dzięki temu będziemy mogli dać więcej pieniędzy innym.

— Pani Pauling? — zapytał Taylor. — A pani? Stanowi to dla pani jakiś problem?

— Powinno — odparła Pauling. — Powinno to dla mnie stanowić wielki problem. Kiedyś, dawno temu, przysięgłam przestrzegać prawa.

— Ale?

— Nie mogę dostać się do skóry Lane'owi w żaden inny sposób. Więc nie, nie stanowi to dla mnie problemu.

— Zatem wchodziecie w ten interes — podsumował Taylor. — Witajcie na pokładzie.

Kiedy wypili herbatę, Jackson zaprowadził Reachera do małego składziku na tyłach kuchni i otworzył podwójne drzwi szafki nad pralką. W środku były cztery karabinki automatyczne Heckler & Koch G-36. G-36 był bardzo nowoczesnym modelem, który pojawił się na wyposażeniu tuż przed końcem wojskowej kariery Reachera. Z tego względu nie znał go zbyt dobrze. Karabin miał dziewiętnastocalową lufę i mógł wydawać

się dość konwencjonalny, gdyby nie okazałych rozmiarów celownik optyczny połączony z dużym uchwytem. Strzelał natowską amunicją kalibru 5,56 mm i jak większość niemieckich karabinów był przepięknie wykonany i sprawiał wrażenie dość drogiego.

— Skąd je wytrzasnęliście? — zapytał Reacher.

— Kupiłem — odparł Jackson. — Od zblatowanego kwatermistrza w Holandii. Susan pojechała tam i je przywiozła.

— W ramach przygotowań do rozgrywki z Lane'em?

Jackson pokiwał głową.

— To były ciężkie tygodnie. Trzeba było dużo zaplanować.

— Czy broń da się zidentyfikować?

— W dokumentacji Holendra zapisano, że uległa zniszczeniu podczas szkolenia.

— Macie amunicję?

Jackson otworzył drzwiczki sąsiedniej niższej szafki. Za rządem zabłoconych wellingtonów Reacher zobaczył błysk czarnego metalu.

— Siedemdziesiąt magazynków — powiedział Jackson. — Dwa tysiące sto naboju.

— To powinno wystarczyć.

— Tylu zużyć nie możemy. Robią za dużo hałasu. Co najwyżej dwa, trzy pociski.

— Jak blisko są gliniarze?

— Niezbyt blisko. Myślę, że w Norwich, chyba że w pobliżu znajdzie się jakiś wóz patrolowy. Ale ludzie mają tutaj telefony. Niektórzy nawet wiedzą, jak się nimi posługiwać.

— Może pan wyłączyć na jeden dzień odstraszcza ptaków.

— Oczywiście. Choć tak naprawdę w ogóle nie powinienem go używać. Odstraszcza jest niepotrzebny na farmie, na której stosuje się naturalne metody uprawy roli. Brak pestycydów oznacza, że ptaki mają do zjedzenia mnóstwo owadów. Nie muszą dziobać ziarna. Ludzie prędzej czy później to sobie uświadomią.

— Czyli odstraszcza też jest nowy?

Jackson pokiwał głową.

— To też zaplanowaliśmy. Zaczyna strzelać o świcie. Wtedy właśnie spodziewaliśmy się Lane'a.

— Gdybym miał siostrę i szwagra, chciałbym, żeby byli podobni do pana i do Susan.

— Dużo przeszliśmy razem z Taylorem. Byliśmy razem w Sierra Leone. Zrobiłbym dla niego wszystko.

— Nigdy nie byłem w Afryce.

— Miał pan szczęście. Walczyliśmy z bandą rebeliantów, którzy nadali sobie nazwę West Side Boys. Widzieliśmy, co robili ludziom. Doskonale wiem, przez co przeszedł Hobart. Burkina Faso jest całkiem niedaleko.

— Nie obawia się pan tego, co się wydarzy? Przecież zapuścił pan tutaj korzenie, dosłownie — powiedział Reacher.

— Jaki mamy inny wybór?

— Pojedźcie na wakacje. Wszyscy. Ja zostanę.

Jackson pokręcił głową.

— Nic nam nie będzie. Może to zakończyć jedna kula. G-trzydzieści sześć to cholernie precyzyjna broń.

. . .

Jackson został w sieni, żeby zamknąć na klucz obie szafki, a Reacher wrócił do kuchni i usiadł obok Taylora.

— Niech pan mi opowie o Gregorym — poprosił.

— Co mam panu opowiedzieć?

— Czy stanie po pańskiej stronie? Czy Lane'a?

— Chyba Lane'a.

— Mimo że razem służyliście?

— Lane go kupił. W wojsku Gregory zawsze chciał awansować na oficera, ale mu się nie udało. To go wypaliło. A potem Lane zrobił z niego kogoś w rodzaju nieoficjalnego porucznika. W końcu był kimś. To oczywiście gównie znaczy, ale liczy się sama myśl. Dlatego sędzę, że Gregory zostanie przy nim. Poza tym będzie obrażony, że nie zdradziłem mu swojego sekretu. Najwyraźniej uważał, że dwaj Brytyjczycy za granicą nie powinni mieć przed sobą tajemnic.

— Zna ten teren?

Taylor pokręcił głową.

— Jest londyńczykiem podobnie jak ja.

— A inni? Czy któryś z nich zmieni front?

— Nie Kowalski — odparł Taylor. — I nie Perez. Zmiana frontu wymaga pewnej aktywności mózgowej, a iloraz inteligencji tych dwóch ma w najlepszym razie temperaturę pokojową. Addison też chyba tego nie robi. Ale Groom i Burke nie są głupi. Jeśli zobaczą, że statek tonie, szybko się z niego ewakuują.

— To nie to samo co zmiana frontu.

— Żaden z nich nie przejdzie na naszą stronę. Może pan o tym zapomnieć. W najlepszym razie możemy oczekiwać neutralności ze strony Grooma i Burke'a. I nie postawiłbym na to tej farmy.

— Jaką mają wartość? Wszyscy, jako całość?

— Są mniej więcej tak samo dobrzy jak ja. Co oznacza, że znajdują się na równi pochyłej. Kiedyś byli znakomici, teraz reprezentują poziom bardziej zbliżony do przeciętnego. Spore doświadczenie i umiejętności, ale brak treningu. A trening jest ważny. W wojsku dziewięćdziesiąt dziewięć procent czasu pochłaniał trening.

— Dlaczego pan się do nich przyłączył?

— Dla pieniędzy — powiedział Taylor. — Dlatego się przyłączyłem. A potem zostałem tam z powodu Kate. Pokochałem ją od pierwszego wejrzenia.

— Czy ona też pana pokochała?

— W końcu — odparł Taylor.

— Nie w końcu — odezwała się Kate ze swojego fotela przy ogniu. — Prawdę mówiąc, to stało się całkiem szybko. Któregoś dnia zapytałam go, dlaczego nic nie zrobił ze swoimi zębami, a on odparł, że nigdy nie przyszło mu to do głowy. Spodobało mi się to poczucie własnej godności i pewność siebie.

— Uważa pan, że coś jest nie w porządku z moimi zębami? — zapytał Taylor.

— Owszem — odparł Reacher. — Dziwię się, że może pan w ogóle jeść. Może dlatego jest pan taki mały.

— Jestem, jaki jestem — mruknął Taylor.

. . .

Dokładnie godzinę po wejściu do domu i rozpaleniu ognia Pod kuchnią zdecydowali się ciągnąć losy, kto pierwszy ma

objąć wartę. Krótkie słomki wyciągnęli Jackson i Pauling. Jackson siadł w land-roverze za domem, a Pauling w mini Cooperze przed frontowym wejściem. W ten sposób każde z nich mogło obserwować teren pod kątem trochę ponad stu osiemdziesięciu stopni. Na równinie widoczność przekraczała jedną milę. To oznaczało dziewięćdziesiąt sekund na przygotowanie się, gdyby Lane zbliżył się drogą, i trochę więcej, gdyby wybrał wolniejszą trasę na przełaj.

Mogli czuć się względnie bezpieczni.

Dopóki było jasno.

## 69

Jasno było aż do ósmej. W tym momencie Reacher pełnił wartę w land-roverze, a Kate Lane w mini cooperze. Niebo pociemniało na wschodzie i poczerwieniało na zachodzie. Szybko zapadł zmrok, a wraz z nim nadeszła wieczorna mgła, która wyglądała malowniczo, lecz ograniczyła widoczność do niespełna stu jardów. Odstraszacz ptaków zamilkł. Przez całe popołudnie strzelał w nieregularnych odstępach wynoszących od piętnastu do czterdziestu minut. Jego nagłe zamilknięcie dawało się we znaki bardziej niż hałas.

Taylor i Jackson siedzieli w jednym z budynków gospodarczych i naprawiali koparkę. Pauling była w kuchni i otwierała puszki na kolację. Jade nie ruszała się od stołu i cały czas rysowała.

. . .

O wpół do dziewiątej widoczność zmniejszyła się do tego stopnia, że Reacher wysiadł z land-rovera i ruszył do kuchni. Po drodze spotkał Jacksona, który szedł ze stodoły. Miał ręce pobrudzone olejem i smarem.

— Jak idzie? — zapytał Reacher.

— Będzie gotowe — odparł Jackson.

A potem z mroku wyłonił się Taylor.

— Mamy dziesięć godzin — powiedziała. — Jesteśmy bezpieczni do świtu.

— Jest pan pewien? — zapytał Reacher.

- Nie do końca.
- Ja też nie.
- Co piszą w amerykańskim podręczniku piechoty o zapewnieniu sobie bezpieczeństwa w nocy?

Reacher uśmiechnął się.

— Piszą, żeby w promieniu stu jardów założyć miny przeciwpiechotne. Jeśli usłyszysz wybuch, wiesz, że właśnie zabiłeś intruza.

— A jeśli nie masz żadnych min?

— Wtedy się kryjesz.

— To metoda SAS. Ale nie możemy ukryć domu.

— Moglibyśmy zabrać Kate i Jade w jakieś inne miejsce.

Taylor potrząsnął głową.

— Lepiej, jeśli zostaną. Nie chcę się rozpraszać.

— Co one o tym sądzą?

— Niech pan je zapyta.

I Reacher to zrobił. Żeby skrócić sobie drogę, przeszedł przez dom, podszedł do mini coopera i powiedział Kate, żeby zrobiła sobie przerwę na kolację. A potem zaproponował, że odwiezie ją i Jade, dokąd tylko zechce, do hotelu, kurortu, centrum odnowy biologicznej, do Norwich, Birmingham, Londynu. Odmówiła. Dopóki żyje Lane, rzekła, chce, by był przy niej uzbrojony Taylor. Budynek farmy o grubych na trzy stopy ścianach był miejscem, które w tym momencie najbardziej jej odpowiadało. Reacher nie spierał się z nią. Prywatnie przyznawał rację Taylorowi. Człowiek musi być skupiony. I nie można było wykluczyć, że ludzie Lane'a obserwują z ukrycia farmę. Było to całkiem prawdopodobne. Jeżeli tak, na pewno obstawili drogi. Szukają przede wszystkim Taylora, ale gdyby przekonali się, że Susan i Melody Jackson to w rzeczywistości Kate i Jade Lane, zmieniłyby się zasady całej gry.



Kolacja składała się z przypadkowo dobranych rzeczy z pušek, które Pauling znalazła w kredensie. Nie była dobrą kucharką. Za bardzo przywykła brać do ręki telefon i zamawiać to, na co miała ochotę. Nikomu to jednak nie przeszkadzało. Nikt



nie miał ochoty na wykwintne dania. Jedząc, układali plan działania. Zgodzili się na dwuosobowe warty, które będą się zmieniały co pięć godzin. W ten sposób powinni dotrzeć do świtu. Jedna osoba miała pilnować bocznej ściany od południa, druga od północy. Każda miała być uzbrojona w G-36. Pierwsi obejmą wartę Taylor i Jackson. O wpół do drugiej zmienia ich Reacher i Pauling. Kate Lane nie została ujęta w grafiku. Zbyt ryzykowna była ewentualność, że rozpozna ją nieprzyjacielski nocny patrol.

. . .

Reacher uprzątnął stół i zabrał się do zmywania, a Taylor i Jackson wyszli na dwór z bronią gotową do strzału. Kate poszła na górę, żeby położyć Jade do łóżka. Pauling dorzuciła drewno do pieca. Przez chwilę obserwowała stojącego przy zlewku Reachera.

— Wszystko w porządku? — zapytała.

— Służyłem już wcześniej w kuchni — odparł.

— Nie o to mi chodzi.

— Z jednej strony domu stoi były żołnierz SAS, z drugiej były komandos z pułku desantowego. Obaj mają karabinki automatyczne. I bardzo silną motywację. Na pewno nie zasną.

— O to też mi nie chodziło. Mam na myśli całą tę historię.

— Mówiłem ci, że nie postawimy nikogo przed sądem.

Pauling pokiwała głową.

— Jest śliczna — powiedziała. — Prawda?

— Kto?

— Kate. Czuję się przy niej jak antyk.

— Starsze kobiety — mruknął Reacher. — Do czegoś się przydają.

— Dziękuję.

— Mówię serio. Gdybym miał wybierać, wróciłbym do domu z tobą, nie z nią.

— Dlaczego?

— Bo taki już ze mnie dziwak.

— Moim zadaniem jest stawianie ludzi przed sądem.

— Moim też kiedyś było. Ale tym razem tego nie zrobię.

I nie mam przed tym żadnych oporów.

- Ja też nie. I to właśnie mnie martwi.
- Przejdzie ci. Pomogą w tym koparka i bilet lotniczy.
- Dystans? Sześć stóp pod ziemią i trzy tysiące przelecia-  
nych mil?
- Pomaga za każdym razem.
- Naprawdę?
- O naszą przednią szybę rozbiło się wczoraj tysiąc robali.  
Dzisiaj kolejny tysiąc. Jeden więcej nie zrobi różnicy.
- Lane nie jest robalem.
- Nie, jest czymś gorszym.
- A inni?
- Mają wybór. Najczystszy rodzaj wyboru, jaki istnieje!  
Mogą zostać albo odejść. To zależy wyłącznie od nich.
- Gdzie twoim zdaniem są teraz?
- Gdzieś blisko — odparł Reacher.

. . .

Pół godziny później Kate Lane zeszła z powrotem na dół. Poły jej pożyczonej koszuli były związane na biodrach, rękawy podwiniete do łokci.

— Jade śpi — powiedziała.

Kiedy obróciła się bokiem, aby precyzyjnie się obok przedstawionego krzesła, Reacher zorientował się, że można już poznać, iż jest w ciąży. Pod warunkiem, że się o tym wie.

— Jak to wszystko znosi? — zapytał.

— Lepiej, niż mogliśmy sądzić — odparła Kate. — Nie śpi najlepiej. Podróż przez Atlantyk przestawiła jej zegar biologiczny. I jest chyba trochę podenerwowana. Nie rozumie, dlaczego nie ma tutaj zwierząt. Nie rozumie, że można tylko uprawiać ziemię. Uważa, że ukrywamy przed nią całe stado przemiłych małych zwierzątek.

— Czy wie, że będzie miała braciszka albo siostrzyczkę?

Kate pokiwała głową.

— Czekaliśmy z tym do podróży samolotem. Chcieliśmy, żeby to stanowiło część przygody.

— Jak wam poszło na lotnisku?

— Bez problemu. Paszporty były w porządku. Przyglądali

się bardziej nazwiskom niż zdjęciom. Sprawdzali, czy są takie same jak na biletach.

— To tyle, jeśli chodzi o ustawę o bezpieczeństwie narodowym — mruknęła Pauling.

Kate ponownie kiwnęła głową.

— Pomysł podsunął nam pewien artykuł w gazecie. Jakiś facet musiał natychmiast wyjechać służbowo za granicę, zabrał paszport z szuflady i przejechał przez sześć różnych krajów, zanim zorientował się, że podróżuje z paszportem żony.

— Niech mi pani opowie, jak to wszystko zorganizowaliście — poprosił Reacher.

— To było całkiem łatwe, naprawdę. Wszystko zrobiliśmy wcześniej. Kupiliśmy przetwornik głosu, wynajęliśmy mieszkanie, kupiliśmy krzesło, zabraliśmy kluczyki do samochodów.

— Większością rzeczy zajął się Taylor, prawda?

— Powiedział, że ludzie bardziej zapamiętają mnie niż jego.

— Prawdopodobnie miał rację.

— Musiałam tylko kupić przetwornik głosu. Zbyt dziwnie by wyglądało, gdyby chciał go kupić niemowa.

— Chyba tak.

— A potem skopiowałam fotografię w Staples. To było trudne. Musiałam pozwolić, żeby zawiózł mnie Groom. Budziłoby podejrzenia, gdybym upierała się cały czas przy Grahamie. Potem już było łatwo. Tego ranka wyjechaliśmy do Bloomingdale'a i zamiast tego pojechaliśmy prosto do mieszkania Grahama. Zaszyliśmy się tam i czekaliśmy. Zachowywaliśmy się naprawdę cicho, na wypadek gdyby ktoś wypytywał sąsiadów. Nie zapalaliśmy świateł i zakryliśmy okna, żeby nie można było nic zobaczyć z ulicy. Potem zaczęliśmy dzwonić. Z tamtego mieszkania. Z początku byłam bardzo zdenerwowana.

— Zapomniała pani powiedzieć, żeby nie zawiadamiać gliniarzy.

— Wiem. Myślałam, że wszystko schrzaniłam. Ale Edward najwyraźniej się nie zorientował. Potem szło mi coraz lepiej. Nabrałam praktyki.

— Leżałem w samochodzie, który prowadził Burke. Była pani wtedy wspaniała.

— Miałam wrażenie, że ktoś z nim jest. Wyczułam coś w jego głosie. I bez przerwy mówił, gdzie się aktualnie znajduje. Pewnie pana informował. Musiał pan się gdzieś schować.

— Poprosiła go pani o nazwisko na wypadek, gdyby się pani zapomniała i mimowolnie go użyła.

Kate pokiwała głową.

— Wiedziałam oczywiście, kto prowadzi. I wydawało mi się, że to zabrzmia władczo.

— Całkiem dobrze zna pani Greenwich Village.

— Mieszkałam tam, zanim wyszłam za Edwarda.

— Dlaczego podzieliliście okup na trzy części?

— Ponieważ gdybym zażądała od razu takiej sumy, byłby to zbyt oczywisty sygnał. Poza tym pomyśleliśmy, że lepiej będzie stopniować napięcie. Wtedy być może Edward nie dostrzeże związku.

— Chyba jednak go dostrzegł. Ale najwyraźniej źle zinterpretował. Zaczął myśleć o Hobarcie i operacji w Afryce.

— W jak złym stanie jest naprawdę Hobart?

— W gorszym być nie może.

— To niewybaczalne.

— Nie przeczę.

— Uważa pan, że jestem bezwzględna?

— Nawet gdybym tak uważał, nie stanowiłoby to zarzutu.

— Edward traktował mnie jak swoją własność. I powiedział, że jeżeli kiedykolwiek go zdradzę, przedziurawi błonę dziewczyną Jade nożykiem do obierania kartofli. Powiedział, że mnie zwiąże i zmusi, żebym patrzyła, jak to robi. Powiedział to, kiedy miała pięć lat.

Reacher nie odezwał się. Kate popatrzyła na Pauling.

— Ma pani dzieci? — zapytała.

Pauling pokręciła głową.

— Tego rodzaju słowa wyrzuca się po prostu z głowy — powiedziała Kate. — Zakłada się, że to był chory wytwór szalonej wyobraźni. Tak jakby przez krótką chwilę Lane miał nierówno pod sufitem. Ale potem usłyszałam opowieść o Anne i zdałam sobie sprawę, że naprawdę jest do tego zdolny. I teraz chcę, żeby zginął.

— Będzie martwy — zapewnił ją Reacher. — Już niedługo.

— Powiadają, żeby nigdy nie stawać między lwicą a jej potomstwem. Przedtem nigdy tego do końca nie rozumiałam. Ale teraz już tak. W takim momencie nie istnieją żadne hamulce.

W kuchni zapadła cisza, którą słyszy się tylko na wsi. W palenisku tańczyły i migotały płomienie. Dziwne cienie przesuwały się po ścianach.

— Zamierza pani tu osiaść na stałe? — zapytał Reacher.

— Mam nadzieję — odpowiedziała Kate. — Naturalna uprawa roli ma przed sobą przyszłość. Jest lepsza dla ludzi i dla ziemi. Może dokupimy trochę gruntu od miejscowych. Może rozwiniemy produkcję.

— My?

— Mam wrażenie, jakby tu było moje miejsce.

— Co uprawiacie?

— W tym momencie zwykłą trawę. Przez następnych pięć lat będziemy produkowali siano. Ziemia musi się pozbyć starych chemikaliów. To zajmuje dużo czasu.

— Trudno wyobrazić sobie panią w roli farmerki.

— Chyba mi się to spodoba.

— Nawet jeżeli Lane zostanie na stałe wyeliminowany?

— W takim wypadku będę chyba odwiedzała od czasu do czasu Nowy Jork. Ale tylko śródmieście. Nie chcę wracać do Dakota Building.

— Dokładnie naprzeciwko mieszka siostra Annę. W Majestic. Od czterech lat dzień w dzień obserwowała Lane'a.

— Chciałabym ją poznać — rzekła Kate. — I chciałabym spotkać się znowu z siostrą Hobarta.

— Coś w rodzaju klubu tych, co przetrwali — mruknęła Pauling.

Reacher wstał z krzesła i podszedł do okna. Nie zobaczył niczego poza mrokiem nocy. Nie usłyszał niczego prócz ciszy.

— Najpierw musimy przetrwać — powiedział.



Pilnowali ognia i drzemali cicho w fotelach. Kiedy zegar w głowie Reachera wybił wpół do drugiej, postukał Pauling

w kolano, wstał i przeciągnął się. A potem wyszli razem na dwór, w nocny mrok i chłód. Zawołali cicho Taylora i Jacksona i natknęli się na nich nieopodal drzwi frontowych. Reacher wziął broń od Taylora i ruszył w stronę południowej ściany domu. Kolba była ciepła od dotyku jego rąk. Bezpiecznik znajdował się za spustem i miał słabo fosforyzujące trytowe oznaczenia. Reacher wybrał pojedynczy ogień, podniósł broń i sprawdził, czy pasuje. Była dobrze wyważona i dobrze przylegała do ramienia. Uchwyt był nieco większy od tego przy karabinie M16 i miał z przodu mały owalny otwór na osi lunety o trzykrotnym zoomie, który zgodnie z prawami optyki sprawiał, że cel wydawał się trzykrotnie bliższy niż widziany gołym okiem i jednocześnie był trzy razy ciemniejszy, co raczej dyskwalifikowało go w nocy. Nikt nie celuje w coś, co jest trzy razy ciemniejsze od kompletnej czerni. W zasadzie jednak broń była bardzo elegancka. I mogła się przydać za dnia.

Reacher oparł się plecami o boczną ścianę, zajął pozycję i czekał. Czuł zapach unoszącego się z komina drzewnego dymu. Po minucie jego oczy przywykły do mroku i zobaczył przeświecające zza grubej zasłony chmur światło księżycy, tylko trochę jaśniejsze od kompletnych ciemności, lecz mimo to dodające otuchy. Miał na sobie szare spodnie i szarą marynarkę i opierał się o szarą ścianę, trzymając w ręku czarną broń. Nikt nie powinien go zobaczyć z daleka. On za to mógł dostrzec z odległości kilku mil reflektory zbliżającego się samochodu oraz z odległości dziesięciu stóp poruszających się pieszo ludzi. Czyli z dość bliska. Chociaż w nocy zmysł wzroku i tak nie był najważniejszy. W ciemności liczył się przede wszystkim słuch. Hałas był najlepszym systemem wczesnego ostrzegania, Sam Reacher nie wydawał żadnego dźwięku, ponieważ się nie ruszał. Żaden intruz nie mógł zachowywać się tak cicho. Intruzi muszą się poruszać.

Dał dwa kroki do przodu i stanął w bezruchu. Obrócił powoli głowę o dwieście stopni, kontrolując wielką zakrzywioną bańkę przestrzeni, z której musiał wyłowić wszystkie odgłosy. Jeżeli Pauling robiła to samo po północnej stronie domu, powinni usłyszeć skradającego się z dowolnego kierunku nieprzyjaciela-

Z początku nie słyszał nic. Zupełnie jakby ogłuchł. Potem, w miarę jak się odprężył i koncentrował, zaczęły do niego dobiegać rozchodzące się po płaskim terenie ciche, prawie nieuchwytnie dźwięki. Szelest wiatru w gałęziach rosnących w oddali drzew. Buczenie biegnącej milę dalej linii wysokiego napięcia. Ciurkanie wody, która zmieniała w rowach ziemię w błoto. Szmer schnących i opadających na bruzdy drobin pyłu. Chrobotanie pazurków myszy polnej. To, jak rosną rośliny. Obracając głowę niczym radar, zdawał sobie sprawę, że usłyszy każdego intruza równie wyraźnie, jakby towarzyszyła mu orkiestra wojskowa. Usłyszy go z odległości stu jardów, bez względu na to, jak bezszelestnie będzie starał się skradać.

Reacher stał samotny w ciemności. Uzbrojony i niebezpieczny. Niezwyciężony.



Nie ruszał się z tego miejsca przez pięć długich godzin. Było zimno, ale do wytrzymania. Nikt się nie pojawił. O wpół do siódmej rano daleko po jego lewej stronie zrobiło się trochę jaśniej. Na niebie pojawiła się różowa pozioma łuna. Nad ziemią zalegała mgła. Szare światło sunęło na zachód powoli niczym przypływ.

Świt nowego dnia.

Czas największego zagrożenia.

Taylor i Jackson wyszli z domu, niosąc dwa kolejne karabinki. Reacher bez słowa zajął nową pozycję przy tylnej ścianie, tuż przy rogu, zwrócony twarzą na południe. Taylor zajął podobną pozycję przy frontowej ścianie. Reacher wiedział, nie patrząc, że sześćdziesiąt stóp za nimi Jackson i Pauling robią dokładnie to samo. Cztery karabinki, cztery pary oczu, wszystkie zwrócone na zewnątrz.

Mogli czuć się względnie bezpieczni.

Dopóki wytrwają na pozycjach.

## 70

Wytrwali na pozycjach przez cały długi dzień. Przez cały rano, całe popołudnie i większą część wieczoru. Czternaście bitych godzin.

Lane nie przyjeżdżał.

Pojedynczo robili krótkie przerwy na posiłek i jeszcze krótsze na wizytę w toalecie. Dla urozmaicenia co jakiś czas zmieniali pozycje wokół domu zgodnie z ruchem wskazówek zegara. Pod koniec mieli wrażenie, że ich karabinki o masie ośmiu funtów ważą cztery tony. Jackson wymknął się na chwilę i włączył odstraszacz ptaków. Od tej chwili ciszę przerywały w nierównych odstępach głośne karabinowe wystrzały. Mimo że wiedzieli, że za chwilę się rozlegną, każdy z wartowników odruchowo podskakiwał i tulił głowę w ramionach na odgłos strzału.

Lane nie przyjeżdżał.

Kate i Jade pozostały w domu, poza zasięgiem wzroku. Robiły posiłki, rozlewały napoje i stawiały je na tacach przy oknach i drzwiach, herbatę dla Taylora i Jacksona, kawę dla Reachera, sok pomarańczowy dla Pauling. Słońce przeświecało przez mgłę i robiło się coraz cieplej, a potem, późnym popołudniem z powrotem się ochłodziło.

Lane wciąż nie przyjeżdżał.

Jade rysowała różne rzeczy. Mniej więcej co dwadzieścia minut podchodziła z nowym rysunkiem do któregoś z okien



i pytała, czy jest dobry. Kiedy nadchodziła jego kolej na wydanie oceny, Reacher zerkał w dół, przyglądał się rysunkowi, a potem odwracał się z powrotem na zewnątrz i mówił półgębkiem „bardzo dobry”. I ogólnie rysunki zasługiwały na pochwałę. Mała nie była wcale złą artystką. Porzuciła wizje czekającej ją przyszłości na rzecz bezpośredniego reportażu. Narysowała mini coopera, Pauling z karabinkiem, Taylora z ustami przypominającymi rozbitą samochodową chłodnicę. Narysowała olbrzymiego, większego od domu Reachera. A potem pod koniec dnia porzuciła reportaż na rzecz czystej fantazji i narysowała stojące w stodołach zwierzęta gospodarskie, mimo że Jacksonowie nie mieli nawet psa.

Lane nie przyjeżdżał.

Kate zrobiła kanapki na wczesną kolację, a Jade zaczęła podchodzić do okien w rogach domu i pytać wszystkich po kolei, czy może wyjść na dwór i zwiedzić okolicę. Wszyscy po kolei odpowiadali, że nie, że powinna się schować. Za trzecim razem Reacher usłyszał, że zmodyfikowała swoją prośbę i pyta Taylora, czy może wyjść po zmroku, a Taylor odpowiada „zobaczmy”, jak każdy znużony długim nagabywaniem rodzic.

Lane nie przyjeżdżał.

O wpół do dziewiątej wieczorem widoczność ponownie zmalała do zera. Reacher był na nogach od dziewiętnastu godzin. Pauling również. Taylor i Jackson pełnili wartę od dwudziestu czterech, z krótką pięciogodzinną przerwą. Zebrali się wszyscy w zapadającym zmroku przy drzwiach frontowych, zmęczeni, sfrustrowani, podenerwowani bezproduktywnym czuwaniem.

— Chce nas wziąć na przeczekanie — oświadczył Taylor.

— I dlatego wygra — stwierdził Jackson. — Długo już tak nie wytrzymamy.

— Miał dwadzieścia siedem godzin. Musimy zakładać, że są uzbrojeni — powiedziała Pauling.

— Zaatakuję jutro o świcie — powiedział Taylor.

•— Jesteś pewien? — zapytał Reacher.

•— Nie do końca.

— Ja też nie. Równie dobrze może to zrobić o trzeciej lub czwartej rano.

— Za ciemno.

— Jeżeli kupili broń, mogli też kupić noktowizory.

— Jak byś to rozegrał?

— Wysłałbym trzech ludzi, żeby podeszli od północy. Pozostała czwórka powinna zaatakować od strony podjazdu, dwaj w samochodzie jadącym ze zgaszonymi światłami, z dużą szybkością, dwaj osłaniający ich pieszo po bokach. Dwa kierunki natarcia, siedmiu facetów, siedem okien do wyboru. Przynajmniej trzech może dostać się do środka. Zgarniają ciebie albo zakładnika, zanim zdążymy zareagować. •

— Naprawdę potrafisz dodać otuchy — mruknął Taylor.

— Staram się tylko myśleć tak jak oni.

— Załatwimy ich, zanim ktokolwiek zbliży się do domu.

— Tylko jeżeli cała nasza czwórka będzie czuwać przez następne osiem godzin. Albo przez następne trzydzieści dwie godziny, jeżeli Lane opóźni atak o kolejny dzień. Albo przez następne pięćdziesiąt sześć godzin, jeśli będzie czekał dwa dni. Może to zrobić. Nie spieszy mu się. I nie jest głupi. Jeśli postanowił przeczekać, dlaczego nie pójść na całość?

— Nie ruszamy się stąd — powiedział Taylor. — Ten dom to prawdziwa forteca.

— W trzech wymiarach jest w porządku — zgodził się Reacher. — Ale bitwy rozgrywane są w czterech wymiarach. W przestrzeni i w czasie. A czas jest sprzymierzeńcem Lane'a, nie naszym. To jest oblężenie. Skończy nam się żywność albo wcześniej czy później cała nasza czwórka jednocześnie zaśnie.

— W takim razie ograniczmy obsadę wart. Jedna osoba na północy, druga na południu, pozostali odpoczywają, ale są w gotowości.

Reacher potrząsnął głową.

— Nie, czas przejść do działań zaczepnych.

— Jakich?

— Mam zamiar ich znaleźć. Musieli się zaszyć gdzieś blisko. Czas złożyć im wizytę. Nie będą się tego spodziewać.

— Chcesz iść sam? To szaleństwo — powiedziała Pauling.

— I tak muszę to zrobić — odparł Reacher. — Nie dostałem jeszcze pieniędzy dla Hobarta. Gdzieś tam leży osiemset kawałków. Nie mogę pozwolić, żeby się zmarnowały.



Taylor i Pauling zostali na straży, a Reacher wyjął wielką mapę topograficzną ze schowka w mini cooperze, przełożył najnowsze rysunki Jade z kuchennego stołu na krzesło, rozpostarł na ich miejscu mapę i zasiadł nad nią razem z Jacksonem, który od roku przebywał w tej okolicy. Szkoda, że nie dłużej, doszedł do wniosku Reacher, ale i tak było to lepsze niż nic. Mapa przedstawiała zresztą dość wiernie ukształtowanie terenu za pomocą pomarańczowych poziomic, które miały łagodne krzywizny i były znacznie od siebie oddalone. Płaski teren, prawdopodobnie najbardziej płaski na całych Wyspach Brytyjskich. Niczym stół bilardowy. Grange Farm i Bishops Pargeter leżały pośrodku szerokiego pustego trójkąta ograniczonego od wschodu drogą, która biegła z Norwich do Ipswich w Suffolku, a od zachodu drogą do Thetford, którą Reacher i Pauling przejechali już trzy razy. Wnętrze trójkąta wypełniały nieliczne boczne drogi, zabite dechami wioski i niewielkie miejscowości, które przycupnęły na skrzyżowaniach dróg. Na mapie widać je było jako niewielkie szare kwadraty i prostokąty. Czasami prostokąty oznaczały kilka domów stojących jeden przy drugim. Niektóre większe budynki zaznaczono osobno. Jedynym takim miejscem, położonym stosunkowo blisko Bishops Pargeter i opatrzonym literką P, był pub Bishop's Arms.

„To jedyny pub w promieniu wielu mil, chłopie. Inaczej dlaczego byłby taki zatłoczony?”

— Myślisz, że tam są? — zapytał Reacher.

— Jeżeli zatrzymali się najpierw w Fenchurch Saint Mary — odparł Jackson — i dopiero później ruszyli do Bishops Pargeter, to po drodze na pewno nie znaleźli innej gospody. Ale mogli również pojechać na północ. Bliżej Norwich jest wiele hotelików.

— Nie kupią broni w Norwich — stwierdził Reacher. — Ty musiałeś załatwić ją aż w Holandii.

— Są tam dubeltówki — powiedział Jackson. — Nic cięższego.

— Dlatego prawdopodobnie tam nie pojechali — uznał Reacher. Przypomniał sobie, co zobaczył w atlasie samochodowym. Norwich znajdowało się w górnym prawym rogu wschodniej Anglii. Nie leżało po drodze do żadnego innego miejsca. — Moim zdaniem są gdzieś blisko.

— W takim razie pewnie w Bishop's Arms — zgodził się Jackson.

Pięć mil, pomyślał Reacher. Na piechotę to będzie trzy godziny tam i z powrotem. Wróć przed północą.

— Mam zamiar to sprawdzić — oświadczył.

• • •

Przed wyjściem zajrzał do składziku i zabrał dwa zapasowe magazynki do swojego G-36. Znalazł w kuchni torebkę Pauling i pożyczył jej małą latarkę. Złożył mapę i schował ją do kieszeni, a potem przystanął na chwilę z innymi na dworze przy drzwiach frontowych, żeby uzgodnić hasło. Nie chciał, żeby postrzelili go, kiedy będzie wracał. Jackson zaproponował „Kanarki”. Nazywano tak drużynę piłki nożnej z Norwich z powodu ich żółtych strojów.

— Są dobrzy? — zapytał Reacher.

— Kiedyś byli — odparł Jackson. — Dwadzieścia kilka lat temu byli wspaniali.

Zupełnie tak jak ja, pomyślał Reacher.

— Uważaj na siebie — poprosiła Pauling i pocałowała go w policzek.

— Wróć tutaj — powiedział.

Wyruszył z domu, kierując się na północ, a potem skręcił na zachód i jakiś czas szedł równoległe do drogi. Na niebie pozostały jeszcze resztki światła. Postrzępione chmury, zza których świeciły blade gwiazdy. Powietrze było zimne i trochę wilgotne. Przy samej ziemi snuła się wysoka do kolan mgła. Ziemia pod stopami była miękka i ciężka. Trzymał

karabinek w lewej ręce, gotów w każdej chwili poderwać go do strzału.

Reacher, samotny w ciemności.



Granice Grange Farm wyznaczał rów szeroki na dziesięć i głęboki na sześć stóp. Element systemu irygacyjnego. Niezupełnie podobny do holenderskich kanałów, ale niezbyt łatwy do pokonania. Trudno go było przeskoczyć. Reacher musiał zsunąć się w dół, przebrnąć przez błoto i wdrapać się na drugi brzeg. Po przejściu mili jego spodnie były w opłakanym stanie. I przed powrotem do domu musiał koniecznie odwiedzić pucybuta. Albo potrać sobie z odszkodowania Hobarta forszę na nową parę cheaneyów. Mógłby je kupić w mieście, w którym były produkowane. Według atlasu samochodowego Northampton leżało czterdzieści mil na zachód od Cambridge. Może udałoby się namówić Pauling na dwugodzinną wyprawę na zakupy. Zgodził się przecież na wizytę u Macy'ego.

Po pokonaniu dwóch mil poczuł w nogach zmęczenie. Szedł powoli. Miał opóźnienie. Zmienił kurs na południowo-wschodni. Bliżej drogi. Na polu sąsiada trafił na ślady po traktorze. Wielkie opony zostawiły twarde koleiny po obu stronach biegnącego środkiem trawiastego wybrzuszenia. Reacher wytarł buty o trawę i trochę przyspieszył. Odkrył, że przez następny rów przerzucono prowizoryczną kładkę zrobioną z dwóch starych kolejowych podkładów. Skoro utrzymały traktor, utrzymają i jego. Szedł dalej wzdłuż kolein aż do miejsca, w którym skręcały ostro na północ. Dalej musiał znowu brnąć przez grząski grunt.

Po czterech milach zegar w jego głowie powiedział mu, że jest wpół do jedenastej. Zapadła noc, ale postrzępione chmury trochę się rozeszły i jasno świecił księżyc. Gwiazdy zgasły. Daleko po lewej stronie widział od czasu do czasu samochody. Dwa przejechały na zachód, dwa na wschód. Jasne światła, umiarkowana szybkość. Teoretycznie tymi, które jechały na Wschód, mogli podróżować ludzie Lane'a, ale raczej w to wątpił. Dziesiąta i jedenasta wieczorem nie były dobrą porą na atak.

Domyślał się, że na wiejskich drogach to swoista godzina szczytu. Goście wychodzą z pubu, znajomi wracają do domu. Za dużo świadków. Skoro on to wiedział, Lane pewnie też. Na pewno zdawał sobie z tego sprawę Gregory.

Szedł dalej. Zapasowe magazynki w kieszeni ocierały mu biodro. Za pięć jedenasta zobaczył blask bijący od szyldu pubu. A właściwie wyłącznie rozświetlającą mgłę elektryczną poświata, ponieważ sam szyld schowany był za węglem domu. Czuł zapach drzewnego dymu z komina. Zataczając szeroki krąg wokół światła i dymu, na wypadek gdyby Lane wystawił czujki, szedł dalej, aż ujrzał oddaloną o czterysta jardów tylną ścianę budynku. Na jej tle jarzyły się niewielkie kwadraty ostrego światła. Okna. Niczym niezastonięte, mało reprezentacyjne. Domyślił się, że znajdują się za nimi toalety i kuchnia. A więc szyby były z matowego szkła. Od środka nie było przez nie nic widać.

Ruszył na południe, prosto ku rozświetlonym oknom.

# 71

Część parkingu za pubem była zagrodzona i zamieniona w składowisko. Pełno tam było skrzyń z butelkami, metalowych beczek po piwie i wielkich przemysłowych kontenerów na śmieci. Obok stał zepsuty stary samochód z cegłami wsuniętymi pod tarcze hamulcowe. Bez kół. I jeszcze jeden, przykryty brudną plandeką. Za nim tylne drzwi, nierzucające się w oczy pośród otaczającego chaosu, prawie na pewno otwarte, aby w godzinach działalności pubu można było przejść z kuchni do śmietnika.

Reacher nie wszedł przez nie do środka. Zamiast tego obszedł dom zgodnie z ruchem wskazówek zegara, trzymając się trzydzieści stóp od ścian, daleko od padającego z okien światła.

W małych jasnych pomieszczeniach z tyłu domu rzeczywiście mieściły się toalety. Światło miało charakterystyczny zielonkawy odcień, jaki daje połączenie tanich jarzeniówek i białych kafli. W bocznej, wschodniej ścianie budynku nie było żadnych okien. Za następnym rogiem, od frontu, na prawo od wejścia znajdowały się trzy okna, przez które widać było bar. Reacher zajrzał do środka i zobaczył tych samych czterech farmerów, których widział przed dwoma dniami. Siedzących na tych samych stołkach. I tego samego barmana, który stał ze ściereczką przy kranach z piwem. Światło było przyćmione, ale Reacher

dostrzegł, że poza nimi na sali nie ma nikogo. Nikt nie siedział przy żadnym ze stolików.

Ruszył dalej.

Drzwi frontowe były zamknięte. Na parkingu stały cztery krzywo zaparkowane samochody. Żaden nie był nowy. Żaden nie wyglądał na auto, które można wynająć w hotelu Park Lane Hilton. Wszystkie były stare, brudne i poobijane. Z łysymi oponami. Powgniatanymi błotnikami. Karoserią ubrudzoną błotem i nawozem. Samochody rolników.

Reacher ruszył dalej.

Na lewo od wejścia znajdowały się trzy kolejne okna, przez które widać było restaurację.

Dwa dni temu była pusta.

To się zmieniło.

Zajęty był jeden stół.

Siedzieli przy nim trzech faceci: Groom, Burke i Kowalski.

Widział ich bardzo wyraźnie. Na stole zobaczył resztki dawno zjedzonego posiłku oraz pół tuzina pustych kufli. A także trzy do połowy pełne. Stół był prostokątny. Kowalski i Burke siedzieli ramię przy ramieniu po jednej stronie, Groom sam, naprzeciwko nich. Kowalski mówił coś, Burke go słuchał. Groom przechylił się do tyłu na krześle i wpatrywał w przestrzeń. Za nim, w pokrytym sadzą kominku, palił się ogień. Jasno oświetlony pokój sprawiał wrażenie ciepłego i gościnnego.

Reacher ruszył dalej.

Za następnym rogiem było jedno wychodzące na zachód okno i Reacher zobaczył w nim zmodyfikowaną wersję tego samego widoku. Groom, Burke i Kowalski przy stole. Pijący piwo. Rozmawiający. Zabijający czas. Poza nimi w pomieszczeniu nie było nikogo. Drzwi do sieni były zamknięte. Prywatne przyjęcie.

Reacher cofnął się cztery kroki i podszedł pod kątem czterdziestu pięciu stopni do rogu budynku. Nie można go było dostrzec z żadnego z okien. Dotknął ściany, uklęknął, po czym opierając prawą dłoń o cegły, wyciągnął jak najdalej w bok lewą rękę i bardzo ostrożnie położył karabin dokładnie pod



wychodzącym na zachód oknem — tuż przy ścianie, tam gdzie było najciemniej. Następnie przesunął się z powrotem w prawo, wstał, wycofał się pod tym samym kątem i spojrział w stronę okna. Karabinek był niewidoczny. Nikt nie powinien go znaleźć, chyba że się o niego potknie.

Reacher obszedł szerokim łukiem okna restauracji, otworzył drzwi frontowe i wszedł do sieni. Niskie belki sufitu, wzorzysty dywan, dziesięć tysięcy mosiężnych ozdóbek. Lśniący jak lustro blat recepcji.

Księga gości.

Podszedł do biurka. Po prawej stronie słyszał dochodzące z baru ciche odgłosy. Popijający piwo małomówni farmerzy. Obsługujący ich bez słowa barman. Z lewej dobiegał stłumiony przez zamknięte drzwi głos Kowalskiego. Nie rozumiał, co mówi. Nie słyszał poszczególnych słów, wyłącznie niski pomruk, który co jakiś czas zmieniał ton na nieco wyższy. Pogardliwe parsknięcia. Najprawdopodobniej pogwarki staro-wojaka.

Obrócił księgę gości o sto osiemdziesiąt stopni. Skórzana okładka przesunęła się gładko po wypolerowanym fornirze. Otworzył księgę, przerzucił kilka kartek i odnalazł własny wpis. „J. i L. Bayswater. Wschodnia Sto Sześćdziesiąta Pierwsza, Bronx, Nowy Jork, USA. Rolls-royce. R34-CHR”. Przyjrzał się następnym wpisom. Nazajutrz po nim zameldowali się trzej goście. C. Groom, A. Burke, L. Kowalski. W przeciwieństwie do Reachera nie wstydzili się swoich danych. W rubryce *adres firmy* wpisali: „Siedemdziesiąta Druga 1, Nowy Jork, Nowy Jork, USA”, czyli adres Dakota Building. W rubryce *marka pojazdu* wpisali „toyota land cruiser”. Podali nawet jej numer rejestracyjny składający się z siedmiu znaków: cyfr i liter, które nic nie mówiły Reacherowi poza faktem, że samochód musiał zostać wypożyczony w Londynie.

Na parkingu nie było toyoty land cruisera.

I gdzie byli Lane, Gregory, Perez i Addison?

Przerzucając kartki do tyłu, zorientował się, że w Bishop's Arms można wynająć najwyżej trzy pokoje. Zatem skoro każdy z nich — Groom, Burke i Kowalski — wziął pokój dla siebie,

w gospodzie zabrakło miejsca dla innych. Wsiedli do wypożyczonej toyoty i pojechali gdzie indziej.

Ale gdzie?

Reacher zerknął na drzwi do restauracji, ale zamiast do nich podejść, skierował się do tych, które prowadziły do baru. Otworzył je. Barman podniósł wzrok, czterej farmerzy obrócili się powoli na swoich stołkach. Mierzyli go przez chwilę lekceważącym spojrzeniem starych bywalców, a potem rozpoznawszy go, ostrożnie się ukłonili i wrócili do swojego piwa. Barman stał w pełnej gotowości, czekając na zamówienie.

*Natychmiastowa społeczna akceptacja za cenę niespełna trzydziestu dolców.*

— Gdzie pan odesłał pozostałych czterech? — zapytał Reacher.

— Kogo? — zapytał barman.

— Przyjechało tu wczoraj siedmiu facetów. Trzech zostało. Gdzie pan odesłał pozostałych czterech?

— Mamy tylko trzy pokoje.

— Wiem o tym — odparł Reacher. — Gdzie posyła pan tych, dla których zabrakło miejsca?

— Odesłałem ich do Maston Manor.

— Gdzie to jest?

— Po drugiej stronie Bishops Pargeter. Mniej więcej sześć mil stąd.

— Nie widziałem innej gospody na mapie.

— To wiejski dom. Przyjmuje gości, którzy płacą.

Jeden z farmerów wykonał pół obrotu w stronę Reachera.

— To pensjonat. Bardzo miły — powiedział. — Bardziej ekskluzywny od tego miejsca. Ciągnęli pewnie losy i ci, co przegrali, zostali tutaj.

Jego znajomi zarechotali niskim przeciągłym śmiechem. Barowy humor, taki sam jak wszędzie.

— Tam jest drożej — wyjaśnił barman.

— I słusznie — zauważył farmer.

— To przy tej drodze? — zapytał Reacher.

Barman pokiwał głową.

— Prosto przez Bishops Pargeter. Minie pan kościół i sklep

Dave'a Kempa i przejedzie jeszcze sześć mil. Nie sposób go minąć. Jest tam sztyl. Maston Manor.

—Dziękuję — powiedział Reacher.

Cofnął się do sieni i zamknął za sobą drzwi. Przeszedł po wzorzystym dywanie i zatrzymał się przed wejściem do restauracji. Kowalski nadal coś mówił. Reacher słyszał jego głos. Położył dłoń na klamce. Odczekał chwilę, a potem przekręcił ją i otworzył drzwi.

Carter Groom siedział po drugiej stronie stołu, twarzą do drzwi. On też podniósł wzrok, podobnie jak barman, ale Kowalski i Burke odwrócili się o wiele szybciej niż farmerzy. Odwrócili się i otworzyli szerzej oczy. Reacher wszedł do środka, zamknął za sobą delikatnie drzwi i stanął nieruchomo w miejscu.

— Znowu się spotykamy — powiedział, po to tylko żeby przerwać milczenie.

— Masz tupet — mruknął Groom.

Pokój był urządony w takim samym stylu jak sień. Niski belkowany sufit, ciemne lakierowane drewno, ozdobne kinkiety na ścianach, tysiące mosiężnych ozdóbek, pokrywający całą podłogę dywan w ogniste czerwone i złote wzory. Reacher podszedł do kominka i postukał czubkami butów w palenisko, żeby odpadło z nich zaschnięte błoto. Następnie zdjął ze stojaka ciężki żelazny pogrzebacz, zdrapał nim brud z obcasów, zawiesił z powrotem pogrzebacz, i strząsnął błoto z nogawek. Wszystkie te czynności zajęły mu ponad minutę i przez cały czas był odwrócony plecami do trzech mężczyzn. Widział jednak wyraźnie ich odbicie w miedzianym wiadrze na podpałkę. Żaden się nie poruszył. Trzej faceci siedzieli tam po prostu i czekali. Nie byli tacy głupi, żeby wszczynać burdę w publicznym miejscu.

— Sytuacja się zmieniła — oświadczył Reacher, po czym podszedł do wychodzącego na zachód okna, które miało odsunięte zasłony, przesuwaną do góry wewnętrzną szybę oraz

normalne drewniane skrzydło, otwierające się na zewnątrz. Przysunął sobie krzesło od najbliższego stolika i usiadł w odległości sześciu stóp od trzech facetów. Od karabinku dzieliły go tylko dwie szyby.

— Jak się zmieniała? — zapytał Burke.

— Nie było żadnego porwania — powiedział Reacher. — Zostało sfingowane. Kate i Taylor działali razem. Pokochali się i uciekli. Ponieważ chcieli być razem. To wszystko. Zabrali ze sobą oczywiście Jade. Ale musieli to ukartować, ponieważ kiedy w grę wchodzi żony Lane'a, odzywa się w nim psychopata. Przy innych okazjach zresztą też.

— Kate żyje? — zapytał Groom.

Reacher pokiwał głową.

— Jade też — powiedział.

— Gdzie są?

— Chyba gdzieś w Stanach.

— Więc po co Taylor tu przyjechał?

— Żeby stoczyć decydującą bitwę z Lane'em na własnym terenie.

— To się jej doczeka.

Reacher potrząsnął głową.

— Przyszedłem, żeby wam powiedzieć, że to zły pomysł. Jest na farmie otoczonej rowami, które są zbyt głębokie, żeby przez nie przejechać. Będziecie musieli atakować pieszo. I ma potężne wsparcie. Jest z nim ośmiu dawnych kumpli z SAS, a jego szwagier służył w czymś w rodzaju brytyjskich zielonych beretów i on także ściągnął sześciu swoich kolegów. Rozłożyli miny w promieniu stu jardów i mają ciężkie karabiny maszynowe w każdym oknie oraz noktowizory i granatniki.

— Nie użyją ich. Nie tutaj. To Anglia, nie Liban.

— Jest gotów ich użyć. Lepiej w to uwierzcie. Choć w gruncie rzeczy wcale nie musi. Bo czterej faceci z SAS to snajperzy. Mają karabiny wyborowe Heckler & Koch kupione na czarnym rynku w Belgii. Załatwią was z odległości trzystu jardów. Z zamkniętymi oczyma. Siedem pocisków i gra skończona. Farma stoi na kompletnym odludziu. Nikt nic nie usłyszy. A jeśli nawet, nikt nie ruszy palcem. To zabita deskami wiocha. Ciągle

tam strzelają. Do lisów, znaków drogowych, włamywaczy, do siebie nawzajem.

Na sali zapadła cisza. Kowalski podniósł do ust kufel i pociągnął łyk. Potem zrobił to Burke i Groom. Kowalski był leworęczny, Burke i Groom praworęczni.

— Najlepiej po prostu zapomnijcie o wszystkim i wracajcie do domu. Lane zginie. Nie ma co do tego wątpliwości. Nie widzę tylko, dlaczego mielibyście ginąć razem z nim. To nie wasza sprawa. Chodzi tylko o jego urażoną ambicję. To dotyczy tylko jego, Kate i Taylora. Nie dajcie się zabić za takie pierdoły.

— Nie możemy tak po prostu się wycofać — powiedział Burke.

— Wycofaliście się w Afryce — odparł Reacher. — Zostawiliście Hobarta i Knighta, żeby ratować jednostkę. Teraz powinniście zostawić Lane'a, żeby ratować siebie. Nie wygracie tutaj. Taylor jest dobry. Wiecie o tym. Jego kumple w niczym mu nie ustępują. Mają nad wami dwukrotną przewagę liczebną. To zupełnie zmienia stan rzeczy. O tym też wiecie. W sytuacji takiej jak ta to wy musicie mieć przewagę liczebną nad obrońcami. Skopią wam tyłki.

Nikt się nie odezwał.

— Powinniście wracać do domu — powtórzył Reacher. — Zatrudnić się gdzie indziej. Może nawet założyć własną firmę.

— Jesteś z Taylorem? — zapytał Groom.

Reacher pokiwał głową.

— I umiem dobrze strzelać. W wojsku zdobyłem raz puchar w zawodach strzeleckich piechoty morskiej. Pobiłem wszystkich waszych żałosnych koleżków z rękoma w kieszeniach. Więc może sam też złapię któryś z tych karabinów. Może położę was wszystkich z odległości sześciuset jardów dla samej zabawy. Albo z ośmiuset czy z tysiąca.

W pokoju zapadła cisza. Nie słychać było żadnych dźwięków oprócz trzaskania ognia w kominku. Reacher spojrzął w oczy Kowalskiemu.

— Pięćdziesiąt siedem trzynaście — skłamał. — To kod do garderoby Lane'a. Nadal jest w niej ponad dziewięć milionów dolców. W gotówce. Powinniście po nią pojechać, natychmiast.

Żadnej reakcji.

— Odpuście sobie. Postarajcie się dożyć jutra — powiedział Reacher.

— Ukradli całą tę forszę — stwierdził Burke.

— Alimenty. Łatwiej było to załatwić w ten sposób, niż zażądać ich wprost. Anne Lane chciała dostać alimenty i zginęła. Kate dowiedziała się o tym.

— Wtedy to było prawdziwe porwanie.

Reacher potrząsnął głową.

— Załatwił ją Knight. Na polecenie Lane'a, bo Anne chciała od niego odejść. Dlatego zostawiliście Knighta w Afryce. Lane ratował własny tyłek. Poświęcił Hobarta, bo ten znalazł się w tym samym punkcie obserwacyjnym co Knight.

— To bzdury.

— Odnalazłem Hobarta. Knight wszystko mu opowiedział, kiedy siedzieli w tamtejszym pierdlu, czekając, aż poobcinają im ręce i nogi.

Cisza.

— Nie dajcie się zabić za takie pierdoły — powtórzył Reacher.

Burke spojrział na Grooma. Groom spojrział na Burke'a. Obaj popatrzyli na Kowalskiego. Przez dłuższy czas trwała cisza. W końcu Burke podniósł wzrok.

— Dobrze — powiedział. — Chyba to sobie odpuścimy.

Groom pokiwał głową. Kowalski wzruszył ramionami. Reacher wstał.

— Mądra decyzja — stwierdził, po czym ruszył w stronę drzwi. Zatrzymał się przy palenisku i postukał znowu butami o kamienne obramowanie. — Gdzie jest Lane i inni?

Krótkie milczenie.

— Nie było tutaj miejsca — rzekł Groom. — Pojechali na północ do Norwich. Do jakiegoś hotelu w mieście. Polecił im go facet stąd.

Reacher pokiwał głową.

— Kiedy rusza do ataku? — zapytał.

Kolejna pauza.

— Pojutrze o świcie.

— Co kupił?

— Pistolety maszynowe. M P 5 K dla każdego plus dwa zapasowe. Amunicję, noktowizory, latarki i inne drobiazgi.

— Macie zamiar do niego zadzwonić? Zaraz po moim wyjściu?

— Nie — odparł Burke. — To nie jest facet, do którego dzwoni się z takimi wiadomościami.

— Dobrze — mruknął Reacher, po czym dał krok w lewo i zdjął pogrzebacz ze stojaka. Obrócił go w rękach, odwrócił się jednym płynnym ruchem, zamachnął z całej siły i uderzył Cartera Grooma w prawe ramię kilka cali nad łokciem. Pogrzebacz był zrobiony z ciężkiego żelaznego pręta, a Reacher był silnym i rozgniewanym mężczyzną. Kość ramienna Grooma pękła niczym upuszczona z rąk porcelanowa filiżanka. Zszokowany Groom otworzył szeroko usta z bólu, ale zanim wydobył się z nich jakikolwiek krzyk, Reacher dał dwa kroki w bok i złamał lewą rękę Kowalskiemu potężnym uderzeniem z bekhendu. Kowalski był leworęczny, Burke i Groom praworęczni. Reacher odsunął biodrem z drogi Kowalskiego, zamachnął się niczym Mickey Mantle posyłający na starych kronikach filmowych piłeczkę za boisko i rąbnął Burke'a w prawy nadgarstek, roztrzaskując mu tam wszystkie kości. A potem wypuścił powietrze z płuc, podszedł do kominka i zawiesił pogrzebacz z powrotem na stojaku.

— Zrobiłem to tylko na wszelki wypadek — wyjaśnił. — Nie przekonały mnie do końca wasze odpowiedzi. Zwłaszcza te dotyczące hotelu Lane'a.

Następnie wyszedł z sali restauracyjnej i zamknął za sobą cicho drzwi. Zegar w jego głowie wskazywał dokładnie dwudziestą trzecią trzydzieści jeden.

. . .

Płatynowy rolex na prawej ręce Edwarda Lane'a wskazywał dokładnie dwudziestą trzecią trzydzieści dwie, kiedy zamknął tylne drzwi toyoty, w której chował dziewięć pistoletów maszynowych Heckler & Koch MP5K, sześćdziesiąt magazynków na trzydzieści nabojów parabellum 9 mm, siedem zestawów



noktowizorów, dziesięć latarek, sześć rolek taśmy samoprzylepnej oraz dwa długie zwoje liny. John Gregory zapalił silnik. Na tylnym siedzeniu siedzieli Perez i Addison, milczący i zamysłeni. Lane usiadł obok kierowcy. Gregory zawrócił i pojechał na zachód. Według standardowej doktryny sił specjalnych najlepiej jest atakować o świcie, ale wskazane jest również wysłanie przodem niewielkiej szpicy, która zajmie wysuniętą pozycję i będzie prowadzić obserwację.



Zegar na nocnej szafce wskazywał dokładnie dwudziestą trzecią trzydzieści trzy, kiedy Jade obudziła się, oszołomiona, zgrzana i zdezorientowana zmianą czasu. Siedziała przez chwilę cicho na łóżku, a potem postawiła stopy na podłodze, przeszła powoli przez pokój i odsunęła zasłony. Na dworze było ciemno. A ona mogła wyjść z domu, kiedy będzie ciemno. Powiedział jej tak Taylor. Mogła więc odwiedzić stodoły i odnaleźć ukryte tam zwierzęta.



Dokładnie o dwudziestej trzeciej trzydzieści cztery Reacher zabrał karabinek spod okna restauracji i ruszył z powrotem asfaltową drogą, dzięki czemu, jak sądził, powinien nadrobić opóźnienie. Pięć mil, płaski teren, żadnych wzniesień, szybkie tempo. Przewidywał, że powrót zajmie mu najwyżej siedemdziesiąt pięć minut. Był zmęczony, ale zadowolony. W zasadzie usatysfakcjonowany. Trzy pociągające za spust palce wyeliminowane z gry, siły nieprzyjaciela zredukowane do pięćdziesięciu siedmiu procent początkowej liczebności, kilka pożytecznych informacji. Zakorzeniona głęboko lojalność Grooma kazała mu skłamać w kwestii zakwaterowania Lane'a i prawdopodobnie również w kwestii planowanego ataku. „Pojutrze o świcie” było prawie z całą pewnością nieudolną i pośpieszną próbą zakamuflowania prawdy, czyli tego, że atak miał nastąpić już nazajutrz. Jednak lista zakupów była prawdopodobnie prawdziwa. Noktowizory były niezbędne w przypadku nocnej obserwacji, a pistolety maszynowe MP5K to dokładnie taka broń,

jakiej facet pokroju 'Lane'a użyłby do szybkiego ataku. Lekka, celna, niezawodna, dobrze znana i dostępna.

Znajomość planów przeciwnika to gwarancja wygranej bitwy, pomyślał. Nieźle jak na jeden wieczór. Szedł energicznym krokiem, z ponurym uśmiechem na ustach.

Samotny w ciemności. Niezwyciężony.



To zadowolenie z siebie trwało dokładnie godzinę i kwadrans. Skończyło się, kiedy pokonał podjazd do Grange Farm i zobaczył mający przed nim ciemny zarys domu. Podał hasło przynajmniej z sześć razy. Z początku cicho, potem głośniej.

*Kanarki, kanarki, kanarki.*

*Kanarki, kanarki, kanarki.*

Nie doczekał się żadnej odpowiedzi.

# 73

W ogóle się nad tym nie zastanawiając, Reacher uniósł broń do strzału. Kolba przyciśnięta do prawego ramienia, bezpiecznik odwiedziony, prawy palec wskazujący wewnątrz kabłąka spustowego, lufa o jeden lub dwa stopnie poniżej pozycji horyzontalnej. Długie lata treningu, przyswojone na poziomie komórkowym, na zawsze zapisane w jego DNA. „Nie ma sensu nosić broni, jeśli nie jest gotowa do natychmiastowego użycia”, wrzeszczeli jego instruktorzy.

Stał zupełnie nieruchomo. Zamienił się cały w słuch. Nic nie usłyszał. Obrócił głowę w lewo. Nic. Obrócił głowę w prawo. Nic.

Jeszcze raz podał hasło, cichym i niskim głosem: Kanarki. Nie usłyszał odpowiedzi.

Lane, pomyślał.

Nie był zaskoczony. Zaskoczenie jest wyłącznie dla amatorów, a Reacher był zawodowcem. Nie był też podenerwowany. Nauczył się dawno temu, że człowiek może opanować strach i panikę, kiedy koncentruje się bez reszty na tym, co powinien zrobić. Nie tracił więc czasu na myślenie o Lauren Pauling albo Kate Lane. O Jacksonie albo Taylorze. O Jade. Nie stracił na to ani chwili. Zaczął się po prostu wycofywać. Jak zaprogramowany wcześniej automat. Bezszelestnie. Oddalając się od domu. Oddalając się jako cel i poszerzając kąt widzenia. Przyjrzał się oknom. Wszystkie były ciemne. Widział tylko słaby

czzerwony poblask w kuchni. Dogasający ogień. Frontowe drzwi były zamknięte. Obok nich majaczył zimny i szary zarys mini coopera. Samochód wyglądał dziwnie. Pochylony do przodu, jakby kłęczał. -

Podszedł do niego w ciemności, powoli i ostrożnie. Przykucnął przy przednim błotniku od strony kierowcy i poszukał dłonią opony. Nie było jej. Wyłącznie strzępy gumy i poskręcana dziko drutówka. A także okruchy plastiku z roztrzaskanego fartucha koła. Nic więcej. Obszedł dookoła samochód. Po drugiej stronie było to samo. Aluminiowa felga opierała się o ziemię.

Samochód z przednim napędem, skutecznie unieruchomiony. Oba koła. Zniszczenie jednego mogło nie wystarczyć. Jedną oponę można zmienić. Konieczne okazały się dwie serie z automatu. Dwukrotnie zaryzykowano, że ktoś usłyszy głośne strzały. Chociaż z doświadczenia Reachera wynikało, że oddana z MP5 seria trzech szybkich strzałów brzmi niewinniej niż jeden strzał. Pojedynczy strzał trudno wziąć za coś innego. Jest czymś wyjątkowym, osobliwym. Z MP5 można wystrzelić dziewięćset naboju na minutę. Piętnaście na sekundę. Co oznaczało, że seria trzech strzałów trwa jedną piątą sekundy. To nie jest już coś wyjątkowego i pojedynczego, lecz zupełnie inny dźwięk. Podobny do krótkiego pomruku. Wydawanego na przykład przez silnik stojącego na światłach motocykla.

Lane, pomyślał znowu.

Ale kiedy?

Przed siedemdziesięcioma pięcioma minutami był pięć mil stąd. Słyszalność maleje w postępie geometrycznym. Dobięgaający z dwukrotnie większej odległości dźwięk jest czterokrotnie cichszy. Cztery razy większa odległość, szesnaście razy cichszy dźwięk. Nie słyszał nic. Był tego pewien. Na tak płaskim, niezabudowanym terenie, w wilgotnym nocnym powietrzu usłyszałyby strzały z MP5 z odległości dwóch mil. Dlatego Lane musiał się tu zjawić co najmniej przed trzydziestoma minutami. Może jeszcze wcześniej.

Stojąc nieruchomo, wyteżał słuch. Nie usłyszał niczego. Ruszył w stronę drzwi frontowych. Nie były zamknięte na

klucz. Puścił lewą dłonią broń i przekręcił klamkę. Pchnął drzwi i podniósł karabin. W domu było ciemno. Robił wrażenie pustego. Sprawdził kuchnię. Było w niej cieplej niż gdzie indziej. W palenisku żarzyły się węgle. Rysunki Jade nadal leżały na krześle, tam gdzie je zostawił. Torebka Pauling tam, gdzie położył ją po wyjściu latarki. Wszędzie stały puste kubki po herbacie. Talerze w zlewie. Pomieszczenie wyglądało dokładnie tak samo, jak wtedy kiedy wychodził, tyle że nie było w nim ludzi.

Włączył latarkę i wsunął ją pod zaciśnięte na lufie karabinu palce lewej dłoni. Sprawdził pozostałe pomieszczenia na parterze. Elegancką jadalnię, chłodną, ciemną i nieużywaną. Nikogo. Elegancki salon, urządzone w podobnym stylu jak restauracja Bishop's Arms, cichy i pusty. Nikogo. Toaleta, garderoba, składzik — wszystkie puste.

Wspiął się po schodach. Pierwszy pokój, do którego wszedł, był sypialnią Jade. Zobaczył ułożoną na krześle sukienkę z marszczoną bawełny. Leżące na podłodze rysunki. Podniszczone stare zabawki, których brakowało w Dakota Building, oparte wszystkie o ścianę przy łóżku. Jednooki miś z wytartym do podszewki futrem. Lalka z jednym otwartym i jednym zamkniętym okiem i ustami niezbyt wprawnie umalowanymi czerwonym flamastrem. Łóżko było używane tej nocy. Poduszka była wgnieciona, kołdra odsunięta na bok.

Nie było tylko śladu samego dziecka.

Następny pokój bez wątpienia należał do Jacksonów. Na toaletce stały brytyjskie kosmetyki, szylkretowe szczotki do włosów i pasujące do nich lusterka. Były tam także oprawione w ramki fotografie innej dziewczynki. Reacher domyślił się, że to Melody. Przy drugiej ścianie stało łóżko z wysokim wezgłowiem i stare szafy w ciemnej okleinie wypełnione męskimi i damskimi ubraniami. Na jednej z nocnych szafek leżał katalog koparek. Lektura do poduszki Tony'ego Jacksona.

Ani śladu samego Jacksona.

Następny pokój należał do Kate i Taylora. Stare podwójne łóżko, dębowa nocna szafka. Typowy pokój gościnny, surowy, skąpo urządzone. O toaletkę oparta była fotografia. Kate i Jade,

razem. Oryginalna odbitka. Bez ramki. W świetle latarki ukazały się dwie twarze. Miłość uchwycona na zdjęciu. Na podłodze leżała pusta torba na zakupy. Bagaż Kate. Ani śladu pieniędzy. Tylko trzy rzucone w kącie puste skórzane torby. Jedną z nich zwiózł windą i wsadził do czarnego bmw on sam, w asyście podenerwowanego Burke'a.

Ruszył dalej, szukając składzików i łazienek. Nagle zatrzymał się w połowie korytarza.

Ponieważ na podłodze dostrzegł krew.



Plama była nieduża i wąska, długa na stopę, zakrzywiona niczym maźnięcie farbą. Niepodobna do kałuży. Nieuformowana. Miała w sobie coś dynamicznego, sugerowała gwałtowny ruch. Reacher cofnął się do szczytu schodów. Wciągnął w nozdrza powietrze. Unosił się w nim słaby zapach prochu. Oświetlił latarką korytarz i zobaczył w samym końcu otwarte drzwi do łazienki. Roztrzaskany kafelek na tylnej ścianie, na wysokości piersi. Krótka seria, która zmieściła się cała na pojedynczej ceramicznej płytce o wymiarach sześć na sześć cali. Biegający cel, podniesiona broń, palec na spuście, trzy naboje, które przeszły na wylot, prawdopodobnie przez ramię. Niski strzelec, w przeciwnym razie roztrzaskana płytka znajdowałaby się niżej. Pewnie Perez. Perez, oddający prawdopodobnie pierwszą z co najmniej siedmiu serii, które wystrzelił tej nocy. Tę, wewnątrz domu. Potem dwie serie w opony mini coopera. Potem cztery w opony land-rovera. W pojeździe z napędem na cztery koła trzeba zniszczyć wszystkie cztery opony, aby wykluczyć wszelkie niespodzianki. Zdesperowany kierowca mógłby dojechać gdzieś na dwóch.

Siedem serii z pistoletu maszynowego w martwej nocnej ciszy. Być może więcej. Czterdzieści minut temu albo wcześniej. „Ludzie mają tutaj telefony — powiedział Jackson. — Niektórzy nawet wiedzą, jak się nimi posługiwać”. Niestety tym razem nikt się nim nie posłużył. To nie ulegało wątpliwości. Gliniarze z Norwich mogli tu przybyć w niespełna czterdzieści minut. Mając do pokonania trzydzieści mil i puste drogi, z włą-

czonymi światłami i syrenami mogliby tu dotrzeć w dwadzieścia pięć minut albo jeszcze szybciej. Czyli nikt nie zadzwonił. Może z powodu dziwnego dźwięku, jaki wydaje MP5, kiedy strzela się z niego krótkimi seriami. Pistolety maszynowe w telewizji i na filmach są na ogół staroświeckie i o wiele wolniejsze. Po to, żeby robić odpowiednie wrażenie. Co oznaczało, że mniej więcej przed czterdziestoma minutami ludzie nie wiedzieli, co słyszą. Niewiadomego pochodzenia terkotanie podobne do hałasu, który wydaje maszyna do szycia. Albo który słychać, kiedy uderza się językiem o podniebienie. Jeżeli w ogóle coś usłyszeli.

No tak, pomyślał Reacher. Przynajmniej jeden ranny i nie ma co liczyć na kawalerię.

Zbiegł po schodach i wyszedł z powrotem w mrok nocy.

. . .

Okrzyknął dom zgodnie z ruchem wskazówek zegara. W oddali przycupnęły ciche i ciemne stodoły. Zgodnie z tym, czego się spodziewał, stary land-rover stał na obręczach kół. Cztery przestrzelone opony. Minał go i zatrzymał się przy południowej bocznej ścianie domu. Zgasił latarkę i wbił wzrok w ginącą w mroku aleję dojazdową.

Jak do tego doszło?

Ufał Pauling, bo ją znał, i ufał Taylorowi i Jacksonowi, mimo że ich nie znał. Troje zawodowców. Doświadczenie, inteligencja, mnóstwo aktywnych komórek mózgowych. Zmęczonych, ale działających. Z punktu widzenia napastników podejście było długie i niebezpieczne. Nie mieli najmniejszych szans. Reacher powinien ujrzeć cztery podziurawione kulami ciała i wrak wynajętego samochodu. W tym momencie Jackson powinien odpalać silnik koparki, Pauling otwierać puszkę z piwem, a Kate podgrzewać fasolę i robić kanapki.

Więc dlaczego tego nie robili?

Coś musiało odwrócić ich uwagę. Jak zawsze odpowiedź znajdowała się na rysunkach Jade. Zwierzęta w stodołach. „Nie śpi najlepiej — powiedziała Kate — Podróż przez Atlantyk przestawiła jej zegar biologiczny”. Reacher wyobraził sobie

małą budzącą się koło północy, wstającą z łóżka, wybiegającą z domu w mrok, który wydawał jej się bezpieczny, czwórkę szukających jej dorosłych, zamieszanie, panikę, ukrytych w trawie obserwatorów, którzy wkraczają nagle do akcji. Lane'a pędzącego przez mostek wynajętą toyotą. Taylora, Jacksona i Pauling wstrzymujących ogień z obawy, żeby nie postrzelić się wzajemnie. I nie ranić Kate lub Jade.

Lane'a z zapalonymi reflektorami, wciskającego nagle hamulec.

Lane'a z zapalonymi reflektorami, rozpoznającego pasierbicę. I swoją żonę.

Reacher poczuł, jak przechodzi go gwałtowny, niedający się opanować dreszcz. Zamknął oczy, a potem z powrotem otworzył. Zapalił latarkę, skierował jej promień na ziemię i ruszył podjazdem w stronę szosy. Nie wiedział dobrze, dokąd idzie.

Perez nasunął gogle noktowizora na czoło.

— W porządku, Reacher sobie poszedł — oznajmił. — Już go nie ma.

Edward Lane pokiwał głową. Przez chwilę stał nieruchomo, a potem uderzył na odlew Jacksona w twarz latarką, raz, drugi i trzeci, z całej siły, aż ten osunął się na ziemię. Gregory podciągnął go z powrotem do góry, a Addison zerwał mu z ust taśmę.

— Opowiedz mi o swoim jadłospisie — powiedział Lane.

— O czym? — zapytał Jackson, plując krwią.

— O swoim jadłospisie. O tym, co jesz. Czym karmi cię twoja nieobecna żona.

— Dlaczego?

— Chcę wiedzieć, czy jesz ziemniaki.

— Wszyscy jedzą ziemniaki.

— W takim razie znajdę chyba w kuchni nożyk do ich obierania?



# 74

Reacher trzymał latarkę tak, by snop światła padał mniej więcej dziesięć stóp przed nim. Wąski jasny owal tańczył w lewo i w prawo i podskakiwał, gdy szedł. W jego świetle widział koleiny i doły w ubitej ziemi. Dzięki temu mógł iść szybciej. Dotarł do pierwszego zakrętu, po czym utkwiał oczy w mroku i puścił się biegiem w stronę drogi.



— Idź i znajdź kuchnię — powiedział Lane do Pereza. — Przynieś mi to, czego potrzebuję. I znajdź telefon. Zadzwoń do Bishop's Arms i powiedz pozostałym, żeby tu przyszli.

— Mamy samochód — mruknął Perez.

— Powiedz im, żeby przyszli piechotą.

— Reacher tu wróci, wiecie o tym — odezwał się Jackson. On jeden mógł mówić. Inni mieli usta zalepione taśmą.

— Wiem, że wróci — odparł Lane. — Liczę na to. Dlaczego, twoim zdaniem, go nie ścigaliśmy? W najgorszym wypadku przejdzie sześć mil na wschód, nic nie znajdzie, i przyjdzie tu z powrotem. To zajmie mu cztery godziny. Do tego czasu będziesz gryzł ziemię. Reacher może zająć twoje miejsce. Będzie patrzył, jak umiera dziecko, a po nim pani Pauling. A potem go zabiję. Powoli.

— Jesteś chory. Potrzebujesz pomocy.

— Nie wydaje mi się — odparł Lane.

- Ktoś go podwiezie.
  - O tej porze? Z karabinem na ramieniu? Nie wydaje mi się.
  - Jesteś stuknięty — powiedział Jackson. — Kompletnie ci odbiło.
  - Jestem wkurzony — stwierdził Lane. — I moim zdaniem mam do tego prawo.
- Perez wyszedł poszukać kuchni.



Reacher pokonał biegiem drugi zakręt na podejździe i trochę zwolnił.

Chwilę później zatrzymał się w miejscu.

Zgasił latarkę i zamknął oczy. Stojąc nieruchomo w ciemności i ciężko oddychając, koncentrował się na powidoku tego, co właśnie zobaczył.

Podjazd zakręcał dwa razy bez żadnego widocznego powodu. Ani praktycznego, ani estetycznego. Biegł w lewo, a potem w prawo z jakiejś innej przyczyny. Żeby ominąć miejsce, gdzie grunt był grząski, jak domyślił się wcześniej. Żeby ominąć źle osuszony lej krasowy. I rzeczywiście miał rację. Przy zakrętach ziemia była miękka i wilgotna. Błotnista, mimo że nie padało od wielu dni.

A w błocie odbiły się ślady opon.

Trzech różnych rodzajów.

Przede wszystkim land-rovera Jacksonów. Rolniczej półciężarówki. Klockowaty, dostosowany do błota i śniegu bieżnik. Masywne, głębokie koleiny, pozostawione setki razy. Ślady opon land-rovera były na całej drodze. Stare i podmyte, nowe i wyraźne, całkiem świeże. Wszędzie. Niczym szum tła przy nagrywaniu.

Po drugie, opony mini coopera. Zupełnie inne. Wąskie, nowe, z agresywnym, sztywnym bieżnikiem mającym zapewnić lepszą przyczepność na zakrętach. Tylko dwa ślady. Dzień wcześniej Reacher wjechał na farmę powoli i spokojnie, na drugim biegu, małym samochodem, z umiarkowaną szybkością, żeby nikt nie posądził go o złe zamiary. Pokonał oba zakręty, zaparkował samochód przed domem i zostawił go tam. Mini cooper nadal

tam stał. Nie ruszył się z miejsca. Nikt nim nigdzie nie pojechał. I prawdopodobnie już nie pojedzie. Samochód opuści farmę na lorze.

Dlatego na ziemi pozostały tylko dwa ślady.

Podobnie jak w przypadku trzeciego pojazdu. Przejechał w jedną stronę. Szersze opony. Duży, ciężki pojazd, głęboko rzeźbiony bieżnik, nowy i sztywny. Przystosowane do średnio trudnych warunków terenowych opony, które powinien mieć każdy markowy sportowy pojazd z napędem na cztery koła.

Opony, w które powinno się wyposażyć wynajmowaną toyotę land cruisera.

Tylko dwa ślady.

W jedną stronę.

Ten model toyoty był bardzo sprawnym pojazdem terenowym. Jednym z najlepszych na świecie. Reacher wiedział o tym. Nie wydawało się jednak prawdopodobne, by wjechał tutaj z innej strony. W żadnym wypadku. Farma była otoczona rowami szerokości dziesięciu i głębokości sześciu stóp. Całkiem stromymi. Nie do pokonania. Nie zdołałby przez nie przejechać humvee. Nie zdołałby przez nie przejechać bradley. Nie zdołałby przez nie przejechać abrams. Otaczające Grange Farm rowy były lepsze od zapór przeciwczołgowych. Zatem toyota nie mogła wjechać z innej strony. Pokonała płaski mostek i cały podjazd. Ale nie wyjechała z powrotem.

Tylko dwa ślady.

W jedną stronę.

Lane był nadal na farmie.



Lane uderzył jeszcze raz Jacksona w głowę latarką. Zrobił to bardzo mocno. Szkiełko pękło i Jackson znowu osunął się na ziemię.

— Potrzebuję nowej latarki — oświadczył Lane. — Ta jest chyba zepsuta.

Addison uśmiechnął się i wyjął nową z pudła. Lauren Pauling wpatrywała się w drzwi. Miała usta zaklejone taśmą i skrepo-

wane z tyłu ręce. Drzwi wciąż były zamknięte. Ale powinny się zaraz otworzyć. Wejdzie przez nie albo Perez, albo Reacher. Złe albo dobre wieści.

Niech to będzie Reacher, pomyślała. Proszę. Robale na przedniej szybie, żadnych skrupułów. Proszę, niech to będzie Reacher.

Lane wziął nową latarkę od Addisona, podszedł do Kate i stanął może o sześć cali od niej. Twarzą w twarz. Oko w oko. Byli mniej więcej tego samego wzrostu. Zapalił latarkę, skierował ją w górę i przystawił do jej podbródka, zmieniając przepiękną twarz Kate w upiorną halloweenową maskę.

— Dopóki śmierć nas nie rozłączy — powiedział. — To zdanie traktuję poważnie.

Kate odwróciła głowę. Westchnęła pod taśmą. Lane złapał ją wolną dłonią za brodę i przekreślił głowę z powrotem.

— I wyrzekając się innych — powiedział. — Tę część też traktowałem poważnie. Ty niestety nie.

Kate zamknęła oczy.

. . .

Reacher szedł dalej na południe. Do końca podjazdu, przez mostek, drogą na wschód, oddalając się od farmy, cały czas z zapaloną latarką. Na wypadek gdyby był obserwowany. Napastnicy powinni zobaczyć, jak odchodzi. Ponieważ umysł ludzki kocha ciągłość. Widok małej postaci maszerującej i maszerującej na południe, a potem maszerującej i maszerującej na wschód, budzi nieodpartą pokusę, by uwierzyć, że będzie maszerowała na wschód już zawsze. Poszedł sobie, mówimy. Już go nie ma. A potem w ogóle zapominamy o tej postaci, ponieważ wiemy, że maszeruje dalej, i nie widzimy, że zawróciła, ponieważ już jej nie obserwujemy.

Po przejściu dwustu jardów na wschód zgasił latarkę i przeszedł kolejne dwieście jardów po ciemku. Następnie stanął. Obrócił się o dziewięćdziesiąt stopni i ruszył na północ. Ześlizgnął się po pochyłości rowu, pobrnął przez gęste czarne

błoto na jego dnie i wdrapał się na drugi brzeg, przez cały czas trzymając wysoko nad głową karabin. A potem pobiegł szybko, wydłużając krok, by móc stawiać stopy na szczytach bruzd.

Dwie minuty później był ćwierć mili dalej na północ, trzysta jardów na wschód od stodół i brakowało mu tchu. Zatrzymał się przy kępie drzew, żeby odzyskać siły. Przesunął kciukiem selektor na ogień pojedynczy. A potem przyłożył kolbę do ramienia i ruszył do przodu. Na zachód. W stronę stodół.

Reacher, samotny w ciemności. Uzbrojony i niebezpieczny. Wracający tam, skąd przyszedł.

• • •

Edward Lane wciąż stał tuż przy Kate.

— Zakładam, że spałaś z nim od lat — powiedział.

Kate nie odezwała się.

— Mam nadzieję, że używaliście kondomów. Mogłaś się czymś zarazić od takiego faceta.

Nagle uśmiechnął się. Przyszła mu do głowy nowa myśl. Dla niego żart.

— Albo zajść w ciążę — dodał.

Coś błysnęło w jej przerażonych oczach.

Lane przez chwilę milczał.

— Co? — zapytał. — Co chcesz mi powiedzieć?

Kate potrząsnęła głową.

— Jesteś w ciąży — powiedział. — Jesteś w ciąży, prawda? Jesteś. Wiem to. Inaczej wyglądasz. To widać.

Przyłożył płasko dłoń do jej brzucha. Kate cofnęła się, przywierając mocno do słupa, do którego była przywiązana. Lane dał pół kroku do przodu.

— O rany, to niewiarygodne. Umrzesz, nosząc w łonie dziecko innego mężczyzny.

Nagle odwrócił się na pięcie. Zatrzymał się i potrząsnął głową.

— Nie można na to pozwolić — rzekł. — To nie byłoby w porządku. Musimy najpierw usunąć ciążę. Powinienem po-

wiedzieć Perezowi, żeby znalazł jakiś wieszak. Nie zrobiłem tego. Ale znajdziemy coś innego. Musi tu coś być. To w końcu farma.

Kate zamknęła oczy.

— I tak umrzesz — zapewnił ją Lane niczym najrozsądniejszy człowiek pod słońcem.



Reacher wiedział, że są w stodole. Musieli tam być. Bez wątplenia. Gdzie indziej zdołaliby ukryć terenówkę? Wiedział, że razem jest pięć stodół. Widział je w dzień w pewnej odległości od domu. Trzy stały wokół glinianego podwórka, dwie trochę z boku. Wszystkie miały wielkie drzwi, do których biegły koleiny. Domyślał się, że w środku stoją traktory, przyczepy, snopowiązałki i inny sprzęt rolniczy. W tym miejscu grunt pod jego stopami był suchy, twardy i kamienisty. Opony nie pozostawiły na nim żadnych śladów. Nie było sensu zapalać latarki.

Tylko w której są stodole?

Zaczął od najbliższej, mając nadzieję, że uśmiechnie się do niego szczęście. Niestety się nie uśmiechnęło. Najbliższa stodoła, jedna z dwóch, które stały na uboczu, była wzniesionym z wysuszonych desek szerokim budynkiem, który przechylił się lekko na zachód pod naporem wiejących nieubłaganie przez dwieście lat wiatrów. Reacher przyłożył ucho do szpary między dwiema deskami i nic nie usłyszał. Przystawił w to samo miejsce oko i nic nie zobaczył. Wyłącznie ciemność. W chłodnym powietrzu unosił się zapach wilgotnej ziemi i gnijącej juty.

Przeszedł pięćdziesiąt jardów do następnej stodoły, mając nadzieję, że tym razem będzie miał więcej szczęścia. Nie miał. Druga stodoła była tak samo ciemna i cicha jak pierwsza. W stęchłym, chłodnym wnętrzu nic się nie poruszało. Silny odór azotu. Stary nawóz. Reacher ruszył powoli i ostrożnie w stronę trzech stodół ustawionych wokół podwórka. Miał do nich jakieś sto jardów.

Przeszedł może dwadzieścia pięć i stanął jak wryty.

Ponieważ kątem oka dostrzegł światło z tyłu, po lewej stronie. światło i ruch, w domu. W kuchennym oknie. Ktoś tam był z latarką. Szybkie cienie skakały po wewnętrznej stronie szyby.

• • •

— Znajdź mi kawałek drutu do snopowiązałek — powiedział Lane, zwracając się do Gregory'ego.

— Zanim załatwimy małą? — zapytał Gregory.

— Czemu nie? To może być dla niej coś w rodzaju zwias-tuna. I tak zazna tego samego, kiedy Perez wróci z nożykiem do obierania ziemniaków. Powiedziałem jej matce przed kilku laty, co się stanie, jeżeli mnie zdradzi. A ja zawsze staram się dotrzymywać słowa.

— Mężczyzna powinien dotrzymywać słowa — stwierdził Gregory.

— Potrzebny nam jest stół operacyjny — powiedział Lane. — Znajdź coś płaskiego. I zapal reflektory toyoty. Będę musiał widzieć, co robię.

— Jesteś chory — odezwał się Jackson. — Potrzebujesz pomocy.

— Pomocy? — odparł Lane. — Nie, nie wydaje mi się. Z tego, co słyszałem, załatwiała to zawsze jedna osoba. Na ogół jakaś starucha, w bocznej uliczce.

• • •

Reacher podszedł szybko i cicho do tylnych drzwi domu. Przywarł płasko do ściany. Czekał. Czuł wbijające mu się w plecy nierówne kamienie. Słyszał dobiegający przez drzwi głos. Bardzo niewyraźny, co jakiś czas przerywany, by wysłuchać drugiej strony. Lekki latynoski akcent. Perez rozmawiał przez telefon. Reacher obrócił w dłoniach karabin i zamachnął się nim na próbę.

A potem zaczął czekać. Sam w ciemności.

• • •

Gregory znalazł stare wiejskie drzwi, zbite z nachodzących na siebie listewek i wzmocnione od tyłu belkami w kształcie

literę Z. Wyciągnął je ze stosu wyrzuconych rupieci i postawił pionowo.

— Będą idealne — zawołał do niego Lane.

• • •

Perez wyszedł w mrok nocy i odwrócił się, żeby zamknąć za sobą drzwi, a Reacher zamachnął się, wyciągając przed siebie ramiona, zataczając krąg biodrami, odpychając się tylną stopą i zaciskając palce na kolbie. Niedobrze. Za późno. Takiej piłki z pewnością by nie zaliczono, poleciałaby na lewe pole, wysoko na trybuny, odbiła się od fasady, być może nawet wypadła na ulicę. Ale głowa Pereza nie była piłeczką baseballową. A karabinek G-36 nie był kijem baseballowym. Celownik trafił Pereza w skroń i wbił odłupany kawałek kości w lewy oczodół, grzbiet nosa i częściowo w prawy oczodół. I tam się zatrzymał, kiedy górny skraj kolby zmiażdżył jego ucho, które rozpląszczyło się z boku głowy. Nie było to zatem idealne uderzenie. Zadane dwie milisekundy wcześniej i dwa cale dalej, mogłoby ściąć facetowi głowę tak, jak ścina się górną część ugotowanego na miękko jajka. Ponieważ było spóźnione, wyorało tylko głęboki paskudny rów między jego policzkami i czołem.

Paskudny, ale skuteczny. Perez przestał żyć na długo przedtem, nim się przewrócił. Był zbyt mały, żeby runąć niczym drzewo. Osunął się po prostu na gliniane klepisko, jakby stanowiąc jego część.

• • •

— Idź zobacz, co się, do diabła, dzieje z Perezem — powiedział Lane do Addisona. — Powinien już tu dawno być. To zaczyna być nudne. Nikt się jeszcze nie wykrawiał.

— Ja krwawię — odezwał się Jackson.

— Ty się nie liczysz.

— Taylor krwawi. Perez go postrzelił.

— Nieprawda — mruknął Lane. — Taylor przestał krwawić.

Chwilowo.

— Na zewnątrz jest Reacher — powiedział Jackson.

— Nie wydaje mi się.



Jackson pokiwał głową.

Jest tam. Dlatego Perez nie wrócił. Reacher go skasował. Lane uśmiechnął się.

— I co mam w związku z tym zrobić? Wyjść na zewnątrz i go poszukać? Z moimi dwoma ludźmi? Zostawiając was tu samych, żebyście zorganizowali za moimi plecami jakąś żalosną próbę ucieczki? To chcesz osiągnąć? Nic takiego się nie zdarzy. Ponieważ dokładnie w tej chwili Reacher mija kościół w Bishops Pargeter. A może próbujesz po prostu dodać swoim towarzyszom otuchy w chwili, kiedy jej najbardziej potrzebują? To jest ten brytyjski hart ducha? Ta wasza słynna flegma?

— On jest tam na zewnątrz — powtórzył Jackson. — Wiem o tym.

• • •

Reacher kucnął w tym momencie przy drzwiach kuchennych i sortował rzeczy, które upuścił Perez. MP5K z magazynkiem na trzydzieści nabojów i balistycznym nylonowym pasem na ramię. Latarka, teraz rozbita. Dwa noże kuchenne z czarnymi uchwyty, jeden długi, drugi krótki, jeden ząbkowany, drugi prosty. Firmowy korkociąg zabrany z jakiegoś promu.

I nożyk do obierania ziemniaków.

Jego rączkę zrobiono ze zwykłego drewnianego kołka. Kiedyś czerwonego, teraz wyblakłego. Przymocowano do niego ciasno obwiązany sznurkiem proste ostrze z prasowanego metalu. Lekko spiczaste, z podniesionym kołnierzem i rowkiem. Staroświecki sprzęt, prosty, praktyczny, porządnie zużyty.

Reacher przyglądał mu się przez chwilę, a potem włożył do kieszeni. Wbił dłuższy nóż aż po rękojeść w pierś Pereza. Wsunął krótszy do własnego buta. Kopnął korkociąg i rozbitą latarkę w mrok. Starł kciukiem krew i mózg Pereza z lunety G-36. Podniósł MP5K i zawiesił go sobie na lewym ramieniu.

A potem ruszył z powrotem na północny wschód, w stronę stodół.

Reacher, samotny w ciemności. Załatwiający to w niemiły sposób.

# 75

Reacher zatrzymał się na kwadratowym glinianym podwórku o boku mniej więcej stu stóp. Mające w mroku stodoły stały po jego północnej, wschodniej i południowej stronie. Wszystkie trzy wydawały się w gruncie rzeczy identyczne. Kryte dachówką, z wysokimi przesuwanymi drzwiami i ścianami z desek, matowoszarymi w świetle gwiazd. Były nowsze od stodoł, które stały na uboczu, i znacznie od nich mocniejsze. Proste, porządne i solidne. Co stanowiło, jak sądził Reacher, pomyślną wiadomość, jeśli ktoś był farmerem. Dla niego była to zła wiadomość. Żadnych spaczonych desek, żadnych dziur, szczelin i sęków.

Nie sposób było od razu poznać, w której ktoś przebywa.

Jego zdaniem w grę mogła wchodzić północna albo wschodnia. Oferowały łatwiejszy dojazd dla terenówki, która mogła pojechać prosto albo skręcić o dziewięćdziesiąt stopni. Żeby wjechać do południowej, trzeba było zawrócić o sto osiemdziesiąt stopni i ustawić się tyłem do domu i do podjazdu. Niezbyt przyjemne uczucie. Świadomość, że ma się widok na dom, była psychologicznie ważna nawet w egipskich ciemnościach.

Powoli i cicho przeciął na ukos podwórko. Pomogło mu to, że miał zniszczone buty. Gruba warstwa błota na podszewkach tłumiła wszelkie odgłosy. Tak jakby miał na nogach tenisówki. Albo stapał po dywanie. Dotarł do lewego rogu północnej stodoły i zniknął w zalegającym tam mroku. Okrzyknął ją zgodnie

ruchem wskazówek zegara. Po drodze obmacał ściany. Delikatnie je opukał. Grube deski, chyba dębowe, mniej więcej na cal grube. Przybite do nośnych belek, które mogły mieć stopę grubości. Niczym na starym żaglowcu. Niewykluczone, że wewnętrzne ściany też były obite deskami. Zdarzyło mu się mieszkać w mniej solidnych budynkach.

Obszedłszy dookoła stodołę, zatrzymał się przy jej prawym przednim rogu. Do środka można było wejść wyłącznie przez drzwi frontowe. Były zrobione z czterocalowych belek połączonych płaskownikami z galwanizowanej stali i wisiały na przyśrubowanych do ściany prowadnicach. Przymocowane do nich, osadzone w prowadnicach koła nie ustępowały wielkością tym w mini cooperze. W betonie na dole również zamontowane były prowadnice, po których jeździły mniejsze kółka. Prawdziwie przemysłowe rozwiązanie. Drzwi rozsuwały się niczym kurtyna w teatrze, otwierając się na szerokość około czterdziestu stóp. Dość szeroko, by mógł przez nie przejechać kombajn.

Reacher ruszył ostrożnie wzdłuż frontowej ściany i przystawił ucho między drzwi i ścianę. Nic nie usłyszał. Nie zobaczył żadnego światła.

To nie tu, pomyślał.

Obrócił się i spojrzał na wschód. Muszą być tam. Ruszył na ukos przez podwórko. Kiedy od wschodniej stodoły dzieliło go dwadzieścia stóp, otworzyły się drzwi. Robiły dużo hałasu. Kółka stukwały w prowadnicach. Na zewnątrz wylała się szeroka na jard smuga jasnoblękitnego światła. Ksenonowe reflektory. W środku stała terenowa toyota z włączonymi światłami. W smudze światła pojawił się Addison. Z przewieszonym przez ramię MP5 rzucał monstrualny cień na zachód. Obrócił się, żeby zamknąć za sobą drzwi. Robił to oburącz, zgarbiony, z dużym wysiłkiem. Dosunął je na sześć cali i tak zostawił. Smuga błękitnego światła zwęziła się do wąskiego paska. Addison zapalił latarkę i kiedy odwracał się, jej promień przesunął się leniwie po twarzy Reachera. Ale Addison najwyraźniej nie nadszedł za nim wzrokiem. Ponieważ w ogóle nie zareagował. Skreślił w lewo i ruszył w stronę domu.

Jaka decyzja? — pomyślał Reacher.

Nie ma się nad czym zastanawiać. Trzeba eliminować jednego po drugim i dziękować losowi za nadarzącą się okazję.

Wziął głęboki oddech, przekroczył pasek światła i ruszył dwadzieścia stóp za Addisonem, szybko i cicho. Po chwili miał do niego piętnaście stóp. Potem dziesięć. Addison nie zdawał sobie z niczego sprawy. Szedł po prostu przed siebie, zataczając kręgi promieniem latarki.

Tylko pięć stóp.

Tylko trzy.

A potem dwie postaci zwały się ze sobą w ciemności. Zwolniły i zatrzymały się. Latarka upadła na ziemię, potoczyła się kilka stóp i znieruchomiała. Jej żółte światło rzucało groteskowe cienie, zmieniając małe złote kamyki w poszarpane głązy. Addison potknął się i upadł, najpierw na kolana, a potem na twarz, z gardłem poderżniętym nożem, który Reacher wyjął z buta.

Reacher ruszył dalej, zanim jeszcze Addisonem przestały wstrząsać konwulsje. Z karabinkiem automatycznym, dwoma pistoletami maszynowymi i nożem. Ale nie skierował się z powrotem do stodoły. Zamiast tego poszedł do domu. Najpierw zajrzał do głównej sypialni, potem spędził chwilę w kuchni, przy kominku i przy biurku. Następnie wyszedł na dwór i przestąpił przez ciało Pereza, a chwilę później Addisona. „Nie są wcale lepszymi żołnierzami niż ci, którzy teraz pełnią służbę. Często są gorsi”, stwierdziła przed kilku dniami Patti Joseph. Tego samego zdania był Taylor. „Kiedyś byli znakomici, teraz reprezentują poziom bardziej zbliżony do przeciętnego”. Mielisz rację, pomyślał.

Szedł dalej na północny wschód, w kierunku stodoł.

. . .

Zatrzymał się przy wschodniej stodole i przez chwilę zastanawiał, jaką wybrać broń. Odrzucił G-36. Karabinek można nastawić na ogień pojedynczy lub serie po trzy, ale serie były zbyt wolne. Ich odgłos za bardzo przypominał ten, który wydają normalne pistolety maszynowe w telewizji albo na filmie. Zbyt łatwo było go rozpoznać w środku nocy. I nie można było

wykluczyć, że wygięła się lufa. Być może nie zdołałby tego dostrzec gołym okiem, ale rąbnął Pereza wystarczająco mocno, żeby spowodować mikroskopijne uszkodzenia. Położył więc G-36 tuż przy bocznej ścianie stodoły i wyjął magazynek z MP5 Pereza. Zostało w nim dziewięć nabojów. Dwadzieścia jeden wystrzelonych. Siedem serii po trzy. Perez był tym, który strzelał. Co oznaczało, że magazynek Addisona powinien być nadal pełny. I rzeczywiście. Trzydzieści nabojów. Pękate dziewięciomilimetrowe mosiężne łuski zamigotały słabo w świetle gwiazd. Reacher załadował magazynek Addisona do broni Pereza. Magazynek, o którym wiedział, że jest pełny, do broni, o której wiedział, że jest sprawna. Rozsądne podejście u kogoś, kto zamierzał przeżyć następne pięć minut.

Położył broń Addisona i magazynek Pereza na wybrakowanym G-36. Poruszył ramionami i karkiem. Nabrał powietrza i wypuścił je z płuc.

Ostateczna rozgrywka.

Usiadł na ziemi, opierając się plecami o uchylone drzwi. Rozłożył rzeczy, które przyniósł z domu. Szczapę z kosza z podpałką. Trzy gumki ze słoja na biurku. Szylkretowe lusterko z toaletki Susan Jackson.

Przycięty, by zmieścić się na kuchennym palenisku, jesionowy kij miał grubość dziecinnej rączki i siedemnaście cali długości. Gumki były krótkie, ale mocne. Podobne do tych, które listonosz zakłada na plik listów. Ręczne lusterko było prawdopodobnie zabytkowe. Okrągłe, z rączką, podobne trochę do rakiетки pingpongowej.

Reacher przymocował gumkami szylkretową rączkę lusterka do jesionowego kija. A potem położył się płasko na brzuchu, wziął go do lewej ręki i przesunął w stronę sześcioalowej szpary w drzwiach. Przechylił kij i manipulował nim tak długo, aż zobaczył w lusterku wnętrze stodoły.

Reacher z lusterkiem na kiju.

## 76

Stodoła była solidna i porządna, ponieważ jej konstrukcja wspierała się na stojących w środku pionowych słupach, które podtrzymywały kalenicę i wzmacniały krokwie. Osadzonych w betonie, grubych na stopę drewnianych słupów było w sumie dwanaście. Do pięciu byli przywiązani ludzie. Przesuwając lusterko od lewej do prawej, Reacher zobaczył w nim Taylora, Jacksona, Pauling, Kate i Jade. Ręce mieli wykręcone do tyłu i związane za słupami. Skrępowano im również nogi w kostkach, a usta zaklejono taśmą. Wszystkim z wyjątkiem Jacksona. On jeden nie miał taśmy na ustach. Ale jego twarz była zakrwawiona i zmasakrowana. Miał głębokie skaleczenia nad obiema brwiami i nie stał, lecz półprzytomny zwiślał u podstawy słupa.

To Taylor został postrzelony. Prawy rękaw jego koszuli był podarty i przesiąknięty krwią. Pauling chyba nic się nie stało. Toczyła trochę dzikim wzrokiem znad srebrnej taśmy, włosy rozsypały jej się na twarz, ale poza tym funkcjonowała całkiem normalnie. Kate była biała jak prześcieradło i miała zamknięte oczy. Jade zsunęła się po swoim słupie i przycupnęła na piętach ze spuszczoną głową. Być może zemdląca.

Toyota stała tuż przy tylnej ścianie, po lewej stronie. Miała zapalone reflektory, które świeciły wzdłuż długiej osi budynku. Słupy rzucały dwanaście ostrych cieni.

Gregory przewiesił sobie MP5 przez plecy i dźwigał coś dużego i płaskiego. Chyba stare drzwi. Albo blat stołu. Szedł

od lewego do prawego tylnego rogu stodoły, ściskając to oburącz.

Lane stał zupełnie nieruchomo pośrodku stodoły, trzymając w obu dłoniach MP5. Palec opierał na spuście i pobiełały mu kłykcie. Wpatrywał się w drzwi, obrócony bokiem do toyoty. Ksenonowe reflektory oświetlały jego twarz, która upodobniła się do dziwnego reliefu. Jego oczodoły przypominały czarne dziury. „Jego stan graniczy z chorobą psychiczną”, mówili ludzie. Przekroczył tę granicę dawno temu, pomyślał Reacher.

Gregory postawił płaski przedmiot przed sobą.

— Gdzie mam to położyć? — zapytał.

— Potrzebne nam kozły — odparł Lane. Reacher przesunął lusterko w ślad za Lane'em, który podszedł do zwisającego przy słupie Jacksona i kopnął go w żebra. — Macie tutaj kozły? — zapytał.

— W drugiej stodole — odparł Jackson.

— Poślę po nie Pereza i Addisona, kiedy wrócą — oświadczył Lane.

Już nie wrócą, pomyślał Reacher.

— Już nie wrócą — powiedział Jackson. — Załatwił ich Reacher. Jest na zewnątrz.

— Denerwujesz mnie — mruknął Lane.

Ale Reacher zobaczył, że zerka w stronę drzwi. I zrozumiał, o co chodzi Jacksonowi. Starał się odwrócić uwagę Lane'a od tego, co działo się w stodole. Odwrócić jego uwagę od więźniów. Grać na zwłokę.

Spryciarz, pomyślał.

A potem zobaczył, jak odbicie Lane'a w lusterku staje się coraz większe. Cofnął powoli i ostrożnie lusterko i wycelował ze swojego MP5 w miejsce znajdujące się tuż za drzwiami, pięć stóp i cztery cale nad ziemią. Wystaw głowę, pomyślał. Wyrzyj na zewnątrz. Proszę. Trzy kule trafią cię w jedno ucho i wyjdą drugim.

Niestety nie uśmiechnęło się do niego szczęście. Usłyszał, jak Lane zatrzymuje się tuż przy drzwiach.

— Reacher! — wrzasnął. — Jesteś tam?

Reacher czekał.

— Perez? Addison? — zawołał Lane.

Reacher czekał.

— Reacher? — wrzasnął Lane. — Jesteś tam? Słuchaj. Za dziesięć sekund postrzelę Jacksona w uda. Wykrwawi się z tętnic udowych. A potem każę Lauren Pauling, żeby zlizwała tę krew jak pies.

Reacher czekał.

— Dziesięć — wrzasnął Lane. — Dziewięć. Osiem. — Jego głos stawał się coraz cichszy, w miarę jak wracał w głąb stodoły. Reacher wsunął z powrotem lusterko pod drzwi. Zobaczył, że Lane zatrzymuje się przy Jacksonie. — Nie ma go tam — usłyszał, jak mówi. — A nawet jeżeli jest, ma cię głęboko w dupie. — Lane ponownie się odwrócił. — Siedem. Sześć. Pięć! — wrzasnął. Gregory stał bez słowa i bez ruchu, trzymając przed sobą pionowo płaską dechę. — Cztery! — wrzasnął Lane.

W ciągu jednej sekundy może się wydarzyć dużo rzeczy. Reacherowi myśli przelatywały przez głowę niczym tasowane przez gracza karty. Zastanawiał się, czy nie poświęcić Jacksona. Może Lane nie mówił serio. Jeżeli mówił serio, był z całą pewnością dość szalony, by przestawić broń na ogień ciągły i opróżnić cały magazynek. Gregory był unieruchomiony. Reacher mógł zaczekać, aż Lane wpakuje trzydzieści pocisków w uda Jacksona, po czym wejść do środka, postać trzy kule przez płaską dechę prosto w tułów Gregory'ego i kolejne trzy w głowę Lane'a. Jeden zabity na pięciu zakładników to nie były zbyt wysokie straty. Dwadzieścia procent. Reacher dostał kiedyś medal za gorszy wynik.

— Trzy! — wrzasnął Lane.

Ale Reacher polubił Jacksona i trzeba było również pamiętać o Susan i Melody. O Susan, lojalnej siostrze. O Melody, niewinnym dziecku. Trzeba było również mieć na uwadze marzenia Kate Lane o nowej, rozszerzonej rodzinie, prowadzącej wspólnie farmę, produkującej siano, oczyszczającej miejscową ziemię z chemikaliów, sadzącej za pięć lat zdrowe warzywa.

— Dwa! — wrzasnął Lane.

Reacher rzucił lusterko, wyciągnął przed siebie prawą rękę niczym pływak, złapał palcami za skraj drzwi i drepcząc do



tyłu, pociągnął je za sobą. Otworzył je, lecz sam pozostał niewidoczny.

Przesunął je o całe dwadzieścia stóp. I czekał.

W stodole zapadła cisza. Wiedział, że Lane utkwiał wzrok w czarnej pustce na zewnątrz. Wiedział, że nadstawia uszu, by usłyszeć coś w nieruchomym powietrzu. Najstarszy z atawistycznych ludzkich lęków, zapisany głęboko w pierwotnym umyśle, wciąż obecny setki tysięcy lat po wyjściu z jaskiń. Coś tam czai się na zewnątrz.

Reacher usłyszał głucho łupnięcie, kiedy Gregory puścił swoją dechę. A potem zaczął się wyścig. Z perspektywy Lane'a drzwi otworzyły się z prawej do lewej, przesunięte przez jakiegoś nieznanego sprawcę. Z tego względu ów sprawca był teraz na zewnątrz, po lewej stronie, przy skraju drzwi. Reacher wstał, odwrócił się i ruszył biegiem wokół stodoły w kierunku przeciwnym do ruchu wskazówek zegara. Okrzył pierwszy róg, pokonał pięćdziesiąt stóp wzdłuż południowej ściany, okrzył drugi róg, pokonał sto stóp wzdłuż tylnej ściany i w końcu ostatnie pięćdziesiąt stóp wzdłuż północnej ściany. Nie biegł z maksymalną szybkością. Trzysta stóp, sto jardów mniej więcej w trzydzieści sekund. Olimpijczyk pokonałby je w dziesięć, ale olimpijczyk nie musiał po przekroczeniu mety oddać celnego strzału z pistoletu maszynowego.

Oddychając ciężko przez nos i nie pozwalając, by zbyt mocno unosiła mu się pierś, okrzył ostatni róg i podszedł z zamkniętymi ustami do drzwi.

Teraz był na zewnątrz, po ich prawej stronie.

W stodole panowała cisza. Nikt się nie ruszał. Reacher rozstawił szerzej stopy, oparł lewy bark o ścianę i zgiął łokieć. W lewej, podniesionej ręce trzymał lekko i łagodnie przedni uchwyt MP5. Prawą ścisnął uchwyt pistoletowy, palcem wskazującym przesunął już spust o jedną ósmą cala. Lewe oko było zamknięte, prawe znajdowało się na przedłużeniu linii, którą tworzyły muszka i szczerbinka. Czekał. Usłyszał ciche stąpanie na betonowej podłodze stodoły, cztery stopy przed nim, trzy stopy na lewo. Zobaczył przecinający smugę światła cień. Czekał. Zobaczył podobny do księżycy w nowiu tył głowy

Lane'a, który wychylał się, zerkał w mrok po lewej stronie. Zobaczył nylonowy pas pistoletu maszynowego, który wrzynał się w jego pomiętą płócienną marynarkę. Nie przesunął lufy. Chciał strzelić równolegle do ściany stodoły, nie do środka. Gdyby przesunął broń, zakładnicy mogliby znaleźć się na linii strzału. Przede wszystkim Taylor, sądząc z tego, co zobaczył w szylkretowym lusterku. Ale i Jackson. Musiał zachować cierpliwość. Musiał pozwolić, by Lane przyszedł do niego.

Lane przyszedł do niego. Wychylał się cal po calu, wyciągając szyję, zginając się w pasie i łypiąc w lewo. Wysunął na zewnątrz lewą stopę. Wchylił się jeszcze bardziej. Reacher zignorował go. Koncentrował się wyłącznie na przyrządach celowniczych MP5. Były oznaczone trytem i opierały się na zasadach geometrii równie prostych jak przecinający mrok promień lasera. Lane wchodził w linię strzału. Najpierw samym skrajem czaszki. Potem jej większą częścią. Potem jeszcze większą. I jeszcze. Muszka znalazła się na wysokości kościstego wzniesienia z tyłu jego głowy. W samym środku. Lane był tak blisko, że Reacher mógł policzyć wszystkie jego ostrzyżone na języka włosy.

Przez pół sekundy zastanawiał się, czy nie zawołać go po imieniu. Kazać mu się odwrócić z podniesionymi rękoma. Powiedzieć, dlaczego musi umrzeć. Wyliczyć wszystkie jego przewinienia. Stanowiłoby to ekwiwalent procesu.

Potem pomyślał o pojedynku. Jak mężczyzna z mężczyzną. Na noże albo na pięści. Stanowiłoby to rodzaj rytualnego zakończenia. Byłoby może sprawiedliwsze.

A potem pomyślał o Hobarcie i pociągnął za spust.

Dziwny niewyraźny terkot podobny do odgłosu maszyny do szycia albo zatrzymującego się gdzieś daleko na światłach motoru. Jedna piąta sekundy, trzy dziewięćmilimetrowe pociski, trzy łuski zataczające łuk w jasnym świetle i odbijające się z brzękiem od kamieni dwadzieścia stóp po prawej stronie Reachera. Głowa Lane'a wybuchająca w tumanie niebieskawej mgły i osuwająca się w ślad za ciałem, które łupnęło głucho o beton. Bawełniane i płócienne ubranie tylko w niewielkim stopniu stłumiło ten odgłos.

Mam nadzieję, że Jade tego nie widziała, pomyślał Reacher.

A potem stanął w drzwiach. Gregory na ułamek sekundy kompletnie zgłupiał. Wycofał się i spoglądał w lewo, ale strzały, które zabiły Lane'a, padły z prawej strony. To nie miało sensu. Zaciął mu się umysł.

— Zastrzel go — powiedział Jackson.

Reacher nie poruszył się.

— Zastrzel go — powtórzył Jackson. — Nie każ mi mówić, do czego miał być ten stół.

Reacher zerknął na Taylora, który kiwnął głową. Zerknął na Pauling, która zrobiła to samo. Wpakował więc trzy kule w środek klatki piersiowej Gregory'ego.

Sprzątanie zajęło im pozostałą część nocy i prawie cały dzień. Chociaż padali z nóg, jednogłośnie zgodzili się, że nie pójda spać. Z wyjątkiem Jade. Kate położyła ją do łóżka i siedła przy niej, kiedy zasnęła. Mała zemdlała dość wcześnie. Nie była świadkiem większości tego, co się działo, i chyba nie zrozumiała reszty. Poza faktem, że jej ojczym okazał się łotrem. Ale w gruncie rzeczy powiedziano jej o tym wcześniej; to, co się stało, stanowiło tylko potwierdzenie faktu, z którym już się oswoiła. Zasnęła więc spokojnie, bez żadnych urazów psychicznych. Reacher uznał, że jeśli się jakieś pojawia, upora się z nimi, rysując kredkami na pakowym papierze.

Kate wyglądała, jakby złożyła krótką wizytę w piekle i wróciła na ziemię. I jak wiele osób, które znalazły się w podobnej sytuacji, nie posiadała się ze szczęścia. Ponieważ odwiedziny w piekle były naprawdę straszne, powrót wydał jej się zdecydowanie wspanialszy, niż powinien. Bardzo długo wpatrywała się w ciało Lane'a. Spostrzegła, że brakuje mu połowy głowy. Upewniła się, że niemożliwa jest żadna hollywoodzka sztuczka i na pewno nie wróci w szeregi żywych. Odszedł z tego świata ostatecznie, kompletnie i definitywnie. A ona widziała, jak to się stało. Ten rodzaj pewności jest uzdrawiający. Oddaliła się od zwłok sprężystym krokiem.

Prawy mięsień trójgłowy Taylora był cały rozerwany. Reacher rozciął mu koszulę wyjętym z buta kuchennym nożem i nałożył najlepszy polowy opatrunek, jaki potrafił zrobić z tego, co znalazł

apteczce w łazience. Mimo to Taylorem powinien zająć się lekarz. To nie ulegało wątpliwości. Zgodził się poczekać z wizyta kilka dni. Rana niekoniecznie musiała zostać uznana za postrzałową. Mało prawdopodobne, by któryś z sąsiadów coś usłyszał, ale lepiej nie jechać do szpitala zaraz po nocnej bitwie.

Jacksonowi nic się nie stało, jeśli nie liczyć rozbitych łuków brwiowych, pokiereszowanej twarzy, pękniętej wargi i kilku wybitych zębów. Podobne urazy zdarzały mu się już wcześniej, oznajmił, w trakcie barowych bójek w miejscach, gdzie stacjonował Pierwszy Pułk Spadochronowy i gdzie miejscowi chłopcy zawsze musieli coś udowodnić.

Pauling była cała i zdrowa. Reacher przeciął jej więzy, a ona sama zdarła taśmę z ust i mocno go ucałowała. Ani na chwilę nie przestała wierzyć, że się pojawi i coś wymyśli. Nie wiedział, czy mówi prawdę, czy chce mu się po prostu przypodobać. Tak czy inaczej nie wspomniał, jak mało brakowało, żeby odszedł, ścigając urojonego nieprzyjaciela. Nie wspomniał, jakie to szczęście, że przypadkowe zerknięcie na błotnisty podjazd uruchomiło jakąś synapsę w jego mózgu.

Przeszukał toyotę i znalazł w niej skórzaną torbę Lane'a. Tę, którą widział wcześniej w Park Lane Hilton. Osiemset tysięcy dolarów. Były tam w całości. Nietknięte. Dał torbę Pauling, żeby ich przypilnowała. A potem usiadł na podłodze i oparł się plecami o słup, do którego przywiązano wcześniej Kate, sześć stóp od zwłok Gregory'ego. Był spokojny. Miał za sobą po prostu kolejną pracovitą noc w swoim długim i wyjątkowo burzliwym życiu. Przywykł do tego. I w jego DNA brakowało genu skruchy. Całkowicie. Po prostu go tam nie było. W momencie kiedy inni ludzie staraliby się gorączkowo szukać usprawiedliwień, on zastanawiał się, gdzie najlepiej ukryć ciała.

Ukryli je na dziesięcioakrowym zagonie w północno-zachodnim rogu farmy. Na osłoniętym drzewami, leżącym odłogiem, od roku niezaoranym gruncie. Jackson skończył naprawiać koparkę, uruchomił ją, zapalił reflektory i zaczął natychmiast kopać potężny dół, który musiał mieć trzydzieści stóp długości,

dziewięć szerokości i dziewięć głębokości. Razem dziewięćdziesiąt jardów sześciennych ziemi, ponieważ postanowili zakopać również samochody.

— Sprawdziłaś, czy w schowku jest dodatkowe ubezpieczenie? — zapytał Reacher.

Pauling pokiwała głową.

— Jutro do nich zadzwoń. Powiedz, że ukradli nam samochód.

Taylor został z racji swoich ran zwolniony z cięższych prac. Zamiast tego przeczesał cały teren, szukając wszelkiego rodzaju dowodów rzeczowych. Znalazł wszystko, co mogło komukolwiek przyjść do głowy, łącznie z dwudziestoma siedmioma łuskami z MP5 Pereza. Pauling wytarła krew z podłogi na piętrze i wstawiła brakujący kafelek w łazience. Reacher upchnął zwłoki do toyoty land cruisera.

. . .

Słońce świeciło już od paru godzin, kiedy dół został wykopany. Jackson zostawił z jednej strony łagodną pochyłość. Reacher zjechał po niej toyotą i zatrzymał się tuż przy ścianie z ziemi po drugiej stronie. Jackson cofnął się koparką pod dom, podniósł łyżką przód mini coopera i pchając go przed sobą, wtoczył do dołu i docisnął mocno do tylnego zderzaka toyoty. Następnie pojawił się z resztą rzeczy Taylor. Kiedy wrzucił je wszystkie do dołu, Jackson zaczął go zasypywać. Reacher po prostu usiadł i patrzył. Niebo było bładoniebieskie, słońce wodniste. Wysoko wisiały wąskie chmury i wiał łagodny, ciepły wietrzyk. Wiedział, że na płaskim terenie wszędzie wokół niego grzebano w długich kopcach zwanych kurhanami ludzi z epoki kamiennej, a potem ludzi z epoki brązu, ludzi z epoki żelaza, Celtów, Rzymian, Sasów i Angłów, wikingów, którzy najechali ten kraj w swoich długich łodziach, Normanów, i w końcu przez tysiąc lat samych Anglików. Uznał, że ziemia może przyjąć cztery ciała więcej. Patrzył, jak Jackson zasypuje dół, aż do chwili, kiedy ziemia zakryła samochody, a potem odszedł powoli do domu.

Dokładnie dwanaście miesięcy później dziesięcioakrowy zagon był równo zaorany i jasnozielony od świeżo wysianego ziarna Tony i Susan Jacksonowie i Graham i Kate Taylorowie pracowali na sąsiednim polu. Świeciło słońce. Dwie dziewięcioletnie kuzynki i najlepsze przyjaciółki, Melody Jackson i Jade Taylor, pilnowały w domu młodszego braciszka Jade, zdrowego pięciomiesięcznego chłopca o imieniu Jack.

Trzy tysiące mil na zachód od Grange Farm było pięć godzin wcześniej. Lauren Pauling siedziała sama w swoim mieszkaniu przy Barrow Street, popijając kawę i przeglądając „New York Timesa”. Nie zauważyła artykułu w głównej części informującego o śmierci trzech świeżo przybyłych do Iraku, zatrudnionych na prywatnym kontrakcie żołnierzy. Nazywali się Burke, Groom i Kowalski i zginęli dwa dni wcześniej niedaleko Bagdadu, kiedy ich pojazd najechał na minę. Wpadła jej za to w oko notatka w części miejskiej, w której donoszono, że wspólnota mieszkaniowa w Dakota Building zajęła apartament, za który od dwunastu miesięcy nie płacono czynszu. Po wejściu do środka znaleziono ponad dziewięć milionów dolarów w zamkniętej garderobie.

Sześć tysięcy mil na zachód od Grange Farm było osiem godzin wcześniej i Patti Joseph spała mocno w położonym nad brzegiem oceanu mieszkaniu w Seattle w stanie Waszyngton. Od dziesięciu miesięcy pracowała jako adiustatorka w czasopiśmie. Jej wytrwałość i skrupulatność sprawiły, że była w tym dobra. Od czasu do czasu spotykała się z miejscowym dziennikarzem. Była szczęśliwa.

Daleko od Seattle, daleko od Nowego Jorku i daleko od Bishops Pargeter, w Birmingham w stanie Alabama Dee Marie Graziano wstała wcześniej rano i obserwowała w szpitalnej sali gimnastycznej swojego brata, który chodził, wspierając się na dwóch nowych metalowych laskach.

Nikt nie wiedział, gdzie przebywa Jack Reacher. Opuścił Grange Farm dwie godziny po tym, jak przestała pracować koparka, i od tej chwili wszelki słuch o nim zaginął.